

P.9786 chr.

Arch.

ULF IMP

0-9-82 48220

ISSN 0023-5148

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 7/418 - 8/419

1982



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

S. MROŻEK: **ROZMÓWKA POLSKO-POLSKA**

M. BRANDYS: **Z DWÓCH STRON DRZWI**

KS. ST. MAŁKOWSKI: **STRZAŁY Z BUNKRA**

"ENDOKOMUNY" (KULĄ W PŁOT)

KONWERSATORIUM "DOŚWIADCZENIE I PRZYSZŁOŚĆ"
(RAPORT 4-TY):

POLSKA WOBEC STANU WOJENNEGO

SPIS RZECZY

Sławomir Mrozek:	<i>Rozmówka polsko - polska</i>	3
Marek Nowakowski:	<i>Zapiski na gorąco</i>	5
Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Dziennik pisany nocą</i>	7
Marian Brandys:	<i>Z dwóch stron drzwi</i>	18
WIERSZE		
Jaan Kapliński:	<i>Poemat z Estonii</i>	56
Ryszard Krynicki:	<i>Szczególnie obraźliwe. — Tak samo</i> <i>cierpliwie</i>	58
Adam Zagajewski:	<i>Kłeska. — Chorągiew. — Petit. —</i> <i>Kolce. — On działa. — Moi mi-</i> <i>strzowie. — Ach, czołgi</i>	58
ARCHIWUM POLITYCZNE		
Zbigniew Byrski:	<i>Falklandy</i>	61
Leopold Unger:	<i>Widziane z Brukseli</i>	68
Dominik Morawski:	<i>Watykańska Ostpolitik</i>	76
K R A J		
Zbigniew Romaszewski:	<i>„Rozpocząć przygotowania do strajku</i> <i>powszechnego...”</i>	79
Witold Bardzki:	<i>Samobójstwo socjalizmu</i>	82
—	<i>Wywiad z Janem Kulajem</i>	89
—	<i>Krótkie wiadomości</i>	90
SĄSIEDZI		
Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i>	92
—	<i>W Moskwie o Polakach</i>	98
G. G.:	<i>Węgiersko-polska konferencja w Wirtz-</i> <i>feldzie</i>	98
Andrzej J. Chilecki:	<i>Kronika niemiecka</i>	100
E. Zagiell:	<i>Kronika litewska</i>	104
SPRAWY I TROSKI		
Ks. Stanisław Małkowski:	<i>Strzały z bunkra „endokomuny” (kulą</i> <i>w plot)</i>	108
Ks. Stanisław Małkowski:	<i>O solidarność z Lechem Wałęsą</i>	113
N. Z.:	<i>Odczyt Andrzeja Micewskiego</i>	114
KRONIKA KULTURALNA		
M. Broński:	<i>Przyczynek do witkacologii</i>	116
Józef Czapski:	<i>Podzwonne — zbyt osobiste</i>	122
KSIĄŻKI		
Michał Heller:	<i>Sowiecka powieść kolonialna</i>	125
—	<i>Nadestane nowości wydawnicze</i>	128
—	◆	
—	<i>Wydarzenia miesiąca</i>	130
—	◆	
Zofia Hertz:	<i>Humor krajowy</i>	135
—	◆	
J. Juńczyk, A. Mieczysławska,		
B. Palestrowa, B. Szubska,		
St. Trzciński:	<i>Listy do Redakcji</i>	138
—	<i>Odpowiedzi Redakcji</i>	142
DOKUMENTY		
Konwersatorium „Doświadcze-	<i>Raport czwarty: Polska wobec stanu</i> <i>wojennego</i>	143
Stefan Bratkowski:	<i>Dlaczego w Polsce nie ma miejsca</i> <i>na pozytywizm?</i>	208
Aleksander Hall:	<i>Polemika z Kuroniem</i>	218
—	<i>Wywiad z Wł. Frasyniukiem</i>	221

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Lipiec/Sierpień - Juillet/Août 1982

INSTYTUT  LITERACKI

KONKURS

Redakcja *KULTURY* i Rozgłośnia Polska RADIA WOLNA EUROPA postanowiły ogłosić wspólny *Konkurs na pamiętnik* z ostatnich 7-miu lat w Polsce, ze szczególnym uwzględnieniem *SOLIDARNOSCI* i *STANU WOJENNEGO*.

Warunki *Konkursu* i skład jury zostaną ogłoszone we wrześniowym numerze *KULTURY*.

WPLATY NA FUNDUSZ «KULTURY»

Andrzej J. Chilecki, Kolonia (RFN), po raz 9-ty — DM 100,00	F. 265,00
Danuta i Andrzej Cisek, Carmel, N.Y. (USA), po raz 7-my — \$ 48,00	F. 312,00
Barbara Długasiewicz, Santa Clara, CA (USA) — dla uczczenia pamięci męża, Jerzego Długasiewicza, w bolesną rocznicę jego śmierci — \$ 100,00	F. 650,00
Zofia Duracz, Szwecja	F. 300,00
Inż. N. J. J. Gawroński, Amsterdam, po raz 3-ci	F. 150,00
Tad. de Laurent, Bielefeld (RFN), po raz 3-ci	F. 50,00
Stefan Nędzynski, Genewa, po raz 11-ty — F.S. 100,00	F. 330,00
M. i L. Stauberowie, Hanau (RFN) — zamiast kwiatów na grób Piotra Rawicza	F. 150,00
Adela i Władysław Żeleńscy, Paryż — zamiast kwiatów na grób Jerzego Jankowskiego	F. 100,00
Beziemiennie z Seattle, WA (USA) — \$ 100,00	F. 650,00
Beziemiennie z USA, po raz 18-ty	F. 2.333,00

DZIĘKUJEMY!

WPLATY NA POMOC DLA WALCZĄCYCH W KRAJU ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ

Beziemiennie z Lailly-en-Val (Francja)	F. 100,00
Beziemiennie z Pont-d'Ucel, Ardeche (Francja) — na pomoc dla polskich dzieci	F. 250,00
Beziemiennie z Seattle, WA (USA) — na pomoc dla ofiar terroru w Polsce — \$ 100,00	F. 650,00
Kazimierz Grabowski, Düsseldorf (RFN)	F. 140,00
Koło b. Żołnierzy Armii Krajowej w Cleveland, Ohio (USA) (nadesłał Bronisław Nowak) — \$ 300,00	F. 1.950,00
Lidia Moszczyc, Estevan, Sask. (Kanada) — \$ c. 50,00	F. 250,00
Barbara Okińczyc, Seattle, WA (USA) — dla uczczenia pamięci męża, Romualda Okińczycy w 5-tą rocznicę Jego śmierci — \$ 25,00	F. 163,00
Pomost, New York, na Ruch Oporu w Kraju — sumę zebraną podczas spotkań w Klubie Pomostu w Nowym Jorku — \$ 130,00	F. 845,00
Dr Zygmunt Stankiewicz, Enschede (Szwecja) — K.S. 200,00	F. 210,00
Norbert Żaba, Sztokholm — dochód z odczytu gen. Leona Dubickiego — K.S. 580,00	F. 638,00

(Dalszy ciąg Wpłat na str. 224)

Rozmówka polsko-polska

A. — A więc twierdzi pan, że wybił mi pan zęby i odbił nerki dla mojego dobra?

B. — Tak. Ktoś musiał pana pobić, gdybym tego nie zrobił ja, zrobiłby to kto inny. Pan wie, kto. Ale on uszkodziłby pana znacznie bardziej. Nie tylko wybiłby panu zęby i odbił nerki, ale również złamałby panu obojczyk, wyrwał paznokcie i wybił oko. A więc zamiast mnie nienawidzić, powinien pan mi dziękować.

A. — To znaczy, nie dlatego mnie pan okaleczył, że pan mnie nie lubi?

B. — Ja pana chciałem uchronić przed jeszcze większym złem.

A. — I nie miał pan w tym żadnego własnego interesu?

B. — Oczywiście, że nie, o co mnie pan posądza...

A. — Żadnej osobistej korzyści?

B. — Nie znoszę osobistych korzyści. Po prostu brzydzę się nimi. Mnie tylko dobro ogólne, a więc i pańskie leży na sercu.

A. — Czyli poświęca się pan dla mnie.

B. — Oczywiście, że się poświęcam. Pan myśli, że wybijanie panu zębów i odbijanie nerek sprawiało mi przyjemność?

A. — Nie sprawiało?

B. — Skądże znowu. Co za ohydne podejrzenie. Przeciwnie, mnie było bardzo, bardzo przykro. Ja płakał, ale bił.



A. — Rzeczywiście, prawdziwe to poświęcenie. Tyle przykrości, tyle trudu, bo i przecież zmęczył się pan przy tym, prawda?

B. — Uff, to była ciężka robota.

A. — Właśnie. Tyle przykrości, tyle wysiłku, a wszystko dla mnie, żeby mnie nie gorzej było, ale lepiej.

B. — Tak, tak.

A. — Ze względu na mnie, z troski o mnie, dla mojego dobra.

B. — Wyłącznie.

A. — Nic dla siebie, wszystko dla mnie. Czy nie tak?

B. — Dokładnie tak!

A. — A więc, jeżeli nie ma pan z tego, co pan zrobił, żadnej osobistej przyjemności, ani korzyści, a wręcz przeciwnie, gotów pan jest na każdą przykrość, byle tylko mnie było lżej, a nie ciężej, to wobec tego ośmielał się, ponieważ czuję się do tego przez pana upoważniony...

B. — No, o co chodzi?

A. — ... Ośmielał się mieć do pana pewną prośbę. Bo skoro pan już aż tak siebie poświęca...

B. — Ależ chętnie wysłucham.

A. — To niech pan pozwoli, że będę pana nienawidził w dalszym ciągu.

Sławomir MROŻEK

Zapiski na gorąco

ŁUDZIOM I NADZORCOM

Upokorzone, szare twarze. Lud po staremu zaczął zginać grzbieć. Trzeszczą jego odwapnione kości. Z głośników buchają słowa oddania, gotowości i ochoty. Błaszone trąby głośników znów stały się głosem ludu. Lud milczy. Za nim stoją nadzorcy. Buta i pycha bije z ich twardych spojrzeń. Czujni pasterze swojej trzody.

A jednak przyjdzie ta sekunda! Podniosą się złamane grzbieć. Nadludzka energia przeniknie zdeptaną masę. Potoczy się lawina. Tego nie potrafi przewidzieć nawet najbardziej czujny i przebiegły nadzorca. Z ołowianego nieba wydrze się słońce.

Będą wieszać nadzorców!

WIĘZIEŃ STANU

Zamknęli przywódcę „Solidarności”. Odciać głowę od ciała. Głowa nie odrasta. Trzymają go w ukryciu. Raz tu. Raz tam. Przywódca zapuścił sobie brodę. Broda zakryła mu legendarne wąsy. Gra w ping-ponga ze strażnikami. Znów go gdzieś w nieznane miejsce powieźli. Co zrobić z tym zakładnikiem? Wydrzeć zeń duszę. Ale jak to zrobić? Odwiedzają go czarnoksiężnicy. Próbuja. Jednak dusza trzyma się ciała. Ciało odrzuca przywieszone części zamienne. O ileż łatwiej było dawniej! Dawniej naprawdę odrabrywali głowy. Teraz nie wypada.

ŚCIERWNIK

Władza chwyciła naród w swe żelazne łapy i dusi. Więzienia przepełnione. W sądach wciąż nowi niepokorni oczekują swej kolejki. Wachy milicyjne przemierzają ulice miast i miasteczek. Naoliwiona broń błyszczy w słońcu. Słońce też odśladania upokorzone twarze zmęczonych ludzi.

Jeden człowiek się śmieje. Syty, radosny śmiech. Zarobił wiele pieniędzy. Znów jak zawsze pieniądze wpływają do jego kiesy obfitym strumieniem. Co tam więzienia, stracona wolność, zakneblowane usta tych, co dotąd mówili prawdę! Cieszy się. Dla niego czas niewoli jest rzeką pełną ryb. Tłuszcz okleja mu twarz. Bystre, zwierzęce oczki utopione w tym tłuszczu. Hiena w ludzkim tłumie.

Nauć się rozpoznawać ją nieomylnie! Ona żeruje wśród nas. Pamiętaj!

Marek NOWAKOWSKI

Dziennik pisany nocą

Neapol, 5 maja 1982

Kilka dni temu skończyłem krótkie „opowiadanie kołymskie” o śmierci Szałamowa: uważny czytelnik dostrzeże na pewno, że jest częściowym naśladownictwem opowiadania Szałamowa o śmierci Mandelsztama w władywostockim obozie tranzytowym. Dziś dostałem „informację o zgonie Nadieży Mandelsztam i wydarzeniach jakie po nim nastąpiły”, pióra „anonimowego kronikarza” z Moskwy (był naocznym świadkiem i chyba uczestnikiem tych „wydarzeń”). Tyle razy na przestrzeni lat pisałem w dzienniku o Antygonie rosyjskiej — o jej *Wspomnieniach*, o jej *Księdze drugiej*, o jej *Testamencie* — że wypada moje podzwonne z początków zeszłego roku uzupełnić ostatnim uderzeniem dzwonu.

„Wydarzenia” zrelacjonowane przez moskiewskiego Anonima sprowadzają się do „pośmiertnego aresztowania” Nadieży Mandelsztam. Umarła we śnie 29 grudnia 1980. Powstały trudności, inspirowane wyraźnie przez władze, ze znalezieniem miejsca na cmentarzu. Polecono przewieźć zwłoki do kostnicy. Jak ten nakaz uchylić, skoro krewnych nie miała, a władze domagały się natychmiastowego opróżnienia i opieczetowania mieszkania? Garście przyjaciół udało się jedno: zabrać ukradkiem z mieszkania najbardziej przez nią ulubione przedmioty, gdy czekali na furgon wysłany po „zaaresztowane” zwłoki. „Drużynnik” na schodach krzyczał do swych kolegów w mieszkaniu: „Pilnujcie żeby nie wynieśli rękopisów!”. Niektórych wychodzących za trumną obszukiwano w bramie. Dom otoczony był przez milicję i „drużynników”. Nie wpuszczono nikogo do furgonu, zwłoki zawieziono do Instytutu Morfologii Człowieka. Część

przyjaciół pojechała w ślad za furgonem do kostnicy; nie pozwolono im tam zostać, wydano tylko zaświadczenie o przywozie i przyjęciu zwłok. Co się z nimi dalej stało — nie wiadomo. Z „informacji” moskiewskiego Anonima wynika, że telefon z KGB do dyrektora cmentarza Wagankowskiego zablokował możliwość pochowania tam zmarłej.

Odprawione zostały dwa nabożeństwa żałobne, najpierw za duszę Nadieżdy, potem (8 lutego) za dusze Osipa i Nadieżdy. Nad ukrytymi prochami obojga, poety i jego Antygony, rozbrzmiewa ostatnie uderzenie dzwonu w moim podzwonnym.

8 maja

Szalony raban podniósł się, i dość długo trwał, w prasie zachodniej w związku z wystąpieniem Susan Sontag na nowojorskim wieczorze „Solidarności”. Chodziło głównie o zdanie końcowe: „Komunizm jest sam w sobie wariantem, najbardziej udanym wariantem faszyzmu; faszyzmu z ludzką twarzą”. Znak równania między komunizmem i faszyzmem oburzył do głębi zachodnich „progresistów”. Naturalnie ich „konserwatywni” przeciwnicy pokraśnili z zadowolenia, darując nawet pani Sontag ową „ludzką twarz” w „komunistycznym wariacie faszyzmu”. Mary McCarthy zauważyła chwalebnie w dyskusji, że stalinowski komunizm był grubo większym złem, niż faszyzm Mussoliniego i generała Franco. Oraz dodała: „W mojej definicji komunizm i faszyzm nie są tym samym, chociaż mają dużo wspólnego”. Jedynie ważny problem polega na tym, co mianowicie mają wspólnego, niezależnie od jałowych sporów o definicje.

Wspólna jest ich *forma mentis* w spojrzeniu na człowieka jako coś absolutnie instrumentalnego i plastycznego wobec „społeczeństwa (czy narodu) totalnego”. Jeżeli komunizm i faszyzm dochodzą w końcu, w różnych na pozór kostiumach i maskach „ideologicznych”, do jednego i najdoskonalszego „motoru dziejowego” *la force brute pour la force brute*, to dlatego że w ich „filozofii władzy” nie ma i nie może być miejsca na żadną mediację między rządzącymi którzy „wiedzą wszystko i wszystko mogą” a rządzonymi którzy „nic nie wiedzą, nic nie mogą i wszystko muszą”. Podstawowy slogan faszyzmu włoskiego składał się z trzech słów: *credere, obbedire, combattere*; miałoby to niezły odpowiednik w sowieckim: *wierit', słuszat', srażatsia*. Faszyzmem włoskim ogromnie się podobała marzona przez Trockiego „militaryzacja pracy”, jak również jego uwaga że „bez pracy przymusowej trzeba na socjalizmie postawić krzyżyk”. Hitler nazywał

Stalina *ein genialer Kerl*, Stalin odwzajemniał mu się przypuszczalnie komplementem *dielowej mužik*. Po pakcie Ribbentrop-Mołotow tajny okólnik na temat hitleryzmu dla funkcjonariuszy i agitatorów partyjnych wyjaśniał, że choć „narodowy”, jest to przecież także „socjalizm”. W nowym studium Renzo De Felice, najwybitniejszego historyka faszyzmu włoskiego, czytam że Lenin i Trocki mieli socjalistom włoskim za złe „wypuszczenie z rąk jedyne go człowieka (Mussoliniego), który byłby zdolny zrobić rewolucję we Włoszech”. Tenże De Felice przytacza wywiad udzielony w roku 1935 francuskiemu dziennikarzowi przez Władimira Potiemkina, ówczesnego ambasadora sowieckiego w Paryżu, przedtem ambasadora sowieckiego w Rzymie. Na jego biurku stała fotografia Mussoliniego z odręcną dedykacją. Pokazał ją z dumą dziennikarzowi, dorzucając: *un homme très fort et pour qui j'ai gardé la plus sincère admiration*. Określił Włochy faszystowskie jako „cud dyscypliny”, pod niebiosą wynosił „doprowadzoną do paroksyzmu władzę centralną, która zdołała zgalwanizować kraj”, „siłę etniczną i socjalną, z którą odtąd należy się historycznie liczyć”. I zakończył: „Oczywiście metody (włoskich faszystów) nie są takie same jak nasze, ale pozostaje fakt odnowy Włoch. Dzieło totalnej rekonstrukcji, jak u nas”.

Schemat obłożonego miasta w stosunku do własnego społeczeństwa. Schemat obozu warownego w pochodzie w stosunku do świata zewnętrznego. Tyle mają wspólnego komunizm i faszyzm. Dostyc dla ich przeszłych, teraźniejszych i przyszłych poddanych. Nie dostyc widocznie, by „progresistów” w krajach demokratycznych Zachodu nakłonić do wysłuchania bez gwizdów i tupotu nóg „odkrycia” amerykańskiej pisarki.

11 maja

Na nowo oglądając w książce Anny Banti *Rivelazione di Lorenzo Lotto* reprodukcje jego portretów, zastanawiałem się nad sekretem portretu w ogóle. Szesnastowieczny Lotto, włączęga w ciągłej biedzie, pechowiec, malarski galernik, na starość „oblat” w klasztorze w Loreto dla zapewnienia sobie codziennej miski gorącej strawy u progu podwójnego kalectwa (mowy i wzroku), został wyniesiony na należne mu miejsce dopiero w zeszłym stuleciu. Berenson dostrzega w nim „zwiastuna Rembrandta”, twórcę „portretu psychologicznego”. Czym jest „portret psychologiczny”? Sztuką niejednoznaczności, chwiejności, oscylacji, ludzkiego *chiaroscuro*. Odcisniętym w malowanej twarzy — jak na kartach powieści w portrecie opisywanej postaci

— przedziałem między widzialnym i niewidzialnym, wyrażalnym i niewyraźnym: i to w taki sposób, że ani artysta ani sam portretowany nie potrafi, nie chce, nie śmie go przekroczyć. Ambicja, czy raczej zuchwałość, sięgania wzrokiem wszędzie, nie pozostawiania niczego w cieniu, odbiera sztuce portretowej jej zagadkowe piękno. Także w literaturze. Portret (dla przykładu) Adriana Leverkühna w *Doktorze Faustusie* o ileż byłby sugestywniejszy, gdyby Mann oszczędził nam końcowej spowiedzi publicznej bohatera, która i tak dojrzewała niewypowiedziana wprost, utajona w cieniu całej o nim opowieści. Spowiedź Stawrogina została, jak wiadomo, usunięta z *Biesów* przez cenzurę. Z korzyścią dla tajemniczej mocy portretu Stawrogina, choć ręką cenzora kierowały „wymogi obyczajności”.

14 maja

Pięć miesięcy. Manifestacje majowe, łącznie z wczorajszą, wskazują że „polskiej łamigłówce daleko do rozwiązania, a nawet oddala się od niego z każdym dniem bardziej”. Dziennikarze zagraniczni piszący w korespondencjach z Warszawy o „polskiej łamigłówce” próbują swoim czytelnikom wyjaśnić, dlaczego używają tego określenia. No bo proszę. Z jednej strony władza, podzielona na „umiarkowanych” i „radykałów”. Z drugiej podziemna „Solidarność”, również podzielona na „umiarkowanych” i „radykałów”. W górze po stronie władzy „sfinks w zaciemnionych okularach”, „enigmatyczny” generał, nie wiadomo jak i czy w ogóle podzielony, w każdym razie zmuszony w roli wojskowego superarbitra do nieruchomego trwania w „pozycji ponad”. W tle po przeciwnej stronie potężny i równocześnie rażony paraliżem (podobnym trochę do generalskiego) Kościół, który ma sympatię do „umiarkowanych” w podziemnej „Solidarności”, lecz musi się liczyć ze społeczną popularnością „radykałów”. Na horyzoncie wreszcie (niezbyt odległym) groźny Sąsiad pod rządami półnieboszczyka, z bliskim już dylematem sukcesji; Sąsiad ma naturalną słabość do „radykałów” po stronie władzy, nie ma jednak nadmiernej ochoty do otwartej interwencji zbrojnej, wobec czego chcąc nie chcąc popiera „enigmatycznego” generała. Komplikuje „łamigłówkę” niepowstrzymana degradacja partii, przy rosnącym apetycie wojska do jej pełnego i definitywnego zastąpienia. (Zagładin, zapytany ostatnio w Rzymie czy Jaruzelski długo jeszcze będzie pełnił funkcje trójgłowego wroniastego orła wojskowo-partyjno-rządowego, czy też wróci wkrótce do koszar, odpowiedział najpierw „trudno przewidzieć”, potem „nie wiem”, w końcu „któż to wie”). I, *last but not least*, sytuacja

gospodarcza na skraju bankructwa. Rozwiązaniem optymalnym „łamigłówki” byłby dialog „umiarkowanych” po stronie władzy z „umiarkowanymi” po przeciwnej stronie, pod wysokim protektoratem Kościoła (tak dalece gotowego do podjęcia się tej historycznej misji, że prymas Glemp miał jakoby powiedzieć — tłumacząc z włoskiego — po manifestacjach trzeciomałowych: „Jeżeli klasa robotnicza załatwia swoje wewnętrzne problemy, przeprowadza swoje wewnętrzne dysputy, niech to robi bez wciągania młodzieży; a młodzi niech nie pozwalają się manipulować przez ludzi o sercach z kamienia”). Ale niestety nawet „umiarkowani” w podziemnej „Solidarności” stawiają znaną wygórowane żądania, co siłą rzeczy osłabia „umiarkowanych” w obozie władzy. Lepszy — choć tylko „dialektyczny”, a nie rzeczywisty — dialog nawiązują „radykałowie” po obu stronach: ci po stronie władzy prowokują tych z „Solidarności” do awantur, oczekując że w powszechnym impasie węzeł gordyjski zaciśnie się na tyle, by nie pozostawało nic innego jak przeciąć go ostrym mieczem.

Ironiczny ton tego wiernego na ogół *resumé* zagranicznych głosów jest naturalnie zamierzony, jakkolwiek rozmaite głupstwa i nonsensy krążą w nim uparcie wokół jednej niezbitnej prawdy: od pięciu miesięcy trwa w Polsce absolutny impas wojenny. Trzeba się z góry nastawić na to, że potrwa jeszcze długo. I że na najbliższą przyszłość dwa najczęściej wymieniane „wyjścia z sytuacji bez wyjścia” byłyby równie zgubne: kompromis, bo może być w obecnej chwili tylko rozłożoną na raty likwidacją oporu społecznego; „zbiorowe zorganizowane wystąpienie” (według słów Kuronia), bo może być w obecnej chwili tylko wywabieniem z ukrycia nieprzygotowanej do tego zupełnie „Solidarności”. Czas nie pracuje dla władzy, impas jest zawsze uciążliwszy i kosztowniejszy dla napastnika niż dla zaatakowanego. W tekście Kuronia nie brak poczucia rzeczywistości, gdy pisze o napiętej do granic wybuchu postawie społeczeństwa, zwłaszcza młodzieży; za mało go natomiast, gdy szuka sposobów natychmiastowego skierowania tego napięcia w łóżysko „zorganizowanego (i to centralistycznie!) wystąpienia”. Podziemna „Solidarność”, zakorzeniona inaczej w podziemnym społeczeństwie, musi teraz w zwolnionym tempie przerobić okres swych szesnastu gorączkowych i zadyszanych miesięcy, naprawiając popełnione w przeszłości błędy, przede wszystkim zaniedbanie wojska i zlekceważenie metod konspiracji. U Bujaka i Kulerskiego wyraźna jest na szczęście świadomość, że po nieudanym w rezultacie *blitzu* z 13 grudnia zanoszą się na wojnę długoletnią. Wojnę, w której jedna przynajmniej cecha „enigmatycznego” generała zasługuje na naśladowanie: mocne podobno nerwy.

17 maja

W dzienniku Kafki pod datą 11 grudnia 1913: „Czytałem przed publicznością w sali Toynbee początek *Michała Kohlhaasa* Heinricha von Kleista. Kompletnie fiasko... Czytałem jak barbarzyńca, kiepsko, nieuważnie, niezrozumiale”. Czytał wieczorem. „A przecież po południu drżałem z żądzы czytania, ledwie mogłem utrzymać usta zamknięte”.

W kilka miesięcy później przeczytał Brodowi pierwszy rozdział *Procesu*. Istniał jakiś związek bezpośredni między „drzeniem” nad stronicami opowiadania Kleista i narodzinami *Procesu*? Niech odpowiedzą egzegeci, jeżeli tego jeszcze w dziesiątkach książek o Kafce nie zrobili. Dla mnie ciekawe jest powinowactwo obu „procesów”. W kafkowskim „winny bez winy” K., „diabelski w całej swej niewinności”, wchodzi w labirynt nieznanego Prawa („niezmiernie to bolesna rzecz być rządzonym przez prawa których się nie zna”) i posuwa się w nim po omacku aż do wyroku skazującego i egzekucji. W kleistowskim skrzywdzony niewinnie Kohlhaas, opętany diabelskim szałem sprawiedliwości, wchodzi w labirynt Prawa znanego, walczy o swoje racje szerząc pożogę i zniszczenie, otrzymuje zadośćuczynienie i kładzie głowę na katowskim pieńku. W obu Prawo, nieznanie i znane, ma charakter właśnie labiryntu. K. przegrywa wytoczony mu proces, ani razu nie zajrzawszy w oczy sędziom. Kohlhaas dochodzi sprawiedliwości na własną rękę, wytacza krwawy proces swoim krzywdzicielom, wygrywa go, lecz za wygraną każe płacić i sam płaci najwyższą cenę, groteskowo niewspółmierną w stosunku do doznanej krzywdy. Winny bez winy, niewinny z winą, egzystencja ludzka jako Trybunał nieustający. Myślę, że to podniecało Kafkę w historii opowiedzianej przez Kleista.

18 maja

W latach trzydziestych modne stało się pielgrzymowanie sławnych pisarzy do Moskwy; chodziło głównie o bezpartyjnych sympatyków ojczyzny proletariatu, o luminarzy typu *communiste de cœur*, jak sam siebie nazywał najsławniejszy pielgrzym, André Gide. Ociągał się trochę z tą swoją pielgrzymką, ale w końcu klamka zapadła, z Moskwy nadeszła wiadomość o wydrukowaniu trzystu tysięcy pocztówek z jego wizerunkiem, o przygotowanej kłace w prasie, o otwarciu poświęconych mu wystaw. W *Esprit* ukazał się list otwarty Victora Serge’a do Gide’a, coś w rodzaju gorzkiego wiatyku na drogę. Jak może-

my walczyć z faszyzmem (pytał Serge), jeśli mamy własne obozy koncentracyjne? „Należy służyć klasie robotniczej i ZSSR tylko z pełną jasnością”. Pierre Herbart, przyjaciel Gide’a i redaktor francuskiego wydania moskiewskiej *Międzynarodowej literatury*, potwierdził prawdziwość oskarżeń Serge’a, zżymając się jednakże na publiczne pranie brudnawej bielizny rewolucyjnej. Gide był tego samego zdania. Po co zakłócać prostą wiarę i nadzieję maluczkich? (Po wielu latach Sartre podobnie wyłajał Camusa w dyskusji o łagrach sowieckich). O sprawach drażliwych i wstydliwych Gide zamierzał porozmawiać w cztery oczy ze Stalinem. Listę owych spraw otwierał koronny defekt urody nowego ustroju: dyskryminacja homoseksualistów. Do rozmowy w cztery oczy nie doszło, z czego Gide był po powrocie z ZSSR zadowolony. Okazało się bowiem, że prócz nagannego stosunku do homoseksualizmu nowy ustrój miał w swej urodzie inne, znacznie brzydsze defekty. Gide napisał i wydał *Powrót z ZSSR*, mimo że dobrze wiedział czym ta wada „komunistycznego serca” pachnie w „obozie postępu”. Chwała mu wieczysta. Co do Stalina, to starał się umilić swemu znakomitemu gościowi pobyt w ojczyźnie proletariatu, polecając między innymi oddać do jego dyspozycji basen z wesołą gromadką młodych i ładnych nagusów (odkomenderowanych służbowo, jak potem wyszło na jaw, z Czerwonej Armii); nie mógł niestety przewidzieć, że gość nie da się tak łatwo wziąć na lep swoich osobistych upodobań, że prywatne uciechy erotyczne nie będą dla niego jedynym metrem w pomiarach kraju zwycięskiej rewolucji.

Sprawniej poszło w następnym roku z kolejnym pielgrzymem Feuchtwangerem, który posługiwał się rzeczywiście w swoich pomiarach jednym jedynym metrem: stosunkiem nowego ustroju do Żydów. Jego rozmowa ze Stalinem była krótka. Poprosił o łaskę dla dwóch żydowskich podsądnych w procesie moskiewskim, dostał solenną (choć ironiczną lekko) obietnicę i po powrocie z ZSSR napisał *Moskau 1937*. Nie było tam rzeczy, które mogłyby zakłócić prostą wiarę i nadzieję maluczkich.

Wspominałem zdaje się kiedyś w dzienniku, że Tomasz Mann zapytany jakim metrem mierzy ustroje polityczne, odpowiedział bez namysłu: stosunkiem do klasyków literatury. Mann nie był hałaśliwym sympatykiem ojczyzny proletariatu ani tym mniej *communiste de cœur*, jakkolwiek „eksperyment historyczny” budził w nim wyczekującą życzliwość. Gdyby powiodły się były w latach trzydziestych zabiegi o jego wizytę w Moskwie, jak swoim metrem pomierzyłby z bliska „eksperyment historyczny”? Gide’owskim systemem *Powrotu z ZSSR*, czy żydowskim systemem *Moskau 1937*?

20 maja

W artykule Stefana Bratkowskiego o „problemie polskim”, z połowy lutego 1982, jedno twierdzenie zasługuje na szczególną uwagę. Nie żeby było oryginalne czy rewelacyjne, słyszeliśmy je nie raz po 13 grudnia, ale nigdy dotąd w tak lapidarnym sformułowaniu i z takich ust. „Jestem człowiekiem, który wiele lat swego życia poświęcił, jako pragmatyk i realista, zmianie oblicza partii i próbom stopniowego likwidowania przedziału między władzą a społeczeństwem; dziś ów przedział zmienił się w przepaść, i żadnymi zabiegami, choćby najmądrzejszych ludzi, nie da się jej zasypać”. Kto tego nie widzi i nie rozumie, jest tylko tzw. „realistą”. Obecna władza nigdy już nie zostanie uznana przez ogromną większość Polaków za „swoją”. W Polsce wytworzył się swoisty „syndrom okupacyjny”.

Mniejsza o to jakie wskazania na przyszłość wysnuwa z tego twierdzenia sam Bratkowski, jakie podsuwa recepty i plany, na ile wierzy że są doprawdy realistyczne, a na ile po prostu ulega instynktownej pokusie odpędzenia pobożnymi życzeniami, jak zaklęciem magicznym, widma burzy. Prawdziwe i realistyczne jest w tej chwili wyłącznie samo jego twierdzenie: przepaść już nie do zasypiania, władza definitywnie wyobcowana i wroga, społeczeństwo pod okupacją. Można rozważać kto jest przez kogo pełniej obłożony: społeczeństwo przez władzę, czy na odwrót. Można się zastanawiać kto dłużej wytrzyma obłożenie: władza, która w imię walki przeciw szesnastomiesięcznemu „upiorowi dwuwładzy” wyprowadziła wojsko z koszar, aby na czołgach wrócić do jedynowładztwa, wydrążanego teraz z każdym dniem bardziej z resztek realnego bytu społecznego; czy społeczeństwo, które zamknęło się we własnym odgradzonym życiu, wykonując pod batem przepisy okupacyjne i odmawiając uczestnictwa w życiu państwa nawet w dotychczasowych wąskich granicach, wytoczonych przez ustrój i sąsiedztwo. Wybieganie dalej w przyszłość, opukiwanie projektów rozluźnienia wzajemnej blokady, budowanie papierowych mostów nad przepaścią, nie ma większego sensu. Gdyż wszystko zależy od tego na którym murze, kiedy, w jakich okolicznościach, pojawią się pierwsze głębokie rysy i pęknięcia. Dla władzy, rodzimej i sąsiedzkiej, „problemem polskim” jest problem bezsilności nagiej siły; dla społeczeństwa problem zachowania i rozwijania siły utajonej.

24 maja

Wznowiono jak słyszę *The Traitors* Alana Mooreheada,

książkę o „podwójnym życiu” trzech zdrajców atomowych, Fuchsa, Pontecorvo i Nunn May’a. Gdy wyszła w roku 1952, mieszkalem w Londynie, pamiętam więc jakie na jej temat toczono namiętne debaty w prasie i w rozmowach prywatnych. Intrygowała zwłaszcza postać Fuchsa. Wielu angielskim czytelnikom wydawało się, że rzucił „nowe światło” na sprawy „sumienia” i „wolności”.

Pochodził z surowej niemieckiej rodziny protestanckiej, w ojczyźnie komunizował, uciekł do Anglii po umocnieniu się hitleryzmu w siodle. Zapowiadał się na genialnego fizyka. Zaangażowany do pracy w laboratorium w Birmingham po ataku Hitlera na ZSSR, postanowił przekazywać tajne informacje członkowi partii komunistycznej, wiedząc oczywiście że zostaną przekazane dalej do Moskwy. W tym czasie miał „całkowite zaufanie do polityki rosyjskiej”, sądził że „Zachód pozwala rozmyślnie wykrwawiać się Rosji i Niemcom”, nie odczuwał zatem „ani cienia wahania” w swojej działalności, nie uważał się za zdrajcę. Działal z pobudek czysto ideowych i „rozumowych”, śmieszną sumę stu funtów przyjął na wyraźne naleganie agentów wywiadu sowieckiego, prawie na odczepne, skoro takie a nie inne były reguły gry. W okresie powojennym „polityka rosyjska zaczęła w nim budzić wątpliwości”, nie pochwalał już „licznych posunięć rządu rosyjskiego i partii komunistycznej”, chociaż „wierzył wciąż że zbudują kiedyś nowy świat”. Ta szczęśliwa chwila jednak była zbyt odległa, by nie postawić go przed doraźną „rozterką sumienia”, czy może swą działalność kontynuować. Zdecydował, że nie może. Nie poszedł na umówione spotkanie, odmówił również pójścia na następne.

Zanim do tego doszło — a pracował już wtedy w laboratorium w Harwell — zakiełkowały w nim wątpliwości znacznie głębsze. W Harwell, rzecz jasna, zaczął nawiązywać więzy osobistej przyjaźni, pilnując by nie przenikały poza zagrodę jego „najtajniejszych myśli”. Nie było to takie znów trudne. „Posłużyłem się moją marksistowską filozofią dla stworzenia w moim umyśle dwóch izolowanych od siebie przedziałów”. W jednym był miłym, towarzyskim, uczynnym, dobrym człowiekiem, jakim chciał i starał się zawsze być. W drugim panowały niepodzielnie „myśli najtajniejsze”. Potrafił zachowywać się swobodnie i pogodnie, ponieważ wiedział że drugi przedział da o sobie natychmiast znać, ilekroć zabrzeczy dzwonek punktu alarmowego. Mógł nawet zapomnieć o drugim przedziale, a mimo to całkowicie na nim polegać. Stał się naprawdę „wolnym człowiekiem”, gdyż udało mu się w drugim przedziale „uniezależnić absolutnie od otaczających sił społecznych”. Później, podczas zeznań, sam nazwał swój stan „kontrolowaną schizofrenią”. Ale dopóki trwała,

i w miarę jak się przeciągała, dostrzegał też w sobie niekiedy pewne niepokojące oznaki. Zdarzało mu się, i to coraz częściej, że przegroda między dwoma przedziałami traciła swą izolacyjną szczelność. Przywiązawszy się rzeczywiście do Harwell i do pracujących w nim ludzi, pragnął czasem połączyć dwóch Fuchsów w jednego. Mógł swobodnie, bez wyrzutów „konwencjonalnego sumienia”, zdradzać tak długo, jak długo czuł się związany lojalnością tylko wobec swojej abstrakcji nowego świata i szczęśliwej nareszcie ludzkości. Wystarczyło że niepostrzeżenie dla samego siebie polubił ludzi, którzy i jego lubili — ba, którzy mu bez zastrzeżeń ufali — by do „kontrolowanej schizofrenii” zakradał się przelotny cień, uprzytamniając mu naraz nie co, lecz kogo zdradza. Stawał się powoli człowiekiem bardziej ludzkim, a przez to samo już — mniej „wolnym”.

Fuchs nie rzucił żadnego „nowego światła” na sprawy „sumienia” i „wolności”, tyle tylko, że był postacią autentyczną a nie powieściową; i w takim charakterze, u zarania „ery atomowej”, przyprowadził wielu Anglików o dreszcz niepokoju. Być „człowiekiem naprawdę wolnym”, władcą i jedynym sędzią własnego „niekonwencjonalnego sumienia”, stanąć ponad obowiązującymi normami etycznymi, rozstrzygać samemu co dobre a co złe, wspierać się na wyżyny rozumu, a potem runąć w dół, potknąwszy się o drobny kamyk przyjaźni lub miłości — cóż w tym nowego? „Po prostu napomknąłem — objaśniał Raskolnikow sędziemu śledczemu Porfiremu sens swego „oryginalnego” artykułu w gazecie — że człowiek niezwykły ma prawo... właściwie nie prawo urzędowe, tylko sam sobie może w sumieniu pozwolić na przekroczenie... niektórych zapór, i to jedynie w razie, gdy tego wymaga urzeczywistnienie jego idei, niekiedy może zbawiennej dla całej ludzkości”. Tu Raskolnikow zapalił się, lekceważąc zasady *swojej* kontrolowanej schizofrenii: „Wszyscy, nie tylko najwięksi, lecz również choć trochę nietuzinkowi, choć trochę zdolni powiedzieć coś nowego, muszą na mocy swej natury koniecznie być przestępcami — w stopniu większym lub mniejszym, ma się rozumieć... Jak pan widzi, nie ma w tym wszystkim nic szczególnie nowego, było to tysiąc razy drukowane i czytane. Co się tyczy mojego podziału ludzi na zwykłych i niezwykłych, zgadzam się że jest on trochę dowolny, ale nie obstarę przecież przy ścisłych liczbach. Wierzę tylko w moją myśl zasadniczą”.

Ta „myśl zasadnicza” przyświecała też Fuchsowi, aż do chwili runięcia z wyżyn rozumu (zgłosił się sam do *Scotland Yardu*). I tę „myśl zasadniczą” można chyba wytropić niekiedy w skłonności intelektualistów do zdrady „zwykłych”, „konwencjonalnych” nakazów przyzwoitości i lojalności.

25 maja

Straszna *novella rusticana*, którą Verga napisał prawie dokładnie sto lat temu i zatytułował *Libertà*. Okrutna, pisarsko świetna i krótka, jakby sam autor bał się wniknąć głębiej w opisany epizod. Epizod historyczny, przypominany teraz często w związku z włoskimi obchodami stulecia śmierci Garibaldiego. Nazajutrz po wylądowaniu tysiąca garibaldczyków w Marsala na Sycylii, gdy rozpoczęła się decydująca walka o zjednoczenie Włoch, w sycylijskiej wiosce Bronte chłopci urządzili rzeź „panów”, w praktyce wszystkich mieszkańców „o białej skórze” i „w kapeluszach”. Garibaldi wysłał do Bronte oddział pacyfikacyjny pułkownika Bixio. Część rezunów rozstrzelano na miejscu, część aresztowano. Przywrócono półcentarny spokój. Niebawem miała na Sycylii wchodzić stopniowo w życie dewiza, wybornie sformułowana przez księcia Tomasi di Lampedusa w *Gatopardo*: „Jeśli chcemy aby wszystko zostało po staremu, musimy wszystko zmienić”.

W pierwszych zdaniach noweli na dzwonnicy kościoła pojawia się trójkolorowa chorągiewka, na placu wybucha okrzyk *Viva la libertà!* Potem dołączają się do niego dwa inne: „Mordować, mordować! Na kapelusze, na kapelusze!”. I krew, potoki krwi, ciosy zadawane czym popadło, sierpem, nożem, siekierą, młotem, widłami. Zamordować baronową i jej dzieci, zamordować księdza, zamordować notariusza i jego syna bo gotów też zostać notariuszem... *Viva la libertà!* Verga bardzo dobrze oddaje niepohamowaną „lawinowość” rzezi, wciągający wir krwi.

Przejmujące, pełne *pietas*, jest zakończenie noweli. Trzy lata ciągnie się proces w mieście, skóra oskarżonych pobielała w ciemnicy, siedzą naprzeciw dwunastu sędziów, znudzonych, podrzemujących, poziewających „kapeluszy”. Jeden z oskarżonych, zakuwany po rozprawie, mruczy pod nosem: „Dokąd mnie prowadzicie? Do więzienia? Dlaczego? Nie dostał mi się ani kawałek ziemi! A mówili przecież, że nastała wolność!”.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Z dwóch stron drzwi*

Było to pierwsze publiczne posiedzenie Komitetu Odbudowy Zamku Królewskiego w Warszawie i ludzi zeszło się mnóstwo. Cała plejada głośnych nazwisk: znani w świecie uczeni, słynni artyści, ministrowie, biskupi, generałowie i nieodzowny w takich razach tłum wszędobylskich i wszechwiedzących kibiców kulturalnych. Większość po raz pierwszy oglądała odbudowane wnętrza zamkowe, więc zainteresowanie było ogromne i dawano mu wyraz z hałaśliwą egzaltacją. Zachwycano się subtelnym doborem barw ściennych, doskonale odtworzonymi sztukateriami sufitów i pracowitą intarsją podłóg. Przypominano historyczne obrazy i meble, które czekały jeszcze stłoczone w magazynach, lecz już wkrótce miały zająć należne im miejsca w reprezentacyjnych salach Zamku.

— Typowy polski cud — chrząkał mi nad uchem okropnie przeziębiony docent doktor habilitowany S., sprawujący nad mną naukową opiekę z ramienia Komitetu Odbudowy — wczoraj nic, pusta skarpa wiślana, dziura jak po wyrwanym zębie, a teraz proszę: jest, stoi jak za najlepszych czasów, kiedy rezydowali w nim monarchowie i prezydenci. Skończą się wreszcie dowcipy, że król Zygmunt trzęsie się z zimna na swojej kolumnie, bo wiatr od Wisły wieje mu w nie osłonięte plecy. I wkrótce nikt już nie będzie pamiętał, że przez trzydzieści pięć lat Zamku w ogóle nie było. Pozostanie tylko parę słów w encyklopediach i przewodnikach: „... wysadzony w powietrze przez hitlerowców po Powstaniu Warszawskim — odbudowany

wysiłkiem całego narodu w latach...”. A później i ta informacja zagubi się w perspektywie czasu...

Wsluchiwałem się w ten gwar powszechnej aprobaty z tzw. „mieszanymi uczuciami”. Choć dzisiaj zabrzmi to jak bluźnierstwo, muszę wyznać, że nie należałem do zwolenników odbudowy warszawskiego Zamku. Nigdy mi się nie podobał jako budowla, zbyt wiernie skopioną przez króla z kolumny z surowej, obcej nam architektury skandynawskiej. Na ogół też nie kojarzył mi się w pamięci z dobrymi okresami naszej historii. Poza tym w czasach coraz straszliwszego głodu mieszkaniowego — kiedy setki tysięcy młodych małżeństw nie mogą sobie zorganizować życia z braku własnego kąta — tak kosztowna rekonstrukcja historyczna wydawała mi się gestem zbyt wielkopańskim. Najbardziej jednak zniechęcał mnie do tej odbudowy jej charakter wyraźnie propagandowy. Przez dwadzieścia lat dyrektor Muzeum Narodowego, profesor Stanisław Lorentz, i inni podobni mu żarliwcy zabiegali u Sejmu o zrealizowanie powziętej zaraz po wojnie uchwały o odbudowie Zamku. Ale zabiegi ich były daremne. Musiała dopiero dorwać się do władzy nowa ekipa rządząca, której głównym programem było kupowanie sobie na kredyt (dolarowy) przychylności narodu, aby dosłownie w ciągu jednego dnia wszystkie przeszkody zostały usunięte i odbudowa — hałaśliwie reklamowana jako osiągnięcie nowej władzy — z miejsca ruszyła galopem. Krążyły plotki, że nowy przywódca państwa — po wprowadzeniu odpowiednich poprawek do konstytucji i przybraniu tytułu prezydenta Rzeczypospolitej — zamierza w odbudowanym Zamku Królewskim urządzić sobie siedzibę reprezentacyjną.

Ale pomimo wszystkich moich zastrzeżeń prace rekonstrukcyjne i na mnie wywarły potężne wrażenie. Był to naprawdę „kawał wspaniałej roboty”.

Sejsja naukowo-sprawozdawcza, wieńcząca kolejny etap odbudowy, odbywała się w Sali Sejmowej, zwanej także Senatorską, a obecnie przemianowanej na Salę Konstytucji 3 Maja. Ta część Zamku była już odtworzona całkowicie. Atakowała wyobraźnię purpurą ścian, bielą kolumn i rzeźb, wielkimi złotymi inicjałami króla Stanisława Augusta. Atmosfera Sali Sejmowej skłaniała do historycznej zadumy. Przesuwały mi się w pamięci najbardziej znane zdarzenia, których to miejsce było sceną i widowiskiem. W roku 1764 — Sejm koronacyjny Stanisława Augusta, chroniony bagnetami cesarsko-rosyjskich jęgrów... W roku 1773 — zalegalizowanie pierwszego rozbioru Rzeczypospolitej przez Sejm pod łaską Ponińskiego. W roku 1791 — wspaniałe nieoczekiwane wzloty Konstytucji 3 Maja...

* Zamieszczone bez wiedzy i zgody autora. Redakcja.

Na mównicę — ustawioną tam, skąd przed wiekami przemawiali senatorowie Pierwszej Rzeczypospolitej: naprzeciw dwóch biało-żółtych kolumn, między którymi już wkrótce, jak zapewnił mnie docent S., stanie zrekonstruowany tron królewski — wstępowali po kolei znani promineneci z Komitetu Odbudowy i poruszali różne ważne sprawy związane z teraźniejszością i historią Zamku. Mówili na pewno o rzeczach interesujących, lecz ja od wielu lat cierpię na chorobliwy wprost brak odporności na wszelkie przemówienia. Po dziesięciu minutach słuchania słowa mówców zaczęły mi się rozpląwać w purpurowo-biało-żółtej mgłę, osnuwającej historyczne wnętrze. Broniąc się przed zaśnięciem, czyniłem rozpaczliwe wysiłki, aby utrzymać się we względnej przytomności. Narzucałem sobie w tym celu rozmaite zadania mobilizujące, choćby najbardziej absurdalne. Załzawione z senności oczy wlepiąłem w zmieniających się na trybunie mówców, próbując wyczytać z ich twarzy, jak każdy z nich zachowywałby się w tej sali w tamtych historycznych czasach. Swoją pozycją w społeczeństwie dorównywali przecież ówczesnym senatorom, a w najgorszym razie — posłom. Czy postępowaliby lepiej, czy gorzej niż tamci? Na jaką kartę historii wpisaliby swe szanowne nazwiska: na białą — patriotycznego poświęcenia czy czarną — narodowej zdrady? Za kim by się opowiedział ten przystojny siwy profesor w okularach: za pozbawionym charakteru królem reformatorem czy za uszarganymi w błocie obrońcami złotej wolności? Do kogo by się przyłączyli: szerokopleczysty generał i rudawy uśmiechnięty historyk: do dyspozycyjnych konfederatów Ponińskiego czy do desperackich patriotów Rejtana? Zmęczony tymi pytaniami, na które odpowiedzi można się było tylko domyślać, zająłem się z kolei studiowaniem szczegółów architektonicznych Sali Sejmowej. W jakimś momencie mój zamglony wzrok zatrzymał się na wysokich, suto złożonych drzwiach. I nagle doznałem olśnienia, które w jednej chwili otrzeźwiło mnie całkowicie.

Ponieważ mego odkrycia nie byłem jeszcze zupełnie pewny, zwróciłem się o pomoc do siedzącego obok docenta S. Habilitowany doktor zamyślił się głęboko, bąknął coś o Matejce, po czym radośnie mi przytaknął. Nie mogło być żadnych wątpliwości: były to na pewno te drzwi.

Wtedy zobaczyłem JEGO! Leżał pod tymi drzwiami — dokładnie taki sam, jak na obrazie Matejki: uchwycony w momencie „patriotycznego szau”, z bolesnym natchnieniem w oczach, w rozerwany żupan, odsłaniającym nagą pierś. Zagradzał swym ciałem i swoją rozpaczą drogę do wyjścia tłumowi posłów z grubym władczym Ponińskim na czele.

W kwietniu 1773 roku, kiedy rozpoczynał się Sejm mający

zatwierdzić pierwszy rozbiór Rzeczypospolitej, Tadeusz Rejtan vel Rejtan, poseł z Ziemi Nowogródzkiej, liczył sobie lat 27. Nawet na owe czasy był więc człowiekiem raczej młodym. Ale szacunek u współobywateli zdążył sobie już zaskarbić szeroki. W rodzinnej Nowogródzku ceniono go jako znakomitego gospodarza, bezwzględnie uczciwego kontrahenta i żarliwego patriotę.

Większość sejmików wyborczych Korony i Litwy całkowicie zbojkotowała Sejm rozbiorowy. Ponieważ ziemie mające odpaść od Rzeczypospolitej były już zajęte przez obce wojska, zatwierdzenie rozbioru przez Sejm uważano powszechnie za z góry przesądzoną cczą formalność. Ludzie uczciwi nie chcieli przykładąć rąk do mordu dokonywanego na ojczyźnie. Na prawie trzystu posłów formujących zazwyczaj Izbę Poselską zebrało się w Warszawie ledwie ponad stu. Ale sejmik Ziemi Nowogródzkiej do bojkotu się nie przyłączył i Tadeusz Rejtan pozwolił się wybrać na posła. Miał swój plan uratowania, jeśli nie granic ojczyzny, to przynajmniej jej honoru. Wierzył, że przysługującym mu z prawa protestem indywidualnym (*liberum veto*) — tylekroć nadużywanym w przeszłości na szkodę Rzeczypospolitej — tym razem osiągnie skutek zbawienny: że zrywając Sejm, uniemożliwi zatwierdzenie rozbioru.

Ale wrogowie Polski nie dali się zaskoczyć. Na trzy dni przed otwarciem Sejmu — na żądanie i pod zbrojną ochroną mocarstw zaborczych — grupa posłów „narodowej zdrady” zawiązuje konfederację sejmową. Na jej czele staje jako marszałek jeden z najnikczemniejszych ludzi swego czasu, poseł liwski Adam Poniński, który — wiadomo to już dzisiaj na pewno — zgodził się odegrać główną rolę w zalegalizowaniu rozbioru w zamian za obietnicę książęcej mitry i pensji w wysokości 24.000 dukatów z kas zaborczych ambasad.

Przekształcenie zwołanego przez króla Sejmu „wolnego” w Sejm skonfederowany udaremnia w zasadzie patriotyczne plany Rejtana. Na Sejmie obradującym pod węzłem konfederacji indywidualne protesty tracą swą moc prawną i przestają się liczyć. Uchwały zapadają większością głosów. A większość tego kadubowego Sejmu jest już w taki czy inny sposób kupiona przez zaborców.

Ale Rejtan nie poddaje się. Przywiózł z Nowogródka instrukcję wyborców, nakazującą mu sprzeciwiać się rozbiorowi „z hazardem życia i majątku”. Pozostanie wierny tej instrukcji do końca.

Razem z drugim posłem nowogródzkim Samuelem Korsakiem — skupiając wokół siebie kilkunastu patriotycznych posłów z innych ziem Rzeczypospolitej i postanawiają walczyć do upad-

tego o utrzymanie Sejmu „wolnego”, przeciwko nieformalnej (bo związanej przed otwarciem Sejmu) konfederacji Ponińskiego.

Zmagania Rejtana z Ponińskim ciągną się przez trzy dni — od 19 do 22 kwietnia. Patriotyczna opozycja oblega fotel marszałkowski, nie dopuszczając do niego Ponińskiego i uniemożliwiając mu przez to oficjalne zagajenie Sejmu pod wężem konfederacji. Konfederacki marszałek, dysponujący większością sejmową oraz poparciem rosyjskich grenadierów i pruskich huzarów, okazuje się bezsilny wobec grupki patriotycznych zagorzców. Stać go jedynie na dwukrotne „salwowanie” sesji sejmowej do dnia następnego. Potem wycofuje się z Izby Poselskiej, unosząc z sobą łaskę marszałkowską. Rejtan przechwytuje pozostawioną w Izbie drugą łaskę nieobecnego marszałka litewskiego. Ale jest zbyt skromny na to, by samemu objąć przewodnictwo. Usiłuje wcisnąć łaskę marszałkowską w ręce najstarszego posła Ziemi Krakowskiej Łętowskiego i skłonić go do otwarcia Sejmu „wolnego”. Szanowny senior krakowski drży ze strachu przed potężnym Ponińskim i wzbrania się przyjąć łaskę. Dochodzi do scen gorszących. Rozgorączkowany Rejtan sili się na coraz to nowe prośby i zaklęcia patriotyczne. W materiałach źródłowych przetrwało wiele jego ówczesnych odezwań. Utkwiło mi w pamięci jedno, które — jak sądzę — szczególnie dobrze odbija podniosły nastrój owych historycznych dni. W chwili, gdy słuchacze poczęli przyklaskiwać jego słowom jak w teatrze, przywołał ich gniewnie do porządku: „Nie jesteście tu ani na operze, ani na dialogu, ale smutna scena upadku ojczyzny naszej agituje się! Bądźmy przyzwoici, moi panowie...”. Aż dziwne, jak skromny i niechętny wszelkiej teatralizacji życia musiał być człowiek, którego historia uniemożliwiła w pozie tak bardzo teatralnej.

Wskutek oporu zorganizowanego przez Rejtana, konfederatom nie udaje się rozpocząć sesji sejmowej. Wzmagają przeto działania poza Sejmem. Potężniejsze naciski psychologiczny i materialny na niezdecydowanych posłów. Rejtanowi doręczają pozew zobowiązujący go do stawienia się *de termino tacto* (niezwłocznie) przed konfederacki Trybunał Sejmowy, jako oskarżonego o „wszczynanie rozruchów w Izbie, przywłaszczenie łaski marszałkowskiej i łżenie marszałka”. Rejtan nie przyjmuje pozwu, jako pozbawionego mocy prawnej, ale nie wywiera to żadnego wpływu na bieg sprawy. Tegoż dnia trybunał Ponińskiego ogłasza wyrok. Przywódca patriotycznej opozycji, uznany za „wzruszyciela pokoju powszechnego i buntownika przeciwko ojczyźnie”, zostaje skazany na konfiskatę dóbr i wygnanie z kraju.

Ofensywne działania kliku Ponińskiego odnoszą skutek. Audytoryum Rejtana w Sejmie gwałtownie topnieje. Stumanieni i przepuknięci posłowie cisną się hurmem do drzwi wyjściowych. Wtedy

to właśnie, przywiedziony do ostatecznej rozpacz, przywódca patriotów, nie mogąc powstrzymać ogólnej rejterady, pada z rozkrzyżowanymi rękami w progu i tarasuje swym ciałem drogę do wyjścia:

„Zabijcie mnie, zdepczcie, lecz nie zabijajcie ojczyzny!”* Ale zhańbionych reprezentantów narodu nic już nie potrafi zatrzymać. Tchórzliwsi wycofują się chyłkiem bocznymi drzwiami. Inni — zupełnie już pozabawieni skrupułów — z głośnym śmiechem i natrząsaniem się ruszają wprost na ciało leżącego kolegi. Naoczni świadkowie odnotowali, że pierwszy odważył się przestąpić nagą pierś Rejtana osławiony obwieś sejmowy, poseł łukowski Jacek Jezierski — właściciel warszawskich lupanarów „przy moście”.

Izba Sejmowa pustoszeje. Pozostaje w niej tylko Rejtan z czterema najwierniejszymi stronnikami: Korsakiem, Bohuszeviczem, Kurzenieckim i Bułharynem. Miałby wszelkie powody uznać swój obowiązek poselski za spełniony. Zgodnie z instrukcją sejmiku nowogrodzkiego, przeciwstawiał się zalegalizowaniu rozbioru Rzeczypospolitej „z hazardem życia i majątku własnego”. Na jego litewskiej ojcowiznie ciąży kondemnata trybunału sejmowego, jego samego w każdej chwili dopaść mogą siepacze Ponińskiego.

Ale on — półprzytomny, posiniaczony i obolały, zdeptany butami zaprzędanych kolegów — nadal trwa w „patriotycznym szale” i nie uważa swego zadania za wyczerpane. Pod wpływem jego namów i argumentów garstka patriotycznych posłów postanawia nie opuszczać Izby Poselskiej przez dzień i noc, póki nie upłynie czas przeznaczony na wybór marszałka „wolnego” Sejmu. Dają do zrozumienia, że raczej zarąbać się pozwolą, niż dopuszczą do otwarcia Sejmu „pod wężem konfederacji”. „Był to — napisze w dwa wieki później literacki kronikarz tych zdarzeń — pierwszy w dziejach Sejmu starej Rzeczypospolitej 'strajk okupacyjny', połączony z ryzykiem 'strajku głodowego’”.

Znaczenie „szaleńczej protestacji” (tak określali ją przeciwnicy) nie ogranicza się jedynie do pięknego desperackiego gestu dla potomnych. Ma ona także głęboki sens polityczny dla współczesnych. Jej echa rozniesione pocztą dyplomatyczną po całym świecie zaprzeczają wersji rozprzestrzenianej od miesięcy przez zagranicznych agentów Ponińskiego, że naród polski, zniewolony dziejową koniecznością, zgadza się dobrowolnie na rozbiór swego kraju. Dlatego demonstracja Rejtana wywołuje taką wściekłość wśród przywódców konfederacji i w ambasadach państw zabor-

* Niektórzy kronikarze utrzymują, że razem z Rejtanem padł na ziemię także Samuel Korsak. Ale dalszy tragiczny los Rejtana i wizja malarska Matejki sprawiły, że w tradycji historycznej przetrwał tylko on jeden.

czych. „Strajkujący” posłowie ze wzdargą odrzucają przekupne oferty trzech dworów — z którymi przychodzili podobno do Izby Poselskiej podkanclerzy koronny Boroh i marszałek nadworny litewski Gurowski. Nie odnoszą też żadnego rezultatu bezpośrednie próby pojednawcze ze strony ambasadora rosyjskiego Stackelberga.

W odgłosy dochodzące z Izby Poselskiej wsłuchuje się także król Stanisław August, który w tym samym gmachu zamkowym mocuje się z narastającym naciskiem ze strony swoich i obcych, pchających go w objęcia konfederacji. Pięciu zmęczonych, zgłodniałych posłów litewskich, którzy wzięli na siebie obronę majestatu Rzeczypospolitej, utwierdza króla w oporze i podsuwa mu ostatnią szansę uratowania honoru państwa i własnej biografii. Ale Stanisławowi Augustowi brak twardości Rejtana. Jest słabym intelektualistą, obciążonym nadmiarem wyobraźni. Przerażają go groźby obcych ambasadorów, że w razie jego nieprzystąpienia do konfederacji kraj będzie zniszczony ogniem i mieczem: przemawiają do niego kupieckie — nigdy nie sprawdzające się w praktyce — argumenty otaczających go ugodowców, że lepiej oddać część niż narażać całość. Król nie kryje swej sympatii dla „strajkujących” opozycjonistów. Posuwa się w swej solidarności z nimi aż tak daleko, że posyła im do Izby Poselskiej... pieczonego indyka.* Ale na więcej go nie stać.

Po trzydziestu sześciu godzinach heroicznego oporu Rejtan i jego towarzysze odbierają hiobową wieść o przystąpieniu króla do konfederacji. Od tej chwili okupowanie Izby Poselskiej nie ma już sensu, gdyż traci podstawę prawną. Ostatni obrońcy honoru i całości Rzeczypospolitej z opuszczonymi głowami ustępują ze swej sejmowej reduty.

Ale dzieje Tadeusza Rejtana, niezłomnego posła Ziemi Nowogródzkiej, na tym się jeszcze nie kończą. Ze splątanej gęstwy kontrowersyjnych relacji historyków, źródłowych przekazów naczynych świadków i narosłych z biegiem czasu legend literackich wyłania się przejmująca do głębi postać człowieka „obłąkanego ojczyzną”.

W odróżnieniu od swych ostatnich współbojowników sejmowych, którzy niemal bezpośrednio po opuszczeniu Sejmu — opatrzeni w glejty bezpieczeństwa — rozjechali się do swych domów, Rejtan pozostaje w Warszawie. On jeden uważa, że nie wywiązał się jeszcze ze swego posłannictwa do końca. Chodzi po ulicach Warszawy, wdaje się w długie rozmowy ze znajo-

* Jeden ze współczesnych świadków zdarzeń podaje, że kiedy marszałek prywatny dworu królewskiego przysłał głodującym posłom obiad, oddali go żołnierzom trzymającym wartę, oświadczając: „Izba nie potrzebuje jedzenia, tylko obrad publicznych przynoszących szczęście Ojczyźnie”.

mymi, wsłuchuje się z napięciem w odgłosy dochodzące z Zamku. Potem w swojej kwaterze w gospodzie przy ulicy Koziej pisze patriotyczne memoriały i manifesty, odwołujące się do opinii publicznej krajowej, a także do „Wielkich Majestatów” Europy. Próbuje uzyskać wpis tych dokumentów do urzędowych ksiąg grodzkich, ale nigdzie mu ich nie przyjmują. Wszędzie wyprzedzają go zakazy czujnej konfederacji („Regent pokazał na piśmie nakaz pod karą odpowiedzialności, żeby nie ważył się przyjmować”). Ponieważ zawodzą instancje urzędowe, dzieli się swymi poglądami z przypadkowo spotkanymi przechodniami. Czyta swe memoriały obcym ludziom, głośno gromi konfederację „skrytą, podstępą, przez miliony ludzi oplakaną... zmierzającą do rozszarpania na trzy części ziemi ojczystej”. Lży najgorszymi słowami „arcyłotra” Ponińskiego, który za pieniądze i zaszczyty sprzedaje ojczyznę. Jego uliczne wystąpienia nie uchodzą uwagi policji. Jest w ciągłym niebezpieczeństwie. W każdej chwili grozi mu wykonanie wyroku banicji. Zbiry Ponińskiego chodzą za nim krok w krok. Propaganda konfederacka stara się go dyskredytować w opinii publicznej oszczerczymi pomówieniami. Raz przedstawiają go jako niebezpiecznego wariata, raz jako pruskiego jurgeltnika. Ale zaatakować go wprost konfederacja się nie ośmiela. Najbrutalniejsza nawet siła nie wytrzymuje konfrontacji z niekwestionowanym autorytetem moralnym. A Rejtan takim autorytetem jest. O jego bohaterskim oporze wie już cały kraj. Rozgrywająca się na oczach całego narodu haniebna tragifarsa rozbiorowego Sejmu, obradującego pod węzłem konfederacji i obcych bagnetów — jeszcze ten autorytet utwierdza i pogłębia. Z podziwem i miłością wspomina się Rejtana we wszystkich warszawskich „kaffenhausech” i gospodach. Późnymi wieczorami w jego kwaterze przy ulicy Koziej pojawiają się skruszeni koledzy posłowie, którzy „pod naporem konieczności dziejowej” poddali się konfederacji, oraz przedstawiciele wielkiego świata stolicy. Piękne damy i wytworni panowie świadczą hołdy bohaterowi dnia. Nazywają go dumą ojczyzny, postacią z Plutarcha. Ściskają mu wymownie rękę, z pełnym zrozumieniem zaglądają głęboko w oczy. Król i możni Czartoryscy nie szczędzą starań, aby uniemożliwić wykonanie konfederackiego wyroku. Pruski generał Lentulus — wbrew swojej urzędowej misji szczerze podziwiający Rejtana i współczujący mu z pobudek czysto ludzkich — przydaje mu dla ochrony przed policją Ponińskiego dwóch pruskich huzarów. (Stąd konfederackie pomówienia o pruski jurgelt).

Ale wszystkie te hołdy i akty przyjaźni (z wyjątkiem może Lentulusowych huzarów) świadczone są dyskretnie: pod osłoną wieczornego mroku, w zamkniętych ścianach prywatnych kwater.

Natomiast w świetle dziennym, w miejscach publicznych, szerzy się wokół Rejtana przygnębiająca pustka. Z potężną konfederacją boją się zadzierać nawet najszacowniejsi, najbardziej złośliwi patrioci. Lantulusowi huzarzy odgradzają go od prostego ludu.

W miarę upływu czasu ostatni bojownik o całość i niepodległość ojczyzny coraz rozpaczliwiej się miotła w swojej samotności. Coraz wyraźniej dają o sobie znać skutki psychiczne przeżyć w Sejmie. W zmęczonej ponad ludzką wytrzymałość głowie mącą się myśli, a wyobrażenia wymyka się spod kontroli rozumu. Ten, który jeszcze tak niedawno nie bał się nikogo i niczego, teraz żyje w ciągłym niepokoju i strachu. Dręczy go mania prześladowcza. W każdym obcym dopatruje się agenta konfederacji bądź wrogich mocarstw. Zaczepia najniewinniejszych przechodniów, urządza im bez powodu dzikie awantury, wymyśla od szpiegów i zdrajców ojczyzny. Nocami nie może spać, prześladowają go widma Ponińskiego i ambasadora Stackelberga. W popłochu opuszcza jedne kwatery i przenosi się do innych. Całymi dniami włóczy się po najmniej ludnych ulicach miasta (zaniedbane w ubiorze, brudny, z oczyma, w których każdy widział jego obłąkanie). Noce spędza w bramach lub rozwaliskach opuszczonych domów.

Na koniec trafia pod opiekę ojców Bonifratrów, którzy umieszczają go w swoim szpitalu pod wezwaniem św. Jana Bożego. Zaalarmowany przez zakonników przyjeżdża z Litwy brat nieśczęsnego posła, Michał Rejtan, i zabiera chorego do rodzinnej Hroszówki pod Nowogródkiem.

Tu, w Ziemi Nowogródzkiej — co obdarzyła go niegdyś mandatem poselskim i rozbudziła w nim jego patriotyczne posłannictwo — pod czułą opieką braterstwa, ale w osobnej „murówance”, bo nie znosił już przy sobie towarzysztwa nawet najbliższych — dopełnią się losy tragicznego bohatera rozbiorowego dramatu. O tych ostatnich latach Rejtana niewiele się dochowało informacji. Wiadomo tylko, że stopniowo coraz bardziej pogrążał się w mrokach obłądu. Nie na tyle jednak, by uwolnić się od strasznych wspomnień sejmowych i od dręczących go widm i upiórów z tamtych czasów. W rzadkich okresach rozjaśnienia umysłu kontynuował pisanie swoich memoriałów moralno-politycznych oraz pracował nad dziełem „O moim posłowaniu na Sejm”, jednakże o szczegółach i dalszych losach tego dzieła nie wspomina już żaden kronikarz.

Stosunkowo najwięcej można dowiedzieć się o okolicznościach zgonu Rejtana. Zginął śmiercią samobójczą ósmego sierpnia 1780 roku. Bezpośrednim powodem targnięcia się na życie był wstrząs

spowodowany nie wiadomo: faktem rzeczywistym czy zwidem chorej wyobraźni. Dojrzał przez okno wjeżdżającego na koniu w obręb zabudowań dworskich rosyjskiego generała. W napadzie szaleńczego strachu wybił szybę okienną i pośpiesznie, aby nikt nie zdążył mu przeszkodzić, począł łykać potłuczone szkło. Umierał pewnie długo, w męczarniach, nie wiedząc, że w pamięci swego narodu pozostanie żywy na zawsze...

Od trybuny mówców dobiega mnie inne imię związane z Salą Sejmową Zamku Warszawskiego. Mówią o Stanisławie Augustcie. W związku z odbudową jego dawnej siedziby znowu wypłynął kontrowersyjny temat powrotu do ojczyzny prochów ostatniego króla, więc teraz przeprowadzają sąd nad Stanisławem Augustem. W sali, w której mrok sejmu rozbiorowego miesza się z blaskiem Konstytucji 3 Maja, trudno jest jednoznacznie oceniać tego monarchę. Ale młodemu energicznemu profesorowi, który „załatwia” w tej chwili Stanisława Augusta, żadne przesadne skrupuły nie zakłócają spokoju ducha i jasności sądu. Twardo, bezwzględnie, totalnie potępia z wyżyn swej katedry króla, który w bardziej sprzyjającej sytuacji międzynarodowej mógłby się zapisać w historii Polski jako jeden z najlepszych władców. Oczywiście, że w zasadzie profesor ma rację: trudno okazywać wyrozumiałość panującemu, który zgodził się na rozbiór swego państwa. A jednak nie mogę od siebie odpędzić pytania, czy gdyby młodemu profesorowi w tamtych trudnych czasach przypadła rola królewskiego doradcy, konsultanta, eksperta czy jak się to wtedy nazywało, — czy i wówczas jego stanowisko byłoby tak jednoznaczne i nieprzejezdne jak obecnie.

Rozważania o Stanisławie Augustcie przerywa mi docent S. Od pewnego czasu zachowuje się jakoś dziwnie. Wierci się niepokojnie na swym miejscu i raz po raz odwraca się do mnie jakby z zamiarem przekazania mi czegoś niezmiernie ważnego, ale najwyraźniej nie może się na to zdobyć. Wreszcie przełamuje się i lekko dotyka mego ramienia:

— Czy mógłby Pan wyjść ze mną na chwilę? Mam do Pana słówko.

W ślad za moim opiekunem naukowym — pod ciężarem stu zdziwionych spojrzeń — pokonuję odległość dzielącą mnie od Rejtanowskich drzwi. Stąpam ostrożnie, jak po terenie zamianowanym. Żeby, broń Boże, nie zawadzić o leżącego Rejtana.

Docent S. czeka na mnie przy Wielkich Schodach, którymi senatorowie Pierwszej Rzeczypospolitej wchodzili na posiedzenia Sejmu. Patrzy na mnie wzrokiem zbitego psa:

— Naprawdę nie wiem, jak to panu powiedzieć... Po pros-

tu fatalna sprawa... Wiedziałem przecież, jakie to dla Pana ważne...

Z przejścia zaczyna kasłać. Kaszle długo i tak strasznie, jakby zamierzał wykaszleć z siebie całe płuca. Potem ociera oczy, obdarza mnie jeszcze jednym bolesnym spojrzeniem i odpala swoją bombę:

— Strasznie mi przykro, ale to nie są te drzwi, o które Panu chodzi! Wprowadziłem Pana w błąd. Rejtan nie pod tymi drzwiami leżał!

Niezupełnie jeszcze pojmuję, w czym rzecz, ale robi mi się nieprzyjemnie. Jestem pisarzem dokumentalistą i dokładne umiejscowienie zdarzeń ma dla mnie znaczenie zasadnicze. Słowa docenta S. burzą podstawy całego mojego dzisiejszego teatru wyobraźni. Z tego, co z siebie wychrypia, jasno wynika, że pomieszaliśmy dwie sale Zamku Warszawskiego: Salę Sejmową czyli Senatorską, w której obraduje obecnie Komitet Odbudowy, ze znajdującą się na tym samym piętrze (ale jeszcze nie wykończoną) Izbą Poselską*.

Haniebnie przez nas zlekceważona, prosta logika faktów nieomylnie dowodzi, że akcja Rejtana musiała się odbywać nie w Sali Sejmowej, lecz w Izbie Poselskiej. To pod drzwiami Izby Poselskiej rzucił się patriotyczny poseł nowogródzki, aby uniemożliwić kolegom przejście właśnie do Sali Sejmowej, gdzie król i senatorowie czekali na posłów, aby wspólnie zatwierdzić rozbiór kraju. Krótko mówiąc: Rejtan rozegrał swą demonstrację po przeciwnej stronie drzwi, które mylnie uznaliśmy za Rejtanowskie — o całą długość korytarza poza salą, z której wyszliśmy przed chwilą.

Częścią winy za swoją pomyłkę docent S. obciąża mistrza Matejkę.

— To Matejko umieścił Rejtana nie w Izbie Poselskiej, lecz w Sali Sejmowej. Najlepszy dowód, że na obrazie Matejkowskim widać króla. A król — jak wiadomo — nie miał prawa przestąpić progu Izby Poselskiej. Jak mogłem ten szczegół przeoczyć! Dałem się ogłupić Matejce i jeszcze Pana w to wciągnąłem.

Rozpacзлиwa skrusza docenta S. rozbraja we mnie gniew dokumentalisty. Ostatecznie nie ma się czym tak bardzo przejmować. Lokalizacyjne drobiazgi nie naruszają przecież w niczym konstrukcji i wymowy historycznego dramatu.

— Niech Pan się nie martwi, Panie docencie. Mógł pokręcić Matejko — wolno i nam. To naprawdę nie jest takie ważne, czy Rejtan leżał z tej czy z tamtej strony drzwi.

* Podobne pomieszczenie tych dwóch sal związanych z Sejmem Pierwszej Rzeczypospolitej spotyka się w wielu poważnych źródłach i opracowaniach historycznych.

Potem biorę go pod ramię i — pozornie pogodzeni z naszą klęską — powracamy do Sali Sejmowej. Ale sumienie naukowe mego opiekuna nie daje się tak łatwo uspokoić. Ledwie siadamy na dawnych miejscach, jego zagrypiony głos znowu zaczyna mi trzeszczeć nad uchem, ku widocznemu niezadowoleniu najbliższych sąsiadów.

Gaffa z drzwiami Rejtanowskimi wprawia docenta w nastrój filozoficzny. Z faktograficznej pomyłki usiłuje wyprowadzić filozoficzne uogólnienia.

— Mówi pan: nieważne, z której strony drzwi... Czy ja wiem... W sensie dosłownym — z pewnością tak... Ale symbolicznie, w przenośni, pojęciowo?... Pan jako literat powinien mieć na to słuch. Przecież w osiemnaście lat po Rejtanie, tu w tej Sali Sejmowej, rozegrał się teatr rejtanowski, wcale nie gorszy od tamtego — z Izby Poselskiej. Tylko że ukierunkowany zupełnie inaczej. Mam na myśli protest posła Suchorzewskiego. Wie pan: tego z synkiem... przeciwnika Konstytucji 3 Maja... W stosunku do prawdziwego Rejtana Suchorzewski był klasycznym przykładem Rejtana z drugiej strony drzwi. Niech pan to sobie przemyśli: „Rejtan z drugiej strony drzwi”...

Chrypliwy szept docenta S. coraz bardziej denerwuje naszych sąsiadów. Chronię się przed ich niezadowoleniem za przesłone purpurowo-biało-złotej mgły.

O owym Janie Suchorzewskim, wojskim wschowskim i pośle z Kalisza na Sejm Czteroletni, wiem dość dużo, bo zetknąłem się z nim bliżej przy zbieraniu dokumentacji do mojej książki o Stanisławie Poniatowskim.

Postać bujna, malownicza — bardzo polska i bardzo szlachecka. Zasłużony żołnierz — takim tylko nadawano tytuł wojskiego — pełen fantazji krzykacz sejmowy. Któryś z historyków dopatrzył się w nim podobieństwa do Sienkiewiczowskiego Zagłoby, bo podobnie jak tamten był próżny bez granic i lubił opowiadać o swoich bohaterskich czynach. Ale w odróżnieniu od Zagłoby Suchorzewski był naprawdę odważny i zawsze gotów do patriotycznych szaleństw i poświęceń. Od początku swej kariery poselskiej za wzór ukończony i niedościgniony wzięł sobie Tadeusza Rejtana i jego starał się naśladować w swych wystąpieniach sejmowych. „Średniego wzrostu, dość otyły — pisze o nim współczesny mu kolega z Sejmu — macha rękami, wciąż rezonuje, ciesząc się zawczasu z tryumfu, co imię jego ma dziś przenieść do potomności i postawić obok Rejtana, jako obrońcę swobód ojczystych”.

Rzecz charakterystyczna, że nikt z piszących o Suchorzewskim — a pisano o nim przecież z perspektywy czasu, kiedy już po uszy unurzany był w zdradzie — nie wspomina go jako nik-

czemnika czy sprzedajnego agenta. Przeciwnie: we wszystkich notach o nim podkreśla się, że „w gruncie rzeczy był to dobry Polak i człowiek poczciwy”, że występował zawsze z subiektywnie czystych intencji, z żarliwego patriotyzmu, że „tym był żartarszy, że działał z przekonania, nie za rosyjskie ruble”. Zarzuca mu się tylko, że „łatwy zawsze do odegrania roli zuchwałej... był człowiekiem słabej głowy, którego każdy mógł nabechtać, byle się zrećźnie wziął do tego”. Wytykano mu także nadmierną skłonność do kart, ale w ówczesnym światku warszawskim było to słabością niemal powszechną.

Od pierwszych posiedzeń Sejmu Wielkiego Suchorzewski zdobył sobie dużą popularność wśród braci szlacheckiej i stał się jednym z najulubieńszych mówców sejmowych. Główną tego przyczyną były jego stałe i konsekwentne wystąpienia przeciwko rosyjskim rozbirom. Z „szaleńczą odwagą” napadał poseł kaliski na „Najjaśniejszą Gwarantkę” polskiego zniewolenia, cesarzową Katarzynę II, za to, że zabrała Rzeczypospolitej jej ziemie wschodnie: demaskował i gromił gwałty i rabunki rosyjskich generałów, których wojska pilnowały w Polsce przestrzegania cesarskich gwarancji. Echa gorących przemówień Suchorzewskiego przenikały z sali sejmowej i rozchodziły się szeroko wśród ludu Warszawy. W popularnej szaradzie owego czasu wymownego posła kaliskiego określano jako „bicz na Moskali”.

Drugim zasadniczym tematem wystąpień sejmowych Suchorzewskiego była obrona przywilejów szlacheckich, a przede wszystkim wolnej elekcji, którą stronnictwo reform zamierzało zastąpić zasadą dziedziczności tronu.

Dzięki jednemu z takich wystąpień udało mu się nawet wejść do... historii literatury polskiej, bo przedmiotem jego ataku stało się znane dzieło literackie. Chodziło o komedię J. U. Niemcewicza „Powrót Posła”, której prapremiera odbyła się w Warszawie 15 stycznia 1791 roku, odnosząc olbrzymi sukces u publiczności. Niemcewicz, bardzo zaangażowany w walkę polityczną rozgrywającą się w Sejmie, starał się poprzez jedną z postaci sztuki — komicznego starostę Gadalskiego — ośmieszyć pewne przestarzałe formy ustrojowe, przeciwko którym występowało stronnictwo reform, zwłaszcza wolną elekcję królów i poselskie *liberum veto*.

W trzy dni po premierze — 18 stycznia 1791 roku — z furiackim atakiem na „Powrót Posła” wystąpił w Sejmie poseł Suchorzewski. Oskarżał Niemcewicza, że swą komedią dopuścił się zbrodni stanu (*crimen status*), wyśmiewając najdroższą Polakom swobodę, prawo wolnej elekcji. Dopominał się, by zwołano sędziów sejmowych i sądzono autora jako zbrodniarza.

„Obstąpiły stany na wnioszek ten, jam milczał” — odnotował w swych pamiętnikach Niemcewicz.

Zarówno Niemcewicz jak i większość audytorium sejmowego byli zdziwieni, że z atakiem na Niemcewiczowską komedię wystąpił poseł z prowincji — typowy szlachcic hałaburda, jak najdalszy sprawom teatru czy literatury. Powszechnie uważano, że Suchorzewskiego „nabechceni” na to wystąpienie magnaccy mal-kontenci, w których „Powrót Posła” uderzał bezpośrednio. Nie był to zresztą jedyny wypadek, kiedy wystąpienia Suchorzewskiego sprawiały wrażenie reżyserowanych z wysoka.

Posel z Kalisza — człowiek uczciwy o gorącym sercu, lecz słabej głowie, żarliwy patriota, popularny w Sejmie, nie pozbawiony pewnego talentu oratorskiego, a zarazem z najgłębszego przekonania zaangażowany w obronę szlacheckiej „złotej wolności” — był wprost idealnym obiektem dla manipulatorskich zabiegów godnych następców Adama Ponińskiego — przyszłych wodzów Targowicy: generała artylerii Szczęsnego Potockiego, biskupa inflanckiego Józefa Kossakowskiego, hetmana wielkiego koronnego Ksawerego Branickiego oraz kierującego nimi z ukrycia ambasadora „Najjaśniejszej Gwarantki” Jakowa Bułhakowa.

Podobno pierwszy zwrócił uwagę na Suchorzewskiego inteligentny biskup Kossakowski, trafnie sportretowany w ulotnym wierszu warszawskiej ulicy jako: „Intrygant zręczny, podszyty cnotą, co króla i naród odda za złoto”.

Wiedzano, że patriotyczny poseł z Kalisza — w odróżnieniu od wielu swoich kolegów sejmowych — nie da się po prostu kupić za carskie ruble. Zastosowano więc wobec niego sposób nieco odmienny. Skromnego szlachcica z prowincji zaczęto zapraszać na magnackie salony: na dwór biskupi Kossakowskiego, do hetmańskiego pałacu Branickiego. Podejmowano go tam jako gościa honorowego, sadzano między pierwszymi przy stole. W łakome pochlebstwa uszy sączono mu wymyślne komplementy. Sławiono jego odwagę, nie mającą ponoć równej, niezłomny gorliwy patriotyzm, dar krasomówczy na miarę starożytnych oratorów.

Po obiedzie grywano w wista. Dla wojskiego wschowskiego musiało być niebywałym zaszczytem zasiadanie do karcianego stolika z takimi tuzami jak jego ekscelencja biskup inflancki Józef Kossakowski czy dowódca wszystkich wojsk Rzeczypospolitej, jaśnie oświecony hetman wielki koronny Ksawery Branicki czy inni ich utytułowani współnicy polityczni. Żadnego z tych wielkich panów nikt nie ośmieliłby się jeszcze wówczas nazwać zdrajcą. Reprezentowali jedynie odmienną niż król i stronnictwo reform koncepcję urządzania państwa, bronili tak drogiej sercu Suchorzewskiego szlacheckiej „złotej wolności”.

Satysfakcje towarzyskie posła kaliskiego potęgował jeszcze moment natury materialnej. Suchorzewski przepadał za wistem, lecz grał w tę grę dosyć nędznie i w starciu z lepszymi graczami stale przegrywał. Ale od chwili, gdy przekroczył progi magnackich salonów, wszystko się odmieniło i szczęście zaśmiało się do niego całą gębą. Każdego wieczora zgarniał do kieszeni z kartianego stolika od 300 do 500 dukatów i jeszcze w dodatku komplementowano go za dobrą grę. Ktoś rozważniejszy od Suchorzewskiego musiałby się zastanowić nad tą czarodziejską odmianą fortuny. Ale ludzie na ogół zastanawiają się tylko nad przyczynami swych niepowodzeń, natomiast powodzenia przyjmują jako rzecz naturalną — zwłaszcza gdy są w sobie tak zadufani, jak wymowny poseł kaliski. Sądzę, że gdyby ktoś ośmielił się wtedy powiedzieć Suchorzewskiemu, że wygrywanie przez niego w karty polskich dukatów jest równoznaczne z przyjmowaniem judaszowych rubli — naraziłby się najpierw na poczytanie za szaleńca, a następnie — na rozsiekanie szablą.

Tylko człowiek tak naiwny jak Suchorzewski mógł wierzyć, że podejmowanie go w magnackich salonach ma jedynie na celu zaspokajanie jego ambicji towarzyskich i napełnianie mu kieszeni złotem. Gospodarzom salonów chodziło zgoła o co innego. Zarówno przy obiadach jak przy partiach wista nader zręcznie przygotowywali swą ofiarę do odegrania roli, jaką jej w swych zamysłach wyznaczili. W politycznych rozmowach z Suchorzewskim posługiwali się najczęściej straszakiem „rewolucji szwedzkiej”, gdyż w całym Sejmie, a także poza Sejmem wiadano, że jest to szczególnie konik posła kaliskiego.

W styczniu 1789 roku Warszawę zelektryzowała wieść, że król Szwecji, Gustaw III Waza, mając poparcie kleru, mieszczaństwa i chłopów, otoczył wojskiem obradujący w Sztokholmie parlament i kazał aresztować przywódców opozycji szlacheckiej.

Dowiedziawszy się o tym „bezprzykładnym gwałcie na wolności”, poseł kaliski Jan Suchorzewski, niewiele myśląc, podbiegł do obecnego na Sali Sejmowej posła szwedzkiego w Polsce, Engeströma, i cały zapieniony ze złości cisnął mu w twarz krótkie zdanie francuskie, które w najdelikatniejszym przekładzie na polski musiałyby zabrzmieć:

— Wasz król jest dupa!

Odtąd przykład „rewolucji szwedzkiej” staje się nieodzownym elementem wszystkich przemówień sejmowych Jana Suchorzewskiego. Wstrząśnięty najszczerzej i do głębi w swych replikancko-anarchistycznych odczuciach wolności poseł kaliski przy każdej okazji stara się uprzytomnić Sejmowi straszliwe niebezpieczeństwa, jakie zagrażają świętym przywilejom szlachty ze strony „polskiego Gustawa III”.

Do tego właśnie nawiązują magnaccy manipulatorzy. Z ocen politycznych, jakie Kossakowski i Branicki przekazują Suchorzewskiemu, wynika niezbiecie, że „spisek przeciwko wolności” przygotowywany przez Stanisława Augusta będzie jeszcze gorszy od „rewolucji szwedzkiej”. Najdroższy i najbardziej zasadniczy przywilej szlachecki — wolną elekcję — zastąpi dziedziczność tronu w rodzie Poniatowskich. Cały Sejm będzie aresztowany, chłopci — zrównani ze szlachtą, ulica rzucona przeciwko możnym itd... itd... Cyniczni gracze polityczni ładują w ogłupiałego szlachcica proch, który ma wystrzelić w dniu uchwalenia nowej konstytucji.

Najtrudniej im wykorzenić z posła kaliskiego jego rusofobię. Przybierają tedy pozy Ojców Ojczyzny. Pochwalają jego gorliwy patriotyzm, rozumieją żal po ziemiach zabranych. Ale odwołują się do rozumu politycznego. Biskup Kossakowski wbija mu w głowę, że zwolennicy reform są sprzedajnymi narzędziami despotyzmu, chcącymi szlachtę zrównać z chłopami że „Moskwa by podobnego porządku rzeczy u siebie nie doznała, jest jedyną opiekunką szlachty i że przywileje jej wszelkimi siłami popierać gotowa”. Hetman Branicki tłumaczy, że Imperatorowa, zaniepokojona zabiegami król pruskiego o wpływy w Polsce, uczyni wszystko, aby pozyskać sobie względy polskiej szlachty przez obronę jej praw. Odpowiednio dawkomane argumenty robią swoje, i „bicz na Moskali” już się nie wzdraga, kiedy przy stoliku wistowym zasiada jeszcze jeden partner do gry: ambasador Jakow Bułhakow.

Usidlają biednego Suchorzewskiego wielcy panowie, rozpala do niedobrych rzeczy jego gorącą, lecz niezbyt mądrą głowę. Ale on jeszcze ciągle nie jest ślepym narzędziem w ich rękach. Jeszcze ciągle miewa patriotyczne wyskoki w bok, jeszcze ciągle poddaje się odruchom mądrzejszego od głowy serca.

Na dwa tygodnie przed uchwaleniem nowej konstytucji — 18 kwietnia 1791 roku — zdobywa sobie powszechny poklask u patriotów swoim upomnieniem się o prawa dla mieszczan. Projekt wtedy przez niego wysunięty dał początek jednej z najbardziej demokratycznych i liberalnych uchwał Sejmu Czteroletniego. Udział jego w tej sprawie był tak bezsporny i decydujący, że król nagrodił go Orderem św. Stanisława.

— Wszystko to prawda — mówią historycy — tylko że ten projekt praw dla mieszczan nie był jego pomysłem: podrzucili mu go zręcznie reformiści, chcąc wykorzystać w dobrej sprawie jego popularność i talent oratorski. — Możliwe, że rzeczywiście tak było, ale co z tego wynika? Chyba tylko to, że ten nieszczęsny Suchorzewski poddany lepszym wpływom mógłby przy swoim patriotyzmie i obiektywnych możliwościach odegrać zupełnie inną rolę niż ta, którą się zapisał w historii dzięki biskupowi Kos-

sakowskiemu i hetmanowi Branickiemu. Kto wie, czy kierowany inną inspiracją w momencie historycznej próby roku 1793 nie stałby się naprawdę drugim Rejtanem?

Patrzę na „ścianę tronową” Sali Sejmowej. Między dwiema białozłotymi kolumnami stanie wkrótce zrekonstruowany tron królewski. W wypadku Suchorzewskiego nie ma takich wątpliwości, jak w wypadku Rejtana. „Rejtanada” kaliskiego Zagłoby na pewno rozegrała się w Sali Sejmowej, właśnie tam — nieopodal tronu Stanisława Augusta.

Los Suchorzewskiego rozstrzygnął się ostatecznie na zebraniu magnackich malkontentów, odbytym w wigilię 3 maja 1791 roku u ambasadora Bułhakowa. Zebranie przebiegało w atmosferze paniki. Stronnictwo reform zaskoczyło opozycję przesunięciem w ostatniej chwili terminu dyskusji nad projektem Konstytucji z 5 maja na 3 maja. Tymczasem większość posłów opozycyjnych znajdowała się poza Warszawą i było już za późno na ich ściągnięcie. Zebrani u Bułhakowa zgadzali się, że uchwaleniu nowej konstytucji trzeba za wszelką cenę przeszkodzić, ale proponowali różne rozwiązania taktyczne. Porywczy hetman Branicki wołał, że zwolenników reform trzeba nastraszyć, nie cofając się nawet przed użyciem siły. Ostrożniejszy biskup Kossakowski uważał, że wystarczy uruchomić przeciwko konstytucji oratorski temperament posła Suchorzewskiego, który — znany powszechnie jako gorliwy patriota i trudny do poskromienia mówca, spowoduje z pewnością niemąły zamęt, zawichrzy zgromadzenie, wywoła szeroką dyskusję, zmusi reformatorów do wyjaśnień i tłumaczeń, a co za tym idzie, odwlecze całą sprawę choćby na dni parę, to jest póki prowincjonalni przeciwnicy reformy nie staną na dzień naznaczony w Warszawie. Koncepcja Kossakowskiego zwyciężyła. Przyszli wodzowie Targowicy postanowili posłużyć się w swej grze żarliwym patriotą o słabej głowie.

Wy tłumaczono więc panu posłowi kaliskiemu, że na nim spoczywa przyszłość narodu, że ponieważ tron dziedziczny grozi despotyzmem, on przeto, a nie kto inny, jako wymowny obrońca wolności, powinien rozwinąć całą potęgę swego krasomówstwa, ażeby oprzeć się zamachowi. Suchorzewski zrozumiał, że wreszcie nadchodzi sposobność, o jakiej od dawna marzył, że odegra taką rolę, jak niegdyś wielki Rejtan w obronie ojczyzny, że czeka go wdzięczność narodu i nieśmiertelność u potomnych.

Nazajutrz z rana, nieświadomy intrygi politycznej, rozgrywanej nad jego głową, w podniosłym nastroju patriotycznej determinacji, godnej prawdziwego Rejtana — ruszył do Sali Sejmowej zamku królewskiego, gdzie miały obradować połączone stany. Po drodze wstąpił do przyjaciela posła Antoniego Trębieckiego,

zwolennika nowej konstytucji. Ten próbował mu wyjaśnić, w jaką grę go wpędzają magnaccy malkontenci. „Cała Polska zna cię jako poczciwego człowieka — perswadował przyjacielowi — nie dawaj się brać na pochlebstwa. Cnotliwy jesteś, ale słaby; wierzysz podstępnyemu pochlebstwom, a celu ich nie widzisz. Chcesz się uczynić drugim Rejtanem, ale zważ, zlituj się, jaki koniec cię czeka?!”.
 Ale on już głuchy był na argumenty rozsądku. Całkowicie stumaniony przez swych możliwych partnerów od wista, ślepo ufał wszystkim, co kładli mu do głowy. Wierzył, że będzie drugim Rejtanem.

Ale nie udało się. Z niezliczonych opisów historycznej sesji sejmowej 3 maja 1791 roku zdaje się wynikać, że nastawiony na najwyższy diapazon poseł kaliski od początku do końca zachowywał się jak człowiek niezupełnie poczytalny. Zabierał głos parokrotnie. Mówił gwałtownie, chaotycznie. Starał się wytworzyć atmosferę śmiertelnego zagrożenia Sejmu i całego narodu przez nową konstytucję. Ale w miarę mówienia coraz bardziej tracił u słuchaczy na wiarygodności. Przyparty do muru przez zwolenników reform, musiał przyznać, że projektu tej strasznej konstytucji w ogóle nie czytał, że zna ją tylko ze słyszenia. Skompromitował się ostatecznie paroma zastraszającymi plotkami, uzyskanymi od partnerów wistowych, które z miejsca zdementowano jako całkowicie nieprawdziwe. Wystąpienia — wymarzone przez Suchorzewskiego jako historyczny przykład dla przyszłych pokoleń — nabrały chwilami cech żalosnej tragifarsy. Ale on nie dostrzegał tego i rozpalał się do coraz większych szaleństw.

Ostatni, szczytowy akt tej nieudanej rejtanady rozegrał się w odległości 15-20 metrów od foteli, na których siedzimy. Było to już po zatwierdzeniu przez Sejm jednym grzmiącym „tak” projektu nowej konstytucji. Brakowało jeszcze tylko podpisu królewskiego. Biskup Turski niesie już do tronu Ewangelię, na którą król ma zaprzysiąc posłuszeństwo nowo ustanowionym prawom. I wtedy to właśnie oszalały już zupełnie kaliski Zagłoba rzuca się na ziemię między tron a biskupa.

W czasie mego niespełna półtoragodzinnego pobytu w Sali Sejmowej Zamku Warszawskiego oglądam drugą z kolei scenę rejtanowską, siłą dramatycznego napięcia wcale nie ustępującą pierwszej.

Udrapowany w strzępy błękitnej szarfy otrzymanego niedawno Orderu św. Stanisława, którą na znak protestu poszarpał na sobie przed chwilą, na oczach króla, Suchorzewski czołga się ku tronowi, pozwala się deptać posłom i senatorom, wiwatującym na cześć konstytucji, miota się jak w konwulsjach i drze się

na całe gardło: „Stójcie, nie kwapcie się do własnej zguby, rozsiekajcie mnie na ofiarę wolności już ginącej!...”.

Kiedy go siłą poderwali z ziemi, następuje moment najokropniejszy: scena z dzieckiem. Chwyta na ręce sześciolatniego synka, podnosi go tak, aby wszyscy mogli widzieć, i woła strasznym głosem: „Zabiję własne dziecko, tu na miejscu, wśród obrad sejmowych, aby nie dożyło niewoli, którą ten projekt Polsce gotuje!”.

Miarodajny świadek epoki ksiądz Jędrzej Kitowicz utrzymuje, że scena z synkiem rozegrała się już poza Salą Sejmową, ale uzupełnia relację ponurym szczegółem: dziecko nie przeżyło szoku wywołanego zachowaniem ojca, zmarło w kilka godzin potem.

Żałosny jest ten Rejtan z roku 1791! Nie wątpię, że jego patriotyczna rozpacz i determinacja były subiektywnie tak samo prawdziwe i uzasadnione, jak w wypadku jego patrona i poprzednika sprzed lat osiemnastu. Ale była między nimi jedna ogromna zasadnicza różnica. Rejtan prawdziwy protestował przeciwko zniewoleniu narodu — jego późniejszy naśladowca próbował się przeciwstawić woli narodu — i to w momencie jej szczytowego nasilenia.

W kilka dni po uchwaleniu przez Sejm Konstytucji 3 Maja i po pogrzebie tragicznie zmarłego sześciolatniego synka, niefortunny „Rejtan z drugiej strony drzwi” opuścił Warszawę, przyzwany podobno do Wiednia przez swoich demonicznych partnerów od wista. Niemcewicz — niepomny skandalu z „Powrotem Posła” — odwiedził go przed wyjazdem i próbował „reflektować”. Ale nie udało mu się sprowadzić nieszczęśnika z niebezpiecznej drogi: „Już był czy zupełnie obłąkany, czyli obietnicami ujęty”.

Jak długo Suchorzewski przebywał poza krajem, jakie odwiedzał miasta, w jakich emigracyjnych kabałach uczestniczył, tego wszystkiego nie wiem. Natomiast wiem — niestety z całą pewnością — że 14 maja 1792 roku znalazł się w miejscu, w którym nie powinien był się znaleźć nigdy: w małym przygranicznym miasteczku ukraińskim o nic nie mówiącej jeszcze wówczas nazwie Targowica.

Tam przyszło mu zapłacić zbójcecką cenę za wszystkie wygrane w magnackich wistach. Jego uczciwy, szanowany przez wielu podpis, podcyfrował treść najhaniebniejszego dokumentu polskiej historii — ułożonego w Petersburgu aktu założycielskiego Konfederacji Targowickiej. W szaleńczym tym dokumencie wszystko, co było w Rzeczypospolitej ostatnimi czasy dobre, wzniosłe i patriotyczne — nazwane zostało spiskiem i zbrodnią

przeciwko ojczyźnie; wszystko zaś co nikczemne, samolubne i zdradzieckie — patriotyzmem i obroną wolności.

Targowica przejmując władzę w Polsce. Realizują się w szyderczej karykaturze marzenia „Rejtana z drugiej strony drzwi”. Ubezpieczeni bagnetami okupującej kraj armii rosyjskiej rozpoczynają swe krótkotrwałe rządy ci, „w uścich których była ojczyzna, w czynach zdrada”. W najważniejszych dokumentach targowickich kaliski malkontent honorowany jest jak sztandar. Hetman Rzewuski w swoim uniwersale do generałów wspomina go jako „nogami deptanego o to, iż Królowi Imci przypominał świętość przysięgi jego”. Ambasador Bułhakow — w nocy uzasadniającej wkroczenie wojsk rosyjskich do Polski — wśród wielu krzywd wyrządzonych Imperatorowej przez Polaków wymienia „podeptanie nogami Suchorzewskiego, posła kaliskiego, obstającego za wolną elekcją królów”. (I na co ci przyszło, szaradowy „biczu na Moskali”!).

Patriotyczne zasługi kaliskiego Zagłoby zostają uhonorowane przez zwierzchność targowicką także w formach bardziej konkretnych. Jako jeden z pierwszych odbiera ustanowiony przez Targowicę złoty medal z napisem: „Obywatelom, których gorliwość usiłowała uszczęśliwić wolność Polski, zniszczoną i powaloną sprzysiężeniem 3 maja, Rzeczypospolita zmartwychwstająca”. I na odwrocie: „Wdzięczność obywateli, przykład potomnym”. W uznaniu swych zasług politycznych i przydatności wojskowej otrzymuje dowództwo brygady kawalerii narodowej, „uformowanej pod nazwaniem Złotej Wolności”. Czyż nie o tym wszystkim marzył poseł Jan Suchorzewski, udając się na historyczne posiedzenie Sejmu rankiem 3 maja poprzedniego roku? A że wyobrażał sobie realizację swych marzeń w nieco innych okolicznościach? Cóż, historia nigdy nie wypełnia dokładnie składanych jej zamówień.

Jaką rolę odegrała brygada imienia Złotej Wolności w zniewoleniu Rzeczypospolitej przez wojska rosyjskie, co ówczesnie przeżywał jej stumaniony dowódca — o tym źródła historyczne milczą. W każdym razie nie trwało to długo. Skończyło się wszystko z chwilą wkroczenia do Polski od zachodu wojsk pruskich. Targowicka wojna przeciwko „kajdanom konstytucji 3 maja” demaskuje się ostatecznie jako wstępna faza z góry ukartowanego przez mocarstwa drugiego rozbioru Rzeczypospolitej. Łatwo sobie wyobrazić, jakim wstrząsem musiało to być dla wojskiego wschowskiego: pierwszym miastem polskim zajęty przez Prusaków była przecież graniczna Wschowa!

Możni partnerzy od wista chronią się do Petersburga — oszukany Suchorzewski pozostaje ze swą brygadą na Ukrainie. Polskie oddziały targowickie przechodzą przez piekło upokorzeń.

Zmieniają im komendę i oznaki mundurowe. Oficerowie, którzy wzbraniają się iść na służbę moskiewską, zostają aresztowani. Pod naporem wydarzeń w zhańbionym targowiczaninie raz jeszcze dochodzi do głosu Rejtan. Ciemną nocą sadza na koni swą brygadę Złotej Wolności i uchodzi z nią na Wołoszczyznę — do tego odwiecznego azylu przegranych żołnierzy polskich. Stamtąd zamierza przedostać się do Turcji.

Ale i tym razem mu się nie udaje. Gospodar wołoski nie przepuszcza brygady polskich uchodźców w głąb Cesarstwa Otomańskiego. W wyznaczonym przez siebie miejscu każe jej czekać na rozkaz sułtański ze Stambułu, nie dostarczając jej przy tym żadnych środków do życia.

Czekanie się przedłuża. Internowana brygada łamie się i wykrusza pod naciskiem głodu, pragnienia i zimna. Po zjedzeniu wszystkich koni żołnierze przyduszeni ostateczną nędzą wymykają się małymi grupkami z powrotem na Ukrainę bądź — dla zdobycia pożywienia — najmują się do Wołochów na pastuchów albo parobków. W taki to żałosny sposób kończy się targowicka Złota Wolność.

O dalszych losach dowódcy brygady wiadomo niewiele. Informuje o nich zaledwie jedna krótka wzmianka współczesnego kronikarza Jędrzeja Kitowicza. „On sam tułaczem został — świadczy o Suchorzewskim Kitowicz. — Powrócił nazad do Polski, tuła się po kraju, nie mając nigdzie wzięcia. *Vae miseris in terris!*”.

Biada nędzarzom na tym świecie! Biada Rejtanom, którzy wykonują swe gesty po niewłaściwej stronie drzwi; Naród ich przeklnie i zapomni! Tułać się będą po historii, „nie mając nigdzie wzięcia!”.

Mówcy z Komitetu Odbudowy nadal się spierają o Stanisława Augusta. W tej historycznej dyskusji jest tyle współczesnego zaciętrzewienia, jakby chodziło nie o osiemnastowiecznego monarchę, lecz o niedawno obalonego przywódcę partyjno-państwowego, który odbudowywał sobie Zamek Królewski na swoją rezydencję, a później zwałił się ze wszystkich stanowisk z takim trzaskiem i skandalem, że nawet w naszej urozmaiconej historii nie miało to precedensu. Uczujniło to ludzi na sprawę odpowiedzialności władców w ogóle i teraz skrupia się na Stanisławie Augustcie.

Żal mi biednego króla Stasia, więc wyszukuję w pamięci różne drobne fakty, rehabilitujące jego pamięć. Choćby jego stosunek do Rejtana. Bo rzecz nie kończy się na owym legendarnym indyku posłanym do Izby Poselskiej. W osiemnaście lat później król zdobył się na złożenie oficjalnego hołdu niezłomnemu posłowi. Forma tego hołdu raz jeszcze potwierdziła nieza-

wodny smak literacki gospodarza Obiadów Czwartkowych. Było to wkrótce po uchwaleniu Konstytucji 3 Maja. Rejtan nie żył już od lat jedenastu. Jego główny przeciwnik i prześladowca, skazany przez Trybunał Sejmu Wielkiego — między innymi za bezprawne sądenie Rejtana — na utratę wszystkich urzędów, majątków, tytułu książęcego, a nawet rodowego nazwiska — przepędzony był z kraju „po wsze czasy” jako „człowiek Adam”. Otóż król rozkazał, aby po obu stronach drzwi Izby Poselskiej wmurowane zostały dwie marmurowe tablice: biała — z sentencją wyroku, wydanego przez trybunał Ponińskiego na Rejtana oraz czarna — z wyrokiem trybunału Sejmu Wielkiego na Ponińskiego.

Niestety, piękna inicjatywa królewska nie doczekała się realizacji. Zanim zdążono tablice wmurować, nastały dni „Rejtanów z drugiej strony drzwi”, zwycięska Targowica przywróciła do łask Ponińskiego, a Rejtana prawdziwego ponownie zepchnęła w cień.

Ale tekst tych tablic zachował się w kronikarskich przekazach, więc należy je wmurować teraz. Trzeba to zrobić koniecznie. Optymistyczne przesłanie historii, zawarte w zestawieniu tych tablic, przemawia dzisiaj równie mocno i wyraźnie jak przed dwoma wiekami. A trudno o lepszą okazję na wypełnienie rozkazu królewskiego, jak trwające obecnie prace rekonstrukcyjne. Muszę podsunąć ten pomysł prominentom z Komitetu Odbudowy. Tylko gdzie odnaleźć dokładne teksty tablic, gdzie ja się z nimi zetknąłem?

Zwracam się o pomoc do docenta S. Ale nie ma go już przy mnie. Odnajduję go wzrokiem o kilkanaście miejsc dalej. Siedzi przy jakimś brodatym profesorze i szepce coś do niego swoim chrypliwym głosem. Aż tu słyszę ten szep. A przy tym nie spuszcza oczu ze mnie. Prawdopodobnie jeszcze ciągle rehabilituje się ze swej pomyłki w sprawie drzwi rejtanowskich.

Ale mniejsza o docenta S. Bez jego pomocy przypominam sobie, gdzie widziałem teksty tablic. Oczywiście tam, skąd czerpię większość nieznanych mi przedtem szczegółów biografii Rejtana — w pięknym opowiadaniu Jerzego Zawieyskiego „Pamiędzy plewą i manną”.

Znowu przestają do mnie docierać słowa mówców z Komitetu Odbudowy. Znowu rozplywa się wszystko w purpurowo-białozłotej mgle. Jerzy Zawieyski — Rejtan 1968 roku! Zawrotny skok z XVIII stulecia w historię najnowszą.

O tym, że Jerzy Zawieyski napisał opowiadanie o Rejtanie, dowiedziałem się w domu mego brata Kazimierza — w początkach stycznia roku 1969, a więc już w dziewięć miesięcy po

owej historycznej awanturze w Sejmie. Ciągłe jeszcze o tym mówiono ze zgrozą, ściszonymi głosami. Poza bezpośrednimi świadkami i najbliższymi przyjaciółmi Zawieyskiego nikt właściwie dokładnie nie wiedział, co się wtedy w Sejmie wydarzyło. Wyczuwano tylko, że było to coś strasznego, a jednocześnie o znaczeniu bardzo zasadniczym. Wszyscy się dziwili, że bohaterem i ofiarą tej historii stał się właśnie Jerzy Zawieyski — pisarz katolicki, który po wielu latach krańcowej biedy i przymusowego milczenia w okresie „kultu jednostki” doświadczył po przełomie październikowym roku 1956 cudu bajecznego przeobrażenia w wysokiego dygnitarza państwowego, traktowanego z równymi względami i honorami przez całą oficjalną opinię publiczną, poczynając od macierzystego *Tygodnika Powszechnego* aż po partyjną *Trybunę Ludu*. Zawieyskiego trudno było sobie wyobrazić w gwałtownych sytuacjach konfliktowych także ze względu na jego cechy osobiste. Znajomi i przyjaciele uważali go za anielsko dobrego. Anielska dobroć promieniowała z jego twarzy bardzo na pierwszy rzut oka zwyczajnej, znacznie lepiej pasującej do chłopskiej baranicy niż do dygnitarskiego smokingu. Nie darmo w środowisku literackim krążyło o panu Jerzym zabawne powiedzonko: „skrzyżowanie anioła ze stróżem”.

Moi braterstwo przyjaźnili się z nim od bardzo dawna. Zdobyl sobie ich serca w pierwszych miesiącach powojennych, kiedy odarci przez wojnę ze wszystkiego przywędrowali ze zrujnowanej Warszawy do Krakowa i usiłowali się zainstalować w krakowskim Domu Literatów przy ulicy Krupniczej. Nietknięty zniszczeniami wojennymi Kraków nie był wówczas zbyt gościnny dla warszawskich rozbitków. Jedynym człowiekiem, który okazał im prawdziwą serdeczność, był Zawieyski. Pomocy materialnej udzielić im nie mógł, bo sam był biedny jak przysłowiowa mysz kościelna. Dał im za to jedyną rzecz, na jaką było go stać: wniósł im na czwarte piętro dwa wiadra pełne wody. Zważywszy że już wtedy miewał kłopoty z sercem — była to z jego strony ofiara niebagatelna. Kazikowie wspominali ten epizod krakowski z prawdziwym wzruszeniem: „nie masz pojęcia, czym ten gest był dla nas wtedy”. Z kimkolwiek zresztą wszczynałem rozmowę o Zawieyskim, zawsze słyszałem zachwyty nad jego prawdziwie chrześcijańską miłością bliźniego, nad jego wielkim sercem i nieposzlakowaną uczciwością. Wyrażano także podziw dla niezłomności jego charakteru, która pozwoliła mu przeżyć zwycięsko wszystkie — w jego wypadku szczególnie dotkliwe — próby okresu stalinowskiego.

W tamto styczniowe popołudnie, na które padał jeszcze cień awantury sejmowej, rozmawialiśmy o Zawieyskim jako o postaci politycznej. Scenariusz jego wywyższenia politycznego żywo przy-

pominał powiastki z morałem z czytanek szkolnych. Na krótko przed wojną Jerzy Zawieyski — wówczas aktor teatru w Łodzi — udzielał przez pewien czas schronienia ukrywającemu się przed policją młodemu działaczowi komunistycznemu. Po wojnie ów młody komunista znalazł się w ścisłym kierownictwie partii rządzącej Polską. O swoim przedwojennym długu wdzięczności nie zapomniał, ale jego spłatę odłożył do bardziej sprzyjającej okazji. Nadarzyła się dopiero w dziesięć lat później — po Polskim Październiku. Nowe kierownictwo (dłużnik moralny Zawieyskiego w nim pozostał) zmierzało lub udawało, że zmierza do całkowitej integracji narodu. Do współpracy zostali zaproszeni także katolicy z ugrupowania „Znak”, które — jak informuje nasza encyklopedia — „uzasadnia działalność katolików w Polsce Ludowej realizmem politycznym i wymaganiami geopolityki”. Wtedy przedwojenny znajomy przypominał sobie o Zawieyskim i powołano go do odegrania jednej z głównych ról w przygotowywanym zbliżeniu. Sądzę, że doszłoby do tego i bez specjalnej protekcji, gdyż nadawał się do tej roli lepiej niż inni. Był jednym ze współzałożycieli „Znaku”, miał doskonałe stosunki z Episkopatem i z Watykanem (znał osobiście dwóch papieży: Jana XXIII i Pawła VI), cieszył się ogromnym i powszechnym autorytetem moralnym jako człowiek, pisarz i działacz społeczny (znalazło to wyraz między innymi w tym, że właśnie jemu przypadł zaszczyt przywiezienia z powrotem do Warszawy prymasa Wyszyńskiego z jego więziennego zesłania w klasztorze w Komauicy).

Na początku stycznia roku 1957 Zawieyski znalazł się w Sejmie jako senior Koła Posłów Katolickich „Znak”. Potem na wniosek najwyższych władz Sejm wybrał go na członka Rady Państwa. Zawieyski był swoim wywyższeniem politycznym uszczęśliwiony. Do tego czasu życie nigdy go nie rozpieszczało. Żył zawsze w ciężkiej biedzie, z najwyższym trudem wiążąc koniec z końcem. A już szczególnie dały mu się we znaki lata stalinowskie. Nic więc dziwnego, że cieszył się jak dziecko rozlicznymi przywilejami materialnymi, związanymi z nowym stanowiskiem. Z upojeniem opowiadał o samochodzie oddanym mu do wyłącznej dyspozycji, o willi w Konstancinie, o przydzielonej mu przez rząd gosposi, która dowozi mu obiady z bufetu Rady Państwa (początkowo trochę się tej gosposi bał, ale później się z nią oswoił).

Dziecięcego upojenia wysokim stanowiskiem nie zakłócał mu najlżejszy nawet niepokój sumienia. Nie miał po temu żadnych powodów. Swoją misję polityczną traktował niezwykle poważnie, wierzył w jej celowość i skuteczność. Był dogłębnie i najszczerzej zafascynowany osobą nowego przywódcy państwa. Po

pierwszej dłuższej rozmowie z Gomułką powiedział memu bratu: to wielki Polak, wielki patriota, jemu możemy zaufać.

Ale upojenie Zawieyskiego nie trwało długo. Październikowa odnowa rozłaziła się po kościach i nie spełniała pokładanych w niej nadziei. Zamordyzm i cenzura z miesiąca na miesiąc odzyskiwały utracone pozycje. Samorząd robotniczy rozplynął się w słowa. Zamknięto *Po prostu*, przyduszono STS, rozbito tygodniki literackie, narastały konflikty w środowiskach kulturalnych. Psuły się także stosunki Zawieyskiego z wodzem. Gomułka nie mógł się pogodzić ze zbytnią niezależnością koła poselskiego „Znak” w zniewolonym Sejmie. Obwinił o to katolickiego członka Rady Państwa.

Zawieyski nie chwalił się już swoim samochodem i swoją gosposią. Trapił się i smutniał. Świetlana misja polityczna z upływem lat zamieniała się w ciężką pańszczyznę, naruszającą spokój sumienia. Coraz częściej dokuczało mu serce. Coraz częściej z polityki uciekał w literaturę. W nowych książkach dawał upust swoim niepokojom i wątpliwościom. Przedtem nie ceniono go zbyt na giełdzie literackiej. Teraz jego książki — przeważnie szczególnego rodzaju powieści historyczne — nabierały nowej głębi i mocy. Czytało je coraz więcej czytelników, przyciągały uwagę najwybredniejszych krytyków. Odnajdywało się w tych dziełach twórcze zamyślenie autora nad losami narodu i motywami działań różnych znanych postaci historycznych.

Wystąpien politycznych Zawieyskiego z tego okresu nie przypominam sobie, gdyż nigdy nie byłem uważnym czytelnikiem gazet, pozostały mi natomiast w pamięci jego wstrząsające, głęboko humanistyczne przemówienia na zebraniach Związku Literatów. Głośne też były wtedy jego odważne interwencje u władz w trudnych sytuacjach konfliktowych naszego środowiska.

Potem nadeszła czarna wiosna roku 1968... Tamtej styczniowej rozmowy o karierze politycznej katolickiego członka Rady Państwa nie udało nam się doprowadzić do końca, gdyż w pewnej chwili w mieszkaniu moich braterstwa nieoczekiwanie pojawił się sam Zawieyski.

Znałem go bardzo mało. Było to chyba moje drugie w życiu bezpośrednie z nim spotkanie, więc przyglądałem mu się zachłannie. W swoim uroczystym czarnym ubraniu wydał mi się trochę śmieszny i staroświecki. Był brzydki, ale jakąś fascynującą brzydotą. W twarzy miał coś z sentymentalnego pierrota. I ta rozczulająca rudawa „pożyczka” kokieterijnie zaczesana na różową łysinę! Zdziwiło mnie, że pomimo ciężkich przeżyć ostatnich miesięcy wyglądał kwitnąco. Powiedziałem mu, nie wiadomo po co, że żaden ze znanych mi literatów nie może się pochłubić tak zdrowymi rumieńcami. Spojrzał na mnie w taki

sposób, że od razu odechciało mi się dalszej rozmowy. Tyle było w tym spojrzeniu żalu, obrazy i bolesnego wyrzutu. Skąd mogłem wiedzieć, że te jego rumieńce były oznaką nie zdrowia, lecz narastającej choroby, która w kilka miesięcy później miała go wyłaczyć z życia.

Nagła wizyta Zawieyskiego miała konkretną przyczynę. Nawet ja, który słabo go znałem, zorientowałem się od razu, że był czymś głęboko poruszony. Kręcił się nerwowo po pokoju, nie chciał siadać, nie chciał herbaty. Poszeptywał tylko po kątach na przemian: to z Kazikiem, to z Marysią. Moja obecność najwyraźniej go krępowała. Wreszcie Marysia uznała, że nie ma sensu bawić się ze mną w tajemnice:

— Jerzemu wstrzymali w *Twórczości* druk jego opowiadania o Rejtanie. To okropne!

Później, już po jego wyjściu, dowiedziałem się, że napisał to opowiadanie niemal bezpośrednio po awanturze w Sejmie i przywiązywał do niego wielką wagę. Skojarzenie tematyczne było jednoznaczne i nie wymagało żadnych dodatkowych wyjaśnień. Pamiętam, że nie oparłem się wtedy złośliwej refleksji: więc jednak uważał się za Rejtana!

Wkrótce po tym spotkaniu u Kazików, z prostej ciekawości zabrałem się do zbierania dokumentacji dotyczącej owej głośnej, lecz ciągle jeszcze mało znanej przygody Zawieyskiego w Sejmie. Z początku skromna to była dokumentacja: ocenzonego stenogram w diariuszu sejmowym i relacje kilku zaprzyjaźnionych z Zawieyskim osób, które były obecne na tych dwóch fatalnych posiedzeniach sejmowych z 10 i 11 kwietnia 1968 roku. Dopiero na koniec — zaledwie przed miesiącem — uzyskałem dostęp do źródła poważniejszego: dzienników Zawieyskiego z lat 1968-1969.

Zaczął się wszystko od interpelacji koła poselskiego „Znak” w sprawie zejść na Uniwersytecie Warszawskim i w Politechnice Warszawskiej w dniach 8 i 9 marca 1968 roku.

W odróżnieniu od oficjalnej propagandy, która wypadki na wyższych uczelniach uznała za wspólne dzieło międzynarodowej prowokacji syjonistycznej i warszawskich chuliganów, pięciu posłów katolickich, podpisanych pod zgłoszoną 11 marca 1968 roku interpelacją (Konstanty Łubieński, Tadeusz Mazowiecki, Stanisław Stomma, Janusz Zabłocki, Jerzy Zawieyski) dopatrywało się głównej przyczyny zejść akademickich „w pewnych wyrażnych błędach czynników rządowych w dziedzinie polityki kulturalnej i w zdjęciu ze sceny Teatru Narodowego 'Dziadów' Mickiewicza w inscenizacji Kazimierza Dejmka”. Autorzy interpelacji stawiali rządowi dwa zasadnicze pytania:

1. „Co zamierza uczynić, aby powściągnąć brutalną akcję

Milicji i ORMO wobec młodzieży akademickiej i ustalić odpowiedzialność za brutalne potraktowanie tej młodzieży?)*

2. „Co zamierza uczynić, aby merytorycznie odpowiedzieć młodzieży na postawione przez nią palące pytania, które nurtują także szeroką opinię społeczną, a dotyczą demokratycznych swobód obywatelskich i polityki kulturalnej?”

Rząd zwlekał z odpowiedzią na interpelację przez cały miesiąc. Udzielił jej dopiero ustami swego premiera na fatalnym dla Zawieyskiego posiedzeniu Sejmu w dniu 10 kwietnia 1968 roku.

Zabawna rzecz: moi informatorzy sejmowi, których przepytawałem na temat tej repliki rządowej, przede wszystkim zwracali uwagę na otyłość przemawiającego premiera (polscy telewizorzy mówili już o nim wtedy: „bezwstydnie tyje na oczach narodu”). Jego łysina i policzki tak się świeciły od potu, że wyglądały jak polakierowane — wspominała bufetowa sejmowa — ciągle trzeba było posyłać nowe butelki „szwepsu”, bo krajowej mineralnej nie uznawał. Dużo pił i często ustawał w mówieniu, brakowało mu tchu.

Ale ociężałość fizyczna replikującego w najmniejszym nawet stopniu nie osłabiała giętkości jego umysłu. Ten wiecznotrwały szef rządu i członek najwyższych władz partyjnych, który przechodził suchą nogą przez wszystkie potopy polityczne i po osadzeniu się w nowych władzach natychmiast z całym spokojem brał udział w gromieniu dawnych kolegów z obalonej ekipy — był arcymistrzem politycznej „nowo-mowy”.

Przemawiał dzwicznym stentorowym głosem, a poglądy swe wyrażał w pięknie ukształtowanych frazach literackich, starannie unikając prymitywnych, brutalnych schematów, stosowanych w prasie i środkach masowego przekazu. Ale jego precyzyjne, kulturalne wywody były poddane tej samej, ogólnie obowiązującej metodzie dialektycznej, którą prosty lud określa jako „wywracanie kota ogonem”.

Nie odpowiadał wprost na pytania stawiane w interpelacji. Natomiast swoimi zręcznymi zabiegami dialektycznymi montował przeciwko autorom interpelacji front powszechnego potępienia o zasięgu bez mała światowym. W przemówieniu tłustego premiera arcybiskup Mediolanu, odmawiający błogosławieństwa le-

* Ofiarami brutalnej akcji pacyfikacyjnej padały także osoby postronne, które przypadkowo znalazły się w pobliżu Uniwersytetu. Jednym z takich pobitych przypadkowych przechodniów był mój przyjaciel Stanisław Dygat, który oberwał milicyjną pałą po głowie. Kiedy pytano go później, jakich uczuć doświadczał on, sławny pisarz polski, w momencie pałowania go przez polskiego milicjanta — Staś odpowiedział bez namysłu, zabawnie wybijając swoje francuskie „r”: — Nawet Ghottegh by tego nie odmalował!

wackim burdom na włoskich uniwersytetach, występował ramie w ramie ze światowym proletariatem, z ruchem obrońców pokoku, z umierającymi z głodu dziećmi w Indiach i Kambodży, z walczącymi o wolność narodami Azji i Afryki. Całą tę potężną koalicję mówca kierował przeciwko pięciu polskim posłom, którzy ośmielili się głośno zadać własnemu rządowi dwa pytania, które po cichu zadawał sobie cały naród. Na jedynych sprzymierzeńców pozostawiono „Znakowi” zachodnoniemiecki rewizjonizm oraz międzynarodowy kapitał powiązany z międzynarodowym syjonizmem.

Łysy premier słynął z błyskotliwych sentencji. W historię każdego konfliktu społecznego w Polsce wpisywał się jakimś celnym powiedzonkiem. Tym razem, tłumacząc Sejmowi, dlaczego rząd musiał zakazać wystawiania „Dziadów” w inscenizacji i reżyserii Kazimierza Dejmka, powiedział: „Mickiewicz nie był i nie będzie sztandarem reakcji!”.

Po tych słowach martwo zasłuchana sala sejmowa wyraźnie się ożywiła i przebiegł po niej aprobujący szmer. Większość posłów była w głębi serca bardzo niezadowolona z interwencji władz w sprawy teatralne. Żaden z posłów nie chciał być uznany za przeciwnika wieszcza narodowego. Była to sytuacja arcy-niezręczna nie tylko w odczuciu opinii publicznej, lecz także w oczach najbliższej rodziny. Ale oto z najwyższej trybuny wyjawiono, jak rzecz się przedstawia naprawdę. Władza, zdejmując ze sceny Mickiewiczowskie „Dziady”, działała nie przeciwko Mickiewiczowi, lecz w jego obronie. Broniła go przed zakusami reakcji i międzynarodowego żydostwa.

Uwolniony od winy Sejm odetchnął z ulgą i nagroził mówcę długotrwałymi burzliwymi oklaskami.

Po premierze wstępowali kolejno na trybunę posłowie. Byli wśród nich profesorowie wyższych uczelni i robotnicy z wielkich zakładów włókienniczych, działacze partyjni i bezpartyjni, intelektualiści, dziennikarze, literaci, wyżsi oficerowie i chłopcy z PGR-ów, dogmatycy i pragmatycy, żarliwi doktrynerzy i chłodni cynicy. Każdy z nich mówił o rzeczach specjalnie interesujących jego wyborców, ale jeden temat we wszystkich przemówieniach powtarzał się nieodmiennie. Wszyscy posłowie — w sposób mniej lub bardziej agresywny, mniej lub bardziej kulturalny — powtarzali jak pacierz za panią matką oskarżenia przeciwko pięciu posłom koła „Znak”, sformułowane w *exposé* premiera.

Jako ostatni przed przerwą obiadową przemówił wicemarszałek Sejmu, przyjaciel i jeden z najbardziej zaufanych współpracowników Najwyższego Przywódcy — jego stały partner w cowieczornych partyjkach domina, przy których — jak mówiono — rozstrzygały się niekiedy najdonioślejsze sprawy państwa.

W odróżnieniu od tłustego apoplektycznego premiera Wicemarszałek był chudy, ascetyczny — ściśle odpowiadający utartym wyobrażeniom o średniowiecznych mnichach z trybunału Świętej Inkwizycji. Skojarzenie dotyczyło nie tylko jego wyglądu zewnętrznego, duszę miał także inkwizytora. Ale była ona skażona dwiema słabościami: nadmierną drażliwością osobistą oraz namiętnie uczuciowym stosunkiem do spraw kultury, a zwłaszcza literatury, którymi zarządzał z ramienia Biura Politycznego partii.

Wicemarszałek chętnie demonstrował swe związki z kulturą. Opowiadano, że nie rozstawał się nigdy z tomikiem wierszy Gałczyńskiego. Co pewien czas, bez względu na miejsce i okoliczności, mogło to być równie dobrze w pociągu lub w samolocie wiozącym go na międzynarodową konferencję, jak na posiedzeniu Sejmu czy Biura Politycznego — wyciągał ów tomik z zanadru i dla duchowego relaksu (jak solennie wyjaśniał za każdym razem) przez kilkanaście minut czytywał się weń tak pilnie, jak księża czytują się w brewiarzu.

Kiedyś podczas swego pobytu w Paryżu kazał się sfotografować nad grobem Norwida, co rozgłosiły natychmiast wszystkie ilustrowane pisma krajowe. Ale ten piękny gest nie znalazł zrozumienia w środowisku literackim. Od razu puszczono w obieg złośliwy żart, że znacznie chętniej by się sfotografował nad grobami niektórych pisarzy... jeszcze żyjących. Bo Wicemarszałek marzył o stworzeniu pod swymi rządami dobrej literatury współczesnej, ale większości jej potencjalnych twórców nie znośli i był z nimi w ciągłym konflikcie.

Wszystkie protesty środowiska literackiego po zdjęciu ze sceny „Dziadów”, a zwłaszcza lutowe zebranie warszawskiego oddziału ZLP, w czasie którego padły pamiętne słowa Stefana Kisielewskiego o „dyktaturze ciemniaków” — drażliwy Wicemarszałek traktował jako obelgę osobistą, zwróconą przede wszystkim przeciwko sobie. Dlatego, mówiąc o interpelacji „Znaku”, którą wyprowadzał wprost z lutowego zebrania literatów, na przemian to bladł, to czerwieniał, trzęsąc się cały ze złości i obrazy.

Chudy Wicemarszałek jeszcze pod jednym względem różnił się od grubego Premiera. Kiedy przemawiał Premier, narzucało się wrażenie, że on sam wierzy tylko w połowie we własne słowa. Natomiast Wicemarszałek całą pasją swej mniszej duszy wierzył we wszystko, w każdy szczegół stworzonej przy jego udziale urojonej rzeczywistości. Wierzył nawet w spontaniczność „manifestacji ludowego gniewu”, organizowanych według uzgodnionego z nim planu na placach i ulicach Warszawy i innych miast Polski — w odpowiedzi na protesty literatów, studentów i posłów ze „Znaku”. Dlatego, kończąc swe przemówienie,

wienie, mógł z pełnym przekonaniem powiedzieć: „W ciągu tych kilku tygodni, które upłynęły od złożenia interpelacji, odpowiedzi udzieliło całe społeczeństwo polskie. Posłowie koła 'Znak' chyba nie mogą już mieć wątpliwości, że ze swym stanowiskiem znaleźli się w głębokiej izolacji politycznej, że razem z tymi, którym faktycznie chcieli udzielić poparcia, postawili się naprzeciw powszechnej opinii narodu”.

Końcowe sformułowanie Wicemarszałka wstrząsnęło wrażliwym Zawieyskim i skłoniło go do odmiany planu, uzgodnionego uprzednio z kolegami ze „Znaku”. Poprzedniego wieczora u siebie w Konstancinie odczytał kolegom — przy ogólnym aplauzie — piękne przemówienie, które zamierzał wygłosić w Sejmie dla pełniejszego uzasadnienia i obrony wniesionej przed miesiącem interpelacji. Teraz — po ostrym wystąpieniu Wicemarszałka — uznał, że to przemówienie nie wystarczy; że brutalna, niezgodna z prawdą zaczepka, domaga się natychmiastowej, równie ostrej riposty. Naszkicował ją sobie naprędce w przerwie obiadowej, ale tylko w planie ogólnym, gdyż zamierzał mówić z pamięci. Przestrogi bardziej doświadczonych politycznie kolegów, nie mających zaufania do uczuciowych improwizacji, nie zdołały go powstrzymać. Później tłumaczył przyjaciółom: „nie mogłem w tej sytuacji milczeć, bo bym sobie tego nigdy nie darował i Pan Bóg by mi tego nie odpuścił”.

Zaprzyjaźniony z Zawieyskim ambasador Stanisław Gajewski, który z racji swych zajęć w biurze sejmowym był obecny na sesji i śledził jej przebieg od początku do końca — opowiadał mi, że kiedy Zawieyski rozpoczynał swe przemówienie, był trupiobłady, a później — w miarę mówienia czerwieniał, czerwieniał coraz bardziej, a pod koniec miał na twarzy chorobliwe, krwiste wypieki i wyglądał tak, jakby go ogarniała coraz wyższa gorączka.

Gajewskiego zastanowiła reakcja sali sejmowej na przemówienie. Od pierwszego słowa Zawieyskiego Sejm jakby struchlał. Gajewski tłumaczył to sobie tym, że z mównicy płynęła najczystsza prawda, prawda miażdżąca wszystkie umowne konwencje obowiązujące w tej sali, prawda, od której peerelowski parlament zdążył się już być całkowicie odzwyczaić.

Zawieyski przemawiał gorączkowo, nieco chaotycznie. Przed sobą nie miał nawet kartki. Mówił z pamięci. Z głębi zranionego serca.

Odpowiadał Marszałkowi:

„... Pomawianie mnie, że podpisując interpelację, adresowałem ją do ulicy, do Wolnej Europy, do syjonistów, uderza we mnie ciosem bardzo ciężkim... oświadczam, że wiele sił, energii,

czasu, myśli poświęcałem w ciągu 11 lat, jako człowiek dobrej woli, Polsce Ludowej, socjalistycznej. Wierzę w jej przyszłość, co nie oznacza, abym nie bolał nad błędami, jakie nieraz władza naszego kraju popełnia...

Jestem nie tylko posłem, mam zaszczyt być członkiem Rady Państwa Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Służę Polsce nie tylko działalnością polityczną, ale działalnością literacką. Ostatnio moje książki to książki o Polsce, książki do dna duszy zaangażowane, wysnute z zamyśleń nad historią przeszłą i teraźniejszą naszego narodu... Muszę wyznać, i adresuję to do pana marszałka Kliszki, że ja ten naród, taki jaki jest, kocham miłością śmiertelną!...”

Zawieyski odpowiadał na zarzuty Wicemarszałka, ale zdaniem Gajewskiego, głównym adresatem przemówienia był sam Najwyższy Przywódca. W najgorętszych momentach przemówienia kierował swe słowa wprost do siedzącego w łozie Rady Państwa Władysława Gomułka. Przed nim otwierał serce. Jemu z wstrząsającą szczerością i prostotą opowiadał historię narodzin swojej wiary w socjalistyczne przeznaczenie Polski.

„Obywatel Gomułka nie jest tylko sekretarzem partii — mówił — jest wielkiego formatu Polakiem, któremu naród ufa i który podejmuje zawsze zadania trudne, często niepopularne, ale zawsze podyktowane troską o Polskę, jej rozwój, jej miejsce wśród narodów świata...”

Spośród licznych rozmów, jakie miałem z nim szczęście odbywać, zapamiętałem jedną, która mnie umocniła w moich uczuciach patriotycznych dla Polski Ludowej. Chodziło o sprawy gospodarcze i sprawy przekształceń ekonomicznych naszego kraju na kraj przemysłowy, nowoczesny, zmodernizowany. Tę wiarę w dobrą przyszłość Polski wyniosłem z rozmów z Władysławem Gomułką, za co jestem mu szczerze wdzięczny. Ta wiara zakłada wiele ofiar, wyrzeczeń, trudnych etapów, niełatwych, niepopularnych... Władysław Gomułka jest człowiekiem historii. Widzę go jako postać dramatyczną, z poczuciem odpowiedzialności nie tylko za partię, ale za cały naród polski, który jest organizmem złożonym, który ma swoje obrażenia i kult imponderabiliów, który ma swoje wielkie wady obok zalet...”

Potem mówił, jak strasznym zaskoczeniem i ciosem moralnym były dla niego gwałty roku 1968: zdjęcie „Dziadów”, bicie studentów.

„... Zdjęcie z afisza 'Dziadów' poruszyło do głębi pisarzy. Byłem jednym z pierwszych nie wymienionych tu z nazwiska przez pana premiera, którzy zwrócili się do niego zdruzgotani moralnie, nie mogąc uwierzyć w decyzję tak bolesną... Na nad-

zwyczajnym zebraniu Związku Literatów nie mogłem być bo leżałem w szpitalu chory na serce, ale chcę powiedzieć rzecz którą mi nakazuje sumienie. Jeżeli atmosfera na tym zjeździe była burzliwa i gorąca, to dlatego, że pisarzy wiele spraw bolało, że to, co się stało błędem, wyzwoliło ich dramatyczną sytuację jako pisarzy i jako obywateli zatroskanych o los kultury polskiej. Ten, którego coś boli, ulega przewadze emocji, i ton mowy odbiegać musi od tonu normalnych rozważań. Ból ludzki ma swoje prawa, nawet gdyby nie miał realnych uzasadnień.

Proszę, aby obywatel Władysław Gomułka zrozumiał także innych ludzi, którzy w ferworze czy emocjach bólu mogli mówić rzeczy nieprzemyślane, niewłaściwe...”

Nie ulegało dla nikogo wątpliwości, że Zawieyski nawiązywał do owych fatalnych „ciemniaków” Stefana Kisielewskiego. Drażliwy Wicemarszałek wpadł w furję. Znowu na przemian to bładł, to czerwienił, a oczy jego ciskały błyskawice. Co czujniejsi posłowie to dostrzegli i potraktowali jako „hasło do bicia”. Od tej chwili zaczęto Zawieyskiemu przerywać.

Ale on, nie zważając na nic, brnął dalej i odważył się głośno powiedzieć to, o czym dotychczas szepczano tylko między ludźmi: o karze, jaką poniósł Stefan Kisielewski za swe przemówienie na zebraniu literatów.

„Dnia 11 marca około godziny dziesiątej wieczorem został on pobity, pobity ciężko na schodach w przyczajeniu przez grupę mężczyzn — nie wiadomo przez kogo. Te pięści, które spadły na Kisielewskiego, spadły na przedstawiciela kultury polskiej. Stało się to po raz pierwszy w Polsce Ludowej...”

W tym momencie wydarzył się pierwszy incydent, odnotowany w diariuszu sejmowym. Ośmielona zachowaniem Wicemarszałka sala zareagowała na słowa Zawieyskiego o pobiciu Kisielewskiego głośnym szumem i śmiechem. Wtedy porwał się ze swego miejsca kolega Zawieyskiego ze „Znaku”, poseł Konstanty Łubieński, i krzyknął: „płakać trzeba, nie śmiać się!”

Zawieyski otarł chustką pot z poczerwieniałego czoła, machinalnie dobył z kieszonki grzebyk i przygładził nim zwichrzoną „pożyczkę” (ten gest zapamiętali sobie wszyscy moi informatorzy), po czym wiódł swą rzecz dalej:

„... Jestem złym posłem, bo rzadko odwiedzam swój okręg wyborczy, z powodu coraz gorszego stanu zdrowia (głos z sali: „To dobrze!”), ale do swoich wyborców i do całego społeczeństwa odzywam się jako pisarz, jako jeden z twórców kultury narodowej. Jakie jest to słowo pisarskie, nie do mnie należy ocena. Boli mnie tylko, że z autorytatywnych ust usłyszałem, iż jestem w izolacji i poza narodem. To jest zarzut zbyt ciężki, abym mógł przejść nad nim z lekkim sercem.

Ponieważ do tej chwili mam zaszczyt być członkiem Rady Państwa, a tę godność przyznaną mi przez Sejm Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej traktowałem jako zobowiązanie patriotyczne i moralne, proszę Pana Marszałka o to, aby Sejm wyraził votum zaufania do mnie, a w przeciwnym wypadku — aby mnie zwolnił z zaszczytnego stanowiska członka Rady Państwa”.

Ambasador Gajewski w czasie przemówienia Zawieyskiego pilnie obserwował, jak reagują na nie obecni na sali prominenci partii i rządu. Gomułka siedział nieruchomy, ponury, pogrążony w myślach. Najlżejszym drgnięciem kamiennej twarzy nie dawał poznać, że słowa przemawiającego w ogóle do niego docierają. Inaczej zachowywał się otyły premier. Ten słuchał uważnie. Popijał swój „schweppes”, pocił się i posapywał. Z ust nie schodził mu ani na chwilę leciutki uśmieszek politowania. Dla wiecznotrwałego szefa rządu musiało być czymś zupełnie niezrozumiałym, że ten biedny Zawieyski, który osiągnął był szczyty dostępnej mu kariery politycznej i materialnej, stawiał wszystko na jedną kartę w obronie jakichś mglistych imponderabiliów. „To był okropny demaskujący śmiech” — wspominał przejęty do głębi mój informator.

Po zejściu Zawieyskiego z trybuny Gajewski odprowadził go do gabinetu, który mu przysługiwał jako członkowi Rady Państwa. „Wtedy dopiero mogłem się przekonać, ile to przemówienie musiało go kosztować. Nogi ugięły się pod nim, i trzeba go było mocno podtrzymywać”.

Potem kelnerka z bufetu Rady Państwa, słynna pani Stasia, przyniosła mu do gabinetu herbatę. Pił małymi łykami, tępo zapatrzonej w przestrzeń i widać było, jak jest okropnie zmęczony. Pani Stasia, która podobnie jak cała obsługa sejmowa szczerze go lubiła i szanowała, nie mogła powściągnąć odruchu serca. Poglądziła go lekko po rękawie i powiedziała: „Niech pan profesor się nie martwi, wszystko będzie dobrze!”.

Ale nie było dobrze. Przekonał się o tym następnego ranka w Konstancinie, kiedy po przełknięciu z trudem śniadania czekał na swój samochód, mający go odwieźć do Sejmu. Kierowca przyjechał, ale bez samochodu. Młody chłopak miał łzy w oczach. „Musi pan profesor zadzwonić po taksówkę, bo ja nie mogę pana odwieźć. Dyrektor nie pozwolił. Powiedział, że już nie będzie miał pan wozu...”.

Pojechał więc do Warszawy autobusem. Szatniarz sejmowy, który zawsze witał go z ostantacyjną serdecznością, i wśród ukłonów i przypodchlebnych żarcików zdejmował z niego okrycie, zachowywał się tak, jakby go w ogóle nie poznał. W bufecie sejmowym znajomi posłowie partyjni i bezpartyjni uciekali przed

nim jak przed upiorem. Poza kolegami ze „Znaku” nikt nie ośmielił się podać mu ręki, czy bodaj pozdrowić go ukłonem. A zaraz po otwarciu sesji zaczęło się. „To było okropne — opowiadała mi zbliżona do „Znaku” Janka Zakrzewska, która całą tę hecę oglądała z góry, z galerii dla publiczności. — Bili w niego ze wszystkich stron, jak w strzelniczą tarczę. Nie oszczędzali mu żadnych zniewag, żadnych obelg, żadnych pomówień, włożyli mu buciorami w duszę. I tyle było w tym zacieklej nienawiści, że aż trudno zrozumieć, bo przecież ostatecznie nie powiedział nic aż tak strasznego...”.

W szczytowym punkcie nagonki ambasador Gajewski natknął się w kuluarach na panią Stasię, kelnerkę z bufetu Rady Państwa. Była roztrzęsiona i miała zaczerwienione oczy. Przechodząc zdążyła szepnąć: — krzyżują pana profesora!

Atakowali go wszyscy, wszyscy po kolei. Poza kolegami ze „Znaku”, którzy jako atakowani z nim razem mieli usta zamknięte — nie odważył się ująć za nim ani jeden z kilkuset posłów. Wśród atakujących byli także dwaj posłowie literaci. Pierwszy z nich, szczwany krzykacz sejmowy, miał się za poetę chłopskiego, ale jego „chłopskość” przejawiała się głównie w tym, że tego popijał i od przeszło dwudziestu lat zasiadał w najwyższych władzach państwowych z tzw. „klucza ludowego”. Ten to rozpijaczony, liliwonosy wsiowy wesolek walił z najgrubszej lufy, nie przywiązując wagi do literackiej formy wystąpienia:

„Posiadamy dość siły — mówił — aby wychodząc naprzeciwko nowej epoce człowieka współczesnego, wykorzystać i odrzucić obszarniczo-burżuazyjne i syjonistyczne związki, dać im odpawę, zgodną z rewolucyjną postawą sojuszu robotniczo-chłopskiego, zgodną z postawą narodu...”.

Inaczej występował drugi poseł-literat, ongiś naprawdę uzdolniony prozaik. Był do tego stopnia uwrażliwiony na formę literacką, że swój atak na Zawieyskiego rozpoczął od wytknięcia mu w jego przemówieniu pewnego drobnego potknięcia stylistycznego. Jego własne wystąpienie było stylistycznie nienaganne, ale w treści tak samo obrzydliwe i zakłamanie jak „chłopskiego poety”. Poseł prozaik miał opinię człowieka nie tyle złego, co bezmiernie słabego, choć starał się sobie nadawać pozory brutalnego osiłka. Był sentymentalny. Opowiadano, że przed popelnieniem świństwa musi się w sobie boleśnie przełamywać. I chyba było w tym coś z prawdy. Bo kiedy w tydzień po swoim wystąpieniu w Sejmie ukazał się na ekranie telewizyjnym, był tak zmieniony, że ledwie go poznano. Twarz miał jak rozdeptany kapeć.

Rozglądam się po sali. Profesorowie jeszcze ciągle gadają. W kółko o tym samym. Purpura pięknie odbija od bieli. Słońce zapala błyski w rokokowych monogramach Stanisława Augusta.

Wyciągam z zanadra gruby notatnik reporterski. Wpisałem do niego przed miesiącem kilkanaście fragmentów dzienników Jerzego Zawieyskiego z lat 1968-1969, które udostępnił mi do wglądu jego przyjaciel i sekretarz, pan Bogusław Wit.

Po powrocie do Konstancina z koszarnej sesji sejmowej późnym wieczorem 11 kwietnia 1968 Jerzy Zawieyski odtworzył w dzienniku przebieg minionego dnia:

„Z rana u Księdza Prymasa, któremu opowiedziałem treść mojej mowy (chodziło o tę napisaną poprzedniego dnia, której ostatecznie nie wygłosił — M.B.). Byłem przyjęty jak nigdy, z zaufaniem i miłością.

Obrady Sejmu to był sabat czarownic. Wszyscy odwoływali się do mego przemówienia. Była zorganizowana makabra obelg pod adresem Koła „Znak” i moim. Wystąpienia wojewódzkich sekretarzy partii były czymś tak ohydny, że na to brak słów. W południe ustaliliśmy, że złożę do marszałka Sejmu wniosek o rezygnacji z funkcji członka Rady Państwa. Po zakończeniu sabatu czarownic odbyło się w milczeniu przyjęcie mojej rezygnacji...

Do czego ta cała kłamliwa gra prowadzi? Czy partia chce oszukać naród, zwłaszcza młodzież, przerzucając winy na syjonistów i agentury międzynarodowe?...

Pod koniec zebrania poseł K. Łubieński powiedział trzy zdania w sposób dramatyczny i patetyczny, że nie będziemy odpowiadać na stawiane nam zarzuty, bo w atmosferze brutalnych ataków jest to niemożliwe... I z tym zszedł z trybuny. Tak się zakończył ten dzień historyczny dla mnie, kiedy przestałem być członkiem Rady Państwa”.

Na dalszych kartkach notatnika cztery kolejne napisy wiele mówiące o ówczesnej sytuacji Zawieyskiego:

„12 kwietnia 1968

...boimy się dalszych napaści innego rządu. Ale na wszystko jesteśmy przygotowani. Ze zdrowiem czuję się źle. Przeżywam wielki katzenjammer fizyczny. Bo moralnie jestem uwolniony od zgryzot i właściwie odniosłem tryumf, jakiego społeczeństwo nie zapomni... Wyszedłem z honorem w tej brudnej walce...”.

„14 kwietnia 1968

...Jestem tak połamany, że ciągle płaczę. A tu przychodzą ludzie z hołdami: gdy wychodziłem z kościoła, podchodzili do mnie ludzie zupełnie obcy...”.

„15 kwietnia 1968

...Dowiedziałem się, że napływają depesze z mojego okręgu wyborczego, aby mnie pozbawić mandatu poselskiego. W ten sposób wykończą mnie całkowicie materialnie”.

„16 kwietnia 1968

Gdy tylko wszedłem do domu, był telefon z Kancelarii Rady Państwa, od dr. Gaczkowskiego, że musi odebrać auto. Zapytałem, czy przysługują mi trzymiesięczne pobory, odpowiedział, że nie.

Jutro idę do Księdza Prymasa, aby pomodlić się w intencji wszystkich moich spraw. Na tym urywam ten dziennik. W przyszłości opiszę, jeśli będę żył, dalszy ciąg dziejów mojego dramatu politycznego, który na tych kartkach tutaj rozwijałem”.

Przerwa w prowadzeniu dziennika nie była długa. Powrócił do pisania już po miesiącu. Jednakże dalszy ciąg dziennika nie był chyba dla mnie szczególnie interesujący, gdyż wypisałem z niego zaledwie dwa fragmenty. Pierwszy dotyczy wspomnianego już spotkania z Zawieyskim u moich braterstwa:

„8 stycznia 1969

Mimo depresji pisanie prawie przez cały dzień. Po południu wizyta u Brandysów, niezbyt udana. Byłem gorzki. Usposobiony pesymistycznie. Zdjęcie opowiadania w *Twórczości* wprawia mnie wprost w rozpacz. Nie jest też pewne, czy puszczą to opowiadanie w książce... Piszę teraz rzeczy poza dobrem i złem, które wcale mnie nie przejmują. Ale co dalej! Oto pytanie”.

Wiedziałem od Kazików, jak bardzo się przejmował wiszącym nad opowiadaniem o Rejtanie zagrożeniem cenzuralnym. Nie był w tej dziedzinie nowicjuszem, w przeszłości zatrzymywali mu niejednokrotnie różne utwory literackie, ale nigdy nie reagował na to tak silnie jak obecnie. Opowiadanie o Rejtanie stało się jego główną obsesją życiową. Nie mógł mówić o niczym innym. W ogóle był w bardzo złym stanie nerwowym. Podobnie jak jego umiłowanego bohatera sprzed dwustu lat, dręczyły go urojone strachy, nie pozbawione zresztą konkretnych podstaw w otaczającej go rzeczywistości. Bał się czarnego samochodu z długą anteną radiową, tkwiącego przez całą dobę pod jego domem, bądź towarzyszącego mu w czasie poruszania się po mieście. Bał się schodów we własnym domu, bo nie mógł się uwolnić od wspomnienia o brutalnym samosądzie dokonanym na jego kole-dze, Stefanie Kisielewskim. Ilekroć wpadał późnym popołudniem na Nowomiejską do moich braterstwa, Marysia musiała go później wieczorem odprowadzać do jego mieszkania na pobliską Brzozową — i to nie tylko do bramy domu, lecz na górę do samych drzwi. Ale najbardziej gnębiły go jednak kłopoty i lęki

wydawnicze. Odbijało się to na jego sercu i stale skaczącym ciśnieniu.

Ostatni fragment dziennika, jaki przepisałem do mojego notetu pochodzi z 14 kwietnia 1969 roku:

„... W 'Czytelniku', gdzie odniosłem korektę, dowiedziałem się, że wydawnictwo zwleka z drukiem książki 'Pomiędzy plewą i manną'. Istnieje obawa, że cenzura może nie puścić opowiadania o Rejtanie...”.

W sześć dni później — 20 kwietnia 1969 roku, o godzinie czwartej nad ranem dopadła go choroba. Przez całe życie chorował na serce, ale decydujący cios zadała mu zbyt długa i zbyt gwałtownie burzona krew. Wylew w mózgu poraził go częściowym paraliżem (agrafia) i odebrał mu mowę (afonia).

Umieszczono go w lecznicy Ministerstwa Zdrowia (w tej dziedzinie korzystał jeszcze z uprawnień poselskich) na IV piętrze, na oddziale neurologicznym. Męczył się tam przez dwa miesiące. Przyjaciele, którzy go odwiedzali, zgodnie stwierdzali, że najstraszniejsze było to, iż ten strzép człowieka — półsparalizowany, o zniekształconej twarzy, zdolny tylko do nieartykułowanego bełkotu, ani na chwilę nie tracił świadomości. Można to było poznać po jego oczach, po pewnych odruchach, zrozumiałych jedynie dla najbliższych przyjaciół i dla personelu szpitalnego. Zachował też częściową władzę w nogach, dzięki czemu z wielkim trudem i odpowiednią podpórką mógł się poruszać po szpitalnym korytarzu. To było jego szczęściem i zdecydowało o dalszym ciągu.

18 czerwca 1969 roku — w środku nocy — wydostał się ze swego pokoju na korytarz i nadludzkim wysiłkiem, którego wprost pojąć nie mogli lekarze starający się później odtworzyć przebieg zdarzeń, dotarł do otwartych drzwi prowadzących na taras. Potem, podsunąwszy się pod samą balustradę tarasu, podciągnął się na nią i z IV piętra runął na asfalt ulicy. Zabił się na miejscu.

Ludzie dużo mówili o tej śmierci. Na ogół nie wątpiono, że to było samobójstwo. Za tą wersją przemawiały fakty, a ostatecznie potwierdziła ją nieobecność na pogrzebie opiekuna i przyjaciela Zawieyskiego, Wielkiego Prymasa Polski, który w sprawach ochrony życia ludzkiego — tak rodzącego się, jak gasnącego — nie dopuszczał żadnych kompromisów. Jednakże przyjaciele denata uparcie bronili wersji nieszczęśliwego wypadku, nie chcąc wierzyć, że człowiek tak głęboko religijny, jak on, mógł się ważyć na samobójstwo. W rozmowie z jednym z tych przyjaciół pozwoliłem sobie wysunąć przypuszczenie, że mogło być tak, iż tuż przed podjęciem decyzji literacka wyobraźnia Zawieyskiego podsunęła mu obraz bohatera jego opowiadania Tadeusza Rejtana

w chwili, gdy wpychał sobie do ust potłuczone szkło. Może właśnie w tym przypomnieniu umęczona i spragniona śmierci dusza katolickiego członka Rady Państwa znalazła dla siebie usprawiedliwienie i rozgrzeszenie.

Rozważania i wątpliwości związane ze śmiercią autora opowiadania „Między plewą i manną” nie miały zresztą dla sprawy istotnego znaczenia i wkrótce o nich zapomniano.

W jakiś czas później — przy życzliwym poparciu Wielkiego Prymasa — odsłonięto dwie tablice poświęcone pamięci Zawieyskiego, a jego samotny protest w Sejmie zyskał zaszczytne i trwałe miejsce w tradycjach wolnościowych Polaków.

Bo ten trzeci Rejtan — przywołany przeze mnie na Zamek z innej sali sejmowej — był Rejtanem z właściwej strony drzwi.

Okolo drugiej po południu wychodzimy z docentem S. na zalany słońcem Plac Zamkowy. Docent zastanawia się nad przyszłym wykorzystaniem Zamku, uważa, że powinno w nim powstać wielkie Muzeum Historii Polski. Ja dumam o trzech historycznych losach polskich, z którymi obcowałem w zamkowej Sali Sejmowej.

Zatrzymujemy się przed siedzibą Związku Literatów Polskich. Docent S. znowu popada w gwałtowny atak kaszlu. Odwracam głowę i ostatnim spojrzeniem obejmuję Zamek. Nie jest ani trochę ładniejszy niż był z rana, kiedy do niego wchodziłem. Słońce wyjaszcza jeszcze koszmarny różowawy kolor, jakim go obsmarowano. A jednak przepadły gdzieś wszystkie moje poranne zastrzeżenia i wątpliwości. Teraz wiem już na pewno, że Zamek Królewski w Warszawie należało odbudować.

Patrzę na rozkaślanego docenta S. i jestem mu wdzięczny za to, że zwrócił mi uwagę na dwie strony rejtanowskich drzwi. Żeby mu to jakoś okazać, zapraszam go na beźmięsny obiad do naszej stołówki.

Marian BRANDYS

Warszawa, grudzień 1981 r.

Wiersze

Jaan KAPLIŃSKI

POEMAT Z ESTONII

Autor zamieszczonego poniżej wiersza, ur. w 1941 w Estonii, jest Polakiem z pochodzenia i znanym estońskim poetą. Ojciec poety, Jerzy Kapliński, był profesorem literatury polskiej — aresztowany przez policję sowiecką w 1941 r. zaginął bez śladu, a jego syn Jaan został wychowany w rodzinie estońskiej. Alegoryczny „Poemat z Estonii”, przyrównujący Cezara do Rosji, a lud Arverni do Estończyków żyjących pod okupacją sowiecką, stał się rodzajem hymnu narodowego estońskiego podziemia politycznego. Vercingetorix był wodzem Arvernian, celtyckiego plemienia podobitego i wytępnionego przez Rzymian w latach 52-51 przed Chr. W roku 46 przed Chr. sam Vercingetorix został stracony w Rzymie po ostatecznym triumfie wojskowym Juliusza Cezara nad Celtami w Galii. Po starożytnej Arverni i zamieszkującym ją ludzie nie pozostało nic — zachowała się jedynie odmiana starej nazwy, Auvergne, w południowo-środkowej Francji. Dosłowne angielskie tłumaczenie estońskiego tekstu napisanego wolnym wierszem, pióra Lowry Nelsona Jr., zostało mi udostępnione przez najwybitniejszego żyjącego poetę estońskiego, Aleksisa Rannita (ur. 1914, obecnie profesora historii sztuki i sławistyki na uniwersytecie Yale w Stanach Zjednoczonych), za co mu na tym miejscu serdecznie dziękuję.

M. B.

RZEKŁ VERCINGETORIX: Cesarze, możesz
zabrać nam ziemię, na której żyjemy
ale nie tę, na której pomarliśmy.

Rzuciłem ci miecz mój pod stopy:
oto jacy jesteśmy, mój lud i ja.
Wiem jak potoczy się przyszłość.
Martwi są
godni życia w Arverni,
a z pozostałymi
nie pragnę żyć.

Wiem, że przeżyją. Widzę już jak
uczą się mowy swych panów, zapominając ojczystej;
widzę już jak się wstydzą błękitu swych oczu,
swych przodków i swojej niezdarnej mowy;
widzę ich już Rzymianami, tulącymi do piersi
papiery nadania obywatelstwa.

Niechaj tak będzie, Imperatorze: niech będzie w twym państwie
jedna mowa, jedna wiara, jeden lud.
Niech wytyczone zostaną drogi
dla twych żołnierzy, handlarzy, oszustów —
aż po Ultima Thule,
aż po Styx.

Mnie na śmierć biczować będą na Kapitolu,
lecz mej miłości i gniewu
nie zamordują.
Mój gniew będzie żył
aby jak sowa wyhukać w pustocie lat
zgubę na ciebie i twoje zachłanne miasto
Cesarze.
Zemsta wyrośnie jak dąb
z żołądździ twych żądz.

Twe państwo powstanie i padnie.
Pszenicą zarosną twe drogi, a kozy wypasą
Forum.
Dłoń moja i dłoń mego ludu
obali cię —
dłoń zbrojna mieczem Wandali.

Przyjdzie godzina, gdy rzymska pycha
niezdolna będzie zgąć żdźbła przy rzymskiej drodze.
Przyjdzie godzina, gdy wiecznie niesyte miasto
pijawką rozpęknie pod pięścią nadeszłych
ze wschodu, z południa, z północy.

Więc czyń, co zechcesz.
Przystaję na śmierć od maczugi lub miecza,
bo martwi są wszyscy
godni życia w Arverni.

Jaan KAPLIŃSKI

Tłumaczenie (z angielskiego przekładu) Macieja BRONSKIEGO

Ryszard KRYNICKI

SZCZEGÓLNIIE OBRAŹLIWE

— Nie jest prawdą,
że internowanych
przetzymuje się w obozach koncentracyjnych.
Jest to szczególnie obraźliwe dla narodu,
który przeżył okupację —
oświadcza zmilitaryzowany rząd polski
okupowanemu narodowi.

XII, 81

TAK SAMO CIERPLIWIE

Wy, których jedyną siłą
jest przemoc i fałsz,
wiedźcie,
że tak samo cierpliwie,
jak waszą pychę znosimy i gwałt
zniesiemy was
z powierzchni ziemi.

I, 82

Ryszard KRYNICKI

Wiersze wydrukowane w czerwcowej *Kulturze* podpisane ANONIM napisał
również Ryszard Krynicki.

Adam ZAGAJEWSKI

KLĘSKA

Naprawdę
Przyjaźnie pogłębiają się,
umiemy żyć dopiero w klęsce.
Miłość czujnie podnosi głowę.
Nawet rzeczy stają się czyste.
Jerzyki tańczą w powietrzu
zadomowione w otchłani.
Drżą liście topoli.
Tylko wiatr jest nieruchomy.
Ciemne sylwetki wrogów odcinają

się od jasnego tła nadziei. Rośnie
męstwo. Oni, mówimy o nich, my, o sobie,
ty, o mnie. Gorzka herbata smakuje
jak biblijne przepowiednie. Oby
nie zaskoczyło nas zwycięstwo.

CHORĄGIEW

Rano budzę się i próbuję sprawdzić
przy pomocy teatralnej lornetki
jaka chorągiew wieje nad moim miastem
Czarna biała czy popielata jak strach
Czy moje miasto zostało już zdobyte
czy jeszcze się broni czy prosi
zwycięzców o wyrozumiałość czy
nosi żałobę po kilkunastu sekundach
niepamięci czy może ja sam jestem
tą chorągwią tylko nie potrafię jej
zobaczyć tak jak nie widzi się
własnego serca

PETIT

Te wasze wielkie wydarzenia,
ciosy zadane znieścacka,
zwycięskie bitwy, które
toczycie z własnymi braćmi
— zdobyliście już huty i kopalnie,
rozbiliście drzwi naszych
mieszkań, idźcie dalej, teraz
aresztujcie myśli — będą
małały, aż osiągną rozmiar
petitu w przypisach do wierszy Norwida.

KOLCE

Gdyby jeszcze dyktatorzy zechcieli
czytać nasze gniewne, wściekłe i
solidnie opracowane wiersze, poezja
na pewno zmieniałaby świat. Ale
róże także nie znają poświęconych
im utworów. Kolce nie piją krwi.

ON DZIAŁA

On działa, w blasku i w ciemności,
w huku wodospadów i w ciszy snu,
lecz inaczej, niż głoszą wasi
pasterze, pozostający pod dobrą
opieką. Szuka najdłuższej linii,
drogi, która jest tak okrężna, że
prawie niewidoczna. Gubi się
w cierpieniu. Tylko ślepcy, tylko
sowy czują czasem jej nikły ślad
pod powieką.

MOI MISTRZOWIE

Moi mistrzowie nie są nieomylni.
To nie Goethe, który nie może
zasnąć tylko wtedy, gdy w oddali
płaczą wulkany, ani Horacy,
piszący w języku bogów
i ministrantów. Moi mistrzowie
pytają mnie o radę. W miękkich
płaszczach narzuconych pośpiesznie
na sny, o świcie, gdy chłodny
wiatr przesłuchuje ptaki, moi
mistrzowie mówią szeptem.
Słyszę jak drży ich głos.

ACH, CZOŁGI

Ach, czołgi. Chrzastka pod cienką
skórą. Koniec porównywania. Środek
na wymioty, który szaleje po łąkach
i polnych drogach. I nagle wszyscy
poważniają. Ktoś płacze. Gąsienice
zjadają plon, liście. Z tej pustki
wyskakują czarne ziarna i kładą
kres wszelkiemu porównywaniu.

Adam ZAGAJEWSKI

Archiwum polityczne

Falklandy

Rady, jakich eksperci policyjni udzielali mieszkańcom Nowego Jorku w programach telewizyjnych były takie: jeśli ktoś z was zostanie napadnięty na ulicy lub w kolei podziemnej, niech nie próbuje się bronić, ponieważ próba samoobrony narazi go na śmierć lub okaleczenie. Oddaj portfel lub torebkę — radzili z ekranu — w ten sposób ocalisz życie. To nie były rady pod adresem starców lub staruszek. To były rady dla wszystkich. Zdaje się, że aż do ostatnich czasów większość mieszkańców tu-tejszych metropolii postępowała właśnie w taki sposób, nawet bez zaleceń policyjnych pedagogów. Rzeczywistość była najlepszym nauczycielem. Co przezorniejsi nosili w portfelach pewną sumę pieniędzy, zdarzało się bowiem, że bandyta, rozwścieczony zbyt małym łupem albo zgoła pustym portfelem, zabijał swoją ofiarę nawet gdy ta nie stawiała oporu. Logika takiego postępowania ze strony napadniętych była przerażająco prosta. Z jednej strony utrata pewnej sumy — 30 lub 40 dolarów, z drugiej — groźba śmierci. Któż będzie się wahał w obliczu takiej alternatywy?

To, że policja amerykańska i niektórzy działacze społeczni przy współudziale masowych środków przekazu wychowywali ludzi w tym właśnie duchu — rozwijając i racjonalizując w nich przede wszystkim instynkt samozachowawczy i zabijając chęć samoobrony było — według mnie — odbiciem światopoglądu, który od przeszło ćwierćwiecza dominuje w sferach umysłowych tego kraju. Znajdowało to swój wyraz przede wszystkim w postawie kapitulacji w polityce międzynarodowej. Owa polityka wyrażała się unikaniem za wszelką cenę ryzyka konfrontacji militarnej, ośmielając coraz bardziej ZSSR — podobnie jak zasada

oddawania bez oporu możliwie dobrze wypchanego portfela roz-zuchwalała coraz bardziej ulicznych bandytów. Im dłużej działali bez ryzyka, tym bardziej stawali się agresywni. Nie można było przyjąć innej filozofii w konfrontacjach indywidualnych — na ulicy lub w kolei podziemnej, a innej — w konfrontacjach światowych. Obydwie sprawy były wyrazem tego samego spojrzenia na świat. Wyrażało ono nową hierarchię wartości, stanowiącą źródło permanentnych klęsk Zachodu.

Jeśli zaś chodziło o indywidualne bezpieczeństwo Amerykanów, to i tu powstały nowe, rzucające się w oczy analogie. Dojrzałość fizyczna kursujących po ulicach miast rzezimieszków, napadających na sklepy i ludzi, stopniowo się obniżała. Przechodnie bywali napadani i obrabowywani bynajmniej nie tylko przez mężczyzn w kwiecie wieku, ale przez 13-14-letnich wyrostków. Ostatnio właśnie młodzież szkolna stanowiła sprawną kadrę bandycką. Sprawy rozwijały się zgodnie z logiką bezkarności. Kilka miesięcy temu 7-letni chłopczyk, który musiał się wspinać na paluszki, aby dosięgnąć okienka bankowego, obrabował bank, posługując się plastikowym pistoletem. Łup był niewielki (jak na bank). Ot — ponad sto dolarów. Odszedł spokojnie, niezatrzymany przez nikogo, choć urzędniczka niezwłocznie weszła alarm, a w banku był uzbrojony strażnik. Wystarczyło zatrzymać malca i dać mu klapsa, zabierając łup. Najwidoczniej jednak strażnik znał życie. Zbić cudze dziecko? Wyobrażał sobie zapewne, jaki by powstał protest i oburzenie w opinii publicznej. Sprawa trafiłaby pewnie do sądu, strażnika oskarżono by, że wkroczył w domenę praw rodzicielskich, naruszając przywileje konstytucyjne dzieci i rodziców. Mimo to malca wykryto, łup odebrano, a to z racji niedyskrecji chłopca, albowiem działwa lubi się chwalić swymi wyczynami. Oddano go więc pod nadzór ojca — bo mamy nie było. Dobry to musiał być nadzór, skoro w kilka tygodni później próbował obrabować innego chłopca. Tym razem się nie udało, bo już miano na niego oko. Sprawa ta wielu Amerykanów rozśmieszyła. Ale nie wszystkich. Była bowiem sygnałem ślepej ulicy absurdu, w którą zawędrowały społeczeństwa Zachodu. Zresztą od pewnego czasu — chyba od końca ubiegłej dekady — przebrała się czara tolerancji wobec wewnętrznego i międzynarodowego bandytyzmu. Nastąpiło zniecierpliwienie i otrzeźwienie. Nie w formie eksplozji i gwałtownego buntu przeciw światopoglądowi liberalnemu, ale w postaci stopniowego procesu. Jak to się często zdarza, „wychowywani”, czyli szara publiczność, wyprzedzili „wychowawców”. A wychowawcami byli ci, którzy przemawiali z ekranów telewizyjnych i szpalt gazet, kształtując ludzkie postawy według szczytnych zasad umiłowania ludzkości. Bardzo wielu z nich nie zmieniło się

wcale, mimo bolesnych i szokujących doświadczeń. Możliwe, że w ich sytuacji byłoby to wyjątkowo trudne, bo oznaczałoby przyznanie się, że przez wiele lat głosili obezwładniające społeczeństwo absurdy, czyli ogłoszenie własnego filozoficznego bankructwa. Światopoglądowa plaża jest zawsze ciężkim osobistym upokorzeniem. Dlatego takie proste i oczywiste już dla 90 % Amerykanów prawdy jak te, że bandyta nie jest ofiarą systemu (choć niewątpliwie bywa czasami jego produktem) i że *détente* była chyba największym a zarazem najbardziej prymitywnym oszustwem naszej epoki nie utorowały sobie bynajmniej drogi do bardzo wielu komentatorów, rezonujących z telewizyjnych ekranów. Ci dalej nie mogą pojąć co się stało z Anglikami, że dla skrawka wyjąłowanej ziemi falklandzkiej posłali wielką armadę, aby ukarać najeźdźców. Przez długie tygodnie decyzją premiera Wielkiej Brytanii, poparta przytłaczającymi głosami angielskiej opinii publicznej, była dla wielu tutejszych dziennikarzy jakąś niepoważną fanfaronadą. Obecnie, w krytycznej fazie konfliktu, piętnuje się M. Thatcher jako odpowiedzialną za błąd i lekkomyślne szafowanie ludzką krwią dla utrzymania wielkomocarstwowego prestiżu, który Wielka Brytania dawno już utraciła, wyrzekając się swego imperium. Stosując swoje ubogie amerykańskie kryteria moralno-polityczne, dziennikarze wciąż porównują kosztą odzyskania wyspy z jej wartością. U podstaw nie leży rozliczenie handlowe (choć kosztą finansowe też się przy okazji oblicza), ale kalkulacja humanitarna. Ta przeciwstawia liczbę ofiar jakie kontratak angielski spowodował po obu stronach z wartością wyspy, która wraz ze swą nieliczną ludnością jest przecież Wielkiej Brytanii zupełnie niepotrzebna. Ci, którzy wyrażają podobne poglądy, nie mogą pojąć, że przełom, który dokonał się w Anglii jest odbiciem tych samych procesów, które nurtują również amerykańskie społeczeństwo co najmniej od kilku lat; i że oni — biedacy — pozostają grubo w tyle za szarą publicznością. Pytanie, które zapewne sobie stawiają, brzmi: dlaczego właśnie teraz, gdy przez Europę Zachodnią, nie wyłaczając Wielkiej Brytanii, przechodzi wielka fala ruchu pokojowego i antynuklearnego (takiego samego jaki rozpętały Sowiety w roku 1950¹), Anglicy niespodziewanie i „prowokacyjnie” powiedzieli: „Agresja nie może się opłacać. Jesteśmy gotowi umierać za Falklandy”. To nie były pogroźki, którymi tak często w przeszłości szafowali Carter i niestety ostatnio również Reagan. Anglicy umierają za Falklandy. Aneksja ich przestała się opła-

1. O ofensywie pokojowej, wielkiej kampanii antynuklearnej i roli Sowieców w inicjowaniu tej imprezy pisze bardzo wnikliwie i wyczerpująco Władimir Bukowski w majowym numerze nowojorskiego miesięcznika *Commentary*.

cać argentyńskiej juncie. Nie dlatego, że Argentyna straci w tym konflikcie ponad 1.000 ludzi, a może i więcej. Szacunek dla życia ludzkiego jest cnotą społeczeństw zachodnich. W Trzecim Świecie, do którego należy Argentyna, jest on znacznie mniejszy². To, co przywódcom argentyńskim spędza sen z powiek, to nie straty w ludziach, ale perspektywa utraty władzy i konieczność spłacenia rachunku wobec własnej opinii nie tylko za bezustanne jej okłamywanie, ale i za oczywiste i wieloletnie kneblowanie jej głosu. Wątpliwe, czy za to wszystko będzie można uczynić odpowiedzialną Amerykę, choć starania w tym kierunku są już widoczne. Na razie obydwa panowie: Costa Mendez — minister spraw zagranicznych Argentyny i gen. Leopoldo Galtieri — szef junty, usiłują najwyraźniej w świecie odwrócić przysłowiowego kota ogonem, nazywając napastnikami tych, którzy zbrojnie starają się odzyskać zagrabioną ziemię. Ale zaciemnianie prostej sprawy — kto jest napastnikiem, a kto ofiarą — nie jest bynajmniej monopolem władz argentyńskich. Mnóstwo amerykańskich komentatorów zajęło jeśli nie identyczne, to bardzo zbliżone stanowisko. Rządowi angielskiemu zarzucano, że doprowadził do „eskalacji” konfliktu, bo z powodu zajęcia nieważnych i niewielkich wysp posłał wielką flotę. W zarzucie tym była oczywista hipokryzja, bo wszyscy wiedzą, że pani Thatcher nie mogła ich odzyskać, posyłając łódź patrolową. Mogła zrobić wszystko — albo nic. Złe postąpiła Argentyna — powiadają niektórzy panowie w TV — zajmując zbrojnie Falklandy, ale jeszcze gorzej uczyniła Anglia, wysyłając armadę. Innymi słowy: jeśli dostaniesz po twarzy, nie musisz koniecznie nadstawiać drugiego policzka, ale zachowuj się tak, jakby się nic nie stało. Wszystko jedno o co toczy się walka; ważne jest, żeby jej nie było, by na świecie panował pokój. Napadniętemu wolno być tylko ofiarą, która co najwyżej może dochodzić swych praw w międzynarodowych organizacjach i trybunałach, nie mających mocy wykonawczej. Tylko wówczas zasłuży na współczucie i sympatię świata. Tak brzmiało i brzmi credo pacyfistów, które w zastosowaniu do Wielkiej Brytanii zajął również rząd Irlandii, zarzucając Anglii, że zatapiając argentyński krążownik zamieniła się z napadniętego w napastnika. Rząd Irlandii, chcąc zadowolić uczucia swej ludności, która ma liczne i aż nadto zrozumiałe powody, by Wielkiej Brytanii nie darzyć sympatią, mógł oczywiście zająć wobec Anglików stanowisko wroga. Nie musiał go jednak wspierać tak jaskrawo głupimi argumentami.

Na szczęście stanowiska Irlandii nie podziela większość państw

2. Ta asymetria bywa rozmaita. Z pewnością jeszcze mniej liczy się życie ludzkie w Afryce i Azji.

NATO i EWG. A ponieważ w Europie Zachodniej odbywa się wszystko gromadnie, możemy mieć nadzieję, że skoro Anglików poparli Francuzi, Holendrzy, Norwegowie, Belgowie, a nawet Niemcy Zachodnie (jak podejrzewam bardzo niechętnie), sytuacja daje szansę radykalnych zmian w postawie całego Zachodu. Myślę, że reakcja Anglii wzmocniła wśród narodów Europy poczucie siły i własnych możliwości obronnych. Bo z polskiego punktu widzenia nie pragniemy wcale, żeby Anglicy i inne narody Europy Zachodniej chciały umierać za Gdańsk i Warszawę, jak to było w 1939 roku. Broń Boże. Wystarczy, że będą gotowi umierać za swoje miasta i swoje zamorskie posiadłości, zagrożone „wyzwoleniem” z rąk Sowietów lub innych napastników. Jeśli będą gotowi umierać i pokażą gotowość ponoszenia ryzyka tak jak Anglia, „by agresja przestała się opłacać agresorowi” — nie będą musieli umierać wcale, bo Sowiety nigdy na nich nie uderzą, ani bronią nuklearną ani konwencjonalną. Wraz z poczuciem własnego bezpieczeństwa skończy się również szantaż atomowy. Ten ostatni można stosować tylko wobec narodów permanentnie przestraszonych.

Oczywiście, gdyby dzięki zdecydowanej akcji Wielkiej Brytanii Zachód uzyskał jedynie zabezpieczenie przed następnymi aktami agresji, nie byłoby to dla ludów podległych Kremlowi żadnym szczególnym powodem do radości, ponieważ taki pokój światowy (będący skądinąd marzeniem przemysłowego Zachodu) stabilizowałby istniejący podział świata. Na szczęście dla narodów podbitych, tego rodzaju stabilizacja jest w praktyce nie do zrealizowania. Sedno sprawy tkwi bowiem w tym, że świata nie można podzielić w taki sposób, który by zadowolił Sowiety. To nie awanturnictwo pcha ich do podbojów. Staruszkowie zasiadający na Kremlu nie lubią awantur i starają się zredukować konieczne ryzyko do minimum. Logika samego systemu sowieckiego, który nie może współistnieć z systemami bardziej wydajnymi i ofiarującymi ludziom więcej swobód, pcha go do podbojów. Odcięcie mu tej drogi stanie się czynnikiem, przyspieszającym rozkład Imperium.

Tak, ale przecież napadu na Falklandy dokonały nie Sowiety tylko Argentyna, a raczej jej dyktatorsko-wojskowy reżym, i nie ma dowodów, że za plecami tej imprezy stało sowieckie Politbiuro. Zgoda. Nie tylko nie ma dowodów, ale w ogóle nie myślę, by w inicjowaniu tej imprezy Sowiety maczały palce. Włączyły się później, gdy poczuły, że sprawa falklandzka poprzez spłot przyczyn i skutków może zagrozić ich planom podporządkowania sobie świata.

Kłopoty junty argentyńskiej — inflacja, zadłużenie (sięgające 30 miliardów dolarów przy 25 milionach ludności) — zmusiły

ją do próby przedłużenia swojego żywota przy pomocy sztucznie montowanej „jedności narodowej”. Falklandy tak są Argentynie potrzebne, jak ziemia Franciszka Józefa — Austrii. Natomiast bardzo dobrze nadawały się do stworzenia Frontu Narodowego, którego żywot byłby zresztą równie krótki zarówno w wypadku klęski jak i w wypadku sukcesu. Nieprawdą jest, co powtarza za prof. Brzezińskim komentator telewizyjny CBS Dan Rather, że to Stany Zjednoczone, a ściśle Reagan stworzył polityczny klimat, sprzyjający agresji argentyńskiej (poprzez konspirację z dyktatorskimi reżymami Ameryki Łacińskiej, skierowanymi przeciw penetracji sowieckiej). Do aneksji Falklandów skłoniło juntę przekonanie, że cała zachodnia Europa, a w szczególności państwa NATO niezdolne są do żadnej inicjatywy zbrojnej, a już na pewno nie jest do niej skłonny rząd angielski, wyczerpany problemami ekonomicznymi, nękany opozycją komunizującej Partii Pracy pod przewodnictwem Foota i niezdolny do karkołomnej wyprawy, by odebrać napastnikom wyspy, odległe od Europy o tysiące mil. Do takiej oceny kompletnej indolencji NATO, a w szczególności Anglii, na pewno nie przyczynił się Reagan. Jeśli się przy tej okazji dostrzeże, że mylna kalkulacja junty miała w tym wypadku swoje obiektywne racje, to genezy całej sprawy na pewno należy szukać nie w polityce Reagana, ale w 25-letniej akcji rozbijania Zachodu, w której niebłahy udział miał ex-prezydent Carter. W ten sposób junta argentyńska stała się bezwolnym narzędziem historii, która już nieraz płałała złośliwe figle kandydatom do panowania nad światem. Zamiast upokorzyć Anglię, która miała tę gorzką pigułkę przełknąć gładko i bezboleśnie, junta Galtieriego podkurzyła stado zszerszeni. I tu tkwi chyba jakaś historyczna zasługa gen. Galtieriego i jego pomocników.

Groźne dla globalnych planów sowieckich implikacje konfliktu falklandzkiego zrozumiała bardzo dobrze Moskwa — choć nie od razu i być może trochę za późno. W przeciwnym razie zawetowałaby uchwałę ONZ nr 502, nakazującą Argentynie opuszczenie Falklandów. Obecnie, gdy junta stoi w obliczu klęski militarnej, Sowiety są tym bardziej zdenerwowane. Fakt, że arsenał NATO został zmniejszony o pewną liczbę jednostek brytyjskich, zatopionych przez odważnych pilotów argentyńskich; fakt, że stosunki między Stanami Zjednoczonymi i państwami Zachodniej Europy a wieloma krajami Ameryki Łacińskiej uległy pogorszeniu, nie równoważy ciężkiego ciosu jakiego doznały Sowiety na skutek zaktywizowania Europy w wyniku przykładu Anglii, która pokazała, że można walczyć z agresją w skrajnie niepomyślnych warunkach geograficznych. Jeśli determinacja angielska, zgodnie z moim optymistycznym wnioskiem, spełni rolę roz-

budzającego zapłonu w stosunku do Europy i Japonii, ewentualne straty angielskie okażą się w ostatecznym bilansie atutem, jaki Zachód zdobył wobec sowieckiego adwersarza. Albowiem rozbrojenie moralne Zachodu, pacyfistyczna fala, która go zalewa, jest niczym innym jak eufemistycznym określeniem kapitulacji, groźnym memento nadchodzącej klęski. Arsenale dadzą się zawsze odbudować. Potęgę materialną z pewnym trudem można zawsze przywrócić. Znacznie trudniej natomiast wzbudzić w narodach wolę walki, gdy ją raz utraciły. Zatwardziali przeciwnicy kontr-inwazji angielskiej usiłują dostrzec w niej jedynie ciężkie straty polityczne, jakie poniosły Stany. Okiem złowrogich ale krótkowzrocznych proroków przewidują zastąpienie antykomunistycznych dyktatur w takich krajach jak Chile, Argentyna i Brazylia przez podporządkowane Moskwie reżymy. Nie wykluczam, że Moskwa będzie się o to starać mimo klęski w Salwadorze. Znacznie jednak prawdopodobniejsze jest, że wysiłki sowieckie pójdą w innym kierunku. Wymienię tu dwie przyczyny: Sowietom mniej obecnie zależy na instalacji „demokratyczno-rewolucyjnych rządów” między innymi dlatego, że coraz trudniej im utrzymywać kosztownego klienta i posłusznego wasala — Kubę. Nowe reżymy podobne do kubańskiego wymagałyby dużych zastrzyków finansowych, na które Kreml obecnie nie stać. Drugą przyczyną to „właściwości terenu”, czyli trudności w narzucaniu komunizmu ludom Ameryki Południowej. Te przeszkody krzyżują się z podstawowym celem sowieckim, jakim jest ukazywanie Ameryki jako wroga Nr 1 świata — co bynajmniej nie wymaga narzucania ludom tej strefy sowytyzmu. Przykładem służyć może Iran ze swymi ultra-reakcyjnymi rządami mułłów i patologiczną nienawiścią do Ameryki. Oczywiście w katolickich Łatynosach trudno byłoby wzbudzić nienawiść do Ameryki metodą ayatolli, przedstawiając ją jako dzieło i instrument szatana i syjonizmu. Natomiast wzniecając coraz bardziej nacjonalizm narodów tej strefy, cierpiących ustawicznie na kompleks niższości wobec Ameryki, nietrudno będzie rozpętać falę nienawiści do Waszyngtonu. Czyni to już obecnie p. Costa Mendez, którego posadzie ministra spraw zagranicznych nie wróć długiego żywota. P. Costa Mendez, który przez cały czas zapewniał reporterów, że działania wojenne rozwijają się doskonale, po Konferencji Paktu w Rio³ oświadczył, że znacznie większe oburzenie

3. Pakt w Rio zobowiązywał państwa Ameryki Południowej oraz Stany do wspólnej akcji w wypadku agresji ze strony jakiegos państwa wschodniej hemisfery. Ponieważ — jak stwierdził Alexander Haig — agresja nastąpiła ze strony kraju Ameryki Południowej, Pakt z Rio nie może mieć zastosowania. Nie chcąc jednak psuć do ostatka stosunków z niektórymi krajami Ameryki Łacińskiej, Stany Zjednoczone nie odrzuciły rezolucji przyjętej przez 16 delegatów, ale wstrzymały się od głosu.

niż Anglia wzbudzają w nim i jego rodakach Stany Zjednoczone. Anglia była otwartym przeciwnikiem Argentyny, zaś Waszyngton okazał się zdrajcą, którego wielotygodniowe pośrednictwo było tylko dymną zasłoną planowanej zdrady. O tym, że na pół dnia przed argentyńską inwazją Falklandów prezydent Reagan odbył blisko godzinną rozmowę telefoniczną z gen. Galtierim, pragnąc go odwieść od tego kroku i przestrzegając go dokładnie przed tym, co nastąpiło — mianowicie decyzją Anglii zbrojnego odzyskania wyspy — Costa Mendez nie wspominał ani słowem.

Nie ulega też wątpliwości, że Argentyna, a może również i inne kraje Ameryki Południowej zyskały w Sowietach obrońcę i protektora przed „agresywnymi” planami Anglosasów. Poza komunikatami TASS-a wymowne było pod tym względem przemówienie na Radzie Bezpieczeństwa (zwołanej po raz drugi) delegata sowieckiego Olega Trojanowskiego. Przestrzegając Anglię, że „nie ma już powrotu do epoki wiktoriańskiej”, Oleg Trojanowski przycisnął Argentynę miłośnie do sowieckiego stalowego łona. Czy uściski te zostaną przyjęte z wdzięcznością i uznaniem, nie będzie już prawdopodobnie zależało od obecnej junty lecz od jej następców.

Zbigniew BYRSKI

Nowy Jork, 31 maja 1982

Widziane z Brukseli

DWAJ EWANGELIŚCI Z ZACHODU

Motto: „Włożenie głowy w piasek nigdy jeszcze nie uchroniło strusia od dostania kopa w d...”

Przeczytane gdzieś...

Pierwszy ewangelista

P. Billy Graham sam siebie nazywa skromnie „ewangelistą”, ale przez innych uważany jest za najślawniejszego baptystowskiego kaznodzieję na świecie. Od niedawna podziwiany jest także przez ZSSR. P. Graham przeszedł kolosalną metamorfozę. W latach 50-tych szerzył swe słowo w duchu wyłącznie antykomunistycznym, i to w takim tonie, że tyrady Mac Carthy'ego brzmiały przy nim jak psalmy niedzielne. Ostatnio przejrzał i przyjął zaproszenie na zorganizowaną (oficjalnie) przez metropolitę w Moskwie (tu głębszy oddech): „Światową naradę ludzi

religii dla obrony świętego daru życia przed katastrofą atomową”.

Nic nie potrafiło zachwiać wiarą Grahama w uczciwość intencji organizatorów: ani cenzura przemówień, ani otoczenie świątyni — gdzie ewangelista miał kazać — podwójnym kordonem policji (nie licząc „wiernych” w cywilu), ani jazdy samochodem „Czajka” (typ *décapotable*) przeznaczonym dla dygnitarzy z Kremla podczas gdy inni „ludzie religii” wożeni byli masowo i zbiorowo w zwyczajnych autobusach, ani duże porcje kawioru, który dostawał przy każdym posiłku, „na który w USA — jak zauważył ewangelista — mogą sobie pozwolić jedynie milionerzy” (że niby w ZSSR byle robotnika...).

Billy Graham zaprosił dziennikarzy akredytowanych w Moskwie aby podzielić się z nimi takimi właśnie wrażeniami. Powiedział, iż w ZSSR panuje wolność religijna znacznie większa niż się spodziewał, że ludzi w cerkwi moskiewskiej było więcej niż w jego rodzinnym mieście Charlotte i potwierdził, że powołał się na jednego z apostołów, aby wezwać sowieckich wiernych do posłuszeństwa wobec władzy. Zapytany co myśli o aresztowaniu młodej dziewczyny, która usiłowała rozwinąć transparent z informacją iż „150 baptystów, braci Grahama, jest w gułagu” z powodu swych praktyk religijnych, ewangelista odpowiedział, iż w USA także aresztuje się ludzi nawet w kościołach, kiedy nie zachowują się jak należy. P. Graham z dumą zakomunikował iż przyjęty został na Kremlu przez wysokich przedstawicieli władzy, pp. Ponomarewa i Arbatowa. „Mimo — powiedział Graham — że nie jestem specjalistą od spraw sowieckich, to wyniosłem przekonanie, że moi rozmówcy byli najzupełniej szczerzy”. Graham — nie specjalista — dodał na pożegnanie, że tak jak USA i ZSSR byli w czasie drugiej wojny światowej sojusznikami w walce ze wspólnym przeciwnikiem, tak i dziś powinni wspólnie się przeciwstawić groźbie wojny nuklearnej.

Prosto z Kremla p. Graham udał się do Buckingham Palace, gdzie książę Filip wręczył mu czek na 200.000 dolarów. Była to nagroda za „szerzenie wiary”, najwyższa nagroda religijna na świecie. Nagrodę p. Graham powinien był rzeczywiście dostać. Ale nie za szerzenie wiary, a za sianie zamętu, i nie w Londynie, a w Moskwie. I powinien ją być natychmiast przeznaczyć z jednej strony na pomoc dla prześladowanych baptystów w ZSSR, a z drugiej na zapobieganie szerzeniu się bakcyli choroby „grahamizmu”, swoistej odmiany pacyfizmu, ślepoty i głupoty, zakładającej moralną symetrię między ZSSR i USA, między demokracją a sowytyzmem.

Drugi ewangelista

— 10 już lat Pan wydaje swoje Zeszyty Samizdatu, nazbierało się tego 85 numerów, ale do Grahama ani jeden egzemplarz jeszcze nie dotarł. A przecież Graham to nie jedyny przykład bała-

muctwa czy manipulactwa. Każdy numer Zeszytów to spora porcja „świadków oskarżenia” systemu sowieckiego, pańskim celem było otworzenie oczu ludzi z Zachodu na sowiecką rzeczywistość. A tymczasem po 10 latach nawet taki Graham ma oczy zamknięte, co dopiero mówić o tzw. zwykłych ludziach. Détente ma też mniej więcej 10 lat, tak jak pańskie Zeszyty, ale zachowanie się Zachodu wobec inwazji na Afganistan, nie mówiąc już o puczu w Polsce, nie świadczy, aby Zachód czytał Zeszyty i rozumiał istotę sowieckiego totalitaryzmu.

— Rzeczywiście, ale jakaś wymierna ocena wpływu pisma typu Zeszytów Samizdatu na opinię publiczną jest właściwie niemożliwa. Graham to nie jedyny przykład ślepoty, naturalnie, mógłbym jednak przytoczyć sporo danych odwrotnych. Przypuszczam, że w pewnym stopniu, mimo skromnych środków i na przekór ogromnej robocie propagandowej i dezinformacyjnej Moskwy, udało się nam, przekazując opinii pewną dawkę informacji o sowieckiej rzeczywistości wpłynąć jednak na stan świadomości Zachodu. Skoro już Pan spina dziesięciolecie *détente* i naszych Zeszytów, to pozwól sobie zauważyć, że kiedy w 1972 roku, na trzy lata przed konferencją helsińską, ukazywał się nasz pierwszy numer, na złym papierze, wadliwie wydrukowany itp., niewiele osób łączyło pojęcia stosunków międzynarodowych i praw człowieka. Jeżeli natomiast dziś — także np. w kontekście polskim — Zachód zdaje sobie lepiej sprawę z tego, że nie będzie *détente* politycznej bez *détente* ludzkiej, to jest w tym także, *toute proportion gardée*, troszeczkę naszego wkładu... W Kulturze nie wypada może o tym wspominać, ale skoro Pan pyta...

O czym mowa? Co ma strus do Grahama i to w Kulturze widzianej z Brukseli? Ma.

Jedno z nielicznych pism sowieckiej opozycji, wychodzące regularnie 10 razy do roku, najzupełniej legalnie, bez najmniejszej cenzury, na dobrym papierze, dostarczane normalnie pocztą do domu, redagowane przez ludzi o nazwiskach i adresach znanych policji, a mimo wszystko pracujących bez ryzyka deportacji do gułagu czy internowania w szpitalu psychiatrycznym, wychodzi w Brukseli już 10 lat, po francusku, pod redakcją 50-letniego arystokraty belgijskiego, przez 5 dni w tygodniu urzędnika pewnej, nic wspólnego nie mającej z polityką, nierządowej organizacji międzynarodowej, a w czasie *week-end'u*, świąt, a często i wakacji, wydawcy, redaktora, sekretarza redakcji i administratora pisma pod nazwą *Les Cahiers du Samizdat* czyli Zeszytów Samizdatu.

Co to jest samizdat czytelnikom Kultury tłumaczyć nie należy. Warto natomiast im wytłumaczyć, kto to jest Antony de Meeus i dlaczego, choć mógł spokojnie uprawiać swój ogródek i myć, jak każdy Belg, samochód w soboty, to on właśnie stał się pierwszym nie-Rosjaninem, oddanym naprawdę sprawie otwierania oczu rozmaitym Grahamom i innym spryciarzom oraz

po prostu zwykłym niepoinformowanym ludziom na Zachodzie. Dziennikarze czy intelektualiści zamiast mu po prostu pomóc, co jakiś czas oddają temu „dziwakowi” tzw. hołd, prześcigają się w wymyślaniu alegorycznych nazw takich jak „archeolog prawdy o sowieckim imperium”, itp. W istocie rzeczy on sam jest szalenie skromny, dziwi się kiedy ktoś mu prawi komplementy i zależy mu naprawdę jedynie na tym aby jego Zeszyty trafiły pod strzechy, albo przynajmniej na biurka. Kulturę podziwia, mimo że to nie model dla niego, żałuje że nie może czytać w oryginale. „Nauczyłem się po rosyjsku, mówi, ale nie przesadzajmy, po polsku nie umiem”.

— No dobrze, ale co Pana, człowieka z dobrego domu i dobrego pochodzenia społecznego to wszystko obchodzi?

— Ludzki los mnie interesuje, może taki mam charakter. W każdym razie rozumiałem, że jest jeszcze inny świat, straszny, że ludzie cierpią, że trzeba o tym mówić, bo nam z powodu znieczulicy grozi podobny los! Z niewielką grupką ludzi — też właściwie nie wiadomo jak dobraną — był tam były generał z belgijskiego ruchu oporu, był holenderski profesor, kilku brukselskich intelektualistów katolickich itd. — postanowiliśmy zacząć mówić o tym co się dzieje na Wschodzie, ale nie na zasadzie opowiadań z trzeciej ręki, nawet dziennikarskiej, a na zasadzie dokumentów. Tak się narodziła idea Zeszytów Samizdatu, który wchodził wówczas w swoje najpłodniejsze lata. Wychodziła „Kronika Wydarzeń Bieżących”, powstały podobne wydawnictwa na Litwie, na Ukrainie, szła konferencja helsińska i z nią rodziły się „Grupy Praw Człowieka”, po Tarsisie zaczęły dochodzić nowe świadectwa działalności „KGB-owców w białych kitlach”. Było w czym wybierać, było — *hélas* — o czym mówić. W 1972 roku wydaliśmy pierwszy numer Zeszytów, potem opublikowałem większe studium oddzielnie na temat psychiatrii, i tak się zaczęło. Samizdatowe dokumenty i świadectwa pozostałyby przecież nieznane gdyby nie były tłumaczone, opracowane i udostępnione zachodniemu czytelnikowi... Dziś kłopot polega na wyborze, tak dużo tego przychodzi i to mimo, że postanowiliśmy drukować dokumenty wyłącznie społeczno-polityczne, a w ogóle nie uwzględniać samizdatowej twórczości literackiej, no i czerpać wyłącznie z oryginałów, to znaczy z dokumentów, które najpierw ukazały się w ZSSR, a nie korzystać z pośrednictwa emigrantów, chociaż jest to przecież potencjalnie kolosalne źródło...

— Właśnie przeczytałem w zaprzyjaźnionym, poważnym piśmie, że promocja Andropowa na najpewniejszego kandydata do sukcesji Breżniewa, to najlepsza wiadomość jaka do nas dotarła od bardzo wielu lat z Moskwy. Andropow rzekomo, według pana profesora z Waszyngtonu, to reformator i liberał. A czy to nie właśnie ten liberał zlikwidował całą opozycję, wszystkich dysydentów, sprawił, że Wasze źródła wyschły?

— Profesor z Waszyngtonu prawdopodobnie nie czyta *Zeszytów* bo wiedziałby, że Andropow to taki „liberał”, który zamiast masowego terrorku i egzekucji, stosuje terror selektywny. Ale Pan też nie czyta *Zeszytów*, chociaż je Pan dostaje, bo wiedziałby Pan, że mimo „liberała” źródła nie wyschły. Dziś już nie wystarczy zamknąć kilku dysydentów, aby odebrać głos opozycji. W Polsce zresztą, *toute proportion gardée*, jest podobnie. Cała góra „Solidarności” siedzi, ale prasa niezależna wychodzi, nawet radio zdaje się mają. Otóż w ZSSR — i jest to szalenie ważne zjawisko — na miejsce aresztowanych działaczy grup helsińskich, psychiatrycznych czy religijnych, pojawiają się natychmiast nowi. Dziś już nie podają nazwisk ani adresów, ale są i działają. Dokumenty ukazują się tam i przychodzą do nas znowu. Rezerwa ludzka jest przecież niewyczerpana, reszta to sprawa odwagi. W każdym razie, zapewniam Pana, a jest to stwierdzenie ważne, że Wasz stereotypowy pogląd na społeczeństwo sowieckie, jako na amorficzną masę, bez ducha, bez aspiracji i bez odwagi, nie odpowiada rzeczywistości. W swojej gazecie ogłosił Pan niedawno definitywną zagładę grupy helsińskiej i komitetu zajmującego się nadużyciami psychiatrycznymi. Pan się omylił. Właśnie dostaliśmy nowy biuletyn SMOT, choć już go Pan uziemił, nowy numer *Kroniki* z Moskwy. *Kronika* z Litwy właśnie obchodziła 10-lecie. W końcu roku 1981 ogłosiła ona pracę na temat „Kulturalnego ludobójstwa na Litwie”. Tekst ten właśnie dotarł na Zachód, kilka miesięcy po skazaniu jego autora Wytutasa Skoudisa na 12 lat gułagu.

— To przecież brzmi jak nekrolog. Wystarczy, aby Pan opublikował jakieś nazwisko, aby KGB wkroczył do akcji. To szalone ryzyko. I jaka odpowiedzialność. Czy Pan wie, co Pan robi?

— Tak. To nie z *Zeszytów* KGB poznaje nazwiska dysydentów. Jest, przypuszczam, odwrotnie. *Publicité* na Zachodzie może czasem stanowić coś w rodzaju muru ochronnego. To, oczywiście, nie dzięki *Zeszytom*, ale sprawa Sacharowa jest tu najlepszym przykładem. Wygrał swą głodówkę przeciw Kremlowi w sprawie paszportu dla Lizy tylko dzięki zainteresowaniu jakie mu towarzyszyło w prasie zachodniej. Kreml skapitulował, bo nie warto było powiększać skandalu. Rok przedtem głodówkę prowadził w obozie w Wołogdzie estoński profesor Iuri Kukk, ale on tam leży w mogile nr 2774, bo nim prasa zachodnia nie miała już czasu zająć się należycie.

— Ma Pan do nas o to pretensję?

— Nie. I nie o to chodzi. Masowa prasa zachodnia ma oczywiście wiele zmartwień. Zresztą — nie przesadzajmy, hałas nie zawsze wystarczy, żeby uratować ludzi. Gdyby tak było, życie byłoby łatwiejsze. Faktem jednak jest że Zachód nie jest do-

kładnie i właściwie poinformowany o tym co się dzieje w ZSSR. A przecież nie można skutecznie wywierać nacisku na władze sowieckie, jeżeli zachodnie społeczeństwo nie jest odpowiednio uwrażliwione, a nie może ono być odpowiednio uwrażliwione, jeżeli nie jest we właściwy sposób poinformowane. To jest właśnie cel naszej roboty, o to nam chodzi, chodzi więc o to aby Wam także o to chodziło.

— Dlaczego Pan mówi tylko o prasie, a gdzie są władze, rząd? Władze gwiżdżą na *Zeszyty*. 10 lat już wydaje Pan swoje pismo po francusku, a tu właśnie francuski „spacjonauta” (Francuzom nie odpowiadał naturalnie ani astronauta ani kosmonauta) poleciał (w chwili pisania tych słów jeszcze nie poleciał) w przestrzeń na pokładzie Saliuta w towarzystwie sowieckich pułkowników. Gdzie jest wrażliwość, czyżby rząd francuski nie był we właściwy sposób poinformowany o stosunku liberałów typu Andropowa do praw człowieka i obywatela w kraju, który wysłał Saliuta i Sojuz.

— Przepraszam bardzo, Pan myli pojęcia. My w *Zeszytach* nie mamy wcale złudzeń co do naszych możliwości wpływania na rządy zachodnie. To Wasza sprawa, wielkiej prasy, a nie naszego skromnego pisemka. Naszym adresatem jest opinia publiczna, my chcemy stanowić pomost, ułatwić kontakt nie między rządami, oni nas do tego nie potrzebują, a między społecznościami...

— To właśnie są złudzenia. Panu się tylko zdaje, że łatwiej jest nawiązać kontakt między społecznościami niż między rządami. W istocie jest znacznie trudniej...

— A jednak się kręci. Nie chcę robić bilansu, zresztą w porównaniu z *Kulturą* nawet nie wypada. Ale chciałbym przypomnieć tylko, że „wystreliliśmy” w *Zeszytach* kilka wielkich spraw, które nie będzie łatwo wyrwać z zachodniej duszy i pamięci. A może i z zachodniego sumienia. *Zeszyty* pierwsze zajęły się poważnie nadużyciami w sowieckiej psychiatrii, ujawniły dramaty niektórych mniejszości narodowych mniej znanych niż Tatarzy, Niemcy znad Wołgi czy Żydzi, np. masową deportację Jagnobów, tadżykistańskich górali w końcu lat 60-tych, gułagowe obozy dla inwalidów (już się tym zajmuje specjalny komitet we Francji), „konfiskatę” dzieci z rodzin wierzących, przede wszystkim baptystów...

— ...tego Graham też nie wiedział...

— Widocznie. No i wreszcie, a chyba przede wszystkim, ogłosiliśmy po francusku cały raport prof. Juri Orłowa, skazanego na 12 lat gułagu za działalność w grupie helsińskiej w Moskwie, na temat świata sowieckich obozów koncentracyjnych.

— *Liberał Andropow osadził tam 2% ludności ZSSR, ale Orłowa ciągle wśród nich figuruje. Świat, który się dowiedział od Orłowa o tych 2%, nie potrafił nawet uratować jednego promila z promila, to znaczy samego Orłowa. A przecież świat był poinformowany i zgodnie z Pańską tezą, powinien być uwrażliwiony.*

— Powinien, mimo wszystko nadal na to liczymy. Jednym z naszych wielkich *dossiers* była sprawa pracy więźniów politycznych na tzw. wielkich budowach socjalizmu, np. magistrali Amur-Bajkał. Obecnie dowiedzieliśmy się, że także na linii nowego *pipeline'u*, którym ma płynąć życiodajny gaz z Syberii do Zachodniej Europy, pracują więźniowie.

— Pan rzeczywiście sądzi, że taki drobiazg może wzruszyć dziś kogoś, że firma Ruhrgaz, albo Manesmann czy p. Hammer, albo nawet p. Mauroy, ten który porównywał dramat Polski z dramatem francuskich abonentów gazu, że oni wszyscy odmówią „dywersyfikacji” zaopatrzenia w energię tylko dlatego, że dostawa kosztuje kilka żyć sowieckich więźniów?

— Nie, oni się nie wzruszą, ale znam ludzi, których to obchodzi. Szukamy właśnie zachodnich inżynierów — a są tacy, którzy coś na ten temat wiedzą — żeby się ujawnili...

— O czym Pan chce Zachód przekonać? Przecież Bukowski od dawna, a także Pański współpracownik Liubarski, też były zek, poprzywozili masę dowodów na istnienie „eksportowej” produkcji gułagu. Pan nie chce uznać siły zachodniego odrzutu sowieckiej rzeczywistości. Nazywają Pana „archeologiem prawdy o ZSSR”, to bardzo wzruszające, ale przecież Pan wie, że archeologia nie porusza tłumów. Teraz, niedawno, statek pacyfistów Greenpeace zarzucił kotwicę w porcie Leningradu, skąd trzeba go było siłą odholować. Oficjalny sowiecki komitet pokoju obiecał tylko, że nada ich depezę do Breżniewa, ale potępił wysłanie dywersyjnych baloników z prowokacyjnym napisem „Pokój”. Kilka tygodni przedtem, włoski poseł do parlamentu europejskiego Marco Panella, figura folklorystyczna, ale uczciwszy ewangelista od samego Grahama, zorganizował równoczesną akcję w kilku stolicach Wschodu. Chodziło mu bardziej o miliony umierających z głodu w rozmaitych Sahelach niż o pacyfizm, ale i tak manifestacja jego „komando” trwała np. na Placu Czerwonym tylko 100 sekund, co nawet na KGB było dość sprawną operacją. A przecież ci sami, mimo tego typu doświadczeń, manifestowali przeciwko Reaganowi i amerykańskim raketom w czasie i po prześmiesznym cyrku urządzonym przez francuskich socjalistów w pałacu Ludwika XIV, ale bez królewskiego gustu, a zwłaszcza bez jego kobiet. Jak długo Europa zachodnia, a zwłaszcza jej młodzież, nie nauczy się odróżniać niebezpieczeń-

stwa sowieckiego od amerykańskiego, jak długo stawiać będzie obie te cywilizacje na jednej płaszczyźnie, tak długo wszystkie Zeszyty będą mało skuteczne.

— A jak ich przekonać? Czy Panu i wielkiej prasie to się udało? Społeczności zachodniej brak właściwie nie tyle dokumentów potwierdzających okrucieństwo systemu sowieckiego — co właśnie jest zadaniem Zeszytów — a brak podstawowej orientacji politycznej, to znaczy właśnie tego co powinna Pańska prasa mu dać, a bez czego nie może powstać zainteresowanie suchymi dokumentami prawdy.

— *Wielka prasa robi co może, ale nie może zmusić czytelnika do czytania ani nawet do słuchania. Niedawno razem braliśmy udział w poważnej na pozór imprezie międzynarodowej. Teoretycznie każdy z nas powinien był mieć audytorium złożone z 40 przedstawicieli 15 narodów. U siebie doliczyłem się tylko czterem, z czego kilku rozmawiało, a kilku spokojnie spało. Ale najgorsi byli ci, co nie spali. Pytania, jakie Panu zadawali świadczyły, że oni także nie czytają Zeszytów.*

— Rzeczywiście, ale przynajmniej miałem kilka pytań.

— Jak wiem, ma Pan nowy pomysł. Chce Pan wydawać jeszcze inne pismo.

— Niekoniecznie ja muszę je wydawać, ale sądzę, że powinno powstać pismo redagowane przez zachodnich Europejczyków dla Rosjan, po rosyjsku, mówiące im nie o rzeczywistości sowieckiej, a o rzeczywistości zachodnioeuropejskiej.

— Po co?

— Stwierdziłem — dla Pana to nie rewelacja — że siła systemu sowieckiego polega na dezinformacji i kłamstwie. My znamy Sowietów mało czy nawet źle, ale oni w ogóle nas nie znają. Dlatego np. najbardziej aberracyjne hasła sowieckie o imperiaлизmie zachodnim czy piekle kapitalizmu chwytają jeszcze, jeżeli nie w Moskwie to w Kijowie czy Pskowie. Opowiadał mi mój sąsiad, że jego znajomy z Rosji zapytał go, czy nie może mu czegoś przysłać, gdyż właśnie przeczytał, że w Belgii jest taka nędza, że brak kartofli. Ponieważ wszyscy Rosjanie nie mogą do nas przyjechać (na szczęście), aby się na własne oczy przekonać, myślę że warto spróbować przekazać im prawdę o naszym życiu i naszych instytucjach. Na dezinformację nie ma innej riposty jak informacja prawdziwa i wiarygodna.

Leopold UNGER

Watykańska Ostpolitik

Aczkolwiek pucz wojskowy Jaruzelskiego nie miał bezpośrednich negatywnych następstw w dziedzinie stosunków Kościół-Państwo w innych krajach bloku, to jednak zmusza on dyplomację watykańską do przystosowania się, na płaszczyźnie operatywnej, do nowo wytworzonej sytuacji. Mówi się o konieczności powrotu do „polityki małych kroków”, zainicjowanej przez kardynała Casaroli w okresie pontyfikatu Pawła VI. Wprawdzie model polski także w obecnym pontyfikacie nie jest uznany za możliwy do przeszczepienia gdzie indziej, to jednak styl rządów Jana Pawła II i nowe podejście do regulowania stosunków z rządami krajów bloku wywołały pewne nadzieje, związane również z promieniowaniem „polskiego eksperymentu”. Okazały się one w dużej mierze złudzeniami. Stolica Apostolska w ciągu 16 miesięcy polskiego zrywu wolnościowego oczekiwała na sygnały, było gotowa do wszczęcia rokowań — ale rządy krajów komunistycznych nie przejawiały pośpiechu. Jedyńie na Węgrzech zarejestrowano pewien postęp. Abp Poggi, nuncjusz do specjalnych poruczeń z Rady d/s Publicznych Kościoła (watykańskie MSZ) przebywał w marcu bież. roku w Budapeszcie. Udało mu się załatwić obsadzenie czterech stanowisk biskupich. Jednym z nominatów (obecnie biskup pomocniczy w Pees) jest bp Belon, bardzo popularny, świątobliwy i zarazem bojowy, który przez 18 lat przebywał na zesłaniu w pewnej wiosce. Tylko jeden z czterech nowomianowanych, bp Szendi, faworyzowany przez Prymasa Lekai'a, cieszy się dość złą sławą i jest kontestowany zarówno przez tzw. „wspólnoty podstawowe” jak i przez kler. Dzięki tym nominacjom wszystkie diecezje węgierskie mają nie tylko biskupów ordynariuszy, ale i pomocniczych (w pewnych przypadkach nawet z prawem do sukcesji). W dalszym ciągu napływają informacje o rozwoju aktywności „wspólnot podstawowych”, czyli spontanicznych grup wiernych, wydających niezależną prasę (samizdaty) i kierowanych przez młodych kapłanów zapatrzonych w polskie doświadczenia. Nie brak wśród nich takich, którzy jako turyści odwiedzali Polskę przed puczem. Presja społeczna spowodowała, że niektórzy konformistyczni i lękliwi biskupi nabrali odwagi. „Nie atakujemy ich osobiście, chcemy od nich więcej temperamentu, stanowczości...” — mówi pewien młody katolicki intelektualista, przybyły tu z pielgrzymką organizowaną przez węgierski „Orbis”. Tymczasem Prymas Lekai uważa nadal, że Kościół na Węgrzech nie może sobie pozwolić na to samo, co Kościół w Polsce i oświadczył ponownie: „możemy stosować jedynie politykę małych kroków”.

Ileokroć przedstawiciele Watykanu postulują liberalizację w

Czechosłowacji, tamtejsze władze wyciągają tę samą kartę. Jest nią przypadek Feliksa Davidka spod Brna, kapłana liczącego 70 lat, potajemnie wyświęconego na biskupa. Władze domagają się, by Watykan go zdezwuował, zarazem jednak manipulują tym *casus'em* w celach prowokacyjnych. Davidek wyświęcił potajemnie wielu kapłanów, w tym także ludzi żonatych i organizuje działalność „podziemnych kościołów”. Sęk w tym, że ten kapłan, podobno nie zrównoważony, jest nie tylko zaciekłym przeciwnikiem watykańskiej „Ostpolitik”, ale również zwolennikiem tradycjonalizmu i Kościoła „oryginalnego”, czyli przedsoborowego. Kardynał Tomašek, arcybiskup Pragi, protestuje nieraz, tyleż energicznie co bezskutecznie, przeciw przypadkom zawieszania obowiązującej licencji rządowej na wykonywanie funkcji pasterskich. Przeciw „zarazie” przenikającej z Polski posierpniowej zmobilizowano nadzwyczajne środki. Rewidowano nawet domy kapłanów i zakonnic w poszukiwaniu „polskich emisariuszy”. Po puczu prasa czechosłowacka atakowała ze szczególną uszczepiwością Kościół w Polsce i jego zaangażowanie na rzecz „Solidarności”. Papież przyjął 11 marca bież. roku 5 biskupów z kard. Tomaškiem na czele, przybyłych z wizytą *ad limina Apostolorum*. Papież przemawiał w języku czeskim w pierwszej, w słowackim w drugiej części. Wśród przyjętych był bp Vrana z Ołomuńca, działacz organizacji *Pacem in Terris* podporządkowanej reżymowi. Papież powiedział: „Nie mogę nie podzielać trosk i problemów waszej posługi... Kiedy widzę, że jest was tylko pięciu, nie mogę nie zadać sobie pytania: kiedy przyjdzie chwila, gdy będą mogli być obecni biskupi ze wszystkich diecezji Czechosłowacji?”. Na ogólną liczbę 13 diecezji, 8 od wielu lat nie posiada biskupa ordynariusza, większość jest zarządzana przez administratorów apostolskich. Kilku biskupów jest *impediti*, to znaczy są pozbawieni prawa sprawowania urzędu. Papież poruszył sprawę niedostatku kapłanów (liczne parafie nieobsadzone) i seminarzystów, co „wynika nie z braku powołań, lecz z powodu okoliczności niezależnych od woli biskupów i kapłanów”. W dniu przyjazdu biskupów do Rzymu ogłoszono deklarację Kongregacji d/s Duchowieństwa o niektórych stowarzyszeniach i ruchach zabronionych duchownym. Dokument ten stwierdza, że „są nie do pogodzenia ze stanem kapłańskim te stowarzyszenia lub ruchy, które w sposób otwarty bądź zamaskowany realizują cele polityczne, chociaż na zewnątrz i pozornie występują w imię ideałów humanitarnych, pokoju i postępu społecznego”. Do takiej właśnie kategorii trzeba zaliczyć stowarzyszenie *Pacem in Terris*. Czechosłowackie koła kościelne w Rzymie twierdziły, że gdyby w/w. deklaracja ukazała się wcześniej, to władze praskie odmówiłyby biskupom zezwolenia na przyjazd do Watykanu. Po powrocie do ojczyzny biskupi nie mieli wprawdzie przykrości, ale Urząd d/s Kościelnych zakazał jej publikacji.

W Rumunii pewne skromne oznaki poprawy w sytuacji Kościoła zostały zahamowane na skutek nagłej przeszkody o charakterze ekumenicznym, a właściwie antyekumenicznym. Zmar-

ły biskup Marton z Alba Julia twierdził zawsze, że przed uregulowaniem sprawy rumuńskich unitów (obrzadek wschodni został zdelegalizowany i przemocą inkorporowany do prawosławia w roku 1948) trzeba najpierw ustabilizować położenie Kościoła i wiernych rzymsko-katolickich. Tymczasem na tydzień przed spodziewanym zatwierdzeniem statutu dla obrządku łacińskiego Papież przyjął grupę rumuńskich katolików obrządku wschodniego czyli unitów, przebywających w Rzymie i na emigracji. Audycja odbyła się 6 stycznia z okazji święceń biskupich Rumuna, Traiana Crisana, mianowanego ostatnio sekretarzem Kongregacji d/s Świętych. Przemawiając na tej audycji Papież podkreślił „wielką lojalność” rumuńskich unitów wobec swej ojczyzny i „w rozbudzaniu świadomości narodowej” (unicy w większości zamieszkują w Transylwanii). Papież podniósł zasady — bronione przez Watykan w Helsinkach, Belgradzie i Madrycie — „respektowania i ochrony, również na płaszczyźnie prawa cywilnego, podstawowych praw wolności religijnej, w szczególności uznania wolności przynależenia do określonej wspólnoty wyznaniowej i zgodnie z własnym obrządkiem”. Nie tak pojmuję autonomię wyznaniową i obrządkową Justyn, Patriarcha autokefalicznej Cerkwi Prawosławnej w Rumunii. W liście do Jana Pawła II daje wyraz „zdumieniu i oburzeniu” z powodu tej audycji i protestuje przeciw próbom „reaktywowania obrządku wschodniego w Rumunii”. Twierdzi, że od 1948 roku greko-katolicy „rozwijają działalność religijną w spokoju i zadowoleniu w łonie Cerkwi Prawosławnej”. I określa stanowisko Papieża jako „nie dopuszczalną ingerencję w wewnętrzne sprawy naszego Kościoła i naszego kraju”. Ostrzega, że spowoduje to „pogorszenie braterskich stosunków między naszymi Kościołami” i oskarża Papieża o „prowokowanie dezorientacji, niezgody i podziałów wśród naszych wiernych”. Znane pismo Patriarchy rosyjskiego Pimena do Papieża z powodu Synodu biskupów ukraińskich w 1980 roku było niewinnym *démarche* dyplomatycznym w zestawieniu z gwałtownym tonem protestu Patriarchy Justyna. W konsekwencji tego incydentu abp Poggi musiał odłożyć planowany wyjazd do Bukaresztu. A Ceausescu w rozmowie z przywódcą włoskiej partii socjaldemokratycznej oświadczył: „Proszę powiedzieć waszemu Papieżowi, że u nas nie stworzy Solidarności”.

Dominik MORAWSKI

Pisane 11 maja 1982 r.

„Rozpocząć przygotowania do strajku powszechnego...”

Wywiad ze Zbigniewem Romaszewskim, członkiem Prezydium ZR Mazowsze i Regionalnej Komisji Wykonawczej

REDAKCJA: — Czy widzisz szansę reaktywowania „Solidarności”?

ZBIGNIEW ROMASZEWSKI: — Tak. I myślę, że również część władzy rozumie, że jest to konieczne. Inaczej niemożliwa będzie jakakolwiek stabilizacja, a konflikt będzie narastał. Coraz większy terror niczego tu nie załatwi, co najwyżej spowoduje wcześniejszy wybuch.

Sytuację określiłbym jako patową. Grudzień zmienił układ sił, nie jest to wciąż ten sam pat. Z jednej strony władza, która nie ma żadnej bazy społecznej i nie jest w stanie skutecznie spacyfikować społeczeństwa. Z drugiej — społeczeństwo, które nie akceptuje władzy i byłoby ją w stanie obalić, gdyby nie czynniki zewnętrzne, gdyby nie groźba interwencji. Ta patowa sytuacja może zostać ostatecznie rozwiązana tylko na płaszczyźnie międzynarodowej.

Jednak to, co dzieje się teraz, to stanie z pistoletami i niestrzelanie — jest na dłuższą metę niemożliwe. Albo musi dojść do jakiegoś porozumienia, albo ktoś musi wystrzelić. Wrogość społeczeństwa do władzy nieuchronnie prowadzi do apatii, gospodarka się wali, może dojść do głodu.

RED.: — Czy nie obawiasz się, że ZSRR zdecyduje się wzmocnić władzę w Polsce dokonując interwencji?

ZR. — Na pewno byłyby to dla Moskwy krok trudny i ryzykowny.

* Tygodnik Solidarność Mazowsze nr 16 z 2 czerwca 1982.

ny. Interwencja miałaby poważne konsekwencje międzynarodowe. Oznaczałaby przesunięcie na zachód ogromnych mas wojsk radzieckich, a więc bezpośrednie zagrożenie NATO. Zmusiłoby to Zachód do rozkręcenia zbrojeń. Ze względu na przepaść technologiczną i trudności gospodarcze ZSRR nie jest w stanie podjąć konkurencji w tym wyścigu. Wiedząc, że jego pozycja będzie coraz słabsza Związek Radziecki musiałby albo od razu pójść na pełną konfrontację, albo zrezygnować z interwencji, opowiedzieć się za polityką pokojową.

RED.: — *Czy nie są to rachuby równie nierealistyczne jak te sprzed Grudnia?*

Z.R.: — Brak realizmu wynikał wówczas z dysproporcji pomiędzy żądaniami, jakie wysuwał ruch „Solidarności” a środkami, których zdecydowany był użyć. Nie można domagać się pełnej niepodległości i jednocześnie twierdzić, że nie wolno dopuścić do ofiar. Musimy zdać sobie sprawę, że jedynie pełna determinacja społeczeństwa i ograniczone żądania rewindykacyjne mogą skłonić władzę do kompromisu. Zdecyduje się ona tylko na ustępstwa, które nie będą stanowiły dla niej bezpośredniego zagrożenia, ale tym samym nie rozwiążą wszystkich problemów społeczno-politycznych kraju.

RED.: — *Uważasz więc, że nic się tu nie zmieni do czasu kiedy sprawa Polski nie rozstrzygnie się na płaszczyźnie międzynarodowej?*

Z.R.: — Tak sądzę. Jednak w międzyczasie możliwe jest coś w rodzaju „słabego porozumienia” które pozwoli na jakieś takie współistnienie społeczeństwa z władzą. Porozumienie musi być takie, by mogła je zaakceptować znaczna część społeczeństwa. Jeśli poparcie nie będzie powszechne to bardzo szybko znów dojdzie do napięć, zwłaszcza że ta władza nie jest w stanie dostrzymać zobowiązań.

Porozumienie powinno spełniać trzy warunki:

1. Uwolnienie internowanych, amnestia dla skazanych, akt abolicyjny obejmujący naruszenia prawa wojennego — to jest warunek podstawowy.
2. Rekonstrukcja Związku — pozostać on musi niezależny i samorządny. Można by dyskutować o programie a nawet o statucie „Solidarności”, ale zmienić je może tylko Krajowy Zjazd. Sądzę zresztą, że Zjazd wykazałby się w tym względzie realizmem.
3. Konieczne byłoby włączenie do warunków porozumienia pewnych postulatów ekonomicznych. Przede wszystkim programu walki z bezrobociem. Myślę tu o pakiecie ustaw umożliwiających tworzenie spółek zarobkowych w rzemiośle, usługach, drobnym przemyśle.

RED.: — *Co należy zrobić, żeby zmusić władzę do porozumienia?*

Z.R.: — Rozpocząć przygotowania do strajku powszechnego. Mamy na to niewiele czasu. Strajk powinien rozpocząć się jesienią tego roku, przed rozmowami Breżniew-Reagan. Ich perspektywa powstrzymywać będzie ZSRR przed zastosowaniem drastycznych kroków. Strajk postawi sprawę Polski w centrum zainteresowania międzynarodowego.

Powinien to być ogólnopolski strajk powszechny z czynną obroną zakładów pracy. W Warszawie strajk okupacyjny podjęłoby 20-30 dużych zakładów, pozostałe strajk absencyjny wspomagający. Poza tym demonstracje i pochody odciągające część sił. Jeśli sytuacja będzie bardzo poważna, władza nie będzie mogła (moim zdaniem) liczyć nie tylko na wojsko, ale i na MO. Gdy jeden batalion odmówi strzelania... Tak było w lutym 1917 roku, kiedy mały oddział Kozaków przeszedł na stronę demonstrantów, a po miesiącu już nie było cara...

Trudno w tej chwili organizować krótkie strajki — ludzie mówią, że ryzykują wyrzucenie z pracy za 15 minut, że to nic nie daje. Są jednak zdecydowani podjąć znacznie większe ryzyko, wiedząc, „że bój to będzie ich ostatni”. Tak było przed 13 grudnia. Kiedy w czasie kryzysu bydgoskiego byłem w Wałbrzychu, górnicy mówili: przestańcie tak szarpać po pół godziny, gotowi jesteśmy zjechać na dwa tygodnie na dół, ale potem niech już będzie spokój. Jeśli uda nam się stworzyć taką atmosferę społeczną, jak w marcu 1981, to władze albo ustąpią przed groźbą strajku, albo strajk wygramy.

RED.: — *W jaki sposób miałoby dojść do porozumienia?*

Z.R.: — Są dwie możliwości. Pierwsza — władza zdając sobie sprawę, że grozi kataklizm, zdecydować się na porozumienie zanim dojdzie do strajku. Druga — strajk wybucha, przez 2-3 dni nie udaje się go złamać, dokonuje się przewrót pałacowy, nowa ekipa mówi, że poprzednicy oderwali się od mas, godzi się na ustępstwa.

RED.: — *A gdyby jesienią nie doszło do strajku generalnego?*

Z.R.: — Jeśli stan wojenny będzie się przedłużał w podziemiu zaczęłyby się tworzyć organizacje paramilitarne. Tylko na krótką metę można działać żywiołowo. Jeśli powiemy sobie: strajk będzie za trzy lata, to musi powstać Państwo Podziemne. Na wzór okupacyjnego z Kedywem, komórkami legalizacyjnymi itp. Odkładanie strajku generalnego wiąże się poza tym z ryzykiem terroru. Kiedy tak masowy ruch jak „Solidarność” poddawany jest represjom, a ludzie są szpiclowani, musi pojawić się tendencja do likwidowania donosicieli, do tworzenia grup terrorystycznych. A ta droga według mnie prowadzi do nikąd.

RED.: — *Jak przygotowywać się do strajku?*

Z.R.: — Wstępem do przygotowań strajkowych było powołanie Regionalnej Komisji Wykonawczej Mazowsze. Teraz trzeba zająć się „uporządkowywaniem” porozumień międzyzakładowych, to jest szczebli pośrednich między RKW a zakładami pracy. W tej chwili porozumienia te zajął się na terenie zakładów, nie wiedząc o sobie, dochodzi między nimi do konfliktów. A przecież skupiają one najaktywniejszych członków Związków i wszystkie są gotowe podporządkować się RKW. Strajku generalnego ani nie zrobią, ani nie skoordynują cztery osoby. W tworzącej się hierarchicznej strukturze organizacyjnej powinny znaleźć się porozumienia międzyzakładowe.

We wszystkich zakładach muszą powstać komórki organizacyjne d/s strajku. One przygotują koncepcję obrony zakładu, poinformują RKW, kiedy będzie gotowy do strajku. Do rozwiązania jest szereg trudności technicznych: łączność, radiofonizacja. Trzeba budować nadajniki i odbiorniki UKF, aby zakłady mogły porozumiewać się między sobą, krótkofalówki do łączności międzyregionalnej. Trzeba się liczyć z tym, że łączność będzie całkowicie zerwana i zbudować nadajnik, który mógłby podawać informacje o przebiegu strajku. Z tym — wbrew pozorom — nie będzie wielkiego kłopotu. Jeśli Stocznia Gdańska się zabarykaduje — można tam zbudować dowolną antenę. W tej chwili — korzystając z doświadczeń radia „Solidarność” — opracujemy kompleksowy program łączności na czas strajku generalnego.

RED.: — *Czy nie boisz się odpowiedzialności za taką decyzję?*

Z.R.: — Odpowiedzialność przyjąłem na siebie wraz z mandatem do władz krajowych i regionalnych. Jestem odpowiedzialny nie tylko za taką czy inną decyzję, ale i za niepodjęcie decyzji. Za to, że ruch „Solidarności” może zostać skazany na marazm, a nasz kraj na czechizację. Za nieorganizowane wystąpienia, które mogą być krwawo stłumione i które nie przyniosą żadnego pożytku.

Samobójstwo socjalizmu

Polityczna kwadratura koła spowodowana przez wojskowy zamach stanu w Polsce, tak dalece przykuwa uwagę opinii publicznej, że przesłania głębszą, społeczno-ideową wymowę wydarzeń 1980 i 1981 roku. Główne zadanie jakie Moskwa postawiła

ludziom obecnie rządzącym w Polsce polega nie tylko na pacyfikacji społeczeństwa za pomocą mniej lub bardziej selektywnego terroru. Próbuje się także przekonać społeczeństwo polskie, że periodyczne kryzysy nie będą się już w naszym kraju powtarzały, a te, które miały miejsce dotąd, wynikały z błędów realizacyjnych, a nie z istoty tak zwanego socjalizmu.

W Polsce niemal wszystko się zawaliło, 36-milionowy naród, żyjący w środku Europy, sprowadzono do roli zapóźnionego w rozwoju społeczeństwa Trzeciego Świata i umocniono jego zależność kolonialną od wielkiego wschodniego imperium, a ustrój socjalistyczny typu sowieckiego uznano za system bezbłędny, nienaruszalny, właściwie święty.

Polacy są aż oniemieli ze zdumienia tym, co chce im się wmówić. Socjalizm marksistowski, czy jakikolwiek inny, naturalnie poza parlamentarną, godesberską socjaldemokracją, formalnie akceptuje zainteresowany sprawowaniem rządów aparat partyjno-wojskowo-policyjny i jego dawni członkowie, wyeliminowani z gry na poprzednich etapach, przedwcześni emeryci, czekający na okazję powrotu do władzy i przywilejów. Iluż jest tych „prawdziwych” zwolenników socjalizmu w Polsce? Myślę, że nie więcej niż jeden procent społeczeństwa, a więc gdzieś 360 do 400 tysięcy ludzi. Inni, nawet członkowie partii udają tylko swoją aprobatę, lub słowo socjalizm uważają za swoiste niewinne zaklęcie, za zwrot konwencjonalny, niezbędny dla utrzymania posiadanej pozycji.

Czy rzeczywiście marksistowskich socjalistów jest aż tak mało? Gdyby było ich więcej, to nie staliibyśmy dzisiaj, podobnie, jak przed wojskowym zamachem stanu Jaruzelskiego w grudniu 1981, przed pytaniem, czy komuniści polscy obronią ów socjalizm własnymi siłami, czy też będą musieli wołać na pomoc swych moskiewskich protektorów. Pytanie takie nie istniałoby, gdyby „socjalizm” miał w Polsce rzeczywiste zaplecze społeczne. Tymczasem zaplecze to, po dokonany puczu wojskowym, jest zdecydowanie jeszcze mniejsze, niż było kiedykolwiek. *Nota bene* przewrotu w grudniu 1981 dokonało formalnie wojsko, z ważkim udziałem policji, ale politycznie policja przewrót ten w pełni skonsumowała i ona dominuje w obecnym układzie władzy w PRL. Tak więc socjalizm marksistowski w Polsce skończył się jako szersze zjawisko społeczne. Jako ideologia przestał istnieć. Dokonał ideowego samobójstwa. Do jego obrony powołano żołnierza polskiego, który pod przymusem i pod groźbą kary śmierci, wynikającej z wprowadzonego stanu wojennego, pozornie stanął w jego obronie, a faktycznie zgatował mu wojskowy pogrzeb. Nie mamy powodu do specjalnego współczucia wobec komunistów, ale ich garstka musi przeżywać niezwykłą tragedię, gdy junta wojskowa staje w obronie zbankrutowanej ideologii.

Samobójstwo socjalizmu marksistowskiego w Polsce nastąpiło na raty, stopniowo. Przyczyniała się do niego każda kolejna ekipa rządząca. Pomijając wojnę domową zaraz po woj-

nie, której wynik byłby zupełnie inny, gdyby nie sąsiedztwo Wielkiego Brata, w imię socjalizmu, w który każe nam się i dzisiaj wierzyć, kilkakrotnie przelewano krew polską, latami terroryzowano ludzi, wielokrotnie pacyfikowano rozruchy przemocą i pałkami policyjnymi. W imię tegoż socjalizmu zmuszano społeczeństwo do nadludzkiego wysiłku pracy, by zbudować wielki przemysł, który najpierw służył innym, a teraz nie służy już nikomu, bo w wyniku nieustannych błędów gospodarczych, nie jest zdolny do pracy.

O wszystkim tym mówi się w każdym polskim domu, gdy ludzie rozwścieczeni obłudną frazeologią dziennika telewizyjnego, zamykają aparaty, by nie wysłuchiwać dalszych kłamstw i obelg pod adresem „Solidarności”, czyli przeważającej większości narodu. O tym wszystkim wie każde dziecko polskie i cała nasza młodzież, stanowiąca najbardziej opozycyjną, zbuntowaną przeciw kłamstwu część społeczeństwa. A społeczeństwo polskie jest młode i prognozy demograficzne wskazują, że będzie jeszcze młodsze. Odchodzą bowiem właśnie roczniki porządnie przetrzebione przez wojnę, a generacje wchodzące do życia publicznego są pozbawione jakichkolwiek iluzji ideologicznych. Po wojnie można było mamić społeczeństwo nadzieją odbudowy i rozwoju, potem obietnicami reform i demokratyzacji, a w końcu pragmatyzmu i zdrowego rozsądku. Wszystkie te nadzieje zostały zawiedzione. Polacy, a zwłaszcza młodzież nie wierzy rządzącym, jest zdeterminowana w swojej postawie opozycyjnej i odważna, a nawet gotowa na wszystko.

Pamiętam taki oto incydent w hali „Olimpia”, w której odbywał się zjazd „Solidarności”. Ktoś ze starszych namawiał do rozsądku i wskazywał na swoją okaleczoną rękę w Powstaniu Warszawskim. Odpowiedź młodych słuchaczy brzmiała: jakżesz my zazdrościmy, że był pan w powstaniu. Gdy ojcowie mówią swym synom przed kolejną demonstracją uliczną: przecież to nie ma sensu, w ten sposób nie możecie wygrać, nie macie żadnej szansy, synowie odpowiadają, a jaką my w ogóle szansę w Polsce mamy, po prostu chcemy, żeby „oni” wiedzieli, co o nich myślimy i to jest wszystko. To nie są przykłady wymyślane, to są przykłady z życia codziennego milionów polskich rodzin. Oczywiście społeczeństwo jest dojrzałe i wyrobione. Wie doskonale, że demonstracje uliczne nie stanowią dobrej drogi oporu, dając reżymowi zarazem okazje do prowokacji. Ale rozumiejąc, że nie każda forma oporu jest właściwa i skuteczna, od samej zasady oporu młodzieży nikt odwieść nie zdoła. Takiej sytuacji nie było w Polsce od wojny i Powstania Warszawskiego i polityczni przywódcy PRL nie mogą o tym nie wiedzieć.

Ponieważ jednak marksistowsko-leninowski socjalizm jest jedynym uzasadnieniem Moskwy do rządów nad połową Europy, więc polscy rzecznicy sowieckich interesów imperialnych, czynią ze słowa socjalizm święte zakłęcie, bożka, któremu można tylko oddawać cześć, ale o którym nie wolno dyskutować. Właśnie ten stan rzeczy wykopuje między rządem i społeczeństwem

przepaść nie do przebycia. Rząd bowiem wie, że społeczeństwa nie może przekonać do czegoś, co się w praktyce nie sprawdziło i jest przeciwstawne całej polskiej wolnościowej tradycji narodowej. Wobec tego rząd zmierza do zniewolenia społeczeństwa, do zastraszenia go, do wymuszenia posłuchu, do wszystkiego wreszcie, tylko nie do dialogu z narodem. Jeszcze za czasów Gierka, a nawet Kani odwoływano się do argumentacji geopolitycznej, do faktu obiektywnego podziału świata na dwa przeciwstawne bloki wojskowe. Społeczeństwo doskonale zresztą zdaje sobie sprawę z tych realiów, choć nie ma żadnych złudzeń, że Rosjanie byliby gotowi rozmawiać z jakimiś autentycznymi siłami polskimi, niezależnie od swoich agentów. Rosjanie muszą opierać się tylko na marksistach-leninistach, a nie na przykład na życzliwych wobec Rosja Polakach, bo nie mogą odstąpić od zasady socjalizmu. Zasada ta jest ich jedynym tytułem do władzy w całej Europie wschodniej i wołą fałszywych, farbowanych, ale posłusznych marksistów, niż prawdziwych Polaków, domagających się jakiejś części samodzielności gospodarczej i kulturalnej.

Dogmat socjalizmu w wydaniu marksistowskim nie pozwala Moskwie i jej rzecznikom w Warszawie na podjęcie rzeczowych rozmów z „Solidarnością”, mimo, że ta ostatnia zbliżyła się do ostatecznej granicy ustępstw i wykazała niepospolite zupełnie wycucie realizmu politycznego. Ale wolny związek zawodowy nie pasuje do modelu socjalizmu marksistowskiego i to, jak dotąd, ma znaczenie przesądzające. W imię tego dogmatu dokonano w Polsce wojskowego zamachu stanu, a teraz ryzykuje się ponownie konfrontację z całym społeczeństwem. Powie ktoś, komuniści są po prostu szaleńcami, prowadzą politykę samobójczą. Władcy Kremla wcale tego tak nie widzą. Zdają sobie naturalnie sprawę z ryzyka i szkód, jakie wyrządza imperium ich polityka w Polsce. Sądzą jednakże, iż wszystkie te szkody stanowią mniejsze zło niż utrata tytułu do władzy w całym Bloku Wschodnim, którą stanowiłoby podważenie niewzruszonych zasad marksistowskiego modelu socjalizmu. Rosjanom wydaje się, że prowadzą politykę całkowicie racjonalną i że powinna być ona zrozumiała dla całego świata. Nie wiedzą tylko, że podstawowe założenie ich polityki nie jest racjonalne, opiera się na anachronicznej, XIX-wiecznej doktrynie Marksa i wobec tego polityka wyływająca z błędnego założenia nie może być skuteczna i zrozumiała dla świata.

W naturze ludzkiej leży posiadanie nadziei, bez której bardzo trudno jest żyć tak człowiekowi, jak i narodowi. Wobec tego żyjemy stale nadzieję na pragmatyzowanie się polityki sowieckiej, na jej nieuchronną ewolucję wobec ewidentnych klęsk i absurdów. Ale pamiętajmy, że o pragmatyzmie sowieckim mówiliśmy już za czasów Chruszczowa i obecnie mówimy za Breżniewa. I stosunkowo łatwo jest wykazać elementy pragmatyzmu, jaki obaj ci politycy wnieśli do międzynarodowej strategii sowiektów. Ale pamiętajmy jednocześnie o granicach tegoż prag-

matyzmu, który kończył się zawsze tam, gdzie osłabiałby sowiecki stan posiadania. Rosjanie prowadzą politykę nie tylko pragmatyczną, ale bardzo często wręcz cyniczną, wyraźnie poświęcając interesy świata pracy na całej kuli ziemskiej, dla swoich interesów imperialnych. Ich świętością nie jest doktryna socjalizmu jako taka, w swej społecznej treści i istocie, ale doktryna w służbie i granicach sowieckiego interesu imperialnego.

Czy młodsza generacja władców Rosji, po nieuchronnym odejściu strudzonego Breżniewa i jego towarzyszy, zdecyduje się na jeszcze większy stopień pragmatyzmu w polityce międzynarodowej i wewnętrznej? Bardzo byśmy tego chcieli, ale przestrzegałbym przed zbyt daleko idącymi złudzeniami. Współczesne mechanizmy władzy są tak skomplikowane i uwarunkowane tyłoma okolicznościami obiektywnymi, że przywódcy mają tylko ograniczone możliwości zmieniania polityki. Sowiecki przywódca, który w imię motywów pragmatycznych, dopuściłby do znaczniejszego uszczuplenia stanu posiadania ZSSR, zostałby natychmiast zagrożony przez wewnętrzno-polityczne układy panujące w Sowietach. Po Breżniewie przyjdzie z pewnością nowy człowiek, być może będzie on myślał zupełnie inaczej, dużo bardziej pragmatycznie, ale będzie jednocześnie uwarunkowany tym samym układem sił w imperium i tymi samymi strukturami władzy, których gra wewnętrzna w dużej mierze decyduje o światowej polityce Moskwy.

Naturalnie nie ma układów i struktur wiecznych, a wszystkie imperia w historii zawsze, wcześniej lub później, ulegały rozkładowi, presji zewnętrznej i rozpadały się. Nie brak też czynników, świadczących o wewnętrznych słabościach imperium sowieckiego. Przeciwnie, zdają się one w ostatnich latach mnożyć w coraz szybszym tempie. Ale pamiętajmy, że imperia historyczne łatwiej ulegały rozkładowi i rozbiciu, niż wkraczają na drogę przemian i reform. I z tego punktu widzenia socjalizm marksistowski popełnia samobójstwo nie tylko w skali polskiej, ale w skali światowej, a także w samej Rosji.

Naturalnie socjalizm marksistowski nie umarł wszędzie tam, gdzie go nie znają, a obiektywne warunki, głód i nędza, sprzyjają szerzeniu się z daleka pochodzącej i w teorii atrakcyjnej ideologii postępu i sprawiedliwości społecznej. Tam jednak, gdzie socjalizm sowiecki poznano choć powierzchownie, jak to miało miejsce w Egipcie, natychmiast się od niego odwrócono i to tak radykalnie, że doprowadziło to do poważnej rozbieżności politycznej w świecie arabskim. Myślę jednak, że z czasem świat arabski będzie jeszcze wdzięczny przywódcom egipskim za ich „odstępstwo”, gdy pozna bliżej imperialne, niewiele mające wspólnego z interesami arabskimi, zaangażowanie ZSSR na Bliskim Wschodzie.

Wróćmy jednak do konsekwencji samobójstwa socjalizmu dla sprawy polskiej. Wydają mi się one bardzo poważne. Czyż bowiem realne jest trwałe porozumienie społeczeństwa, powszechnie odrzucającego niewolniczy model socjalizmu, z rządem

oficjalnie reprezentującym tenże socjalizm. Pamiętamy wszyscy uniesienie w Polsce i uznanie całego cywilizowanego świata, gdy w roku 1980, w pamiętnym sierpniu, podpisano słynne „porozumienia społeczne” w Gdańsku, Szczecinie i Jastrzębiu. Powiedzmy sobie wreszcie szczerze, porozumienia te były dla rządzącej partii i dla Moskwy taktycznym wybiegiem, by zyskać na czasie i bez ryzykownego użycia siły, powoli przywrócić wszystko do stanu poprzedniego, to znaczy do absolutnej dyktatury partii komunistycznej. Udowodnił to Jaruzelski 13 grudnia 1981 roku. Być może, że ostrożniejsza taktyka „Solidarności” i powolniejszy, mniej spontaniczny jej rozwój, opóźniłby plan przywrócenia przez komunistów rządów totalnych w Polsce. Ale cel przywrócenia monopolu rządów partii, był dla kierowniczych czynników w Warszawie i w Moskwie oczywistością od pierwszego dnia po podpisaniu słynnych „umów społecznych”. Zresztą dlaczego system, który łamie od przeszło sześćdziesięciu lat wszystkie uroczyste zawierane porozumienia międzynarodowe, miałby wierne dochowywać porozumień z własnymi obywatelami. Komuniści często cofają się w życiu wewnętrzno-politycznym, gdy tylko ponoszą drastyczne porażki społeczne, jak Polska w 1956, 1970 i 1980 roku. Ale ich cofnięcie się ma zawsze charakter taktyczny, przejściowy i jest obliczone na przetrzymanie kryzysu partii i jej władzy. Gdy tylko partia odzyskuje nieco siły, natychmiast przystępuje do zdobywania utraconego terenu i jak dotąd, niesłusznie, jej się to udaje.

Czyżby więc wszystkie koncepcje porozumienia narodowego i ugody społecznej, które lansują dzisiaj w Polsce przedstawiciele bardzo różnych orientacji, jak podziemnej „Solidarności”, Kościoła, niezależnych intelektualistów typu Bratkowskiego itp. były z góry skazane na klęskę i przegraną. Nie sądzę, aby tak było. Choć żadne z porozumień, które w ostatnich 37 latach zostało zawarte między komunistami a społeczeństwem, nie było dotrzymane, to jednak każde z tych porozumień społeczeństwu wiele dało, czasem na krótszą, a nieraz na dłuższą metę. Z taktyki poszukiwania porozumienia nie należy więc apriorycznie rezygnować, choć nie należy także mieć wobec ewentualnego porozumienia złudzeń. Dla komunistów pozostaną one zawsze tylko świstkiem papieru, z którym dotąd tylko będą się liczyli, dokąd nie zdobędą wystarczających sił, by powrócić do modelu monopolistycznego.

Alternatywą porozumienia jest naturalnie konfrontacja. Abecadło polityczne mówi, że należy jej unikać, jeśli brak jest sprzyjających okoliczności międzynarodowych, natomiast należy do niej dążyć, jeśli powstaje korzystny układ w polityce światowej, lub w wewnętrznej sytuacji Sowietów. Ale tym razem sprawa jest dużo bardziej skomplikowana i abecadło polityczne nie wystarczy do jej rozwikłania. Powstała bowiem przepaść między społeczeństwem, odrzucającym spontanicznie i z dużym radykalizmem model socjalizmu marksistowskiego, a rządem, który model ten coraz brutalniejszymi środkami próbuje społecznie-

stwu narzucić. Może więc dojść do jednego wielkiego, czy też całej serii małych, niekontrolowanych wybuchów społecznych, które złożą się na faktyczną konfrontację między narodem polskim a jego rządcami z ramienia Moskwy. Niemal powszechne, totalne samobójstwo socjalizmu jako ideologii w Polsce czyni niestety taką konfrontację więcej niż prawdopodobną. Zapobiec jej mogliby tylko rządcy, gdyby zdecydowali się na kolejny manewr w postaci porozumienia społecznego. Niestety wiele wskazuje, że ekipa obecnie Polską rządząca, lub też jej mocodawcy sowieccy, tym razem nie bardzo chcą sobie dokonania takiego pojednawczego manewru. Wszystkie propozycje porozumienia społecznego pozostają bez odpowiedzi. Powstaje więc uzasadnione przypuszczenie, że rządcy *chcą sprowokować społeczeństwo do konfrontacji i chcą je wykrwawić*, by za tę straszliwą cenę uzyskać spokój wewnętrzny na własnych, podyktowanych przez partię i Moskwę warunkach.

Należy zdawać sobie sprawę, że przy takim nasileniu złej, zbrodniczej woli ze strony rządzących i przy jednoczesnej radykalizacji robotników i młodzieży, zawiedzionych gorzko zburzeniem ich wielkich nadziei, jakie pokładali w ruchu „Solidarność”, wszelkie apele o zachowanie spokoju mogą być głosem wołającego na puszczy, a konfrontacja staje się ewentualnością bardzo poważną. Nikt rozsądny jej sobie nie życzy, ale rząd może ją wymusić, bo zdaje mu się, że w ten sposób wyjdzie z kwadratury koła, stworzonej przez stan wojenny. Komuniści nie biorą pod uwagę tylko jednego faktu, że po konfrontacji w układzie sytuacyjnym niewiele się zmieni, tak jak bardzo mało się zmieniło po tak spektakularnie przeprowadzonym zamachu wojskowym. Przed zamachem debatowano w Polsce nad porozumieniem społecznym i w pół roku po przewrocie temat ten nie zszedł z porządku dziennego życia politycznego kraju. Zakładając więc, że komuniści nie pójdą na masowe mordowanie ludności polskiej, w ich własnym najlepiej pojętym interesie leży uniknięcie konfrontacji, która może im dać tyle, co dał im wojskowy zamach stanu — to znaczy nic.

Samobójstwo socjalizmu w Polsce, to rzecz poważna, którą w Warszawie i w Moskwie powinno się gruntownie przemyśleć. Nowa awantura w Polsce przyniesie Blokowi Wschodniemu, a zwłaszcza Moskwie nieobliczalne straty na płaszczyźnie międzynarodowej. W polskiej polityce wewnętrznej nie da im niczego. Czy nie lepiej więc uznać, że społeczeństwo polskie, poddane przez 37 lat absurdałnej polityce i systemowi, który nie da się pogodzić z jego tożsamością narodową, jest zdeterminowane pozostać sobą? Czy nie lepiej pójść na kompromis z uwzględnieniem obecnego stanu świadomości społeczeństwa? Czy nie nastał krytyczny moment, w którym Jaruzelski, czy też ludzie faktycznie rządzący w Polsce, powinni odsunąć od wpływów prowokatorów, którzy w imię własnych przywilejów chcą podłożyć ogień pod polską beczkę z prochem?

Witold BARDZKI

Wywiad z Janem Kułajem

W *New York Times* z 29 maja br. ukazał się wywiad Henry Kamma z Janem Kułajem, przewodniczącym Solidarności Wiejskiej. Kułaja zwolniono z obozu internowanych 28 kwietnia. Rozmowa dziennikarza amerykańskiego z Kułajem trwała dwie godziny i odbyła się w Cieszynie Wielkim między Rzeszowem i Przemyślem, w gospodarstwie ojca Kułaja.

„Nie można stworzyć nic lepszego niż nasze związki — zaczął Kułaj. — Nasze związki istnieją, należy im przywrócić prawo działania. Powstały, gdy stały się konieczne dla ocalenia kraju w okresie krytycznym”. Kułaj, ledwie panując nad swoimi przejęciem, dodał: „Jedynym logicznym rozwiązaniem obecnego kryzysu gospodarczego jest szybka reaktywizacja obu związków. Społeczeństwo może wziąć na swoje barki ciężkie brzemie rekonstrukcji kraju i musi mieć prawo współstanowienia o kształcie reformy. Ale w obecnych warunkach nikt nie jest gotów zabrać się uczciwie do pracy, gdyż nasze prawa nie są respektowane. Nie ma społecznego zaangażowania ludzi w ich pracę, wspólne działania wszystkich musi być zaakceptowane przez władzę”. Droga do wspólnego działania na rzecz odbudowy Polski prowadzi przez zwolnienie Wałęsy i tych wszystkich, których internowano za to tylko, że pracowali w legalnych organizacjach jak Solidarność. Kułaj podkreślił, że zwolniono go bez stawiania warunków. Uważa się dalej za demokratycznie wybranego przewodniczącego legalnego związku.

„Moim zdaniem postanowiono nasz związek zlikwidować już w chwili jego rejestracji. Według mnie do obu związków nasłano prowokatorów od chwili ich powstania”. Kułaj określił taktykę władzy jako prowokowanie strajków i innych akcji protestacyjnych, ilekroć w rokowaniach z rządem zarysowywała się możliwość porozumienia. I Wałęsa i on musieli stawiać wobec wielu nieuzasadnionych strajków lokalnych, co władzy pozwalało twierdzić, że przywódcy związkowi są niezdolni do kontrolowania ogółu związkowców. „Prowokatorzy dostarczali argumentów władzy, były one użyte jako podstawa do ogłoszenia stanu wojennego”. I Wałęsa i on zachowali rozsądek w rokowaniach, ale rząd dążył do konfliktu a nie do porozumienia. „Od samego początku władza zmierzała do podkopania związków”. Jej bardziej umiarkowani przedstawiciele okazali się za słabi, górę wzięli „twardzi, którym nie mogło się pomieścić w głowach, że nie ma powrotu do sytuacji sprzed Sierpnia”.

Rząd musi wznowić rokowania ze związkami, musi pomyśleć o „zdobyciu pewnej wiarygodności w społeczeństwie”. Internowani są „prawdziwymi Polakami, sprawy Ojczyzny są bliskie ich sercom”.

Przed zwolnieniem Kułaja doszło do jego spotkania z wicepremierem Romanem Malinowskim, przywódcą ZSL. Kułaj zaprzeczył pogłoskom, że aspiruje do stanowiska rządowego pod komendą Malinowskiego. „Jestem związkowcem, nie przyjąłbym nigdy takiego stanowiska, bo utraciłbym moją niezależność”. W tym miejscu Kułaj zaprotestował przeciw wywiadowi w telewizji warszawskiej natychmiast po zwolnieniu, wywiadowi w którym z jego ust padło zdanie o możliwości partnerstwa między związkiem i ZSL. Wycięto drugą część zdania: „tylko po reaktywizacji mojego związku”.

Wywiad w *New York Times* był pierwszym spotkaniem Kułaja z dziennikarzem zachodnim. Zapytany przez Kamma czy druk wywiadu nie narazi go na przykrości, Kułaj odpowiedział z naciskiem: „Mówię to co powinien mówić każdy wolny człowiek”.

KRÓTKIE WIADOMOŚCI

Urząd Rady Ministrów
Komitet d/s Związków Zawodowych
(pieczętka)

WYTYCZNE DLA KOMISARZY WOJEWODZKICH:

- 1) Do września (1982 r.) zakwestionowanie przez sąd (Trybunał Stanu) działalność NSZZ „Solidarność”.
- 2) Oficjalne powołanie nowych związków.
- 3) Kompleksowe zmuszanie do opuszczania terytorium Polski osób internowanych wraz z rodzinami (do września).
- 4) Odstępstwo społeczeństwa od Kościoła przez propagandę.
- 5) Sankcje wobec osób nie wступujących w szeregi nowych związków zawodowych:
 - artykuły przemysłowe na talony z zakładów pracy (przez nowe związki),
 - mieszkaniowa w pierwszej kolejności dla związkowców,
 - sankcje włącznie do zwolnienia z pracy,
 - opóźnienie awansów,
 - wynotowanie przez jednostki MO (dzielnicowe) osób nie wступujących do nowych związków zawodowych. Informacje o tych osobach z zakładów pracy,
 - doprowadzić do rewizji w mieszkaniach, zatrzymanie w KDMO na 48 godzin.

Pieczętka jw. podpis

LISTA KOLABORANTÓW OPRACOWANA PRZEZ
SOLIDARNOŚĆ ARTYSTÓW SCENY I FILMU

(Informacja Solidarności Region Mazowsze, Nr 42. Warszawa, 23. 4. 1982)

Warszawa — G. Barszczewska (aktorka), K. Brusikiewicz (aktor), H. Boukołowski (aktor), W. Brzozowicz (aktor), R. Filipowski (aktor), W. Filler (dyr. teatru), W. Gliński (aktor), A. Bielski (solista opery), J. Jędrzyka (aktorka), L. Kozarnicki (aktor, reżyser), G. Kron (aktor), J. Kłosiński (aktor), K. Królówna (aktorka), A. Kowalczyk (aktor), J. Kidawa (reżyser filmowy), S. Knothe (aktorka), T. Lipowska (aktorka), B. Łazuka (aktor), T. Marzecki (aktor), L. A. Mróz (solista opery), S. Mikulski (aktor), H. Norowicz (aktorka), Cz. Petelski (reżyser filmowy), K. Putrament (operator filmowy), W. Polańska (solistka opery), J. Polanowska (aktorka), R. Pietruski (aktor), T. Pluciński (aktor), W. Siemion (aktor), W. Starecki (reżyser filmowy), J. Szajna (dyr. teatru), M. T. Wójcik (aktorka), T. Zaliwski (aktor), A. Zwierz (solista).

Łódź — J. Kubiński (Teatr Nowy), J. Karkiewicz (Teatr Jaracza), W. Gryń (Teatr Jaracza), L. Benke (Teatr Powszechny), R. Szewczyk (Teatr Powszechny), K. Kowalski (solista opery).
Akwizycje OKON w zespołach filmowych — Cz. Petelski, Zb. Kuźmiński, H. Bielski, W. Jakubowska.

Solidarni — Poznań, 11. 4. 1982

POMOC CHARYTATYWNA

Pomoc żywnościowa z krajów zachodnich idąca kanałami PCK w części trafia do ZOMO i MO. Dokumentację fotograficzną takich przypadków posiada Region Gdański, udokumentowany przypadek jest w posiadaniu Regionu Krakowskiego. Dla przykładu: pojemniki na śmieci przy koszarach i hotelach zajętych przez MO pełne opakowań po zachodnich towarach. Ustne informacje dotyczące tej sprawy przekazywane są z wielu rejonów kraju, także od internowanych.

WZNOWIENIE „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”

2 czerwca w reportażu z Krakowa w *New York Times* Henry Kamm wspomina o wznowieniu *Tygodnika Powszechnego*. W pierwszym numerze miały się ukazać fragmenty wybrane z oświadczeń Jana Pawła II. Ponieważ dobrał się do nich cenzor, redakcja wycofała je w całości. Kamm pisze również o ogromnym powodzeniu kazań niedzielnych księdza Tisehnera w kościele uniwersyteckim Św. Anny; studenci przychodzą na nie z aparatami do nagrywania. I wreszcie ostatnia wiadomość: mimo patrołowania miasta przez wojsko i milicję, dokonano włamania do Starej Synagogi (zamienionej na muzeum), rabując drogie srebrne przedmioty kultu.

OŚWIADCZENIE

W SPRAWIE ARESZTOWANIA RYSZARDA HERCZYŃSKIEGO

Dwaj matematycy francuscy, Michel Broué, profesor uniwersytetu Paris 7, i Henri Cartan, członek Instytutu (oba należą do Komitetu Matematyków) wydali oświadczenie w sprawie aresztowania Ryszarda Herczyńskiego z PAŃ (aresztowano go, jak wiadomo, po spotkaniu z dwoma pracownikami ambasady amerykańskiej w Warszawie, *attaché* do spraw nauki i *attaché* do spraw kultury). Sygnatariusze pytają, czy idzie w Polsce ku montowanym procesom. I piszą: „Międzynarodowy Kongres Matematyków miał się odbyć w sierpniu w Warszawie. Na żądanie matematyków (szczególnie francuskich) Kongres odłożono o rok. Matematycy francuscy żądają spełnienia pewnych warunków, wśród których figuruje zwolnienie internowanych matematyków polskich i swobodny udział matematyków polskich w Kongresie. Władze polskie zdają się ostatnio życzyć sobie, by Kongres się odbył. To życzenie zdaje się co najmniej kłócić się ze sprawą Herczyńskiego, której jednym z celów jest wyraźne uniemożliwienie swobodnych kontaktów między uczonymi polskimi i resztą świata”.

Przegląd prasy podziemnej nr 10. Poznań, 18. 4. 1982 r.

WIADOMOŚCI

Kolejny gwałt na kulturze polskiej. Z-ca dyr. Biblioteki Narodowej Stanisław Czajka zakazał wypożyczania książek zastrzeżonych, które po sierpniu udostępniono wszystkim czytelnikom. Wśród tysięcy tomów są dzieła Miłosza, G. Herlinga-Grudzińskiego, *Zeszyty Historyczne* i *Kultura*.

Sąsiedzi

W sowieckiej prasie

Sformułowanie interpretacji majowych demonstracji w Polsce zajęło kierownictwu sowieckiemu miesiąc. Drugiego czerwca Breżniew zaprosił na Kreml Husaka: normalizator przyjął najlepszego ze znormalizowanych. Wspólnie doszli do wniosku, że Polska wciąż jeszcze nie jest znormalizowana. Według komunikatu TASS-a obaj „potwierdzili swoje zdecydowane poparcie dla PZPR i jej kierownictwa w ich walce o wyprowadzenie kraju z kryzysu i umocnienie pozycji socjalizmu i PRL” (*Prawda* z 3 czerwca br.).

Czytelnicy sowieccy nie zdziwili się słysząc z autorytatywnych ust, że kryzys w Polsce wciąż trwa. Mniej więcej od 10 maja dziennikarze sowieccy zaczęli w myśl precyzyjnych instrukcji straszyć obywateli sowieckich opisami tego, co się zdarzyło w Warszawie i innych miastach polskich 1 i 3 maja. Wśród autorów pierwszeństwo należy się bez wątpienia Wiktorowi Coppi, który spłodził artykuł pt. „Podżegacze” (*Literaturnaja Gazeta* nr 19, 1982). Opublikowany w rubryce „Spisek przeciw Polsce” artykuł w pierwszym rzędzie donosi, że 3 maja spłonęło w Warszawie muzeum historyczne, przy czym Coppi nie szczędzi szczegółów: „Ogień pochłaniał bezcenne dokumenty. Płonęła skarbica pamięci narodowej. A podżegacze nie pozwalali strażakom ugasić ognia, obrzucając ich kamieniami”. Zostawiając czytelników w przekonaniu, że historyczne muzeum w Warszawie spłonęło do cna, autor przechodzi do „podżegaczy”, którzy — jak mimochodem zauważa — „spalili hotel” w Szczecinie, „dokonali nalotu” na gmach wojewódzkiej komendantury wojskowej w Gdańsku oraz dopuścili się „aktów wandalizmu i grabieży” w innych miastach Polski. Autor ze zgrozą informuje ludzi sowieckich, że „podżegacze” popełnili jeszcze o wiele podłejsze czyny aniżeli podpalanie muzeum, hoteli i wojewódzkich komendantur wojskowych, mianowicie „rwali, deptali i palili czerwone sztandary i narodową flagę socjalistycznej Polski”.

Można by oczywiście na tym zakończyć — czyż warto mówić o tych, którzy poważili się na najstraszniejszą ze zbrodni? Autor jednak mężnie brnie dalej — objaśnia mianowicie, kim są „podżegacze” i złodzieje. 3 maja buszować po polskich miastach „zaślepieni, naelektryzowani, doprowadzono do patologicznej ekstazy tłum”. Składał się on z „najemników CIA”, działających zgodnie z instrukcjami Wolnej Europy, i z licznych „żółtodziobych podrostków”, „małolatków uzbrojonych w butelki z płynem zapalnym i kastety”, w które uzbroili ich „dorośli inspiratorzy i dyrygenci bachanalii”; oni też „wetknęli w ich ręce sztandary i transparenty kontrrewolucyjnego podziemia, kazali (!) im krzyczeć hasła pełne nienawiści do socjalizmu, do PZPR i do polskiej klasy robotniczej”.

Wiktor Coppi kończy następująco: „Polityczni o ambicjach zabójców oraz kryminalni (czyli ci, których przedtem nazwał „podżegaczami” i „najemnikami”) starali się sprowokować ogólnopolski rozlew krwi...”. Ludowa władza „dała im odpór”. Wiktor Coppi pyta sam siebie: „Czy lekcja ta pójdzie na marne?” i zamyka artykuł optymistyczną odpowiedzią: „Jeszcze nikomu i nigdzie nie udało się spalić pamięci narodu”. Jego zdaniem „pamięć narodu polskiego” to pamięć o „drodze do socjalizmu”.

W tym standardowym opisie „buntu polskiego” uwagę zwraca jedynie termin „kontrrewolucyjne podziemie”. Tymi słowami autor przyznaje, że w Polsce istnieje i organizuje się ruch oporu. Sowieckie gazety piszą o nim coraz częściej. 29 maja *Prawda* omówiła artykuł *Trybuny Ludu* o „wystąpieniach ekstremistycznych działaczy Solidarności” J. Kuronia, Z. Bujaka i Z. Romańszewskiego. *Literaturnaja Gazeta* pisała o nich 19 maja (nr 20). Jedyna różnica, wynikała zapewne z trudności w przekładzie, polegała na tym, że w *Prawdzie* Kuroń zaleca „udoskonalenie metod walki z władzą ludową”, a Bujak odrzuca zalecenia Kuronia i „otwarcie wzywa do zbrojnego wystąpienia”, zaś w *Literaturnoj Gazecie* do powstania wzywa Kuroń, a „udoskonalone metody” zaleca Bujak.

Jest to niezwykle dowód pluralizmu prasy sowieckiej: kontrrewolucyjne podziemie wykonujące rozkazy CIA, przekazywane przez Wolną Epropę, uniemożliwia wyprowadzenie Polski z kryzysu, o czym marzą, jak twierdzi prasa sowiecka, wszyscy polscy obywatele. Gazety piszą i o tym, choć znacznie mniej niż o wrogach socjalizmu. Korespondent *Prawdy* na przykład (25 maja) donosi w artykuliku „Eksport wzrasta” radosną wieść: w zeszłym roku Polska wyeksportowała 153,7 tys. ton miedzi, a w bieżącym wyeksportuje 165 tys. ton. *Literaturnaja Gazeta* (nr 19) powiadomiła o „spotkaniu przyjaciół” czyli „pobyty w ZSSR grupy polskich pisarzy-członków PZPR”. Dziwnym zbiegiem okoliczności *Literaturnaja Gazeta* nie wymieniła ani jednego członka polskiej delegacji z nazwiska, oświadczając jedynie, że na czele jej stał „zastępca kierownika Wydziału Kultury KC PZPR G. Sokołowski”. Z imienia i z nazwiska a także z wszystkimi tytułami wymieniony został „polski pisarz Wojciech Żukrowski”,

który udzielił wywiadu korespondentowi *Literaturnej Gazety* Władimirowi Łomiejko. Wywiad nosi w tytule słowa Żukrowskiego, które — jak twierdzi Łomiejko — wyrażają *credo* pisarza: „Zasiać ziarno prawdy w sercach czytelników”. W. Łomiejko opisuje sytuację Żukrowskiego, „pierwszego pisarza, który po 13 grudnia wystąpił w telewizji”, jako „dramatyczną walkę o duszę narodu polskiego”. Z jednej strony Wojciech Żukrowski, którego książki, wydane w Polsce w nakładzie sięgającym 5,5 mln egzemplarzy, przetłumaczone zostały na 23 języki, w tym i na farsję (widać stał się już lekturą obowiązkową w afgańskich szkołach!). Z drugiej — „Czesław Miłosz, laureat Nobla z burżuazyjnej łaski”. Korespondent *Literaturnej Gazety* nie uważa za konieczne choćby wspomnieć, że Czesław Miłosz także pisze książki. W każdym razie ten „nikomu nieznaną laureat Nobla z burżuazyjnej łaski” wezwał Polaków, aby „nie czytali książek Wojciecha Żukrowskiego”, a na znak protestu przeciwko jego poparciu stanu wojennego odsyłali autorowi książki na jego domowy adres”. Łatwo zgadnąć, kto wyszedł zwycięsko z tego pojedynku. W. Żukrowski oświadczył moskiewskiemu gościowi: „Jedynie mizerne jednostki usłuchały podłego wezwania. Poczta przyniosła mi 14 książek — 14 na 5,5 milionów!”. Żukrowski całe życie poświęcił „sianiu ziaren prawdy” — ktoś podda w wątpliwość ten rachunek? Tym bardziej że, jak opowiadają sąsiedzi W. Żukrowskiego, książki odsyłano mu nie tylko pocztą, ale także zwycięznie znoszono pod próg.

Największym ewenementem maja bież. roku było plenum KC KPZS. Znaczenie tego plenum wiąże się z dwoma wydarzeniami. Zaczę od mniej ważnego — KC zatwierdził „program żywnościowy ZSSR do 1990 roku”. Przemówienie przeczytał Leonid Breżniew osobiście, wyliczając środki, których celem jest „jak najszybsze zaopatrzenie ludności kraju w żywność”.

Zastanówmy się: cóż to za oszałamiający cel dla supermocarstwa, domagającego się parytetu zbrojeniowego ze Stanami Zjednoczonymi! W 65 lat po rewolucji (jubileusz przypada w bieżącym roku), w 37 lat po zwycięstwie nad Niemcami ludzie sowieccy cierpią na niedostatek żywności. W przemówieniu swym Breżniew słusznie zaczyna liczyć czas od marca 1965 roku. Objąwszy władzę w październiku 1964 roku, w marcu 1965 roku ogłosił na plenum, że zamierza wreszcie zlikwidować zapóźnienie rolnictwa, rezultat „woluntaryzmu” Chruszczowa. Nie można powiedzieć, że niczego nie zrobiono. Uchwalono dziesiątki wytycznych, na rolnictwo spadł złoty deszcz inwestycji — w 1975 roku poświęcono nań 27 % wkładów kapitałowych. Stalin wierzył w zalesianie i magika Łysenkę, Chruszczow wierzył w kukurydzę, a Breżniew wierzy w chemię. Zbudowano dziesiątki fabryk. W produkcji nawozów sztucznych ZSSR przegonił Stany Zjednoczone. A jednak w 1972 roku zakupił w USA 18 mln ton zboża, w 1979 — 25 mln ton, zaś w 1982 roku zakupi — według obliczeń amerykańskich — ponad 40 mln ton.

24 maja Breżniew podsumowywał swe 17-letnie rządy. Sta-

tystyka sowiecka raz jeszcze dowiodła swej przewagi nad informacją. Pierwszy sekretarz mógł oświadczyć, że jego polityka rolna była (od 1965 roku) „polityką naukową, politycznie słuszną, nowoczesną”, że prowadziła od zwycięstwa do zwycięstwa, a wszystko rośło, rozwijało się i męźniało. Że niezależnie od „wysiłków przeciwników socjalizmu, aby przemilczeć lub umniejszyć sukcesy sowieckiego rolnictwa” sukcesy te widać jak na dłoni. Wbrew wszelkim „przeciwnościom natury” sowieckie rolnictwo zwiększyło „globalną produkcję” o 50 %, a kraje EWG tylko o 31 %, zaś nieszczerne Stany Zjednoczone o zaledwie 29 %. Obliczenia prowadzono wprawdzie w rublach sowieckich (moneta to, jak wiadomo, magiczna), sowieccy propagandyści wierzą jednak, że dla sowieckiego obywatela 50 zawsze znaczy więcej niż 31, a tym bardziej niż 29.

Poinformowawszy o zwycięstwach, Breżniew przyznał, że „tym niemniej...”. Tym niemniej „problem żywności bynajmniej jeszcze nie zszedł z porządku dnia”, tym niemniej „struktura żywienia powinna być ulepszona” (to znaczy obywatele muszą jeść kartofle, jeśli uda im się je zdobyć, a chcieliby dostać mięso i mleko), tym niemniej „nie starcza owoców i jarzyn”. Przyczyny trudności Breżniew objaśnił z łatwością: po pierwsze żyje się znacznie lepiej i wszystkim zachciało się mięsa, mleka, owoców i jarzyn (nawet chłopom — stwierdził pierwszy sekretarz), po drugie klimat marny, po trzecie zmniejszyła się liczba ludzi zatrudnionych w rolnictwie. Ten powód jest szczególnie przekonujący: w Związku Sowieckim w rolnictwie pracuje ok. 25 % ludności, w Stanach Zjednoczonych — mniej niż 3 %. Zgodnie z rozumowaniem Breżniewa, Amerykanie dawno już powinni byli umrzeć z głodu.

Cała ta ekwilibrystyka statystyczna potrzebna jest Breżniewowi jako trampolina do „właściwego programu”: jak wreszcie rozwiązać problem żywności. Dla każdego kto przestudiuje temat jest jasne, że rozwiązać go Breżniew nie chce, bo nie może. Radykalne reformy pozwoliłyby być może zwiększyć produkcję rolą, ale nikt w sowieckim kierownictwie, a już na pewno nie Breżniew, nie zamierza ich przeprowadzać. Dlatego pierwszy sekretarz zaproponował, a KC KPZS jednomyślnie przyjął program, przewidujący utworzenie „kompleksu agro-przemysłowego”. We wszystkich jednostkach administracyjnych — rejonach, obwodach, *oblastiach*, republikach — tworzą się „jednostki agro-przemysłowe”, składające się z kołchozów, sowchozów, organizacji przygotowujących, przedsiębiorstw przerobowych i wszystkich innych przedsiębiorstw związanych z rolnictwem. Staną się one „samodzielnymi obiektami planowania i zarządzania”.

„Program żywnościowy”, o którym pieją gazety sowieckie od chwili jego ogłoszenia, sprowadza się do kolejnego przegrupowania administracyjnego. Na porządku dnia stoi teraz problem „uzgodnienia” — powiązania planów między wszystkimi elementami „kompleksu agro-przemysłowego”. Ponad 50 lat temu Majakowski napisał komedię pt. „Łażnia”, której bohater Pobiedo-

nosikow piastuje ważne stanowisko głównego naczelnika od zarządzania uzgadnianiem, w skrócie GŁAWNACZPUPS. Teraz potrzeba będzie kilku dziesiątków tysięcy *gławnaczpupsów*. Przy czym w nowym programie żywnościowym jest jedna jedyna konkretna wskazówka. Zaspokojenie „życiowych potrzeb dorosłych obywateli sowieckich” tj. zapewnienie im wyżywienia — co niedawno jeszcze obiecywano na rok 1985 — odroczone teraz do roku 1990.

Można przypuszczać, że Breżniew przewiduje, iż w 1990 roku nie on już będzie podsumowywał efekty działalności „kompleksów agro-przemysłowych”. Można zgadywać, kto z kolei będzie zajmować się ekwilibrystyką statystyczną za 8 lat. Druga uchwała plenum KC KPZS również dostarcza materiału do domysłów. Uchwałę tę można uznać za ważniejszą od „programu żywnościowego”, bo w odróżnieniu od tego ostatniego jest konkretna. Plenum wybrało Jurija Andropowa sekretarzem KC. W ten sposób Jurij Andropow wszedł do najelitarniejszego klubu na świecie — wraz z Breżniewem, K. Czernienko, A. Kirilenko i M. Gorbaczowem jest on zarazem członkiem Politbiura i Sekretariatu KC KPZS. Według wszelkiego prawdopodobieństwa z klubu tego wyłoni się następca Breżniewa. Wyborowi Andropowa do Sekretariatu towarzyszyło zwolnienie go ze stanowiska szefa KGB, które zajmował od 1967 roku.

Prasa światowa była jednomyślna: „Partia wezwała Andropowa” — pisała *Herald Tribune International*; „Awans szefa tajnej policji” — twierdził *Time*; „Andropow pnie się po drabinie władzy” — oświadczała wiedeńska *Die Presse*; „Wejście pana Andropowa do sekretariatu zwiększa jego szanse na następstwo po Breżniewie” — zauważał *Le Monde*.

W tym miejscu należy powiedzieć, że z niezrozumiały dla mnie powodów prasa światowa przyjęła wiadomość o przeniesieniu Andropowa na stanowisko o innym charakterze z dużym zadowoleniem. Szczególnie radośnie napisał o tym amerykański sowietolog Jerry F. Hough. Artykuł swój w *Washington Post* zatytułował on „Szef KGB może stać się reformistycznym przywódcą”, zaczął zaś słowami: „Wybór Jurija Andropowa na sekretarza KC to jedno z najpomyślniejszych wydarzeń w Związku Sowieckim w ostatnich latach”. Zdaniem Hougha 15 lat działalności Andropowa w KGB (żaden z jego poprzedników — ani Dzierżyński, ani Mienżyński, ani Jagoda, ani Jeżow, ani Beria — nie dowodził tak długo „organami”) to zwykły przypadek: to zastępcy szefa KGB, zausznicy Breżniewa, wzbraniли mu zająć się działaniem reformatorskim. Hough wspomina, że w latach 1953-1957 Andropow był ambasadorem w Budapeszcie, nie uważa jednak za wskazane przypomnieć, co stało się w stolicy Węgier w 1956 roku i jaką rolę odgrywał wówczas sowiecki ambasador. „Represyjna strona” działalności Andropowa nie ma dla Hougha znaczenia. Hough jest przekonany, że były poseł w Budapeszcie i były szef KGB dobrze zna Zachód i jest skłonny do reformizmu, bowiem otoczony jest doradcami, których Hough uważa za

liberałów i reformatorów. Źródło miłości Hougha do Andropowa jest znane. Jeszcze w 1975 roku Roy Miedwiediew udzielił londyńskiemu *Observer'owi* wywiadu, w którym twierdził, że „być może nawet Andropow rozumie problemy inteligencji lepiej aniżeli Susłow i Kirilenko”. Zdaniem Hougha Andropow wszystkie problemy rozumie lepiej niż ktokolwiek inny w kierownictwie sowieckim. W opiniach Jerry Hougha dziwi mnie tylko niestałość: jeszcze niedawno twierdził, że Breżniew jest wzorem „zachodniego działacza”, a teraz uczucia swe przeniósł na Andropowa. Zresztą ten sam Hough twierdzi, że także Ławrentij Beria był liberałem. Jeśliby sowieccy obywatele przeczytali rozmyślenia amerykańskiego sowietologa, mogliby za Osipem Mandelsztamem powtórzyć: „Okazuje się, że byliśmy w łapach humanistów”.

Jednak radość z powodu awansu Jurija Andropowa miałyby sens, gdyby było z pewnością wiadomo, co się z nim stało. Zachodni sowietolodzy rozmyślający o zachodzących w ZSSR wydarzeniach jak zawsze rozumują *per analogiam*: Andropow wszedł do Sekretariatu KC, to znaczy, stał się silniejszy, a zatem to on jest następcą Breżniewa. Tymczasem niewykluczone są i inne warianty. Na szefa KGB wyznaczono Witalija Fiodorczuka, który 43 ze swoich 64 lat służby przepracował w „organach”. Do Moskwy przeszedł z Kijowa, gdzie od 1970 roku zajmował stanowisko szefa KGB Ukrainy. Uchodził on za najbardziej bezlitosnego pogromcę dysydentów ze wszystkich szefów KGB, pod jego kierownictwem zorganizowano na Ukrainie najokrutniejsze represje.

Fiodorczuk, który pracował pod nominalnym kierownictwem Andropowa, nie był jego człowiekiem. Stanowisko szefa KGB republik związkowych należy do nomenklatury Biura Politycznego. Andropow został członkiem Biura w 1973 roku, tzn. w trzy lata po mianowaniu Fiodorczuka na szefa KGB Ukrainy. Powstaje zatem pytanie: czy Andropow zachował po odejściu do Sekretariatu kuratelę (tak to nazywają) nad Komitetem Bezpieczeństwa Wewnętrznego? Jeśli tak, to jego pozycja rzeczywiście się umocniła. Jeśli nie — jego pozycja osłabła.

Wszystkie te rozważania, które przypominają zgadywanie z fusów, mają pewne znaczenie praktyczne. Dziś nikt nie jest w stanie przewidzieć kto będzie następcą Breżniewa, nawet sam Breżniew. Nie ulega jednak wątpliwości, że walka o „marynarkę” Breżniewa” będzie zażarta, równie zażarta jak po śmierci Lenina i Stalina. Zresztą pretendenci zajęli już pozycje wyjściowe, szykując się do zwarcia. Nie ulega też kwestii — czego dowodzi historia zmian władzy w ZSSR — że z przejściem władzy z rąk jednego sekretarza w ręce drugiego nie zmienia się natura władzy. Zachodzą taktyczne zmiany w polityce. Dotychczas każda zmiana władzy przynosiła okres „liberalizacji” i zabiegi o złagodzenie konfliktów zarówno wewnątrz kraju jak i na zewnątrz.

Po dojściu do władzy nowy sekretarz stara się zdobyć jak

najsilniejszą bazę dla swojej jeszcze chwiejnej pozycji. Niewykluczone, że zmiany na kremlowskim szczycie mogą mieć wpływ na sytuację w Polsce.

Adam KRUCZEK

10 czerwca 1982

W MOSKWIE O POLAKACH

John Darnton, warszawski korespondent *New York Times*, opisuje swoje wrażenia z wizyty w Moskwie pod kątem spraw polskich. Uderzyły go antypolskie nastroje wśród Rosjan, często „z odcieniem nieaktualnych już stereotypów”. Stosunek przeciętnego obywatela sowieckiego do Polaków jest mieszaniną podejrliwości i urazy; zaostriżyło się to w ciągu ostatnich dwóch lat. Gazety sowieckie, świadome widocznie że większość Rosjan jest przekonana o wyższej stopie życiowej Polaków, nie publikują cyfr pomocy sowieckiej dla Polski. Dziennikarz sowiecki w rozmowie: „Nie mamy ryb dla siebie i dowiadujemy się naraz, że wywozi się je do Polski. Jak pan myśli, jakie to budzi w ludziach uczucia? Nie, nie czujemy sympatii do Polaków. Mają już tak dużo a my mamy tak mało, a teraz chcą żeby za nich płacić, żeby ich subsydiować. Każdy naród ma swój charakter narodowy, niekiedy stereotypowy. Niemcy są sprawni, Węgrzy są sprytni. Co do Polaków, to posiadają oni dwie cechy: są leniwi i są drobnymi agresywnymi ludźmi interesu (*businessmen*). Ciągłe szmuglują rozmaite rzeczy, kupują złoto, handlują różnymi towarami. Ciągłe jeżdżą do innych krajów i coś z nich wywożą. Nie pracują ciężko i bez przerwy narzekają”. Sowiecki historyk-dysydent potwierdza (na podstawie opowiadań swojej córki, która była w Warszawie), że Polakom powodzi się lepiej. Potwierdza też, że zwłaszcza na sowieckiej prowincji panuje powszechne przekonanie o znacznie lepszym położeniu Polaków. Inny Rosjanin: „Polacy są kosmopolitami. Wyglądają inaczej. Wstydzą się nawet swojego słownictwa. Zatrzeni są tylko na Zachód. No pięknie, nie podoba im się nasz system. Nie podoba się on również wielu grupom etnicznym w ZSSR, które jednak pracują”. Młody pisarz rosyjski, który był wielokrotnie w Polsce, opowiada że uderzał go na każdym kroku u Polaków brak wiedzy o ZSSR. „Któregoś dnia poszedłem na wieczór poezji sowieckiej w Warszawie, Polacy byli tam poubierani jak Rosjanie, jak gdyby chodziło o coś egzotycznego z Afryki. Można było prawie usłyszeć bicie w bębny”.

Węgiersko-polska konferencja w Wirtzfeldzie

Europejski Uniwersytet Powszechny Protestantów Węgierskich urządził swój tegoroczny tydzień akademicki od 15 do 22 maja w miejscowości Wirtzfeld w Belgii. Tematem konferencji były „Polsko-węgierskie stosunki historyczne”. Árpád Szöllösy (Riehen), prezes EUPPW, w swoim przemówieniu inauguracyjnym

mówił o pracy i osiągnięciach Uniwersytetu. Wyraził jednocześnie żal, że prelegenci zaproszeni z Węgier już w jesieni 1981 roku nie mogli przyjechać na konferencję. Taki stan rzeczy nie służy niestety sprawie dialogu między Węgrami w kraju i za granicą (reprezentowanymi przez EUPPW) — chociaż Budapeszt zdaje się do niej przywiązywać wielkie znaczenie.

W wykładzie wstępnym konferencji historyk Tamás Bogyay (Monachium) zanalizował pierwszy, bardzo ważny okres kontaktów polsko-węgierskich od X stulecia do roku 1526 (bitwa pod Mohács); okres ten był pełen nie tylko związków dynastycznych i sojuszów, ale również sprzeczności i antagonizmów. Drugi wykład z tego samego zakresu, przygotowany przez panią Katalin Péter (Budapeszt), nie odbył się. Profesor Jerzy Łukaszewski, rektor Collège d'Europe z Bruges, wygłosił odczyt w języku francuskim o polskich ruchach reformatorskich i wolnościowych w XVIII i XIX wieku oraz o ich wpływie na rozwój społeczeństwa polskiego w naszym stuleciu. Andor Kovács (Bazyilea) omówił (na podstawie badań historyka literatury Csaba Gy. Kiss z Budapesztu) historyczne tło powiedzonka „Polak - Węgier dwa bratanki” i liczne przejawy tej przyjaźni, długotrwałej w historii obu narodów. Péter Száva (Kempen) czytał urywki z esejów nieobecnego Istvána Kovácsa (Budapeszt) na temat polskich uczestników w węgierskich walkach wolnościowych 1848/49 roku oraz odpowiednie fragmenty z autobiografii T. T. Jeża „Od kolebki przez życie”. György Gömöri, wykładowca literatury polskiej na Uniwersytecie w Cambridge (Wielka Brytania) zanalizował metodą porównawczą rozwój poezji polskiej i węgierskiej w zeszłym i obecnym stuleciu przedstawiając główne czy najbardziej charakterystyczne prądy w obu literaturach. Sándor Kiss (Strasburg) omówił problem kształtowania się tożsamości narodowej w perspektywie historycznej i porównawczej. Bogdan A. Osadczuk-Korab (Berlin) mówił o różnych okresach i zmianach w historii dwóch narodów w naszym stuleciu, biorąc szczególnie pod uwagę układ stosunków Polski z Węgrami, na ogół przyjacielski, a przecież nie pozbawiony trudności i sprzecznych interesów. Bálint Balla, profesor socjologii z Berlina, zajął się (przeważnie na podstawie badań Istvána Lagziego z Szeged i Wacława Felczaka z Krakowa) dziejami polskich uchodźców na Węgrzech podczas drugiej wojny światowej oraz omówił dzisiejsze poglądy na temat węgierskiej akcji pomocy Polsce. Krzysztof Pomian (Paryż) odtworzył na szerokim tle historycznym paralele i przeciwieństwa w ciągu minionego dwudziestopięciolecia. Péter Kende, socjolog z Paryża, redaktor poczytnych *Zeszytów Węgierskich*, omówił najważniejsze cechy polskiego ruchu społecznego ostatnich lat, podkreślając jego wydźwięk i możliwości oddziaływania na resztę Wschodniej Europy.

W ramach programu kulturalnego konferencji Tamás Kabdebó (Manchester) czytał fragmenty swoich utworów prozą i wierszem; György Gömöri (Cambridge) czytał swoje wiersze, między innymi o skojarzeniach i przeżyciach polskich. Z okazji

stulecia urodzenia Zoltána Kodály'a odbył się koncert złożony głównie z utworów wielkiego kompozytora węgierskiego — wykonawcami byli Maria Fettich (skrzypce) i György Bally (wiończela). István Elek, młody krytyk literatury z Budapesztu, obecnie stypendysta Fundacji Herdera na Uniwersytecie Wiedeńskim, mówił o twórczych problemach nowego pokolenia pisarzy węgierskich. Odbyło się również nabożeństwo ekumeniczne w języku polskim i węgierskim, odprawione przez Ks. Wolfganga Offermansa (Mülheim/Ruhr) oraz Pála Vargę (Ehingen).

G. G.

Kronika niemiecka

Małgorzata M. Stęsik objęła stanowisko redaktora naczelnego wychodzącego w Mannheim tygodnika *Ostatnie Wiadomości* (nakład — 1.200 egz.). Wojskowe władze *US Army* ostatnio nosiły się z zamiarem zlikwidowania pisma. ■ Nakładem *Czytelnika* ukazało się studium Franciszka Ryski *Norymberga — prehistoria i ciąg dalszy*. ■ *Orbis* uruchomił w okresie wakacyjnym połączenie autobusowe Berlin Zachodni-Poznań. ■ *Komitet Główny PPS w Niemczech* wydał drugi numer *Przemian* w języku niemieckim (*Die Wende*). Publikacja poświęcona jest aktualnym wydarzeniom w PRL. ■ *Polska Żegluga Bałtycka* w Kołobrzegu z powodu dotkliwego spadku ruchu turystycznego do Polski otworzyła połączenie promowe między dwoma obcymi portami — Kopenhagą i Travemünde w RFN. Prom *Pomerania* został wydzierżawiony armatorowi tunezyjskiemu. ■ Kilkanaście zachodniemieckich biur podróży zbankrutowało z powodu zamarcia ruchu turystycznego do Polski; biuro *Hummel-Reisen* zrezygnowało z pociągów specjalnych, zaś *TT-Linie* z połączenia morskiego na trasie Travemünde-Gdańsk. Wielkie przedsiębiorstwa turystyczne wykreśliły Polskę ze swych katalogów na 1982 rok. Turystyka z RFN do PRL: 1979 — 330 tys.; 1980 — 300 tys. (wpływy ok. 148 mln marek); 1981 — 160 tys. osób (wpływy ok. 70 mln marek). W ciągu pierwszych czterech miesięcy bież. roku *Polorbis* w Kolonii wystawił zaledwie 1.000 zleceń hotelowych o wartości ok. 300 tys. marek; Spadła ponadto, — z 20 do 2, i to tylko z Frankfurtu n./Menem — liczba połączeń lotniczych z Polską w ciągu miesiąca. ■ Christof Hyla, z-ca red. naczelnego niemieckiego kwartalnika *Kontinent* (Bonn), został udekorowany w Londynie przez prezesa Rady Ministrów Rządu R.P. Kazimierza Sabbata *Złotym Krzyżem Zasługi* za publicystykę i działalność społeczną, służącą pojednaniu niemiecko-polskiemu. ■ *Radio Free Europe Research* wydało w Monachium II t. *Poland: A Chronology of Events*. 205-stronicowe opracowanie Romana Stefanowskiego zawiera kronikę wydarzeń za okres luty-lipiec 1981. ■ Okazuje się, że części umundurowania żołnierzy *Bundeswehry* są szyte w Polsce... ■ Tadeusz Mysłik z *ODiSS-u* prowadził w Bonn poufne rozmowy w celu nakłonienia rządu RFN do udzielenia pomocy polskiemu rolnictwu (maszyny, nawozy, pasza). Natomiast „urabianiem” *Komisariatu Biskupów Niemieckich* w Bonn, po linii junty Jaruzelskiego, zajmują się inni wślanicy *ODiSS-u*, poseł Zygmunt Drozdek i katowicki dziennikarz Wiesław Gwiżdż. ■ Wystawę malarstwa Andrzeja Jana Piwarskiego (obecnie w

Essen) w bońskiej *Galerie Bernd Mai* otworzył Lew Kopelew. ■ *Polska Grupa Robocza „Solidarność”* - Kolonia urządziła spotkanie ze Zbigniewem Kowalewskim, członkiem zarządu łódzkiego, działającym aktualnie w Tymczasowym Komitecie „Solidarności” we Francji. Kowalewski: „Obrona związków zawodowych w Polsce jest ich obroną wszędzie”. ■ *Niemieckie Związki Zawodowe (DGB)* wysłały do Polski za pośrednictwem organizacji *Solidarität für Polen* dary (głównie żywność i lekarstwa) o wartości 7,5 mln marek. Przebieg całej akcji był otoczony dotąd tajemnicą. Dopiero teraz dowiadujemy się, że władze PRL nie wpuściły w styczniu br. transportu *DGB* z 2 tys. paczek przeznaczonych dla uwieczonych działaczy „Solidarności” i opozycji demokratycznej. *DGB*: „Polskie władze oceniły nasz gest jako demonstrację polityczną i stąd odmowa prawa wjazdu”. ■ Działacze *Biura Informacyjnego „Solidarności”* w Bremie domagają się bojkotowania *Polskiego Czerwonego Krzyża* przy rozdziale paczek z pomocą dla ludności w Polsce; *PKK* jest organizacją sterowaną przez rząd PRL, która pomoc humanitarną kieruje pod niewłaściwe adresy. Reżym PRL zabiega o to, żeby jak największa ilość paczek docierała do członków *ZBoWiD-u*. ■ Hrabstwo Hans i Rosemarie Huyn założyli w Bawarii prywatną organizację pomocy polskim rodzinom — *Direkthilfe Familie zu Familie* (D-8201 Neukirchen am Simsee). Urodzony w Warszawie hr. Huyn jest posłem do *Bundestagu* z ramienia *CSU*. Organizacja wysyła ponadto adresy osobom, które chcą pomóc polskim rodzinom cierpiącym niedostatek. ■ *Polski archipelag GUŁag* — brzmi tytuł sprawozdania Jürgena Wahla o sytuacji panującej w obozach dla internowanych, ogłoszonego w *Die Welt*. Tekst został nadany do kraju w programie polskim *Radio Free Europe*. ■ W Warszawie obradowało *Krajowe Zjednoczenie Patriotyczne „Grunwald”*; wygłoszone referaty poświęcone różnym aspektom stosunków polsko-niemieckich na przestrzeni tysiąclecia. Bliższych szczegółów nie podano. ■ Nakładem *Junius Verlag* w Hamburgu ukazała się książka Wernera Mackenbacha pt. *Das KOR und der „polnische Sommer”* (*KOR i „polskie lato”*). Praca zawiera analizy, dokumenty, artykuły i wywiady z lat 1976-1981. ■ *Poznański Teatr „Marcinek”* nie przybył do Brunświku na *Międzynarodowy Festiwal Leatrów Lalkowych*; organizatorzy *Festiwalu* odmówili pokrycia kosztów pobytu polskiego teatru w RFN. ■ Wychodzący w Düsseldorfie *Ostwirtschaftsreport* informuje, że w Polsce składowane są bezużytecznie w magazynach komputery o wartości 2 mld złotych; urządzenia komputerowe zakupywano na Zachodzie kierując się wyłącznie względami prestiżowymi. ■ Zachodniobierlińska *Die Tageszeitung* (lewicowa) uchodzi za jedną z najlepiej poinformowanych o sprawach polskich gazet niemieckich. ■ Z okazji 12-lecia układu RFN-Związek Sowiecki urządzono w Aschaffenburgu uroczystą sesję. Egon Bahr, architekt bońskiej *Ostpolitik*, przyznał rację Walentinowi Falinowi, iż odprężeniu politycznemu nie towarzyszyło odprężenie na niwie militarnej, ale na przeszkodzie stoją „założenia i działania USA”. Bahr opowiedział się ponadto za „rozwijaniem wszechstronnych stosunków ze Związkiem Sowieckim” i za odchodzeniem od zachodniej „doktryny odstraszania”. „Wcześniej czy później pójście z nami na Syberię” — powiedział prof. Władimir Kotow w trakcie odczytu o aktualnym stanie i możliwościach gospodarczych między Sowietami i RFN. O dziwo, nawet chadecki polityk Walther Leisler Kiep włączył się do chóralnego stwierdzenia, że w dziedzinie stosunków gospodarczych można mówić prawie wyłącznie o postępie. Zapachniało Rapallem. Konferencję uświetnił swoją obecnością Helmut Sonnenfeldt... ■ Lew Kopelew oświadczył podczas spotkania ze studentami w Kolonii, że to co się działo w Polsce w latach 1980-81 nie jest możliwe do przeprowadzenia w Rosji w chwili obecnej; „Polacy już zwyciężyli, bo nikt nie jest w stanie odebrać im historycznych doświadczeń w walce o wolność”. ■ *Majdanek — Geschichte und Wirklichkeit des Vernichtungslagers* (Maj-

danek — historia i rzeczywistość obrazu zagłady) — brzmi tytuł książki Józefa Marszałka wydanej przez Rowohlt-Reinbek Verlag w Hamburgu. ■ Przeoczenie cenzury? Warszawa Polityka pisze, że *Polenlieder* (pieśni polskie) narodziły się „z odruchu solidarności i współuczucia”, były „niezafalszowanym wybuchem uczuć Polsce i Polakom przyjaznych”, były „rozbrajające w intencjach po powstaniu listopadowym”; „Historia zna Zimę 1832 Nikolausa Lenaua, Pułk czwarty Juliusa Mosena (*Walecznych tysięcy opuszcza Warszawę*) Przysięga klęcząc: Naszym świadkiem Bóg!, zna też Kosyniera i Umierającego Polaka Ernsta Ortleppa, Nocną przeprawę przez Wisłę Augusta von Platena, Uchodźcę Gustawa Schwabe oraz Uhlanda wiersz z roku 1833 a więc powstały w kilka lat po upadku powstania pt. *Do Mickiewicza*”. ■ Ziemia Ulro (*Das Land Ulro*) Czesława Miłosza ukazała się w kolońskim wydawnictwie Kiepenheuer und Witsch w tłumaczeniu Jeannine Łuczak-Wild. ■ W ramach przeprowadzonej w Kolonii akcji *Paczka do Polski* zebrano 100 tys. marek. Za sumę tę zakupiono 20 ton żywności, którą dostarczono do kościelnych punktów rozdzielczych. ■ W PRL przebywali deputowani z ramienia SPD (*Frankfurter Allgemeine*: „Po przetarciu dróg przez Herberta Wehnera”) do Bundestagu Walter Polkehn i Volker Neumann. Przeprowadzili rozmowy z przedstawicielami rządu, Sejmu i ekspertami gospodarczymi (sprawa polskiego zadłużenia oraz finansowania w tych warunkach zakupów w RFN). Polkehn po powrocie do Bonn powiedział, że władze PRL nie dają się sprowokować zamieszkami i konsekwentnie realizują „politykę dialogu i porozumienia; dążą również do dalszego znoszenia rygorów stanu wojennego”. ■ *Deutsche Tagespost*: „Kolejny popis instynktu politycznego potakiwaczy z tylnych ławek w Bundestagu”. ■ W Warszawie odbyły się XXVII Międzynarodowe Targi Książki. Delegacja NRD przeprowadziła w Ministerstwie Kultury i Sztuki rozmowy na temat druku polskich książek w NRD; pomiędzy centralami *Ars Polona* a *Buchexport* została podpisana umowa na ok. 1 mln marek. Na rynek NRD-owski trafią przekłady współczesnej literatury polskiej, np. książki Juliana Strykowski, Kazimierza Moczarskiego (*Rozmowy z katem* — oczywiście z przedmową prof. Ryszy), Jerzego Putramenta i Jarosława Iwaszkiewicza. W NRD tłumaczy się rocznie około 50 książek z języka polskiego. Wrocławskie Ossolineum wyda w języku polskim razem z budziszyńską oficyną *Domovina Przysłowia serbo-łużyckie*. Trwają rozmowy o polskim przekładzie i druku w NRD pracy *Zarys dziejów Serbołużyczan*. ■ Okazuje się, iż rząd RFN przyznał dodatkowe środki finansowe, które umożliwią zachodniemieckim wydawcom zwiększenie rabatu do 25 % przy zakupie przez PRL czasopism naukowych. W czasie trwania targów funkcjonariusze bezpieki wdarli się do biura korespondenta zachodniemieckiej sieci telewizyjnej ARD i skonfiskowali film nakręcony na targach książki. Kasetę z filmem później zwrócono, ale wycięto obraz na którym uwidocznił się balon z napisem „Solidarność” unoszący się w hali wystawowej. Zachodni korespondenci akredytowani w Warszawie złożyli ostry protest w tej sprawie. ■ W maju bież. roku do obozu przejściowego we Friedlandzie przybyło 2.526 przesiedleńców z Polski. ■ Opowiadanie Wiktora Woroszyńskiego — *Frater Diego sitzt zu Gericht* (tyt. oryginału — *Brat Diego i brat Sebastian*), w tłumaczeniu Marii Kureckiej zamieścił tygodnik *Welt am Sonntag*. ■ Gen. bryg. doc. dr hab. Norbert Michta, rektor Wyższej Szkoły Nauk Społecznych przy KC PZPR, wygłosił w Berlinie Wschodnim odczyt — *Koncepcja anarchosyndykalizmu w założeniach programowych i działalności NSZZ „Solidarność”*. ■ W austriackiej Akademii Nauk odbyła się uroczystość wręczenia tegorocznych nagród zachodniemieckiej Fundacji im. Gottfrieda von Herdera za rok 1982. Wśród laureatów znalazł się prezes Związku Literatów Polskich — Jan Józef Szczepański. Nagroda wynosi 50 tys. marek. W uroczystości wzięli udział m.in. prezydent Republiki

Austrii Rudolf Kirschlaeger i arcybiskup Wiednia ks. kardynał Franz König. Na uroczystości nie przybyli zaproszeni przez organizatorów przedstawiciele ambasady PRL w Wiedniu. Na wniosek J. J. Szczepańskiego Fundacja przyznała również stypendium Tomaszowi Fijałkowskiemu, młodemu naukowcowi z Krakowa. Stypendysta nie otrzymał jednak paszportu na wyjazd do Austrii. ■ Robotnicza Służba Samarytańska w RFN dostarczyła do Polski 50 transportów z żywnością i lekarstwami o łącznej wartości 3 mln marek. ■ Centralny Komitet Niemieckich Katolików wydał oświadczenie, w którym stwierdzono, iż Polacy muszą sami decydować o swoim losie, według „przyjętych zasad wolności, prawa i respektowania godności osobistej”; dalej Komitet apeluje do niemieckich katolików o kontynuowanie pomocy humanitarnej i nieuleganie podszeptom, że tylko przyjęcie postawy neutralnej gwarantuje zachowanie pokoju; „nie możemy przejść do porządku dziennego nad faktem, że część kontynentu europejskiego jest opanowana przez system totalitarny”. ■ Wiednie powoli subwencjonowany przez rząd RFN miesięcznik w języku polskim *Profil* (*Reinecke Verlag*, Hamburg); władze PRL od sześciu lat zwlekają z wyrażeniem zgody na rozpowszechnianie tego pisma w PRL. *Profil* rozdawany jest jedynie na terenie ambasady RFN w Warszawie, ok. 300-400 egz. Dopiero na początku czerwca br. wydano podwójny numer za luty-marzec. ■ Ruch Oaz w województwach krakowskim i katowickim jest zaopatrywany w żywność i sprzęt obozowy przez Niemiecką Młodzież Katolicką (BDK). W krakowskich Oazach spędzi wakacje 10 tys., a w katowickich 20 tys. młodzieży. ■ W Bonn przebywał z wizytą wiceprezes Rady Ministrów PRL, przewodniczący Centralnego Komitetu Stronnictwa Demokratycznego — Edward Kowalczyk. Głównym tematem rozmów z czołowymi politykami rządzącej koalicji SPD/FDP był stan stosunków Wschód-Zachód. Kowalczyk podkreślał przy każdej okazji „zdecydowaną wolę rządu kontynuowania reform społecznych i gospodarczych w Polsce; nierzetelna, tendencyjna informacja doprowadziła do zniekształcenia obrazu naszego kraju”. Minister Spraw Zagranicznych — Hans Dietrich Genscher (FDP) podczas rozmów z Edwardem Kowalczykiem powtórzył postulaty zachodnie wobec władz PRL zgłaszane wielokrotnie w związku z wprowadzeniem w Polsce stanu wojennego. ■ Zupełnym niewypałem okazała się majowa demonstracja na rzecz solidarności z Polską, zorganizowana w Bonn głównie przez chadecki związek studentów RCDS. W wiecu miało uczestniczyć 10 tys. osób; na Münsterplatz demonstrowało w rezultacie ok. 600 osób, ale reprezentujących aż 51 grup. Ziomkowska organizacja Młodzież Śląska wykorzystała demonstrację dla udowadniania niemieckości Śląska, zresztą popartą przez deputowanego Helmuta Sauera, który rozszerzył roszczenia na Pomorze i Prusy. Brawa otrzymał m.in. od delegacji... kambodżańskich komunistów spod znaku Pol Pota i Afgańczyków, którzy nie rozumieli w ogóle, o co mówcy chodzi. W jednym punkcie musimy jednak przyznać rację naszym ziomkowskim adwersarzom: Niemcy w Polsce powinni wreszcie uzyskać pełne prawa przysługujące mniejszości narodowej (pielegnowanie tradycji kulturalnych, szkoły, organizacje, własne publikacje itd.). Dobrze i skutecznie pracujące frankfurckie Międzynarodowe Towarzystwo Obrony Praw Człowieka wykorzystało pochód i wiec do rozkolportowania wśród uczestników *Odezwy Polaków do Niemców* (tekst w *Kulturze* nr 6, 1982). ■ W kolońskim Federalnym Instytucie Badań Spraw Wschodnich i Stosunków Międzynarodowych odbyła się konferencja naukowa poświęcona Polsce. Dieter Bingen (Kolonia) omówił przyczyny i przebieg konfliktu między społeczeństwem a władzą; Heinrich Machowski (Berlin Zachodni) referował sytuację gospodarczą PRL i jej powiązania z RWPG; Eberhard Schulz (Bonn) przedstawił wpływ polskiego kryzysu na układ stosunków Wschód-Zachód (znowu ci Polacy wszystko popsuli!). ■ *Diakonia Ruchu Światło-Życie* w RFN rozpoczęła działalność w polskim ośrodku Maria-

num w Carlsberg pod kierownictwem ks. Franciszka Blachnickiego (6719 Carlsberg, Kreuzweg 28). Cieszymy się, że ks. Blachnickiemu — duchownemu z kraju — udało się uratować polski ośrodek w Carlsbergu, doprowadzony do upadku na skutek obojętności *Polskiej Misji Katolickiej w Niemczech*. ■ W dzień wyjazdu do Polski delegacji katolickich biskupów niemieckich *Volna Europa* nadała audycję, w której przytoczono ważniejsze głosy prasy RFN-owskiej omawiające głośną *Odezwę Polaków do Niemców*. ■ Kanclerz Helmut Schmidt na przyjęciu dla członków *Stowarzyszenia Prasy Zagranicznej* w Bonn: „Dopóki gen. Jaruzelski nie spełni moralnie słusznych oczekiwań, wynikających z *Aktu Końcowego* porozumienia w Helsinkach, a Polska jest sygnatariuszem tego porozumienia, dopóty będzie miał poważne trudności ze znalezieniem, poza państwami *Paktu Warszawskiego* i *RWPG*, rządu, który byłby skłonny wydawać pieniądze podatników na pomoc dla Polski. Jestem jednakże zdania, i podkreślam to publicznie, że należałoby stworzyć możliwości takiej pomocy, pod warunkiem, że rząd PRL doprowadzi do normalizacji stosunków w kraju, uwolni internowanych i powróci do dialogu ze społeczeństwem a także przywróci wolny ruch zawodowy i swe postępowanie oprze na przyjętych w Helsinkach zasadach”. ■ Sztab planowania przy *Urzędzie Kanclerskim* w Bonn opracował studium odnośnie współpracy Republiki Federalnej z krajami *Paktu Warszawskiego*; RFN powinna prowadzić politykę współpracy politycznej i gospodarczej z Sowietami i z innymi krajami wschodnioeuropejskimi nawet, jeśli oznaczałoby to ryzyko konfliktu ze Stanami Zjednoczonymi.

Andrzej J. CHILECKI

Kronika litewska

Sytuacja aprowizacyjna na Litwie pogorszyła się. Władze tłumaczą, że powodem były strajki w Polsce i potrzeba udzielania jej pomocy. Podobno mało kto w to wierzy. Zresztą oficjalnie o brakach się nie mówi. Na naradzie wyższych urzędników ministerstwa Spraw Wewnętrznych pierwszy sekretarz był raczej powściągliwy i stwierdził, że brak paszy dla bydła i nierogacizny zmniejszył pogłowie i obniżył produkcję mleka. Powodem braków jest także wzrost zapotrzebowania, niesprawne rozprowadzanie towarów oraz gromadzenie zapasów. W grudniu brakowało masła. Ludność rolnicza zmniejsza się, więc mniej jest działek przyzagrodowych. W tworzonych *agrogorodach* niekiedy lokowano kołchozników w piętrowych kamienicach, co utrudnia zagospodarowanie działek. Obecnie zwraca się uwagę, by kołchoźnicy mieli prócz mieszkań również zabudowania gospodarcze. Podupadło ogrodnictwo. Z innych źródeł dochodzą informacje, że zaopatrzenie w żywność na prowincji jest znośne, a gorzej zaopatrywane są miasta, do których przyjeżdżają po zakupy — do Wilna Białorusini, a do Kowna Rosjanie z Kaliningradu. Minimalny uszczerbek dla gospodarki litewskiej powoduje wysyłka paczek żywnościowych do Polski, przez Polaków z Litwy. Ponieważ nie wolno wywozić produktów mięsnych, wysyła się głównie ryż, herbatę i proszki do prania. ■ Zgodnie z wypowiedzią generalnego sekretarza, obrazującego stan przemysłu na Litwie, w ostatnim roku nie wykonały planu przemysłu: meblowy, rowerów dzieciennych, lodówek, produktów

mięsnych i przetworów mleka, a zwłaszcza obuwiu. Brak także tkanin bawełnianych i wełnianych. Sekretarz zwrócił uwagę na dwie bolączki — pijaństwo oraz budowanie domów z nielegalnie otrzymanych materiałów. ■ Ogłoszony budżet republiki litewskiej opiewa na 26 miliardów rubli. Obciążenie budżetowe na mieszkańca trzech republik bałtyckich sięga 800 rubli, a republik rosyjskiej i ukraińskiej niecałych 600 rubli. ■ Litwini wołają na alarm z racji postępów rusyfikacji, ale właściwie najbardziej ucierpieli tu Polacy, bo postępuje ona najszybciej na Wileńszczyźnie. W całej Litwie Rosjan jest 8,6 %, ale do szkół rosyjskich uczęszcza 12,1 % dzieci. Polaków jest 7,7 %, ale do szkół polskich uczęszcza 3,5 % dzieci. Na międzywojennym terytorium Litwy są jeszcze polskie skupiska, np. Wędrzagoła, ale nie ma tam ani jednej szkoły polskiej a mało szkół rosyjskich, więc dzieci chodzą do szkół litewskich. Na Wileńszczyźnie Polacy liczniej uczęszczają do szkół rosyjskich z racji pokrewieństwa językowego. W Wilnie w roku 1970 było oficjalnie 18,3 % Polaków, a do szkół polskich uczęszczało 7,35 %. Późniejsze dane podają spadek do 5,8 %. W ciągu kilkunastu lat ilość dzieci uczęszczających do polskich szkół zmniejszyła się mniej więcej o jedną trzecią i o tyleż wzrosła ilość dzieci w szkołach rosyjskich. Zageszczenie polskich szkół jest największe kolejno w okręgach: Wilno-wieś, Święczniki, Troki, Święciany, Wilno-miasto; nieliczne są szkoły rosyjskie w miastach i we wschodniej części kraju. Z ponad ćwierćmilionowej kolonii na Litwie rzekomo 25-30 % zna język litewski, ale Litwini to kwestionują twierdząc, że nawet po wieloletnim pobycie Rosjanie nie kwapią się do nauki języka litewskiego, który jest źle widziany i pogardzany. Nieliczni Rosjanie garnący się do Litwinów i uczęszczający na ich imprezy podejrzewani są o sympatie prozachodnie. ■ Korespondenci zagraniczni i prasa podziemna zgodnie głoszą, że po polskim sierpniu rządy sowieckie w krajach bałtyckich wzmogły ucisk. Rzucone hasło połodzinowego strajku w dniu 1 grudnia spaliło na panewce, jako niewykonalne w sowieckich warunkach. Ponoć były w Wilnie sporadyczne wypadki zapalania świeczek w oknie na znak solidarności z Warszawą. Komitet „Helsinki” został praktycznie rozbity. Dwaj jego członkowie są uwięzieni, sędziwa Łukauskaitė-Poškienė zmarła śmiercią naturalną, ks. Laurinavičius został zamordowany — rzekomo zginął w wypadku drogowym. E. Finkelšteinas, chociaż wyszedł z Komitetu, wciąż jest nękany. Członkiem Komitetu jest poeta T. Venclova przebywający w Ameryce. ■ Ubiegłej jesieni arcybiskup Povilionis jeździł do Rzymu i za jego pośrednictwem władze sowieckie zaproponowały, że złożeni z urzędu dwaj nieprawomyślni biskupi otrzymają znów należne im prawa, jeżeli Watykan zatwierdzi trzech nowych biskupów, których kandydatury przedłożył rząd. Porozumienia nie osiągnięto ku radości kleru litewskiego, obawiającego się biskupów-kolaborantów. Zwracano uwagę, że starzy, ułaskawieni biskupi mogą być swych praw znów pozbawieni, a nominacja nowych byłaby nieodwołalna. Na innym szczelbu proponowano ulgi seminarium duchownemu w Kownie w zamian za kompletne odgraniczenie się od nielegalnego kościoła w katakumbach, gdzie potajemnie szkoli się kleryków i gdzie wyświęcono kilku księży. ■ W obzie karnym w Prowieniskach pod Kownem miał miejsce w ub. roku krwawe stłumiony bunt więźniów. Podobno było 40 zabitych i rannych. Półtoratysięczny obóz zbuntował się przeciw nadużyciom personelu. ■ Zarzuty stawiane kościołowi: „Biskup Sladkevicius teraz mówi tylko o Polsce”. Litewska redakcja dodaje, że to nieprawda. ■ Z głosów prasy podziemnej: *Perspektyvos* rozważa problem trzeciej drogi, ani z sowieckim, ani z amerykańskim imperializmem. Inne pismo nawołuje: „Nie walczmy z Rosjanami i z Polakami, lecz z największym zagrożeniem postawy moralnej całego narodu — z pijaństwem, nierzetelnością...”. ■ Wileński botanik dr K. Iringis wybrał wolność w czasie ekspedycji naukowej na Oceanie Indyjskim i teraz opowiada o stosunkach na Litwie: „Ruch kato-

licki obejmujący nawet młodych, uczęszczających na nabożeństwa, nie jest właściwie ruchem ściśle religijnym, a obroną stylu życia i wartości moralnych świata chrześcijańskiego. Chrześcijaństwo tutaj jest wciąż ogromnie żywotne. Najboleśniej jest ciągle poniewieranie wszystkiego co litewskie. Prace naukowe muszą być pisane w języku rosyjskim. Humanistyka stoi bardzo nisko. Natomiast w dziedzinie techniki są osiągnięcia — rozpowszechnienie nauczania technicznego dało Litwie wielką ilość fachowców. Osiągnięcia matematyków wileńskich są już znane za granicą. Sytuacja ekologiczna jest opłakana. W czasie gwałtownej urbanizacji kraju zaniedbano względy zdrowotne nie tylko w szybko rozrastających się miastach. Dotyczy to fabryk chemicznych w Kiejdanach i Janowie oraz siłowni atomowej koło Świecian. Jeśli idzie o poszanowanie historii i zabytki, to cmentarze w Kownie i Kłajpedzie zostały albo przeniesione, albo zlikwidowane, jak np. mużulmański i luteriański w Wilnie. Teraz przychodzi kolej na historyczny cmentarz na Roscie. Ma tamtędy przechodzić autostrada, więc będzie uszczuplony i uporządkowany. Prócz serca Józefa Piłsudskiego — o czym prasa litewska nie wspomina — spoczywają tam prochy wybitnych Litwinów: dr. Basanavičiusa, Czurlonisa, rektora Michała Romera, Leleweła i innych. Cmentarz na Roscie jest od lat zaniedbany, w odróżnieniu od cmentarza na Antokolu, gdzie chowają sowieckich prominentów. Ciekawe, że pomimo licznych ofiar powstania wileńskiego w roku 1944 nie ma nigdzie cmentarza akowców. ■ Upłynęło 550-lecie śmierci Witolda Wielkiego, czczonego przez Litwinów bohatera narodowego. Wszelkie próby obchodzenia tego jubileuszu zostały zakazane. ■ Skoro już mowa o historii i to mało znanej, to w latach powojennych powstał na Litwie opór zbrojny i dwukrotnie byli tam zrzućani spadochroniarze, łącznicy-instruktorzy. Drugi zrzut, pomimo niesłychanych ostrożności, nie udał się i oficer litewski został zaraz ujęty. Była to wspólna impreza amerykańsko-francusko-angielska. Obecnie prasa amerykańska ujawnia, że do niepowodzenia przyczynił się prawdopodobnie Philby. ■ Litewska prasa, a za nią szwajcarska, omawia działalność zmarłego Susłowa, katar Litwy. Jego rząd na Litwie, które przypadały na okres największych deportacji i egzekucji partyzantów, były tak okrutne, że nawet litewscy komuniści domagali się jego odwołania, co też nastąpiło w roku 1946. ■ Jeszcze o historii, ale na weselszą nutę. Jak wiemy z prasy polskiej, głośny dzisiaj premier grecki Papandreu jest częściowo polskiego pochodzenia, ale litewska prasa emigracyjna przypomina, że dziadem jego był szlachcic spod Osmiany nazwiskiem Minejko, więc musi być pochodzenia raczej litewskiego. ■ **EMIGRACJA.** Litewska agencja informacyjna ELTA podaje: „Uciemniony naród litewski, który witał proces demokratyzacji w Polsce, dzisiaj dzieli zawód narodu polskiego z powodu przywrócenia rządów totalitarnych. Jakże by nie były nieporozumienia między narodami środkowo-wschodniej Europy, jednocy je uczucie solidarności wobec wspólnego wroga — sowieckiego totalitaryzmu i dążenie do wspólnego celu — wolności i niezależności”. Przewodniczący Naczelnego Komitetu Wyzwolenia Litwy dr Bobelis wystosował pismo do prezydenta Reagana z zapewnieniem, że naród litewski popiera twarde stanowisko prezydenta w sprawie polskiego kryzysu i solidaryzuje się z sankcjami, zwłaszcza stosowanymi wobec Związku Radzieckiego. Sejm litewskiej emigracji, który odbył się w dniach 6-8.11.1981, powziął m.in. następującą uchwałę: „Sejm powierza zarządowi VLIK-u badanie sytuacji Litwinów w okręgach anektowanych przez Białoruś i Polskę i szukanie sposobów ulżenia ich losowi”. W czasie dyskusji w Sejmie podawano relacje z Suwałszczyzny. Tamtejsi Litwini nie chcą przyłączenia ich do Litwy, gdyż „lepiej im pod Polakami, niż pod Rosjanami”. ■ W czasopiśmie litewskich w Ameryce spotykamy liczne przedruki i streszczenia artykułów z *Kultury* o Żydach wileńskich, o księżach w Kazachstanie i in.; artykuł o polskiej polityce wschodniej został nawet zamieszczony w „samizdato-

wych” *Perspektyvos*. Prasa litewska cytuje paryskie przemówienie Miłosza, porównującego zamach stanu Jaruzelskiego do Targowicy, która stała się synonimem zdrajców. Podaje też, że Solidarność zaczęła wydawać w Polsce periodyk *Lituania*, którego ukazał się jeden numer. ■ Zmarł w Ameryce znany publicysta i polityk V. Rastenis. Był on w niepodległej Litwie generalnym sekretarzem rządzącej partii narodowców. ■ **O wspólnych poczynaniach Bałtów.** Na konferencję w Madrycie Bałtowie przygotowali dla delegata amerykańskiego bogatą dokumentację. Toteż gdy delegat sowiecki zaczął mówić o amerykańskim imperializmie, delegat Kampelman wygłosił dłuższe, dobrze udokumentowane przemówienie o sowieckim imperializmie, podając za przykład państwa bałtyckie. ■ Dnia 30.1.1982 ogłoszona została deklaracja następującej treści: „Zjednoczony Komitet Bałtów w USA, reprezentujący Estończyków, Litwinów i Łotyszów, łączy swe nadzieje i modlitwy z dzielnym ludem Polski. Solidarność poprzez Bałtyk przyniosła powiew nadziei do naszych okupowanych krajów ojczyzn. Jako manifestacja najwyższych celów ludzkości, „Solidarność” inspirowała wiarę w zwycięstwo sprawiedliwości. Oburzylły nas tamtejsze represje i przesyłamy pełne poparcie walczącym z uciskiem. Pochwalamy ich dążenia i łączymy się z nimi w walce z tym samym przeciwnikiem”. ■ 38 odważnych Bałtów wysłało pismo do rządu sowieckiego i do rządów państw skandynawskich domagając się, by projekt sowiecki utworzenia północnej strefy wolno-atomowej w Skandynawii objął również trzy republiki bałtyckie. Pismo wspominało o historycznym i kulturalnym ciężarunku tych krajów do Skandynawii, o pakcie Ribbentrop - Mołotowa i innych nieprzyjemnych dla Sowietów sprawach. Naturalnie pismo to nie dotarło do rządów skandynawskich, a dopiero po kilku miesiącach odpis został przemycony na Zachód. ■ W Estonii było kilka strajków wywołujących ostre represje oraz wystąpienie uczniów, którzy zerwali flagę sowiecką, zastępując ją estońską. Poza tym opór ogranicza się do małych grup desperatów, wydających podziemną prasę. Pewna Rosjanka znająca język angielski spotykała wszędzie wrogość, dopóki nie wpadła na pomysł zwracania się do Estończyków po angielsku. Nie trzeba dodawać, że w wieku gdy „czyja telewizja, tego rząd dusz”, na nastroje w Estonii wpływa możliwość oglądania programów fińskich. Co nie przeszkadza, że w ONZ Finlandia solidaryzuje się z Sowietami i wydała Rosji zbiegłego wileńskiego dysydenta. ■ W Estonii wyroki są surowe. Przywódca wspomnianych wyżej uczniów dostał 5 lat więzienia, a jego młodzi koledzy po 3 lata. Niejaki I. Arakas, który usiłował włamać się do składu amunicji i broni, został skazany na 12 lat za „chuligaństwo” (aby ukryć polityczny charakter tego wystąpienia). Pastora luteriańskiego V. Saluma umieszczono w więziennym zakładzie psychiatrycznym. W Tartu i na prowincji miały miejsce w grudniu 1981 ciche demonstracje, ale o ich następstwach brak informacji. ■ Wzmaga się ucisk Łotyszów poprzez masową kolonizację i niedopuszczanie tubylców do wpływów na rządy. Rządzi partia komunistyczna; na 164 tysiące członków partii jest tylko 27 tysięcy Łotyszów, mniej więcej 17 %. (W litewskiej partii Litwini wciąż stanowią większość). Łotysze nawet w sowieckim systemie pracują wydajniej niż Rosjanie, ich rolnictwo stoi wysoko, a przemysł zatrudnia wielu wykwalifikowanych robotników. O Rydze mówi się, że jest stolicą „czarnego handlu” lub stolicą męskiej mody. ■ Dwie naczelnice organizacje łotewskie złożyły na pomoc dla Polski po 1.000 dolarów, w Australii jedynie w stanie Wiktorii, Łotysze, których mieszka tam 8 tysięcy, złożyły na fundusz pomocy Polsce — \$ 4273. Łotysze z Melbourne już poprzednio przekazali na ręce biskupa Wesołego w Rzymie sumę \$ 740. Delegaci łotewscy oświadczyli: „Narody nasze żyły w przyjaźni sąsiedzkiej od XVI wieku, losy nasze mają bardzo wiele wspólnego i nadszedł czas, abyśmy pomogli Polsce”.

Sprawy i troski

Strzały z bunkra „endokomuny” (kulą w płuć)

Niedźwiedzią przysługą dla Kościoła w Polsce mógłby stać się tekst Stanisława Włazły („Strzały zza paryskiego płotu”, *Słowo Powszechne*, 11 maja 1982), gdyby był potraktowany poważnie. Trudno jednak poważnie traktować wypowiedź utrzymaną w stylu *Żołnierza Wolności*. Natomiast przytoczone przez Włazłę fragmenty artykułu z *Kultury* paryskiej wymagają odpowiedzi i komentarza. Fragmenty te być może wyrwane są z kontekstu, może przeinaczone. Odsądzanie od czci i wiary kogoś, kto bronić się za pomocą koncesjonowanej prasy krajowej nie może, nie budzi zaufania do polemisty, jest nawet podłe, przemienia polemikę w paszkwil. Wszelkie polemiki krajowe z konfiskowaną *Kulturą* lub zagłuszaną „Wolną Europą” są nieuczciwe, jeżeli nie przytaczają *in extenso* krytykowanych artykułów lub programów. Trzeba również wczuć się w ducha wypowiedzi emigracyjnych na tematy polskie, trzeba widzieć cały kontekst odpowiedzialności i nadziei. Mnożenie epitetów: „niebywały”, „napastliwy”, „nie-wybredny”, „antypolski”, „antykościelny”, „aroganski”, „bezcelny”, „wrogi” itd. więcej mówi o uczuciach i myślach Włazły niż o uczuciach i myślach polskich emigrantów-patriotów, którzy nie muszą udowadniać przed Włazłą swojej polskości. Włazło chce niby bronić przed zniewagami przedstawicieli Kościoła w Polsce. „Boże, broń mnie przed takimi przyjaciółmi, bo przed wrogami obronię się sam” — pomyślałbym, gdyby mnie w ten sposób broniono.

Refleksjom redakcji *Kultury* poznanym częściowo dzięki „Strzałom...” Włazły trudno odmówić merytorycznej słuszności, choć taktycznie wydaje się niecelowe kwestionowanie autorytetu kościelnych przywódców w sytuacji, gdy Kościół jest obrońcą naszego społeczeństwa i narodu. Gdy rządzą nami ludzie, którzy

nas nienawidzą, autorytet ludzi, którzy nas kochają, jest czymś szczególnie pomocnym i cennym.

„Merytoryczny komentarz wydaje się tutaj niepotrzebny, przydałby się on raczej dla emigracji polskiej — jako odtrutka” — pisze autor „Strzałów...”. Niech się Stanisław Włazło nie martwi tak bardzo emigracją polską. *Kultura* ma na Zachodzie oponentów a nawet wrogów. Wypowiedzi redakcji *Kultury* bywają aktem nonkonformizmu i odwagi wobec emigracyjnego środowiska; w warunkach pluralizmu postaw są i mogą być krytykowane. Tymczasem „Strzały...” nie są właściwie krytyką, bo spokojnym choć ostrym rozważaniem *Kultury* przeciwstawiają jedynie kilka-naście wyzwisk oraz parę kościelnych cytatów. Szczególnie nie-taktowne jest chowanie się za autorytet Ojca Świętego oraz śp. Prymasa Wyszyńskiego.

W duchu wiary można by uznać obawy *Kultury* za małoduszne lub nawet małostkowe, jednak nie każdy ma wiarę heroiczną. Emigracja ma świadomość tego, co wielokrotnie stwierdza „Wolna Europa”, że „Kościół zawsze zachowywał powściągliwość, kiedy rysowało się niebezpieczeństwo rozlewu krwi w Polsce, ale był też zawsze oparciem dla Narodu”. Z drugiej jednak strony ludzie Kościoła bywają przyczyną rozczarowań i bódem do uczuć antyklerykalnych, czemu trudno się dziwić, bo to się zdarza w najlepszej rodzinie, lepiej wprowadzić żeby się nie zdarzało!

Zanim podzielę się moimi uczuciami rozczarowania, chciałbym rozważyć możliwość apologii postawy ks. Prymasa. Niedawno Marian Brandys napisał apologię Jacka Kuronia (odczytaną w RWE), z której wynika, że nawet wady Kuronia służą jego cnotom, a więc: „kochajcie, dzieci, Kuronia, bo dobry!”. Gdybym miał pisać apologię ks. Prymasa, to raczej starałbym się wykazać, że nawet jego wady służą miłosierdziu Bożemu, a więc kochajmy Boga, bo dobry, bo na wieki Jego miłosierdzie, i uwierzmy, że Bóg mocen jest zwyciężać za pomocą słabych środków, jak Samson przy pomocy oślej szczęki, to znaczy nie musi mieć innych ludzi niż takich jakich właśnie ma. Skoro możliwa jest heroiczna wiara w Jacka Kuronia, to możliwa jest również wiara w ks. Prymasa, a tym bardziej w Boga, który go powołał. Nie martwiłbym się zbytnio niezręcznościami stylistycznymi i niejasnościami wypowiedzi moich przełożonych (podobnie jak dziecko nie ma za złe rodzicom słabej polszczyzny, jeżeli ich kocha), natomiast chcę wczuć się w myślenie ludzi słabiej wierzących lub niewierzących, którzy wiążą z Kościołem wspólne ludzkie nadzieje. W końcu wolno analizować wypowiedzi kościelne, choćby i krytykować w duchu antyklerykalnym. Pytanie tylko: czy i w jakiej formie analizy takie publikować. Otóż *Kultura* paryska

obecnie jest praktycznie nieosiągalna w Polsce, a i poprzednio trudna była do zdobycia. To S. Włazło opublikował dla polskiego czytelnika krytyczne analizy *Kultury*. Przypuszczam, że w RWE tekst z *Kultury* nie był odczytany, bo wiem w jaki sposób RWE wypowiada się o Kościele w Polsce, jakie głosy wydobywa, jakie raczej przemilcza; mistrzowskie komentarze tej rozgłośni przedstawiają Kościół w jak najlepszym świetle. „Ubolewamy, że zmuszeni jesteśmy przytoczyć tu obszerne cytaty” — pisze Włazło i nadaje tym samym rozgłos całej sprawie.

W moim odczuciu ks. Prymas rzeczywiście łagodniej odnosi się do władz niż do społeczeństwa. Jak to sobie tłumaczyć? Oto ks. Prymas do chrześcijan mówi jak ojciec, a do pogan — jak dyplomata. Tym, którzy chcą go słuchać, mówi: „nawróćcie się, bądźcie święci, powstrzymajcie się od nienawiści”; tym, którzy go nie słuchają, ale się z nim jakoś liczą, bo czują wobec Kościoła pewien rodzaj respektu, mówi innym językiem, wzywając do ugody, porozumienia, kompromisu lub rozejmu. Ugoda z komunistami jest faktycznie rozejmem i niczym więcej.

Ponadto ks. Prymas traktuje niekiedy obie poważnione strony tak, jak dorosły traktuje dwoje kłócących się i bijących ze sobą dzieci, wzywając do spokoju bez wnikania, kto ma rację. Dzieci się biją, podczas gdy trzeba, żeby się nie kłóciły i były grzeczne. Kto kogo bardziej bije i kto zaczął i o co w ogóle chodzi, ks. Prymasa jak gdyby chwilami nie interesuje, ani jakie kto ma motyw; ważny jest po prostu spokój. Przy tym upomnienia wobec narodu są trochę selektywne, mniej dotyczą spraw ważniejszych (tu są raczej ogólne i rzadsze), a bardziej — spraw mniej ważnych, doraźnych (tu są częstsze i konkretne). Zastanawia mnie, że dopiero niedawno zaczął ks. Prymas wypowiadać się na temat obrony życia, podczas gdy istniejące ścisły związek między „stanem wojennym” a wojną z dziećmi poczętymi. Jeżeli pokolenia ludzi dorosłych niszczą (a więc nienawidzą) dzieci, to cóż dziwnego, że władza niszczy (bo nienawidzi) swój naród. Zło ukryte musi być ujawnione. Symptom kieruje uwagę ku przyczynom. Takiej wnikliwej uwagi brakuje mi w wypowiedziach ks. Prymasa, skądinąd pełnych dobroci i troski. Ale „do kogo pójdę po słowa życia?”.

Istnieje w Polsce niebezpieczeństwo sojuszu (choćby doraźnego) obu władz (kościelnej i państwowej) ponad głowami społeczeństwa i wbrew niemu. Do sojuszu takiego dążą władze, traktują jednak zarazem Kościół w sposób tak pogardliwy, zaś społeczeństwo w sposób tak nienawistny, że sojuszu tego (Bogu dzięki zresztą!) nie osiągną. Kościół zbyt jest związany z Ewangelią i z ludźmi, aby mógł posunąć się do zdrady, bo „Kościół

chce pozostać wolny wobec przeciwnych systemów, żeby opowiadać się tylko za człowiekiem” (Jan Paweł II).

Chciałbym jeszcze przytoczyć (za Włazłą) fragment cytatów z marcowego numeru *Kultury* oraz trzy zdania autora „Strzałów...”:

I. „W niektórych kazaniach Prymasa Polski uderza jakaś dziwna skłonność do biczowania umęczonego dostatecznie już społeczeństwa przy równoczesnym, jeśli nie wybielaniu, to przynajmniej usprawiedliwianiu działań junty wojskowej. (...) Uderza jaskrawy brak proporcji: o dramacie powodzian mówi się w kategoriach „ogromu cierpień ludności”, o ofiarach zbrodni przeciw narodowi — w sposób znacznie łagodniejszy”.

II. Celem „intrygi Giedroycia” jest „niszczenie autorytetu Kościoła w Polsce, a to tylko dlatego, że Kościół ten ma do odegrania poważną rolę w procesie porozumienia narodowego”. *Kultura* „z całą arogancją chce popchnąć Kościół w uwikłanie polityczne”. Stwierdzenie zawarte w apelu polskich intelektualistów do społeczeństwa i rządu RFN, że „zarówno Polacy, jak i Niemcy cierpią z powodu arbitralnego podziału naszego kontynentu” — to „zaproszenie do tańca śmierci całej Europy”. (Apel podpisał m.in. Jerzy Giedroyc).

Otóż moim zdaniem redakcja *Kultury* nie ma wcale zamiaru niszczenia autorytetu Kościoła w Polsce, lecz wprost przeciwnie — pragnie ten autorytet oczyścić i wzmocnić, i właśnie dlatego prosi o wierność prawdzie, solidarności oraz narodowi. Czy jest to wyraz antyklerykalizmu, czy — klerykalizmu raczej? Ktoś kto chciałby, żeby kler głębiej włączył się w życie społeczne i narodowe, wyraża tym samym szacunek dla kleru.

Poważna rola Kościoła w procesie porozumienia narodowego polega najpierw na tym, aby Kościół w pełni porozumiał się z narodem — z robotnikami, chłopami, inteligencją, młodzieżą. Władze komunistyczne nie są zdolne do porozumienia z narodem, czego dają nieustanne dowody. W tej sytuacji porozumienie Kościoła z władzami (do czego zresztą Kościół nie dąży, bo nie jest tutaj stroną ewentualnej ugody) oznaczałoby pewien rodzaj zdrady wobec narodu, chyba że porozumienie byłoby rodzajem rozejmu i dotyczyłoby wspólnego dobra, nie zaś podziału przywilejów. Kościół w roli pomostu nad przepaścią między narodem a władzą narażony byłby na pewną dwuznaczność w zamian za względną swobodę działania duszpasterskiego.

Co Włazło rozumie przez „porozumienie narodowe”, nie jest w pełni jasne; zauważmy jednak, że w dziele porozumienia Kościół nie w pełni wykorzystuje swoje możliwości: apeluje o ugodę narodu z władzami, zabiega o ustępstwa władz, natomiast z wielkim spokojem traktuje siebie i naród jako wartości

niemal tożsame, co w warunkach polskich jest oczywiście prawdą, ale prawdą, która się nieustannie tworzy na nowo, choć jest dawna. Ku Kościołowi zwracają się obecnie z nadzieją ludzie, którzy przeżyli rozczarowanie ze strony ideologii i doświadczyli tępej bądź wyrafinowanej wrogości ze strony władzy. Tych ludzi trzeba przyjąć; jeżeli nie czują się przyjęci, lecz raczej odrzuceni i zawiedzeni w swoich nadziejach, to trzeba się z tym liczyć jako z faktem. Kościół może utracić część młodzieży oraz inteligencji, tak jak wielokrotnie w dziejach tracił różne grupy a nawet warstwę społeczną — niekiedy nie bez swojej winy.

Rola Kościoła w procesie porozumienia narodowego rzeczywiście polega na jego autorytecie, ale ani autorytetu ani porozumienia nie buduje się na cichej zgodzie na krzywdę i kłamstwo, na dążeniu do spokoju za wszelką cenę. Ponadto porozumienie nie jest wartością jedyną, a niekiedy bywa jakością nieosiągalną. Czy możliwe jest porozumienie Boga z diabłem? Jeżeli władza państwowa służy diabłu, zaś Kościół służy przeciw Bogu, to o jakim porozumieniu mowa, kto powinien ustąpić i zaniechać dreczenia ludzi?

Przed kim *Kultura* miałaby niszczyć autorytet Kościoła? Przecież jest ona tylko wyrazicielem ludzi z niektórych kręgów inteligencji; są w kraju ludzie, którzy podobnie czują i myślą — niezależnie od redaktora Giedroycia. Ból tych ludzi bierze się nie z chęci poniżenia Kościoła, lecz z wielkiego pragnienia wywyższenia go (połączonego być może z nie w pełni trafnym wyczuciem, czym Kościół jest i czym może być dla ludzi; chodzi tu jednak o inny problem niż ten wyrażony przez uczniów Jezusa w drodze do Emaus: „a myśmy się spodziewali, że On miał wyzwolić Izraela” — Łk 24,21).

Jeżeli porozumienie narodowe dla „Pax”-u w stanie wojennym oznacza podział przywilejów między aparatem władzy (który ze swoich przywilejów najwyraźniej nie zrezygnuje) a hierarchią kościelną, to Boże broń nas przed takim cezaropapizmem. Kto więc chce popchnąć Kościół w uwikłanie polityczne? Czy dochowanie wierności udręczonemu narodowi oznacza mieszanie się do antypolskiej polityki, uleganie wrogiej (żydowskiej? niemieckiej? amerykańskiej? masonskiej? — Wlazło nie precyzuje) inspiracji?

„Ład” pojałtański w Europie i na świecie okazał się tańcem śmierci, tańcem nad przepaścią. Pytanie polega więc na tym, jak wyzwolić się, nie zaś czy dążyć do wolności. Gdyby Kościół — zajęty swoją dyplomacją, której cel nie jest jasny dla społeczeństwa — dał się właśnie wciągnąć do polityki pojałtańskiej zgadzając się na trwały brak wolności i prawdy w imię siły i przystosowania się do warunków, idąc za radami S. Wlazły, wówczas

więcej straciłby niż zyskał. Nie wolno przez ludzkie słabości i zaniedbania zmarnować wspaniałej koniunktury i szansy dziejowej Kościoła. Liczni ludzie widzą i chcą widzieć w Kościele ostoję rzeczywistego ładu na świecie. Kształtowanie się tego ładu jest w pewnej mierze tajemnicą, dlatego działania i postawy kościelne oceniane w pierwszej chwili negatywnie mogą okazać się jako czynnik trafne. Któż jest w pełni świadom, jakie ludzkie czynniki są obecnie najpotrzebniejsze, skoro tylko Bóg może nas uratować?

Pozostaje jeszcze kwestia tonu i formy wypowiedzi redakcji *Kultury*, pewna jej bezceremonialność. Ktoś mógłby poczuć się obrażony. Przełożeni kościelni na ogół nie lubią być pouczeni. Ale z drugiej strony, jeżeli do Boga wolno człowiekowi zwracać się słowami Psalmu: „*exsurge, quare obdormis, Domine!*” („obudź się, czemu śpisz, Panie”), to dlaczego podobnego wołania nie wolno byłoby skierować do kościelnych przywódców? Chyba, że chcą być traktowani inaczej niż Pan Bóg. W takim razie tekst z *Kultury* służyłby rozładowaniu emocji, sprecyzowaniu pojęć, ujawnieniu różnorodnych zamysłów — i to jest cenne.

Intencją moją jest wzięcie w obronę polskiego Hioba, który głośno narzeka, ale nie bluźni. Przyjdzie chwila, gdy powie Bóg „przyjaciołom” Hioba: „Mój gniew rozgorzał przeciwko wam, bo nie mówiliście o Mnie prawdy, jak mój sługa Hiob (...); a mój sługa Hiob niech modli się za was, gdyż jego tylko prośbę przyjmę, abym nie postąpił z wami wedle waszej winy”. Powie też Bóg Hiobowi: „Któż tu zaciemnia mój zamiar słowami, którym brak wiedzy? (...) Kto prawuje się z Wszechmogącym, niech pouczy!”. I odpowie Hiob Panu: „Otom jest nędzny, co Tobie odpowiem? Rękę moją położę na ustach. (...) Wiem, że Ty wszystko możesz, i nie wzbroniony jest Tobie żaden zamysł”. I Pan przyjmie prośbę Hioba i odmieni jego los i pobłogosławi jego późnym latom bardziej niż wczesnym, i po nocach zgryzoty nasyci go dniami życia.

Ks. Stanisław MAŁKOWSKI

Warszawa, 18 maja 1982

O SOLIDARNOŚĆ Z LECHEM WAŁĘSĄ

Lech Wałęsa jest internowany w warunkach specjalnych. Komfortowe warunki, w których przebywa, w połączeniu z samotnością, uspokajają w pewnej mierze opinię społeczną, budząc wrażenie, iż Wałęsa traktowany jest wyjątkowo, to znaczy lepiej

od innych przywódców „Solidarności”. Oznaką niepokojącą jest jednak propagandowa próba skojarzenia osoby Wałęsy z nieudanym zamachem na Ojca Świętego w Fatimie. Niepokoi ponadto wiadomość o nerwowym wyczerpaniu Wałęsy w związku z przedłużającą się samotnością. Można więc obawiać się, że zarówno samego Wałęsę jak i opinię publiczną poddaje się oto swojego rodzaju obróbce, żeby w stosownym momencie Przewodniczącego NSZZ „Solidarność” publicznie skompromitować. Przykład niedawnej kompromitacji Jana Kułaja mógł podziałać na władze zachęcająco.

Dlatego żądamy od WRON, żeby Lech Wałęsa przeniesiony był do jednego z obozów dla internowanych i żeby traktowany był tak jak inni internowani związkowcy. Trzymanie więźnia w samotności dłużej niż 14 dni jest niedopuszczalne ze względu na jego zdrowie nerwowe i psychiczne.

Módlmy się przez Jezusa Chrystusa do Boga Ojca o uwolnienie wszystkich internowanych i aresztowanych za Solidarność od 13 grudnia 1981. Prośmy Boga za przyczyną Matki Najświętszej, żeby wziął w obronę przed czerwonym Smokiem, który ogonem zmiata gwiazdy (czyli niszczy ludzi, zob. Apokalipsa 12, 3n), Lecha Wałęsę oraz całą „Solidarność” jako znak dziejowej przysługi dla Polski i narodów świata.

Ks. Stanisław MAŁKOWSKI

Warszawa, 19 maja 1982

ODCZYT ANDRZEJA MICEWSKIEGO

Staraniem „Centre du Dialogue” OO. Pallotynów 18 czerwca br. odbył się w Paryżu odczyt krajowego publicysty Andrzeja Micewskiego, członka Rady Społecznej przy Prymasie Polski. Prelegent mówił o dwóch tradycjach w katolicyzmie polskim — narodowej (Jasna Góra, Niepokalanów) oraz personalistycznej (Laski), podkreślając historyczne uwarunkowania ich dawniejszej przeciwstawności, a także konieczność poszukiwania ich syntezy w nowych okolicznościach jednoczesnej obrony praw człowieka i tożsamości narodowej. Na tym tle Micewski przedstawił wysiłki śp. kardynała Wyszyńskiego w okresie powstawania „Solidarności”, charakteryzując zarazem koncepcję „ugody społecznej” w Polsce w ujęciu Prymasa Glempa. Prelegent ustosunkował się także do głosów krytycznych wobec Kościoła, uznając je za normalne, jeśli są rzeczowe i uargumentowane. Kościół nie stawia się bynajmniej ponad wszelką krytykę. Micewski stwierdził natomiast, że w odczuciu Prymasa Glempa jego ostatnie kazanie

w Rzymie zostało przedstawione nieściśle w 3 numerze tegorocznej *Kultury*. Prymas zamierza przy okazji sam wrócić do tej sprawy, być może w Rzymie. Następnie powiedział: „Zostałem upoważniony przez Prymasa Polski do publicznego oświadczenia, że sekretarz Episkopatu biskup Bronisław Dąbrowski i dyrektor Biura Prasowego ks. Alojzy Orszulik działali i działają zgodnie z wytycznymi Prymasa, Rady Głównej i Konferencji Episkopatu Polski”.

Z dalszych wywodów Micewskiego wynikało, że główną troską Kościoła w Polsce jest nadal, aby sprawy polskie pozostawały „w polskich rękach”, ale naturalnie z zachowaniem tożsamości narodowej i podmiotowości społeczeństwa, a zwłaszcza klasy robotniczej.

N. Z.

NOWOŚCI WYDAWNICZE

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 348 — ADAM CZERNIAWSKI

WIEK ZŁOTY

1969-1981

Nowy tom wierszy

Str. 64.

Cena F. 25,00.

TOM 349 — ZDZISŁAW NAJDER

ILE JEST DRÓG ?

Wybór esejów społeczno-politycznych w większości publikowanych w latach 1975-1982 pod pseudonimami: SOCJUSZ, Bronisław LA-SOCKI i Marian KOWAŁSKI: O potrzebie programu. — Polityczne działania i programy. — Dialog z Michnikiem. — Źródła i tama. — Ile jest dróg? — Teorie, wytyczne i spory. — Polskie kwadratury koła. — Gesty i praca. — Spółka Scylla i Charybda. — Teoria i polska jedność. — Solidarność. — Myśli o programie „Solidarności”. — Rozwiązania trwałe a rozwiązania możliwe. — Autoperswazja jako reakcja na intelektualistów na przemoc. — Przy zasadach stojmy.

Str. 196.

Cena F. 60,00.

Kronika kulturalna

Przyczynek do witkacologii

Jeden z moich studentów zauważył kiedyś, że Witkacy nie ma czytelników — są tylko „witkacologdy”. Każdy bowiem, jego zdaniem, kto zetknie się z pismami sławnego zakopiańczyka, zaraża się natychmiast bakcylem eksplikacyjno-interpretacyjnym. Odpowiedziałam mu wówczas, że istnieją jednak rzadkie wyjątki i że ja się do nich zaliczam. Mimo dość intensywnego czytania Witkacym uważałem się przez wiele lat za li tylko czytelnika, gdyż jedynym moim „wkładem naukowym” do tego tematu była rzucona *en passant* (w szkicu o Nabokowie, *Kultura* nr 4/319, 1974) uwaga, że rosyjskie źródła inspiracji teatru i filozofii St. I. Witkiewicza „mówiąc jego językiem, są wyraźne jak biały byk w stońcu”. Osiem lat i kilkadziesiąt prac witkacologicznych później przekonuje jednak, że byk pozostał niezauważony. Stąd niniejszy artykuł. Bakcyl zwyciężył.

Bezpośrednią dłoń pożywką stała się książka odkrywcy późnych rękopisów filozoficznych Witkacego, Bohdana Michalskiego „Polemiki filozoficzne Stanisława Ignacego Witkiewicza” (PIW, Warszawa 1979). Jak wskazuje tytuł, praca poświęcona jest dyskursom, jakie Witkacy kierował przeciw innym systemom filozoficznym — głównie neopozytywistycznym — ponieważ jednak polemiki te prawie zawsze przechodziły w wykład jego własnego „systemu”, książka Michalskiego jest siłą rzeczy obszernym opracowaniem tego, co można nazwać filozofią Witkiewicza. Jej część I, pt. „Główne idee monadyzmu biologicznego” (str. 17-27) zawiera zresztą *explicito* rekonstrukcję witkacowskiej wizji świata. Przypomnę ją tutaj w wielkim skrócie, gdyż w dalszym ciągu artykułu chcę zająć się pytaniem, czy dziwaczna metafizyka autora „Pojęć i twierdzeń implikowanych przez pojęcie Istnienia” (Warszawa 1935) jest aż tak oryginalna i bez precedensu w nowszej filozofii europejskiej, za jaką w dotychczasowych interpretacjach uchodzi.

„Monadyzm biologiczny” Witkiewicza stanowi późny wariant poglądów Leibniza, w myśl których wszystko co istnieje składa się z zamkniętych całości — jakby „atomów” rzeczywistości — obdarzonych w różnym stopniu świadomością (i, jak się wydaje, wolną wolą) i z tej racji traktowanych jako rodzaj żywych stworzeń. Witkacy bardzo się złościł, gdy mu mówiono, iż w myśl jego teorii zegarek składa się z żyjatek — ale trudno tej konkluzji uniknąć. W jego systemie „monady” tworzą hierarchię (typu: człowiek — komórka organiczna — atom) rozciągającą się nieskończenie w mikro- i makrokosmos. Wszystkie obdarzone są rodzajem „psychiki” i materia nieożywiona stanowi dlań tylko olbrzymią kolonię drobniotek „Istnień Poszczególnych”. Skąd ten dziwny pomysł? Poglądy Witkiewicza ukształtowały się pod wrażeniem rozpowszechnionego na początku naszego stulecia empiriokrytycyzmu (sięgającego — poprzez Kanta — tradycji sceptycznej filozofii angielskiej z Hume’em i Berkeley’em na czele), który niezwykle silnie akcentował rolę ludzkiej percepcji w opisie świata. Dla empiriokrytycyzmu „własności” rzeczy takie jak barwa, kształt czy smak są tylko *naszymi* wrażeniami, a ściślej: mamy prawo mówić o nich jedynie jako o naszych wrażeniach — „świat sam w sobie” jest być może zupełnie inny, niż my go odbieramy, lub może nawet jest tylko zwiędniętym omamem. Witkiewicz był zbyt wielkim realistą, by wręcz odmówić światu zewnętrznemu obiektywnego istnienia, lecz z drugiej strony — choćby jako malarz, a także człowiek mocno zajęty własną psychiką — nie mógł przystać na czysty materializm. Uważał, że świat zewnętrzny istnieje „jakoś tam” niezależnie od nas, ale że równocześnie forma tego „jakoś” zależy od nas, tzn. od naszego postrzegania. Ponieważ „postrzegają” świat nie tylko ludzie, ale także np. zwierzęta i rośliny, nie ma powodu, by odmawiać własności psychicznych i innym zamkniętym całościom (monadom), np. atomom lub systemom gwiazdnym. Istnienie — w tej „upsychicznionej” formie — stanowiło dla Witkacego rodzaj spektrum różnej wielkości monad i to spektrum nie ograniczonego ani w dół ani w górę. Człowiek, z racji swego przyrodzonego ograniczenia, może jedynie obserwować swych najbliższych sąsiadów „poniżej” i „powyżej” siebie — reszta Bytu, nieskończenie malejąca i nieskończenie rosnąca, spowita jest nigdy człowiekowi niedostępną Tajemnicą Istnienia. Tajemnica ta jest nieprzenikniona, ale ponieważ „prawdziwy” kształt rzeczy uwarunkowany jest całością, w której się znajdują, możemy ją chwilami odczuć intuicyjnie — choćby w postaci zdumienia nad „takością a nie innością” świata. Chwile takiej intuicji-zdumienia nazywał Witkacy „dreszczem metafizycznym” i upatrywał w nich wspólne źródło sztuki, filozofii i religii. Od filozofii nie spodziewał się ostatecznego wyjaśnienia zagadki świata — uważał to za niemożliwe — a jedynie wyznaczenia „ostatecznych” granic racjonalnego pojmowania rzeczywistości. Swoją własną system uważał za jeden z ostatnich jakie umysł ludzki potrafi skonstruować, nim natrafi na barierę Tajemnicy Istnienia.

Jak słusznie zauważa Michalski w swej książce, była to próba skonstruowania systemu pośredniego, położonego pomiędzy czystym subiektywizmem, a czystym obiektywizmem (czy też: materializmem). Dodać należy, że jak większość konstrukcji hybrydalnych — typu armata-grzebień: źle strzela i źle czesze — „monadyzm biologiczny” Witkacego wymagał ustawicznych poprawek i przeróbek i ślady tego widoczne są w całej jego twórczości, nie tylko filozoficznej: wszystkie postaci jego sztuk i powieści co rusz nawracają do tej koncepcji i nawet „życiowcowi bez złudzeń” takiemu jak Generalny Kwaternistrz Kocmołuchowicz w „Nienasyce” miga w pewnej chwili w głowie „obraz ziemi jako atomu, z nim, Kocmołuchowiczem, jako pyłem na niej — a wszystko to razem umieszczone w brzuchu innego, kosmicznego Kocmołuchowicza”. Cytuję z pamięci, więc niezbyt dokładnie, ale sens był taki i widać z niego wyraźnie, jak Witkacy zafascynowany był „metafizyczną” wizją istnienia, skonstruowanego jak rosyjska lalka-babuszka: jedna rzeczywistość w drugiej, i w następnej, i tak dalej w nieskończoność. Powracam teraz do pytania: skąd się to wzięło? Skąd nagle Leibniz w międzywojennej polskiej filozofii, której akademicka część rozwijała w tym czasie nader owocnie inspiracje znacznie późniejsze: Koła Wiedeńskiego i (Ingarden) fenomenologii?! Michalski wspomina w swej książce (str. 18), że „sprawa wpływu Leibniza na Witkiewicza nie jest jeszcze ostatecznie wyjaśniona. Wedle deklaracji... Witkiewicza... poznał on system Leibniza już po uformowaniu własnego, tzn. po roku 1917”. Wobec takiego *dictum* uważam, że nadszedł czas by wypuścić mojego białego byka na arenę.

Jak wiadomo, Witkiewicz spędził lata 1914-18 w Rosji. Jest to najmniej znany okres jego życia, sam mówił o nim mało i w formie jedynie anegdotycznej, wiadomo jednak, że pobyt w Rosji nazначył go na całe życie, choćby sławetnym „katastrofizmem”, tzn. przecuciem bolszewizacji wschodniej Europy. Według moich wiadomości jest w Moskwie jakieś małe, niewykorzystane dotąd archiwum witkiewiczowskie, ale tak strzeżone, że nielicznych dopuszczonych do niego wprowadzają tam nieomal z zawiązanymi oczyma i w kajdankach: nie wolno nic notować, nie mówiąc już o fotokopiach. Niemniej, jeśli chodzi o *Russian connection* dziwaczego systemu Witkacego, nie trzeba czekać zmiłowania sowieckich archiwistów, a wystarczy sięgnąć do opracowań filozofii rosyjskiej z okresu przełomu XIX i XX wieku.

Prawie cała ówczesna filozofia rosyjska znajdowała się pod przemożnym wpływem Leibniza, którego ożywił i spopularyzował niemiecki filozof Gustav Teichmüller (1832-1888), wykładający od 1871 aż do śmierci w Dorpacie (gdzie niemiecki był językiem wykładowym). Teichmüller (którego jeden z *Hauptwerk*ów nosi charakterystyczny tytuł „Die wirkliche und die scheinbare Welt” [1882], wywarł ogromny wpływ na jednego z czołowych ówczesnych filozofów rosyjskich, Aleksieja A. Kozłowa (1831-1901), a

przez niego na całą przedrewolucyjną filozofię w Rosji. Kozłow wykladał ponad 10 lat na uniwersytecie w Kijowie, a po przejściu na przedwczesną emeryturę w 1887 roku przeniósł się do Petersburga, gdzie wydawał rodzaj nieregularnego pisma filozoficznego pt. *Swoje słowo*, w istocie publikację własnych poglądów. Poglądy te, nazywane przezeń „monizmem pluralistycznym” lub też „panpsychizmem”, to nieomal system Witkiewicza, z wyjątkiem terminu „monada”. Kozłow odrzucał tzw. naiwny realizm, według którego świat jest mniej więcej taki, jaki nam się jawi. Nazywał rzeczy materialne „znaczkami lub symbolami” tylko, ale przyznawał, że kryje się za nimi jakaś obiektywna rzeczywistość. Uważał, że mostem łączącym subiektywność i obiektywność jest „wiedza o naszej substancji”, czyli świadomość własnego ciała — punkt później niesłychanie istotny w rozumowaniach Witkacego. Przyjmował też mnogość bytów świadomych (stąd właśnie termin „panpsychizm”) i — podobnie jak później Witkiewicz — uważał, że z dobrze zbudowanego pojęcia „istnienia” można wydedukować prawie całą filozofię. „*Jakie pojęcie istnienia, taki system filozoficzny — i na odwrót*”, pisał w *Swoim słowie* (II, str. 108).

Poglądy Kozłowa rozwijał i popularyzował jego syn, Sergiej A. Askoldow (1871-1945), autor wielu szeroko czytanych dzieł filozoficznych, który do połowy lat 1920-tych mieszkał i działał w Petersburgu. W swym dziele głównym, „*Osnownyje problemy teorii poznania i ontologii*” [1900] przyznawał, że „panpsychizm” jest tylko hipotezą niemożliwą do udowodnienia, ale zarazem stwierdzał, że bez niej nie można nadać sensu światu. Głosił jedność całego świata, złożonego z „dusz” różnego rzędu i — podobnie jak później Witkacy — przyjmował, że jedynymi źródłami poznania zewnętrznej rzeczywistości są „bezpośrednia świadomość” i „myślenie”, czyli dedukcja z odebranych wrażeń.

Nie chcę czytelników zanudzać dalszymi szczegółami, a zainteresowanych kieruję do rozdz. VII, tomu II „*Istorii russkoj filozofii*” W. W. Zenkowskiego (YMCA-Press, Paryż 1950), pt. *Neoleibnicjanstwo w russkoj filozofii. Kozłow. Askoldow. Łopatkin. Łoskij*.

Trudno mi jednak darować sobie kilka uwag (i cytatów) na temat superrodzinka: artykułu pióra parającego się także filozofią znanego matematyka rosyjskiego N. W. Bugajewa (1837-1902) pt. *Osnownyje naczata ewolucyjnojj monadologii*, który ukazał się w najpoważniejszym ówczesnym czasopiśmie filozoficznym w Rosji, *Woprosach filozofii i psichologii*, z marca 1893 r. Te *Podstawowe zasady ewolucyjnej monadologii* to krótki szkic (ujęty w formie 184 ponumerowanych twierdzeń) systemu, który tak zdumiewająco przypomina późniejsze poglądy Witkacego, że trudno przypuścić, by to był czysty przypadek. Przytaczam poniżej kilka najważniejszych wyjątków tego artykułu (według angielskiego tłumaczenia, które znajduje się w książce „*Readings*”

in Russian Philosophica Thought", Louis J. Shein ed., Mouton 1968, str. 129-144):

(1) Monada jest żywą jednostką, żywym elementem. (2) Jest ona „żywa” w tym sensie, że posiada potencjalną zawartość psychiczną. ... (10) Monada jest „jednostką” w tym sensie, że z pewnego punktu widzenia jest niepodzielna i stanowi rodzaj granicznej jednostki (elementu) w danych warunkach analizy i egzystencji. ... (12) [Monady] pozostają w różnych stosunkach wzajemnych i są „różnego rzędu”. (13) Istnieją monady pierwszego, drugiego, trzeciego rzędu, etc. (14) Monady drugiego rzędu mogą tworzyć monadę pierwszego rzędu. ... (16) Następujące jednostki mogą służyć jako symboliczne przykłady monad różnego rzędu: ludzkość, państwo, człowiek, ... komórka..., molekuła, atom... Jeśli człowiek symbolicznie reprezentować będzie monadę pierwszego rzędu, komórka stanowić będzie monadę drugiego rzędu (podmonadę)... Naród lub państwo stanowić będzie monadę pierwszego wyższego rzędu (nadmonadę). ... (17) Porządek monad w górę i w dół rozciąga się *ad infinitum*. ... (19) Z uwagi na skończoną naturę naszego ludzkiego pojmowania, wystarczy być może ograniczyć się do nas samych jako monad pierwszego rzędu i świata (nadmonady pierwszego rzędu)...

Cytować i porównywać można by dłużej, ale przekroczyłoby to zapewne cierpliwość najgorliwszego czytelnika-witkacologa. Wydaje mi się, że przytoczone powyżej poglądy, którymi całe rosyjskie środowisko filozoficzne (aż do jego likwidacji przez bolszewików) było przesiąknięte do głębi stanowią wystarczające *quod erat demonstrandum* dla mojej tezy, że filozofia Witkiewicza nie jest całkowicie oryginalna i że stanowi raczej kontynuację problematyki, z którą *musiał* zetknąć się w czasie swego pobytu w Rosji. Wiadomo, że Witkacy interesował się filozofią i czytał wiele na ten temat od roku 1905; jest więc nieprawdopodobne, by w czasie czteroletniego pobytu w Rosji nie zapoznał się z tamtejszymi czasopismami i pracami filozoficznymi, zwłaszcza tymi *en vogue*. Interesujące jest pytanie, dlaczego nigdy nie wspomina żadnych prac filozoficznych rosyjskich, choćby jako paraleli własnego systemu. Czy bał się pomówienia o plagiat? Chyba nie — nie sędzę zresztą, by można go o to serio oskarżać. Był raczej samodzielnym kontynuatorem pewnych pomysłów i tradycji, które urzekły go w młodości, a z których anachronizm później, po powrocie do Polski, musiał sobie zdawać sprawę. Chyba raczej więc wstydił się wtórności i staroświeckości swej inspiracji — bo ostatecznie było to odbite wielokrotnie echo niemieckiej filozofii, żywe jeszcze w rosyjskim partykularzu, ale już martwe wszędzie poza tym. Pozostał jednak wierny swej pierwszej miłości filozoficznej, próbował ją — w anonimowej formie, bez odwoływania się do poprzedników — utrzymać przy życiu i nawet nadać jej pełny walor. Może dlatego też te „polemiki” ostatniego na świecie monadologa z filozofami tak odmiennej formacji jak Wittgenstein czy Carnap robią wrażenie nie tylko nieco komiczne, ale i wrzuszające: to Don Kiszot wstępuje w bój o dobre imię Dulcyniei.

Na zakończenie jeszcze jedna uwaga na temat *Russian connection* Witkacego, tym razem dotycząca jego teatru. Ten, podobnie jak jego filozofia, traktowany jest przez witkacologów „monadologicznie”, to znaczy jako powstały w izolacji, bez wpływów i precedensów. Nie mam niestety pod ręką książki Marka Ałdanowa pt. „Współcześni” (przekład polski ukazał się w latach 1930-tych nakładem „Roju”), ale pamiętam, że w jednym ze składających się na nią szkiców autor natrząsał się z futurystycznych sztuk teatralnych pióra ni mniej ni więcej tylko *narodnogo komissara* do spraw kultury, Anatola Łunaczarskiego. Przez krótki okres tuż po rewolucji bolszewicy uznawali futurystyczny sztukę „antyburżuazyjną” i w teatrach wystawiano rzeczy, wobec których sztuki Majakowskiego robią wrażenie staroświeckich rametek. Z opisu Ałdanowa wynika, że sztuki Łunaczarskiego, aczkolwiek nie pozbawione tu i tam wstawek propagandowych, utrzymane były w tonacji czysto witkacowskiej: działały się w gotyckich zamkach, należących do księżniczek o fantastycznych nazwiskach, w zaświatach, albo — to pamiętam dokładnie — „na niebotycznych schodach, wiodących do nikąd”; aktorzy od czasu do czasu przechodzili na „język czystych dźwięków”, czyli mówili zmyślonymi słowami bez sensu, itd. Łunaczarski nie był umysłem nader oryginalnym (inaczej nie byłby tak długo Komisarzem Ludowym), więc było to niewątpliwie naśladowanie innych dramaturgów-futurystów, których większość zapewne skończyła później w Gułagu. Wiadomo zresztą skądinąd — choćby z wczesnej powieści Aleksieja Tołstoja „Ibikus, czyli mówiąca czaszka” — że w okresie rewolucji rosyjskiej w Petersburgu i Moskwie roiło się od zwariowanych kabaretów i teatryków futurystycznych; nie należy też zapominać, że największy tryumf jaki Marinetti'ego spotkał w życiu, to była jego wizyta w Rosji. Witkacy, który w Petersburgu należał do kółka teatralnego Wysockiej (pisze o tym W. Grubiński w swoich wspomnieniach) nie mógł nie otrzeć się co najmniej o tego rodzaju teatr. Przypuszczam, że to go olśniło i że wybuch jego futurystycznej twórczości teatralnej zaraz po powrocie do Polski (którą z racji okupacji niemieckiej i austriackiej ta moda ominęła) był przeniesieniem na ojczysty grunt gatunku, który poznał i który go zafascynował w Rosji. Ponieważ wkrótce potem bolszewicy zlikwidowali „zgniły formalizm” u siebie, Witkacy pozostał — podobnie jak w wypadku swej filozofii — sam na placu. Ponieważ był sam, wzięto go za nowatora, podczas gdy był w istocie tylko kontynuatorem.

Nie sędzę, by stwierdzenie to przynosiło mu ujmę, gdyż nawet jeśli twórczość jego zaczęła się pod wpływem pewnych cudzych przemyśleń i cudzych doświadczeń, włożył w nią później dostatecznie wiele pasji, oryginalności i humoru, by mieć prawo do pełnego tytułu własności. Byłoby może dobrze, gdyby zawodowi witkacologowie pogrzebali głębiej w naszkicowanej tu problematyce rosyjskich źródeł twórczości Witkiewicza, jestem bowiem przekonany, że lepsza ich znajomość nie tylko jego dzieła

nie zuboży, lecz przeciwnie — wzbogaci je o dodatkowy wymiar: inspirowania się wzajemnego kultur. Monady mają bowiem okna.

Maciej BROŃSKI

Pozgonne - zbyt osobiste

Umarła Anna Rawicz. Odeszła w pełni sił tak nagle. Czy uświadamiamy sobie wszyscy, którzy ją znaliśmy, cośmy stracili? Jakże by miała mi za złe, gdybym dziś o niej napisał zbyt różowo!

Jeżeli bym chciał w paru słowach ją określić, to powiedziałbym, że jej przyjaźń była trudna i jakże często agresywna i nawet niesprawiedliwa, lecz tak wyjątkowa w materii, takiej siły i rzutu, nieraz takiego ciepła, że trudno było ją porównać z jakąkolwiek inną. Zaledwie parę tygodni po jej śmierci Piotr Rawicz odebrał sobie życie.

Śmierć ta była tak bezpośrednio związana z odejściem Anki, że zdaje mi się, że myślę nie o dwóch śmierciach, ale o śmierci jednej. Śmierci tych dwojga istot tak różnych, tak co raz to śmiertelnie skłóconych, to najbardziej bliskich i może właśnie tak bliskich w ostatnim okresie ich życia.

Co było w Ance dla mnie urzekające, to jej złożona indywidualność, z tylu wątków, nie tylko różnych, ale i przeciwnych, i również jej odwaga. Była Żydówką wrośniętą w to wszystko co naród jej przeżył, okropieństw. Pamięć tych przeżyć nigdy jej nie opuszczała. Była wprost cielesna, strach aż wspomnieć, jak bardzo ją przeżywała w śmierci najbliższych i ukochanych i w losie swoim własnym.

Czy Anka Rawicz była również Polką? Zdawało mi się zawsze, że tak, bo i naszymi losami się tak przejmowała. Jednak sama nie chciała być za Polkę uważana (za dużo tam było urazów). A przeciw od wczesnego, szczęśliwego dzieciństwa w dalekiej kresowej Dziśnie przeżyła pierwsze polskie przyjaźnie, i poprzez polską szkołę, przez Żeromskiego, ból społeczny, krzywdę ludzką, który całe jej życie naznaczyły.

Potem był Lwów, Uniwersytet, okupacja sowiecka, komunizm, który ją ogarnął całkowicie, od tego komunizmu odeszła, jak tylu ludzi. Marzyłem, że kiedyś o tych czasach napisze z jej wrodzoną okrutną szczerością. Tego nie zrobiła, ale powtarzała mi nie raz, że kto myśli o tamtej epoce i nie zdaje sobie sprawy, jaką tragedią była bezgraniczna wiara w komunizm, która się z czasem przeistaczała w nienawiść, nic o niej nie wie.

Mówiąc o niej nie zapominam, jak silny był w niej wątek rosyjski: literatura, język, który tak dobrze знаła, tu w Paryżu współzycie i współczucie z rosyjską emigracją, powiązania tak bliskie z rosyjskim *Kontynentem*.

O Piotrze trudniej mi jeszcze pisać niż o niej. Widywałem go bardzo rzadko, bo on pędził prawie wyłącznie życie nocne, po kawiarniach, a ja tego życia nie znałem. On znał prawie wszystkich i wszyscy go znali w paryskim światku literackim, gdzie miał chyba tylko przyjaciół. Nigdy cienia starcia między nami, byłem i chyba mogę powiedzieć, byliśmy po jakimś ze sobą związani; jego niezdolność do nienawiści, jego rozbrajający, często smutny uśmiech, jego liczne artykuły w *Le Monde* dotyczące spraw polskich i rosyjskich poprzez krytyki książek, które usiłował przepchnąć do wydania we Francji. Prawie że zapomniałem o jego wielkiej książce „Le sang du ciel”. Tłumaczona na dziewięć języków, otrzymała jedną z głównych nagród literackich w Paryżu, zdawała się początkiem wielkiej kariery literackiej. Ale Piotr, choć sporo pisał, nie spieszył się z wydawaniem. Chyba był zbyt leniwy, a przede wszystkim pozbawiony choćby cienia arrywizmu i nawet ambicji literackiej.

Kiedy myślę o nich obojgu, o ich wieloletnim i tak burzliwym związku, myślę, że trudno byłoby znaleźć ludzi tak różnych, którzy tak inaczej reagowali na życie: jej drapieżna wola życia, jej agresywność, i jego cicha bierność lunatyka. Czy Piotr napisałby książkę, która uzyskała krótką sławę, ale i trwałą pozycję w świecie literackim, gdyby nie Anka?

Swą pozycję wykorzystywał jakby wyłącznie, by być łącznikiem nie Polaków tylko czy Rosjan, ale w ogóle literatury zza kurtyny, pisząc o niej w Paryżu lub opatrując wstępami ukazujące się książki.

Jego mała książeczka „Bloc-notes d'un contre-révolutionnaire” przeszła jakby niezauważona, zgorszyła sztandarowych lewicowców, bo pod *happening*iem 1968 roku potrafił wykrzyć totalitarną nietolerancję.

Bardzo niedawno temu rozmawialiśmy z Anką o Witkacym. Mówiłem jej, że tylko ludzie naszej generacji, dla których polski, rosyjski, niemiecki i francuski były językami, którymi zwykłe jego czytelnicy mówili, że oni tylko mogą ocenić, więc czytać naprawdę tę prozę, gdzie autor jakże wspaniale bez ceremonii polonizował słowa rosyjskie, niemieckie, francuskie, tworząc neologizmy wprost odkrywczе, a właśnie to stanowiło jego świetną prozę.

Anka mi na to nagle odpowiedziała: „Pomyśl, jakże jesteśmy uprzywilejowani, że urodziliśmy się na Białej Rusi, gdzie wpływy najróżniejsze, gdzie zderzenia, tradycje wątków tak prze-

różnych i tak często sprzecznych stwarzały podniecie myśli dla tych nawet, którzy sobie z tego nie zdawali sprawy". I nagle stało się dla mnie jasne, że wspólny klimat tego kraju, który nazywaliśmy kresami, dawał i między nami jakąś tajemniczą formę zbliżenia.

Powtarza się łatwo, że nie ma ludzi niezastąpionych — nie tylko każdy człowiek jest niezastąpiony, ale każde spotkanie prawdziwe ma niepowtarzalną jedyność. *Ten akcent, ten koloryt naszego stosunku nie powtórzy się i spotkać można go coraz rzadziej od czasu, gdy od tego kraju, naszego kraju, jesteście oderwani.*

Pożegnanie z nimi to również pożegnanie z tym światem i może dlatego jeszcze odejście ich tak boli.

Józef CZAPSKI

NOWOŚCI WYDAWNICZE

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 350 — MAREK NOWAKOWSKI

RAPORT O STANIE WOJENNYM

Krótkie opowiadania ilustrujące polską rzeczywistość
po 13 grudnia 1981.

Str. 100.

Cena F. 35,00.

TOM 353 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT SZEŚCZDZIESIĄTY

Zawiera m.in. opracowania: J. Kamińskiego — *Polskie lato — Kalendarium wydarzeń*; H. Józewskiego — *Zamiast pamiętnika (Prawostawie; Sprawa ukraińska; Wołyń)*; J. Lewandowskiego — *Polski dziennik Svena Grafströma oraz RECENZJE, OKRUCHY HISTORII i LISTY DO REDAKCJI.*

Str. 240.

Cena F. 50,00.

Książki

Sowiecka powieść kolonialna

W sowieckiej literaturze powieść kolonialna ma jako *genre* długą historię. Wśród założycieli rodu znajdują się Bruno Jasieński — autor powieści „Człowiek zmienia skórę”, Borys Pilniak, który napisał „Tadżykistan, siódma sowiecka”. W ostatnich latach powstało niemało książek o podboju Środkowej Azji przez „postępowych” carskich generałów i o walce z basmaczami w obronie władzy sowieckiej w latach 20-tych.

„Drzewo w centrum Kabulu” Aleksandra Prochanowa to nowy wkład do sowieckiej literatury kolonialnej. Jest to powieść o „bratniej pomocy”, jakiej naród sowiecki udzielił uciskanemu, wynędzniałemu narodowi afgańskiemu, pierwsza sowiecka powieść o interwencji w Afganistanie. Prochanow, pisarz i dziennikarz, był w Afganistanie kilka razy. Jego korespondencje ociekały standardową sowiecką propagandą: obowiązkowa dawka komunałów o nowym życiu, budowanym w Afganistanie przy pomocy i pod osłoną ludzi sowieckich, i o „niewypowiedzianej wojnie”, którą amerykańscy imperialiści prowadzą przeciwko Afgańczykom. Ramy powieści pozwoliły dziennikarzowi przemienić się w pisarza i wyłożyć ideologiczne uzasadnienie interwencji. Zła sowiecka literatura jest znacznie cenniejsza od dobrej, bo wiernej przekazuje nakazy, instrukcje i przyjętą ideologię. Dobra literatura — jeśli rzeczywiście jest dobra — wyraża myśli i uczucia pisarza; zła — dyrektywy wydziału kultury KC.

W powieści Prochanowa znajdujemy odpowiedzi na liczne pytania, których nie mogą sobie nie zadawać obywatele sowieccy. Główny bohater, Georgij Wołkow, jest dziennikarzem specjalistą od spraw międzynarodowych. W ostatnich latach tego typu dziennikarz sowiecki, wyjeżdżający za granicę i wchodzący w gniazdo wroga, aby potem wszystko wyjaśnić pozostałym w kraju rodakom, stał się ulubionym bohaterem sowieckiej powieści politycznej. Georgij Wołkow zjeździł więc wszystkie kraje świa-

ta, i widział różne oblicza wroga Związku Sowieckiego: widział go w Angoli, nad rzeką Ussuri, w Bonn, w Etiopii, w Paryżu. Teraz wysłano go na pierwszą linię frontu — do Afganistanu.

„Drzewo w centrum Kabulu” jest powieścią symboliczną. Od pierwszej do ostatniej stronicy czytelnik ugina się pod ciężarem symboli. Wołkow przygląda się odjazdowi kolumny traktorów z sowieckiego Tiermieza do Afganistanu. Odwiedzając różne rejony Afganistanu samochodem, helikopterem, czy pod osłoną opancerzonego transportowca — sowiecki dziennikarz wszędzie spotyka sowieckie traktory: kolumna zmierza do celu. Symbolowi Traktoru towarzyszy symbol Chleba: sowieccy ludzie weszli do Afganistanu, aby nakarmić umierających z głodu nieszczęśliwych mieszkańców tego kraju. Pomagają więc rozwozić chleb swoimi samochodami, które oddają do dyspozycji kabulskiej piekarni, rozdają mąkę Kabulczykom, którzy z głupoty, za podszeptem wrogów podnieśli bunt przeciwko afgańskiej władzy komunistycznej.

Bunt w Kabulu jest centralną sceną powieści. Autor najwidoczniej był wtedy w mieście. Opisuje mieszkańców stolicy zrywających się do powstania przeciw znienawidzonej władzy, opisuje strach jaki ogarnął sowieckich przedstawicieli władzy i jak czołgami i helikopterami zdławiono bunt bezbronnego tłumu. Siedzący w czołgu Wołkow odczuwa ten bunt jako „biologię tłumu” — ślepią siłę, która działa ściśle według wskazówek CIA, nie myśląc i nie rozumiejąc, że zwraca się przeciwko „władzy ludu”. A kiedy bunt zdławiono, kiedy po mieście zaczynają jeździć autobusy nabite aresztowanymi, do ubogich dzielnic Kabulu przyjeżdżają ciężarówki pełne worków z białą jak śnieg mąką, na których widnieje rosyjski stempel. Pobici buntownicy płaczą z radości.

Aleksander Prochanow wie, co mogą myśleć jego czytelnicy. Sowieccy ludzie — postacie powieści — rozmyślają o „problemie zbożowym”, który w ZSSR rysuje się „dość ostro”. Wspominają, że „na Smoleńszczyźnie bieda, dróg nie dosyć”. W smoleńskiej *obłasti*, w samym sercu Rosji, w 65 lat po rewolucji do wsi zimą „dowodzi się mleko helikopterami”. Sowieccy obywatele, którzy przybyli na pomoc Afgańczykom, łapczywie rzucają się na towary, których pełne są kabulskie sklepy.

Aleksander Prochanow wie, że nieuchronnie narzuci się pytanie: jakże to tak? Na to pytanie ma odpowiedź. Główny symbol powieści to linia frontu dzieląca ziemię na pół: na świecie toczy się walka, „nieprzerwana walka”. Nikt nie jest neutralny — „wszyscy wyszli na linię frontu”. W wojnie tej po jednej stronie znajduje się Związek Sowiecki i jego przyjaciele, a po drugiej wszyscy inni. Georgij Wołkow nie raz i nie dwa stał oko w oko z wrogiem, zniewolonym i bezbronnym w Wietnamie, Laosie i w Angoli, i z wolnym i ufnym w Brukseli, Paryżu i Bonn. Kolejnym symbolem powieści jest dziennikarz z *Le Monde*, którego Wołkow spotyka wszędzie, jako ucieleśnienie wroga.

Toczy się wojna. Związek Sowiecki prowadzi ją w imię szczęścia ludzkości. Tym właśnie tłumaczy się, że ludzie sowieccy nie mają co jeść, choć karmią Afgańczyków, że nie mając dróg budują je w Nigerii i Kambodży. Naród sowiecki nie oszczędza siebie, jest gotów do ofiar, żeby pomóc ludzkości. W ostatnich latach nikt z sowieckich pisarzy nie sformułował tak jak Aleksander Prochanow ideologicznego uzasadnienia wojny z całym światem i interwencji wszędzie, gdzie może postać noga człowieka sowieckiego.

Wołkow, — dziennikarz, który rozjeżdża po ulicach Kabulu w czołgu, depcącym jego mieszkańców, lub w helikopterze, strzelającym do karawan — przekonany jest, że „niesie dobro”, a wszystko co robią on, ludzie sowieccy i afgańscy komuniści przynosi „niebываłe życie, braterstwo, miłość, piękno”.

Odwiedziwszy sowiecki oddział bojowy, osłaniający marsz kolumny traktorów, Wołkow rozmyśla: „Nasza droga, nasza dola — to kolumny...”. Kolumny wojsk, osłaniające kolumny traktorów — oto misja Związku Sowieckiego.

Aleksander Prochanow spiera się z ludźmi zafascynowanymi rosyjską przeszłością. Jego zdaniem misja Sowietów jest znacznie szersza i ważniejsza niż misja Rosji. Można się z nim zresztą zgodzić: nawet najzażartsi przedstawiciele mesjanizmu rosyjskiego nie pomyśleli o podboju świata. A o tym właśnie myśli bohater „Drzewa w centrum Kabulu”, który wie, że szerzenie „idei sowieckiej” przyniesie światu „powszechne, konieczne szczęście”.

Powieść Aleksandra Prochanowa, opublikowana w czasopiśmie *Oktiabr*, w 1982 roku (Nr 1, 2) zasługuje na szczególną uwagę gdyż potwierdza genialne proroctwo Jewgienija Zamiatina z 1920 roku. Powieść „My” o Jedynym Państwie Przyszłości, w którym pod żelazną ręką Dobroczyńcy obywatele poznali szczęście, zaczyna się od obwieszczenia ogłoszonego w Państwowej Gazecie, które zapowiadało, że kończy się budowa kosmicznego statku, który wyruszy w bezkresne przestworza wszechświata. Jego zadanie: „podporządkować błogosławionemu jarzmu rozumu nieznanne istoty żyjące na innych planetach, być może jeszcze w dzikim stanie wolności”. Obwieszczenie podkreślało: „Jeśli nie rozumiemy, że niesiemy im matematycznie nieomyślne szczęście, naszym obowiązkiem jest zmusić ich, by byli szczęśliwi”.

Jewgienij Zamiatin pisał swoją powieść w chwili gdy Armia Czerwona wkroczyła do Polski, po raz pierwszy próbując przynieść szczęście „nieznanym istotom” z innych planet, żyjącym „w dzikim stanie wolności”. Powieść Prochanowa opisuje kolejną — udaną — próbę „zmuszenia narodu do szczęścia”. W 1920 roku Państwowa Gazeta uprzedzała: „Przed bronią wypróbujemy słowo”. W 1982 roku beśniła sowieckiego słowa jest oczywista. Szczęście ustanawia się tylko siłą.

Nadesłane nowości wydawnicze

- WYTRWAL (Joseph A.). *Polish-Black Encounters. A History of Polish and Black Relations in America since 1619*. Str. 558 i 2 nlb. (Wyd. Endurance Press, Detroit Mich. 1982).
- TOMSKY (Alexander). *Catholic Poland*. Str. 20. (Wyd. Keston College in association with Aid to the Church in Need, Wielka Brytania, cena \$ US 1,95).
- Poland: *A Chronology of Events February-July 1981*. Oprac. Roman Stefanowski. Str. 195 i 13 nlb. (Wyd. Radio Free Europe Research, Monachium 1982).
- The Australian Press on Yuri Shukhevych. Dokumentacja. (Wyd. Committee to Free Yuri Shukhevych, P.O.Box 259, Lidcombe, N.S.W. 214, Australia).
- JAGODZIŃSKI (Zdzisław). *The Katyn Bibliography (Books and Pamphlets)*. Str. 48. (Wyd. The Polish Library i The Polish Combatants' Association, Londyn 1982).
- BIENKOWSKI (Władysław). *Theory and Reality. The Development of Social Systems*. Tłum. z polskiego Jane Cave. Str. 303 i 11 nlb. (Wyd. Alison and Busby, London-New York 1981).
- DAVIES (Norman). *God's Playground. A History of Poland. Tom I/II. Tom I: The Origins to 1795*, str. 605 i 1 nlb.; tom II: *1795 to the Present*, str. 725 i 3 nlb. (Wyd. Clarendon Press, Oxford 1981).
- BARKER (Colin) i WEBER (Kara). *Solidarność from Gdansk to Military Repression*. Str. 154 i 6 nlb. (Wyd. International Socialism, London 1982, cena £ 1,95).
- SYMMONS - SYMONOLEWICZ (Konstantin). *National Consciousness in Poland until the End of the Fourteenth Century: A sociological Interpretation*. (Nadbitka z Canadian Review of Studies in Nationalism, vol. VIII, nr 2, str. 249-266, wyd. University of Prince Edward Island).
- A Priest in Russia: Władysław Bukowinski. Str. 16. (Wyd. Inc. Catholic Truth Society, London jako przedruk z wydania „Spotkań”, 1982).
- KENEDI (Janos). *Do it Yourself. Hungary's Hidden Economy*. Str. 128. (Wyd. Pluto Press, London).
- LORD LONGFORD. *Pope John Paul II. An Authorized Biography*. Str. 224. (Wyd. Michael Joseph (Rainbird, Wielka Brytania 1982).
- In Defence of Poland's Freedom. 1982. Memorandum. Wyd. Rząd R.P. na Wyznaniu, Londyn 1982).
- Memorandum on the Repudiation of the Yalta Agreements of February 1945. Str. 12. (Wyd. Rząd R.P. na Wyznaniu, Londyn 1982).
- WOJCIECHOWSKI (Jerzy A.). *The Man-Knowledge Relationship: The Ecology of Knowledge*. Str. 16. (Nadbitka z Darshana International, an International Quarterly of Philosophy, Psychology, Psychical Research, Religion, Mysticism and Sociology, vol. XXI, nr 4, październik 1981).
- A Family Torn Apart. Dokumenty zebrane przez dr Ninę Strokata. Str. 43 i 5 nlb. (Wyd. Human Rights Commission, World Congress of Free Ukrainians, Toronto 1981).
- SWIDERSKI (Bronisław) *The Concept of the Family as a Political Idea in Poland 1827-1833*. (Nadbitka ze Scando-Slavica tomus 27, Munksgaard/Copenhagen 1981, str. 105-112).
- GÖMÖRI (G.). *The Dismissal of the Grecian Envoys and Bornemisza's Magyar Elektra*. (Nadbitka ze Slavonic and East European Review, vol. 60 nr 1, str. 16-24, wyd. The Modern Humanities Research Ass., London 1982).
- RÓŻEWICZ (Tadeusz). *Conversation with the Prince and Other Poems*. Tłumaczenie i wstęp Adama Czerniawskiego. Str. 206 i 2 nlb. (Wyd. Anvil Press Poetry, Londyn 1982, cena £ 4,95).
- TAYLOR (John). *Five Months with Solidarity. A first-hand report from inside Hotel Morski, Gdansk*. Str. 123 i 5 nlb. (Wyd. Wildwood House, Londyn 1981).
- MANTEUFFEL (Tadeusz). *The Formation of the Polish State. The Period of Ducal Rules 963-1194*. Tłumaczenie i wstęp Andrew Gorski. Str. 171 i 7 nlb. (Wyd. Wayne State University Press, Detroit 1982).
- KOŁAKOWSKI (Leszek). *Religion*. Str. 235 i 5 nlb. (Wyd. Fontana Paperbacks, Londyn 1982, cena £ 2,50).
- IRANEK-OSMECKI (Kazimierz). *He who Saves one Life*. Str. 336 i 2 nlb. (Wyd. Crown Publishers Inc., New York).
- TISCHNER (Józef). *Ethik der Solidarität. Prinzipien einer neuen Hoffnung*. Str. 160. (Wyd. Styria, Graz-Wiedeń-Kolonia 1982).
- RÓŻEWICZ (Tadeusz). *En gron rose. Wiersze*. Przełożyła Janina Katz. Str. 108 i 4 nlb. (Wyd. Husets Forlag, 1982).
- Biblioteki w Polsce. Grundsätzliche und aktuelle Fragen. Oprac. dr Horst von Chmielewski. Str. 64. (Wyd. Dokumentation Ostmitteleuropa, zeszyt 5, październik 1982).
- Mitteilungen nr 18. Str. 343 i 1 nlb. (Wyd. Arbeits- und Förderungsgemeinschaft der Ukrainischen Wissenschaften e. V., Monachium 1981).
- KOWALCZYK (Jerzy). *Sie haben mein Auge mit Gift im Tee vernichtet! Anklageschrift gegen den polnischen Sicherheitsdienst und gegen Politiker in Polen*. Str. 244. (Wyd. Verlag Jerzy Kowalczyk, Rosbach, RFN).
- Ostdeutsche Gedenktage 1982. Persönlichkeiten und historische Daten. Str. 181 i 3 nlb. (Wyd. Kulturstiftung der deutschen Vertriebenen, Bonn 1981).
- DAUZENROTH (Erich). *Ein Leben für Kinder. Janusz Korczak — Leben und Werk*. Str. 94 i 2 nlb. (Wyd. Gütersloher Verlag, Gütersloh 1981).
- Deutsches Polen-Institut. Jahresbericht 1981 für Freunde und Förderer. Str. 16.
- LAUB (Gabriel). *Ur-Laub zum Denken. Satire In-Begriffen*. Str. 127. (Wyd. Bastei-Lübbe Taschenbuch, 1981, cena DM 4,80).
- SCHREIBER (Jürgen). *Jerzy Andrzejewskis Roman „Ciemności kryją ziemię” und die Darstellung der spanischen Inquisition in Werken der fiktionalen Literatur*. Str. 308 i 4 nlb. (W: Slavistische Beiträge vol. 146; wyd. Otto Sagner Verlag, Monachium 1981).
- Slavistische Linguistik. Referate des VI. Konstanzer Slavistischen Arbeitstreffens Hamburg 23.-25. September 1980. Zebrali P. Hill i V. Lehmann. Str. 242 i 6 nlb. (W: Slavistische Beiträge vol. 147, wyd. Otto Sagner Verlag, Monachium 1981).
- KOESTLER (Nora). *Strukturen des modernen epischen Theaters. Stanislaw Wyspiański's „Teatr ogromny” erläutert am Beispiel des Dramas „Achilleis”*. Str. 246 i 4 nlb. (W: Slavistische Beiträge vol. 149, wyd. Otto Sagner Verlag, Monachium 1981).
- JOHANSSON (Sten) i BOROWSKA (Maria). *Polens sak är var. Om övergången till demokrati under kommunismen*. Str. 72. (Wyd. Tidens förlag, Sztokholm 1981).
- Dokument från Solidaritets kongress. Przeł. i red. Maria Borowska. Str. 122 i 2 nlb. (Wyd. Institutet för Social Forskning, Sztokholm 1981).

KRAJ — BLOK WSCHODNI

7-5-82

W Sejmie PRL powstała inicjatywa utworzenia Muzeum Sejmu Polskiego, które ma pokazać rolę i funkcję parlamentu w historii Polski. Ma to być pierwsze tego rodzaju muzeum na świecie. Proponujemy, by w tym muzeum umieszczono na pierwszym planie Rejtana Matejki...

18-5-82

Ostatnio ukazał się po raz pierwszy w sprzedaży bardzo luksusowy i o wielkim nakładzie tygodnik Milicji Obywatelskiej — *W służbie Narodu*.

22-5-82

Głos Wyrzeża podaje o redukcjach marynarzy Polskich Linii Okrętowych. W tej chwili na 181 statkach pracuje 10.540 marynarzy i oficerów. Dla utrzymania opłacalności przedsiębiorstwa redukuje się 900 etatów. Dla zatrudnienia zwolnionych z pracy marynarzy stworzono sekcję, która zajmuje się angażowaniem poszukujących pracy na obce statki. Do tej pory z usług tej sekcji skorzystało 189 marynarzy. ■ Książka i Wiedza w Warszawie podpisała umowę wydawniczą z Międzynarodową Kniżnicą na wydanie w języku polskim edycji „Dzieł wszystkich” Lenina, obejmującej 35 tomów. Ponadto drukarnie moskiewskie mają dostarczyć szeregu pozycji z literatury pięknej, m.in. lektury szkolne, a wśród nich „Pana Tadeusza” Mickiewicza, „Cichy Don” Szolochowa i „Drogę przez mękę” Aleksego Tołstoja. W sumie 24 pozycje. Analogiczne umowy o druk polskich książek zostały podpisane z NRD, Węgry i Bułgarią. Ile to będzie Polskę kosztować?

25-5-82

W związku z próbami „powiązania” Wałęsy z planowanym zamachem hiszpańskiego księcia Krohna na Papieża, korespondenci zachodni donoszą z Warszawy o dwugodzinnej konferencji Stefana Olszowskiego z „polsko-amerykańskim pisarzem” (należałoby raczej powiedzieć: grafomanem) Antonim Gronowiczem, który pisze biografię Jana Pawła II i twierdzi, że „rozwiązał zagadkę pierwszego zamachu w Rzymie”.

27-5-82

Związek Sowiecki jest gotów dać PRL szybką pomoc w postaci szkolenia polskich działaczy partyjnych i związkowych w ZSSR. Był to jeden z punktów rozmowy Rusakowa z Jaruzelskim.

28-5-82

W pierwszą rocznicę śmierci Kardynała Wyszyńskiego londyński *Economist* drukuje artykuł, w którym mowa o niechętnych reakcjach polskiej opinii publicznej na ostatnie wystąpienia Prymasa Glempa. Artykuł ilustrowany jest karykaturą Prymasa nazwaną „Wojna uszu Glempa”: jedno ogromne ucho szturmuje wojsko, drugie „Solidarność”. Autor wspomina też o wzmożonych atakach propagandy reżymowej na RWE i o nominacji Zdzisława Najdera na stanowisko dyrektora sekcji polskiej RWE. ■ Na spółdzielcze mieszkanie oczekuje w Polsce dwa miliony 400 tys. osób, w tym milion 700 tysięcy kandydatów z opłaconymi pełnymi wkładami, w tej liczbie 900 tysięcy osób, które nie ukończyły 29 lat. Oblicza się, że na otrzymanie mieszkania trzeba czekać od 10 do 15 lat.

29-5-82

Moskiewska agencja prasowa *Nowosti* wydała w sześciu językach (ale nie po polsku) broszurę pt. „Kto pchnął Polskę w przepaść?”. Głównym oskarżonym są Stany Zjednoczone. Tę linię propagandową (niezbyt wygodną dla WRON-y) Moskwa narzuca PRL coraz gwałtowniej, m.in. była ona przedmiotem „wizyty pasterskiej” Rusakowa w Warszawie.

1-6-82

Pismo sowieckie *Łucz* zamieściło ogłoszenie państwowej garbarni, która oferuje samochód typu Żigulin (na otrzymanie którego normalnie trzeba czekać dwa lata) w zamian za 100 skór psów i 100 skór kotów. ■ Zmarł we Wrocławiu w wieku 72 lat znany prozaik Henryk Worcell. Debiutował w 1935 roku głośną powieścią „Zakłète rewiry”. ■ Ogromny spadek poczytności prasy w PRL. Tak np. w porównaniu z listopadem 1981 roku w marcu bież. roku nakłady *Trybuny Ludu* spadły o 52 tys. egzemplarzy, *Gazety Krakowskiej* o 61 tys. egz., *Życia Literackiego* o 10 tys. i *Zarzewia* o 52 tys. ■ W ramach współpracy PRL z RWPG szereg przedsiębiorstw, których inwestycje nie zostały zakończone lub które nie funkcjonują z braku surowców są przejmowane przez poszczególne kraje socjalistyczne, które je uruchamiają. Mają dostarczyć kierownictwo, obsadę fachową. PRL otrzyma jedynie 15 % produkcji tych przedsiębiorstw. Jest to prawdziwa wyprzedaż Polski.

5-6-82

Deficyt budżetowy PRL w bież. roku wyniesie 400 mld złotych. Deficyt ten ma zostać pokryty przez podwyższenie składek na ubezpieczenie społeczne — do 33 % funduszu płac, oraz jednorazową pożyczkę stabilizacyjną od przedsiębiorstw mających dochód. Ta przymusowa pożyczka wyniesie 30 % zysków. Niezależnie od tego zostaną zaciągnięte kredyty w Narodowym Banku Polskim. ■ Z powodu podwyżki cen mięsa w marcu i kwietniu bież. roku nie wykupiono 12 % kartek na mięso.

12-6-82

Członek Prezydium „Solidarności”, Jan Waszkiewicz, oskarżony o zorganizowanie trzydniowego strajku w Stoczni Lenina w Gdańsku, został uniewinniony przez Sąd w Gdańsku. Ponieważ jednak „jego zwolnienie zagrażałoby porządkowi publicznemu” Sąd zdecydował internowanie go w szpitalu psychiatrycznym. Zostało to ogłoszone przez Ministerstwo Sprawiedliwości PRL.

ZACHÓD — EMIGRACJA

18-4-82

Zmarł w Londynie w wieku 89 lat gen. Stefan Brzeszczyński. Na emigracji był przez 8 lat ministrem Obrony Narodowej Rządu RP w Londynie.

24-4-82

Rada Narodowa RP w Londynie uchwaliła budżet Rządu Emigracyjnego na 1982, który wynosi £ 56,900.

14-5-82

W Polskim Instytucie Kultury Chrześcijańskiej w Rzymie dr Józef Lichten wygłosił odczyt pt. „Kościół katolicki i judaizm w dialogu”.

23-5-82

Genewska organizacja pomocy dla Kraju „Pro Polonia” wystąpiła do diecezji przemyskiej 35 ton żywności, odzieży i leków.

28-5-82

Zmarł w Monachium Janusz Jerzy Wedow, poeta, oficer Drugiego Korpusu, współpracownik Radia Wolna Europa.

29-5-82

Zmarł w Rzymie w wieku 89 lat ks. dr Walerian Meysztowicz, kanonik watykański i wileński, profesor Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie, założyciel i prezes Polskiego Instytutu Historycznego w Rzymie.

30-5-82

Grupa włoskich matematyków i informatyków w Pizie wystosowała do Jaruzelskiego apel w obronie internowanych, domagając się szczególnie zwolnienia swoich czterech polskich kolegów: Konrada Bielińskiego, Janusza Onyszkiewicza, Mariana Srebrnego i Jana Waszkiewicza.

1-6-82

Rybacki francuscy w Boulogne-sur-Mer, utrzymujący przyjacielskie stosunki z polskimi stoczniami w Gdańsku, ofiarowali 100 ton śledzi, które sami złowili i zasolili. Śledzie zostały wysłane w pięciu ciężarówkach 20-tonowych za pośrednictwem Secours Catholique. Transport ten został skierowany do parafii miejskich, gdzie zamieszkują dokerzy i pracownicy stoczni. ■ Do Afryki Południowej przyjechało dotąd z Austrii 2.000 nowych polskich emigrantów. Przypuszcza się, że do przyszłego roku przybędzie jeszcze 5 tysięcy.

2-6-82

20 maja bież. roku został porwany w Paryżu młody pisarz rumuński Virgil Tanase, autor kilku powieści, stały współpracownik sekcji rumuńskiej RWE. Jego rodacy nie mają wątpliwości, że porwali go agenci policji rumuńskiej; podobnego zdania jest policja francuska. Istnieje obawa, że został zamordowany, aby uniknąć ryzyka przewiezienia go do Rumunii. Tanase „naraził się” ostatnio artykułem „Jego Królewska Mość Ceausescu I, monarcha komunistyczny”, ogłoszonym po francusku i po rumuńsku. ■ *Sowietskaja Rossija* potępiła w gniewnym artykule wystawianą w Belgradzie sztukę dramaturga francuskiego Claude Vermorela *Lenin, Stalin, Trocki*. Sztuka weszła na deski teatru belgradzkiego wiosną, cieszy się uznaniem krytyki i ogromnym powodzeniem wśród publiczności (bilety trzeba kupować na czarnym rynku). ■ W Haifie powstał z inicjatywy grupy obywateli izraelskich Komitet Społeczny Wyrażania Solidarności z Narodem Polskim, zatwierdzony przez izraelskie MSW jako „Amuta”. „Na naszą decyzję — oświadczyli organizatorzy podczas konferencji prasowej — wpłynęła obojętność z jaką społeczeństwo izraelskie odnosi się do wydarzeń w Polsce, oraz rażący brak jakiegokolwiek udziału Izraela w ogólnoswiatowej akcji pomocy narodowi polskiemu. W naszym przekonaniu naród Izraela, mimo swoich ciężkich problemów, powinien kroczyć w pierwszym szeregu narodów spieszących z pomocą. Jest to naszym moralnym obowiązkiem, wynikającym z wielowiekowej wspólnoty obu narodów. Z naszej analizy wynika, że obojętność społeczeństwa izraelskiego spowodowana jest w znacznej mierze fałszywym poglądem, panującym w pewnych kołach naszego narodu, o rzekomym antysemityzmie Polaków. Pogląd ten jest bolesną krzywdą dla narodu

polskiego”. Komitet postawił sobie dwa cele: organizowanie możliwie najszerzej akcji pomocy humanitarnej; działanie na rzecz wyjaśnienia i zbliżenia między narodem polskim i izraelskim. Organizację podzielono na trzy oddziały z siedzibami w Haifie, Tel-Awii i Jerozolimie.

3-6-82

W Galerie Lambert w Paryżu została otwarta wystawa Hilarego Krzysztofiaka. Wystawa będzie trwała do 3. 7. br.

4-6-82

Polski Ośrodek Społeczno-Kulturalny w Londynie zorganizował Tydzień Kultury, który trwał do 13 czerwca br. Obejmował on, poza otwarciem teatru, szereg przedstawień teatralnych z „Ambasadorem” S. Mrożka na czele, szereg wystaw i odczytów, m.in. odczyt Zdzisława Najdera pt. „Najbliższa przyszłość literatury polskiej na tle obecnej sytuacji w Kraju”.

5-6-82

Odbyło się uroczyste otwarcie sali teatralnej w Polskim Ośrodku Społeczno-Kulturalnym w Londynie, z udziałem przedstawicieli polskiego życia politycznego, kulturalnego i społecznego, zaprzyjaźnionych Brytyjczyków i reprezentantów narodów sąsiadujących z Polską. Otworzył zebranie T. Sulatycki, którego energia doprowadziła do otwarcia sali. Po poświęceniu wstęgu przecięła p. Wajdowa, wdowa po twórcy POSK-u, prof. Wajdzie. Główne przemówienie po angielsku i po polsku wygłosił dr J. Garliński, przemawiali także poseł do Izby Gmin Martin Stevens i burmistrz Hammersmith. Jest to pierwsza tego rodzaju sala teatralna poza granicami kraju, należąca do Polaków.

11-6-82

W Centre du Dialogue odbył się Wieczór AK, zorganizowany przez Samodzielny Oddział Koła B. Żołnierzy Armii Krajowej we Francji.

18-6-82

Prof. Dr Stanisław Swianiewicz otrzymał doktorat *honoris causa* Saint Mary's University w Halifaxie, gdzie wykładał nauki ekonomiczne w latach 1963-1973. Prof. Swianiewicz opublikował po wojnie na Zachodzie ponad 40 prac, przeważnie w języku angielskim.

2-7-82

W Centre du Dialogue w Paryżu odbył się wieczór autorski Kazimierza Brandysa z okazji wydania przez Instytut Literacki drugiego tomu „Miejsięcy”.

KRONIKA AMERYKAŃSKA

Przewodniczącym Komitetu Wykonawczego Północno-Amerykańskiego Studium Spraw Polskich został Stanisław Bask-Mostwin. Do Komitetu weszli pp. Wacław Rzeszotarski, Jerzy A. Wojciechowski, Elżbieta Wasiutyńska, Stanisław Jaworski, Jerzy Gonerko, Juliusz Łukasiewicz i Jan Morelewski. ■ Koło b. Żołnierzy Drugiego Korpusu im. gen. W. Andersa w Detroit, Mich. organizuje światowy zjazd b. żołnierzy Korpusu. Ma się on odbyć w 1984 roku w USA. Zgłoszenia należy kierować na adres: p. Bogdan Bereźnicki, 17748 Francavilla Drive, Livonia, MI 48152, USA.

KRONIKA SZWEDZKA

Korespondenci szwedzcy w PRL twierdzą, że około 130 zwolnionych z obozów internowanych członków Solidarności pragnie wyemigrować do Szwecji. Rząd szwedzki ma podjąć niebawem decyzję w tej sprawie. ■ Rząd szwedzki wprowadził obowiązek posiadania wiz dla obywateli PRL. ■ Państwowy Urząd Emigracyjny (SIV) oblicza, że w Szwecji przebywa legalnie lub nielegalnie około 4.000 obywateli polskich. ■ Lokalne radio w Göteborgu nadaje audycje w języku polskim, zorganizowane przez zespół redakcji „Sprzeciwu”, redagowanego przez Aleksandra Swieykowskiego. ■ Szwedzka organizacja Rädde Barnen (Ratujcie dzieci) przekazała do Polski od sierpnia 1981 roku do czerwca 1982 — 82.600 ton żywności, lekarstw, etc. — wartości 46 milionów koron. Pomoc obejmuje 130.000 dzieci. Wysłanicy „Rädde Barnen”, przeważnie mówiący po polsku, nadzorują na miejscu prawidłowość rozdziału tych darów.

Norbert ŻABA

„CONSTITUTIONS, ELECTIONS AND
LEGISLATURES OF POLAND, 1493-1977”

by
JACEK JEDRUCH

Książka ta jest przewodnikiem do 500-letniej historii polskiego parlamentaryzmu. Sejmy i sejmiki okresu monarchii dziedzicznej, wybieralność królów w Pierwszej Rzeczypospolitej, konfederacje i rokosze, przedstawicielstwo Żydów, rola senatu i miast, są tematem wczesnych rozdziałów. Sejmy dzielnicowe epoki rozbiorowej i sejmy współczesne są omawiane kolejno w rozdziałach zakończonych streszczeniami konstytucji i ustawodawstwa danego okresu, oraz biografiami ważniejszych posłów i senatorów. Opis rozwoju prawa do głosu, oraz podatkowych i sądowych uprawnień sejmu zamyka książkę. Rozmieszczenie sejmików, chronologia wyborów i sejmów od 1493 do chwili obecnej, bogata bibliografia i indeks uzupełniają tekst. Porównania między sejmami różnych okresów jak i z parlamentami innych krajów służą jako ramy odniesienia tej pracy. Książka ta zawiera 117 ilustracji, 83 tablice, 590 + xxi stron. Wydana w czerwcu 1982.

Do zamówienia w księgarniach lub u wydawcy:

University Press of America,
P.O.Box 19101, Washington, D.C. 20036.

Cena: w papierowych okładkach — \$ 21,50,
w twardych okładkach — \$ 31,50,
plus \$ 1,00 porto.

Humor krajowy

W Wilanowie odbył się wielki zjazd członków RWPG, mający na celu znalezienie środków zaradczych, które pozwoliłyby na przezwyciężenie trudnej sytuacji ekonomicznej, zaistniałej na skutek narastającego kryzysu światowego. Główny referat pt. „Jak uspakajać rozruchy głodowe?” wygłosił delegat Związku Sowieckiego — Andropow.

Węgry przesłali do Polski trzytonowy transport lekarstw. Ku ich zdziwieniu i oburzeniu lekarstwa zostały odesłane z powrotem, z suchym wyjaśnieniem, że nie nadają się do użytku w Polsce. Po skrupulatnym zbadaniu okazało się, że na wszystkich lekarstwach było zalecenie: „Zażywać po jedzeniu!”.

AUTENTYCZNE

Policjant zatrzymał szofera taksówki i kazał mu otworzyć kufer.
— Eh, panie, — zawołał szofer — daj Pan spokój, co Pan zawraca głowę, jeszcze mi się Bujak zaziębi! (Szofer dostał 1.000 zł grzywny).

W jednym ze śląskich przedsiębiorstw, któregoś dnia zginęło gipsowe popiersie Lenina. Na cokole bezpieczeństwa znalazła kartkę z napisem: „Internowany!” — proponujemy wymianę na naszych internowanych.

JESZCZE O ZOMO

Kto ty jesteś? — Świnia mała.
Jaki znak twój? — Hełm i pała.
Komu służysz? — Generałom,
W jaki sposób? — waląc pałą.
Kochasz WRON-ę? — kocham szczerze.
A w co wierzysz? — w nie nie wierzę...

W Polsce szerzy się nowa choroba weneryczna — Jaruzelia. Wywołują ją pałeczki ZOMO.

EPITAFIA

Tu Żukrowskiego woła trup:
Przechodniu, książkę rzuć na grób!

Tu wreszcie spoczywa generał Oliwa.
Módlmy się, niech na wierzch więcej nie wypływa.

Tu śpi Kłosiński, aktor znany,
Ze sceny życia wyklaskany.

Stąd można wykopać Siwaka Albina,
Brakujące ogniwo w teorii Darwina.

Tu leżą śmiecie, szmaty, słoje po ogórkach,
Zdechłe szczury i kilku spikierków w mundurkach.

PARADOKSY

Ksiądz biskup za rozdział żywności się bierze,
A minister handlu odmawia pacierze.

Dwa miliony tworzą większość demokracji.
Dziesięć milionów — mniejszość, i nie mają racji.

AUTENTYCZNE

Otrzymał mi z Polski list, nadany 2 czerwca 1982, następującej treści:

„Sz. P.

Zwracam się z prośbą do państwa o przysłanie paczki odzieżowej
oraz zegarek + kolczyki.

(—) Erazm Papież”.

Co prawda Papież podał swój dokładny adres ale cóż, nie napisał czy
zegarek ma być złoty a kolczyki brylantowe... więc jak tu spełnić jego
skromną prośbę!

BALLADA O CHŁOPCU, KTÓRY WYRÓSŁ Z BUTÓW

Siedzę w domu nieszczęsny chłopczyna
W domu nudno i życie umyka
Nie urosłem nie moja to wina
Butów znów nie przywieźli do „Smyka”.

Ref. I dzień i noc sielanka
Rodzinna trwa
Mój dom to zwykły dom
Spokojny dom 82

Moja mama od zmroku do brzasku
Trzeszczy radiem antenę mnąc w dłoni,
Kiedy pytam o powód tych trzasków
Odpowiada konkretnie „to oni”.

Tatusz „siedzi”. Ech, szkoda tatusia
Chociaż sam się przyznaje do błędów,
Zbyt łagodny był — pisze — nim usiadł
Teraz w pudle nabiera rozpędu.

Ref. I dzień i noc sielanka...

Wujek Franek na starej maszynie
Przepisuje z łoskotem ulotki
Każdą kartkę co z rolki odwinie
Niesie biegiem do kuchni do ciotki.

Ciocia Hala biegła po mieście
Po przepisy na wyrób matrycy
Teraz, dawne pierogi ach gdzieście...,
Już powieliła na naszej stolnicy

Ref. I dzień i noc sielanka...

A babunia rozjeżdża po kraju
i rozwozi bibułę jak szatan,
Babcie wszędzie bez słowa wpuszczają
Babcia ma dziewięćdziesiąt dwa lata.

Dziadek siedzi w łazience i zgrzyta
Nie zważając na do drzwi łomoty
Ale wyznał, gdy wujek go pytał,
Ostrzy szablę swą broń patrioty

Ref. I dzień i noc sielanka...

Butów znów nie przywieźli do „Smyka”
Siedzę w domu nieszczęsny chłopczyna
W domu nudno i życie umyka
Skoczę chyba do wujka Albina...

Zebrała Zofia HERTZ

LIBELLA

12, Rue Saint-Louis-en l'Île — 75004 Paris

Métro: Pont Marie.

Tél.: 326-51-09.

KSIĄŻKI POLSKIE • KSIĄŻKI FRANCUSKIE
DOTYCZĄCE POLSKI • PRZEKŁADY Z JEZYKA
POLSKIEGO NA FRANCUSKI.

Katalogi bezpłatne wysyłamy na każde żądanie.

Listy do Redakcji

Szanowny Panie Redaktorze,

W książce B. Krzyżanowskiego pt. „Wileński macecznik 1939-1944” (Instytut Literacki, Paryż 1979) — zapewne przez nieuwagę — popełniono błąd w indeksie nazwisk, na co nikt dotychczas nie zwrócił uwagi. Mianowicie Józefowi Grzesiakowi-Czarnemu (w AK pseudonim Kmita) — o którym pisano w tejże książce na str. 251: „W dzielnicy D (Zarzeczce) działał oddział Szare Szeregi, dowodzony przez Kmitę (Kpt. Józef Grzesiak-Czarny). Tą drogą białą-czerwoną chorągiew załapała na baszcie Góry Zamkowej...” — wyrządzono krzywdę przypisując mu (na stronach: 70, 72, 74-76) cały szereg przywar innego jakiegoś „Czarnego”: „typowego ‘warszawisty’: wygadanego, pewnego siebie, pełnego stołecznej tendencji ‘rządzenia się’ na zapadłej prowincji, na którą wstąpił...” (itd. cytując ze str. 70).

Ów „warszawista” nie mógł być Grzesiakiem-Czarnym (pseud. z POW, potem z harcerstwa), komendantem wileńskim Szarych Szeregów, który przybył do Wilna razem z armią gen. Żeligowskiego, gdzie już w 1920 roku był dwukrotnie odznaczony Krzyżem Walecznych; później zorganizował tu swoją (drugą już, po krakowskiej) „Czarną Trzynastkę” wileńską, drużynę harcerską, o której i poza Wilnem było głośno. Wieloletni komendant Wileńskiej Chorągwi Harcerzy, był „jednym z prawdziwych przywódców Harcerstwa polskiego” — o czym wie każdy Wilnianin, a co zostało szczegółowo opisane w książce A. Kamińskiego i A. Wasilewskiego, wydanej w „samizdacie” warszawskim, a także i w Paryżu (1981), pt. „Józef Grzesiak-Czarny”.

Warto do tego dodać, że aresztowany w 1944 roku i więziony w łagrach sowieckich, wrócił do Polski w 1956 roku — kiedy jego syn kopał jeszcze węgiel, jako więzień UB PRL.

Grzesiakowi-Czarnemu dane było przed śmiercią stać się „niestrudzoną obrońcą ducha harcerskiego w PRL” (patrz *Orzeł Biały* nr 202/1981) — jako komendantowi Chorągwi Gdańskiej ZHP, organizatorowi niestrudzonemu obozownictwa harcerskiego — zanim w kolejnym Walnym Zjeździe ZHP nie został pozbawiony możliwości dalszej pracy w harcerstwie. (A że, w pewnej mierze, przyczynił się do tego — wówczas — druh Jacek Kuroń, może mu to miłościwy Pan Bóg kiedyś wybaczy!...).

Juliusz JUNCZYK

15 maja 1982.

Drogi Redaktorze,

Od lat jestem czytelniczką *Kultury* i podziwiam Pańską robotę, którą może trudno nazwać „benedyktyńską” bo prócz miesięcznika wydaje Pan *Zeszyty Historyczne* i dziesiątki wartościowych książek.

Parokrotnie pisałam do *Kultury* z uwagami o różnych ukazujących się

tam artykułach, więc mam nadzieję, że udzieli Pan mi miejsca tym razem z uwagami nie o wydrukowanym materiale... a o jego braku.

Przyszli historycy będą mieli nie byle jaki kłopot w zestawieniu czy to wiadomości z kulturalnego życia, politycznego czy też pomocy krajowi w obecnych tragicznych miesiącach, gdyby się opierali tylko na *Kulturze*. Mam w ręku majowy numer. Zamieszczone są tam artykuły „Widziane z Brukseli”, Byrskiego z USA, „W sowieckiej prasie” kroniki niemiecka, białoruska, amerykańska, austriacka, francuska, kanadyjska i szwedzka. A gdzie jest angielska, czyżby Wyspy Brytyjskie zapadły się jak Atlantyda?

A przecież w czasie ostatniej wojny i po wojnie Londyn był ośrodkiem życia kulturalnego i politycznego wolnej Polski, miał Rząd R.P. na Uchodźstwie, i nadal go posiadał przez E. Raczyńskiego na czele, najstarszą instytucję kulturalną, bo już założoną w 1940 roku jako Polski Ośrodek Naukowy, który w 1965 połączył się z Instytutem im. gen. Sikorskiego w Instytut Polski i Muzeum im. gen. Sikorskiego i wiele, wiele innych.

Prócz tego powstała duża ilość większych i mniejszych ośrodków pomocy krajowi tak polskich jak i angielskich, że przytoczę choćby jeden przykład — tutejszych katolików — którzy w ubiegłym roku jako *Church in Need* przesłali do kraju pomoc za blisko 950.000 (czyli 10 milionów franków) a obecnie chcą zebrać ćwierć miliona. M.in. organizują galę-przedstawienie sztuki Karola Wojtyły po angielsku pt. „The Jewellers Shop” w tłumaczeniu B. Taborskiego. Przypuszczam, że czytelników *Kultury* nie mniej by interesowały wiadomości z Wielkiej Brytanii niż np. obszerne i drobiazgowo ze Szwecji pióra Norberta Żaby.

Nawet w wydarzeniach miesiąca „nie zauważono” nie tylko różnych imprez, ale zgonu zasłużonego gen. S. Brzeszczyńskiego czy Lorda Barnby, niestrudzonego rzeczownika sprawy polskiej czy to w Izbie Lordów, na łamach prasy czy jako długoletniego prezesa Instytutu Polskiego i prezesa Komitetu budowy Pomnika Katyńskiego.

W okresie omawianym w majowej *Kulturze* przytoczę choćby co się działo w Instytucie Polskim z którym jestem najbardziej związana. Prócz zebrań b. wojskowych w marcu odbyło się „Symposium Bibliotek Polskich na Zachodzie”, dwa koncerty chopinowskie, z których jeden — recital Natalii Karp — przeznaczony był na „Aid to Poland Fund”. Wykład J. Garlińskiego o Enigmie, Polskie Tow. Naukowe zorganizowało odczyt prof. Gąsiewicza o Architekturze Nowoczesnej, a Instytut Badań Zagadnień Krajowych — odczyt prof. J. M. Marczewskiego „Gospodarka Polska na tle światowej stagnacji” i inne. W kwietniu dwa koncerty chopinowskie. Polskie Tow. Naukowe — odczyt prof. M. Sas-Skowrońskiego pt. „Między-narodowy transfer technologii” itd., a w innych ośrodkach, jak w Ognisku czy POSK’u, różne imprezy kulturalne, że wspomnę choćby o dwukrotnie powtarzanym wieczorze poetyckim Stanisława Balińskiego.

Warte byłyby do zanotowania odgłosy tutejszej prasy, ale obecnie prasa angielska przynosi najwięcej wiadomości o sprawie Falklandów, oraz wizyty tutaj Ojca Świętego toteż mimo, że nadal pisze o sprawach polskich — zeszyły one jednak jakby na drugi plan.

Wielka Brytania i wraz z nią życie Polaków nie zatoneło jak Atlantyda.

Z serdecznymi pozdrowieniami,

Aniela MIECZYŚLAWSKA

Paryż, 23 maja 1982.

Szanowny i Drogi Panie Redaktorze,

Będąc wierną czytelniczką i przyjaciółką *Kultury*, pozwalam sobie zakomunikować, że niestety z dużą przykrością przeczytałam fragmenty wspom-

nień p. Kazimierza Zamorskiego, zamieszczone w niedawnych trzech numerach Pańskiego miesięcznika. Wydaje mi się, że tego rodzaju elaboraty, wprowadzające w błąd czytelników, nie powinny ukazywać się na łamach *Kultury*.

Nie polemizując jednak z dość niesmacznym opisem Radia Wolna Europa — instytucji, która, jak wiadomo, od 30-tu lat ma duże znaczenie dla Polski i innych krajów bloku wschodniego — pragnę jedynie sprostować insynuacje krzywdzące pamięć niezjącego już mego kuzyna, Kajetana Tadeusza Czarkowskiego-Golejewskiego.

P. Zamorski, postępując się pseudo-lekkim tonem, dobroliwie poklepuje po ramieniu swego byłego szefa, do którego dymisji walnie się przyczynił i którego stanowiska nie omieszczał zając. Czarkowski od początku istnienia RWE był kierownikiem polskiego *research'u*, a zatem bezpośrednim szefem Zamorskiego aż do roku 1959. Nie miał nigdy żadnych starć z pracownikami, natomiast załatwianie przez Zamorskiego różnych spraw urzędowych po cichu, poza swymi plecami, uważał po prostu za brak lojalności. Przewidywał zresztą, że ten brak lojalności zmusi go do opuszczenia stanowiska, które oczywiście zajął nie kto inny, jak właśnie p. Zamorski.

Jeśli chodzi o tytuły które, zdaniem p. Zamorskiego, Czarkowski miał sobie przywłaszczać, to sprawa byłaby śmiechu warta — gdyby nie była przykładem złej woli autora wspomnień. Bo Czarkowski pochodził z ziemiańskiej rodziny, ale żadnego tytułu hrabiowskiego nigdy nie używał, ponieważ go nie posiadał. Toteż bawiło go, kiedy w Niemczech — gdzie do tytułów przywiązuje się jeszcze dziś taką wagę jak w PRL — ze względu na jego koligacje tytułowano go „Herr Graf”, zresztą raczej w środowiskach dziennikarskich niż arystokratycznych. Nie słyszałam też nigdy, aby wyrażał się pogardliwie o chłopach i ich inteligencji. Przeciwnie — zarówno w majątku rodzinnym jak i żony miał zawsze jak najlepsze stosunki z chłopami i jeszcze nawet na emigracji miał sporo przyjaciół-Ukraińców pochodzenia chłopskiego.

Co do tytułu doktora praw — który p. Zamorski poddaje w wątpliwość — to Czarkowski otrzymał go na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie w roku 1921, kończąc studia rozpoczęte w roku 1917 a przerwane wojną i kampanią bolszewicką. Nie od rzeczy będzie przypomnieć, że w pierwszej wojnie światowej zdążył być na froncie w wojsku austriackim, a w roku 1920 walczył w 8-ym pułku ułanów i otrzymał Krzyż Walecznych — a nie Virtuti Militari, którego to odznaczenia też nigdy sobie nie przywłaszczał. Po wojnie robi dyplom w paryskiej Ecole des Sciences Politiques, przechodzi do lotnictwa i w roku 1926 kończy Wyższą Szkołę Wojenną. W latach trzydziestych w czasie próby lotu dookoła świata stracił oko w katastrofie lotniczej w Burmie, stąd też w czasie drugiej wojny światowej nie może już latać i zostaje przydzielony do sztabu w Londynie.

W roku 1952 obejmuje kierownictwo *research'u* w Radio Wolna Europa w Monachium i pozostaje na tym stanowisku przez 7 lat, zanim nie został zmuszony do jego opuszczenia w roku 1959. Niestety odszedł już jako człowiek starszy, z żoną i małym dzieckiem, bez żadnego ubezpieczenia ani emerytury, które wówczas jeszcze w tej instytucji nie istniały. O tym też p. Zamorski wołał nie pamiętać, zasiadając przy biurku swego byłego szefa, a obecnie w sposób lekceważący „dobroduszy” przedstawiając go w swych wspomnieniach.

Toteż wydaje mi się, że obowiązkiem przyjaciół jest prostować te przykre nieścisłości, których nie może sprostować niezjący sp. Kajetan Czarkowski-Golejewski.

Łączę serdeczne wyrazy,

Barbara PALESTROWA

Orlando, Fl., 26 maja 1982.

Szanowny Panie Redaktorze,

W ostatnim odcinku znakomitej serii o RFE (*Kultura* nr 4/415) p. Zamorski wspomina Koło Przyjaciół Twórczości Józefa Mackiewicza i swoje perypetie związane z nim.

W tym miejscu poczuwam się do obowiązku uzupełnienia wspomnień p. Zamorskiego, szczególnie iż wielu z licznych Przyjaciół Koła, rozsypanych dosłownie po całym świecie i wszystkich kontynentach, do tej pory nie wie co się wydarzyło i czemu najlepsze zamiary po prostu uwiędły z braku współpracy polskich „mediów” informacyjnych na Zachodzie.

W okresie organizacyjnym, którego *spiritus movens* był nieodżałowanej pamięci prof. Alfons Jacewicz, wiceprezes „Koła”, *Wiadomości* — wówczas jeszcze egzystujące i redagowane przez p. Stefanę Kossowską — zgodziły się na współpracę w przyjmowaniu i przekazywaniu funduszy oraz drukowaniu list wpłat. Przez jakiś czas to świetnie funkcjonowało, za co jestem p. Kossowskiej oraz administracji *Wiadomości* niezmiernie zobowiązana. Jednakże pewnego dnia zaskoczona zostałam, czytając w *Wiadomościach* (które oczywiście dochodziły do mnie z opóźnieniem), iż umywają ręce i nie mogą się dalej zajmować sprawami związanymi z Kołem.

Wydaje mi się, że normalnie dobre maniere nakazywałyby mnie lub prof. Jacewicza poinformować o zamiarach zaniechania współpracy, co by nam dało czas na zorganizowanie jakiejś „odsieczy”. Niestety zostaliśmy postawieni przed faktem dokonanym. Red. Kossowska wydrukowała wezwanie do przesyłania wpłat wprost na ręce Józefa Mackiewicza, bez uprzedzenia mnie lub p. Jacewicza, iż ma zamiar to uczynić.

Niezawodnie „wraża” Mackiewiczowi siły odegrały w tym rolę. Nie tylko za „kurtyną”, która nigdy nie przestała istnieć, ale i na Zachodzie istnieją jednostki, które lubią się posługiwać terrorem i szantażem finansowym.

Jest chyba jasne, że organizacja rodzaju Koła Przyjaciół nie może istnieć bez przynajmniej powielanej listy wpłat rozsyłanych do wspólnych przyjaciół celu. Nas na to nie było stać! „Koło” znaczy dosłownie, że nie ma żadnej organizacji, którą by było stać, prócz wysiłków osobistych, na tzw. *overheads* i że każdy grosz wpłacony na fundusz musi iść co do joty na cel przeznaczony.

Z wyrazami poważania,

Barbara SZUBSKA
Prez. Koła Przyjaciół Józefa Mackiewicza

Sztokholm, 3 czerwca 1982.

Szanowny Panie Redaktorze!

W związku z rozpowszechnianiem tzw. „Listu otwartego do CK-PPS” w Londynie, z dn. 22 kwietnia 1982 roku, który miałem rzekomo wystosować, proszę Pana uprzejmie o zamieszczenie na łamach *Kultury* mojego oświadczenia, że wiadomość o rzekomym moim autorstwie takiego listu jest sfałszowana prowokacją. Żadnego takiego listu ani podobnej publikacji nigdy nie pisałem i nigdzie nie publikowałem.

Z wyrazami należnego poważania,

Stefan TRZCIŃSKI
Kierownik Biura Informacyjnego
„Solidarności” w Szwecji

ODPOWIEDZI REDAKCJI

K.J. w Kanadzie, A.P. w Szwajcarii, R.J.O. w USA, Z.K. w NRF, J.D. w Kraju, W.R. w NRF, J.W. w Algierze, T.D. we Francji, Z.M. w Południowej Afryce, G.R. w NRF, S.L.L. w USA — z wierszy nie skorzystamy.

L.G. w Szwecji. — Pana opowiadania nie nadają się do druku. Mamy naturalnie na myśli te pisane po polsku; pisanych po szwedzku nie potrafimy ocenić.

M.C. w Kanadzie. — Setki takich wierszy krążą dziś w Kraju, są zrozumiałe jako reakcja na wprowadzenie stanu wojennego, niestety bez większej wartości jako wiersze.

T.W., Holandia. — Nie zamieścimy. Żle Pan odczytał intencje artykułu M. Poleskiego.

W.S., Allschwil, Szwajcaria. — Nie zamieścimy. Bardzo niefortunny pomysł, by „dzielnego” wojaka Szwajka dawać jako wzór Polakom. Gratulujemy sukcesu z warszawską *Polityką*.

St.K.Z., Boston, USA. — Zupełnie zgadzamy się z Panem, że należy walczyć z zanieczyszczaniem języka polskiego, ale nie należy przesadzać w puryzmie. Szereg określeń — specjalnie w języku angielskim — nieznanych w języku polskim, znalazło już prawo obywatelstwa.

**SŁOWNIK
POLSKO-FRANCUSKI i FRANCUSKO-POLSKI**
(z wymową fonetyczną)

Opracował Bernard HAMEL (wznowienie).

Cena każdego tomu — F. 65,00 (całość — F. 130,00)
lub równowartość w innych walutach.

Do nabycia u wydawcy:

KSIEGARNIA POLSKA W PARYŻU
123, Bd Saint-Germain, F - 75006 Paris
Tel.: 326 04-42

Dokumenty

POLSKA WOBEC STANU WOJENNEGO

(Raport czwarty)

Warszawa, 7. IV. 1982.

Zespół Redakcyjny

Konwersatorium „Doświadczenie i Przyszłość”

Do Prymasa Polski
Arcybiskupa Józefa Glempa

Ekscelencjo!

Zespół Redakcyjny Konwersatorium „Doświadczenie i Przyszłość” przedstawia Waszej Ekscelencji tekst opracowania „Polska wobec stanu wojennego”. Podobnie jak poprzednie nasze opracowania („Raport o stanie Rzeczypospolitej i drogach wiodących do jej naprawy”, maj 1979, i opracowanie „Jak z tego wyjść”, maj 1980), które adresowaliśmy do prymasa kardynała Stefana Wyszyńskiego — tekst niniejszego opracowania składamy do rąk Waszej Ekscelencji jako wyraz opinii i troski obywatelskiej.

Prosimy przyjąć wyrazy poważania
Redaktorzy Raportu

Warszawa, 7. IV. 1982.

Zespół Redakcyjny

Konwersatorium „Doświadczenie i Przyszłość”

Do Prezesa Rady Ministrów
Gen. Armii Wojciecha Jaruzelskiego
Warszawa

Szanowny Panie Premierze!

Zespół Redakcyjny Konwersatorium „Doświadczenie i Przyszłość” przedstawia Panu tekst opracowania „Polska wobec stanu

wojennego". Podobnie jak poprzednie nasze opracowania („Raport o stanie Rzeczypospolitej i drogach wiodących do jej naprawy”, maj 1979, opracowanie ankiety „Jak z tego wyjść”, maj 1980) adresujemy ten tekst na ręce przedstawiciela najwyższych władz państwowych jako wyraz opinii i troski obywatelskiej.

Prosimy przyjąć wyrazy poważania
Redaktorzy Raportu

OD ZESPOŁU REDAKCYJNEGO

Nasz kolejny, czwarty Raport poświęcony jest konsekwencjom wprowadzenia stanu wojennego w naszym kraju, sytuacji jaka wytworzyła się w różnych dziedzinach życia publicznego po 13 grudnia i prognozom na najbliższą przyszłość. Podobnie jak w poprzednich raportach przedstawiamy również propozycje działań. Jest to pierwsze po 13 grudnia nasze opracowanie. Podkreślamy ten fakt, albowiem pojawiły się w tym okresie różne teksty, które były nam przypisywane.

Raport ten powstał w momencie, kiedy bieg wydarzeń w gruncie rzeczy poddał w ogóle w wątpliwość sens działania i wszystkie idee, jakie przyświecały naszemu Konwersatorium od momentu jego powstania. Konwersatorium nasze od pierwszej chwili postawiło sobie za cel działanie na rzecz szerokiego porozumienia społecznego, a nasze raporty prezentowały ideę umowy między władzą a społeczeństwem. Dziś ten cel wydaje się bardziej odległy niż w momencie pisania pierwszego raportu w 1978 roku.

Nasze Konwersatorium zakładało możliwość wprowadzenia szerokich reform systemu politycznego i ekonomicznego w Polsce, możliwość daleko idących przekształceń, które uczyniłyby z naszego kraju państwo praworządne, sprawne, silne poparciem własnego społeczeństwa. Dziś ta teza może wydać się naiwnym złudzeniem.

Nasze Konwersatorium skupiające ludzi różnych światopoglądów, różnych zawodów i odmiennych doświadczeń życiowych od pierwszej chwili zaangażowało się w poszukiwanie dróg wyjścia z głębokiego kryzysu politycznego i gospodarczego, w jakim znalazła się Polska. Poszukiwaliśmy takich rozwiązań, które

uwzględniałyby interesy różnych sił politycznych i grup społecznych, tworzyły warunki dla dialogu, były zgodne z naszą tradycją kulturową i naszym poczuciem sprawiedliwości społecznej. Dziś autentyczny dialog jest zerwany i grozi nam głęboka polaryzacja postaw.

Decyzja podjęcia prac nad kolejnym raportem była tym trudniejsza, że w warunkach stanu wojennego nie mogliśmy poddać naszych wątpliwości pod dyskusję zebrania plenarnego. Nie mogliśmy również przekonsultować tych spraw z wszystkimi uczestnikami indywidualnie — po prostu przekraczało to możliwości szeregowego członków Zespołu Redakcyjnego. Jeżeli jednak podjęliśmy te prace, których wynikiem jest niniejszy Raport, stało się to dlatego, że pod pewnymi względami opinie wielu kolegów, z którymi zdołaliśmy się porozumieć, były niemal jednomyślne. Sprowadzały się one do tego:

Po pierwsze — że dziś, niezależnie od wątpliwości i od różnych zdań, myślenie o stanie Rzeczypospolitej i jej przyszłości potrzebne jest bardziej niż kiedykolwiek. Że jest to obowiązkiem każdego obywatela naszego kraju i zarazem koniecznością — jeśli chcemy zachować naszą tożsamość kulturową i wartości, które tę tożsamość warunkują, i jeśli chcemy po prostu przetrwać jako społeczeństwo, jako państwo.

Po drugie zaś — że właśnie dziś, w warunkach narastającej polaryzacji i zagrożenia takich wartości jak tolerancja dla różnorodności postaw i światopoglądów, w warunkach nasilającej się tendencji do kolejnej uniformizacji życia umysłowego istnienie form swobodnej wymiany poglądów jest bardziej potrzebne niż wtedy, gdy zebraliśmy się pierwszy raz jesienią 1978 roku.

Być może taka postawa poczytana nam zostanie za kolejny dowód naiwnego optymizmu i utopijnego myślenia. Istotnie, dla bardzo wielu ludzi w naszym kraju to, co stało się 13 grudnia jest ostatecznym dowodem niereformowalności systemu politycznego, niereformowalności systemów sprawowania władzy. Tak. Tyle, że również my, Polacy, mimo głębokich zmian społecznych okazaliśmy się niereformowalni. 37 lat powojennej historii Polski dowiodło, że jesteśmy niezdolni do zaakceptowania w sposób trwały tych sposobów sprawowania władzy i tych reguł gry, które odmawiały nam prawa do współdecydowania o naszych celach, sposobie życia, o naszym losie.

Te dwie niereformowalności stanowią istotę dylematu polskiego, wskazując na skalę trudności w jego rozwiązywaniu. A jednocześnie wyznaczają obszar koniecznego myślenia i dzia-

łania. Tej sprawie poświęcone były wszystkie nasze opracowania. Czy słusznie? Odpowiedź na to pytanie zostawiamy przyszłości.

Okoliczności stanu wojennego wywarły pewien wpływ na zbieranie materiałów i na sam tok prac nad raportem. Nie mogliśmy zwrócić się z pytaniami naszego sondażu o konsekwencje stanu wojennego do wszystkich uczestników Konwersatorium. Uzyskaliśmy jednakże odpowiedzi przedstawicieli różnych dyscyplin naukowych i różnych dziedzin kultury i sztuki. Ton odpowiedzi był tym razem uderzająco jednorodny: dominował głęboki pesymizm i obawa o dalszy los kraju. Najczęściej prezentowaną postawą było koncentrowanie się na konieczności obrony podstawowych wartości, nawet za cenę swoistej emigracji wewnętrznej i wielkich wyrzeczeń osobistych. Nie kwestionowano konieczności poszukiwania — mimo sytuacji, w jakiej znalazł się kraj — dróg wyjścia. Ale tylko nieliczni decydowali się na wysuwanie konkretnych propozycji. W tej sytuacji sięgnęliśmy w szerszym niż w poprzednich raportach stopniu do innych źródeł i opracowań.

Pragnęlibyśmy bardzo serdecznie podziękować naszym respondentom za ich wkład do tego opracowania. Dziękujemy również wszystkim, którzy udostępnili nam wyniki swoich badań. Jednakże wobec braku warunków do wyczerpującego przedyskutowania w szerszym gronie przedstawionego tekstu, jego redaktorzy poczuwają się do obowiązku oświadczenia, że sami ponoszą odpowiedzialność za wyrażone w nim poglądy.

W okresie od grudnia 1981 z grona Zespołu Redakcyjnego odeszli na zawsze dwaj nasi koledzy, w których miejsce zgłosili gotowość udziału w pracach redakcyjnych inni.

13 grudnia rano odebrał sobie życie wybitny publicysta, Jerzy Zieleński.

28 lutego zmarł nagle na serce rektor Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie, profesor Lech Tomaszewski.

Ich wkład we wszystkie prace Konwersatorium był niezastąpiony. Lech Tomaszewski uczestniczył do ostatniej chwili w pracach nad tym raportem. Znał go i aprobował w kształcie już bardzo zbliżonym do ostatecznego. Uważał od początku, że obowiązkiem DiP jest podjęcie takiego zadania i opublikowanie podpisanego imiennie tekstu. Jego podpis pod raportem nie jest więc w żadnym przypadku gestem symbolicznym.

Obaj byli naszymi serdecznymi przyjaciółmi.

Jako wyraz naszych uczuć, naszego szacunku i naszego żalu Raport ten dedykujemy Ich pamięci.

Zespół Redakcyjny

Konwersatorium „Doświadczenie i Przyszłość”

Wojciech Adamiecki

Stefan Bratkowski

Kazimierz Dziewanowski

Bogdan Gotowski

Jan Górski

Jerzy Jaruzelski

Cezary Józefiak

Andrzej Krasiński

Jan Malanowski

Andrzej Osęka

Andrzej Stelmachowski

Jerzy Stembrowicz

Jan Strzelecki

Jerzy Szacki

Klemens Szaniawski

Lech Tomaszewski

Andrzej Wielowieyski

Andrzej Zakrzewski

Witold Zalewski

WSTĘP

Polsce grozi cofnięcie na skalę historyczną: cofnięcie w metodach sprawowania władzy ku rozwiązaniom zużyтым i nieefektywnym, cofnięcie o trudnym jeszcze do wyobrażenia stopniu w bycie materialnym narodu; cofnięcie w statusie państwa i jego względnej swobodzie działania w Europie i świecie. W takiej sytuacji — a dzień 13 grudnia stanowi tu datę graniczną — przed każdym obywatelem, przed każdym nie wyzbytym poczucia obowiązku członkiem polskiej zbiorowości, stało lub stanie pytanie: jak postępować, co praktycznie robić, by ograniczyć, zminimalizować to cofnięcie. Od odpowiedzi nikt nas nie zwolni i nikt jej za nas nie udzieli. I nie ma tu jednej odpowiedzi, jak nie ma jednej racji, jednego sposobu, jednej jedynej drogi wyjścia. Tym się ludzi nie należy i nie należy też się demobilizować. Każda trzymająca się realiów społecznych, gospodarczych, państwowych, międzynarodowych analiza — będzie pożyteczna, jak i każdy sąd, na czym właściwie te realia polegają. To nas skłania do zabrania głosu i przedstawienia naszych ocen stanu rzeczy po 13. XII. 1981. Zaś jako autorzy „Raportu o stanie Rzeczypospolitej i drogach wiodących do jej naprawy” z 1979 roku, gdzie wystąpiliśmy z ideą porozumienia społecznego i negocjowanych kompromisów, ideą, której musieliśmy przez te trzy burzliwe lata bronić przed różnymi atakami z różnych stron — uważamy, że obecnie spoczywa na nas szczególnie obowiązek.

Trzynasty grudnia jest niewątpliwie nową datą w polskim kalendarzu. Nową datą nie tylko dlatego, że zamyka pewien okres naszej historii, okres krótki, lecz bogaty w koncepcje, inicjatywy, nadzieje, wyzwoloną energię ludzką, szukającą sobie — często po omacku i wadliwie — miejsca w życiu publicznym. Ale również i dlatego, że stanowi obcy, nieznany polskiej tradycji akt zastosowania w takiej skali i w takim natężeniu przymusu w rozwiązywaniu konfliktów wewnętrznych. Akt wyjątkowy w naszym kręgu cywilizacyjnym. Co prawda w XIX wieku ziemie polskie zapoznały się ze stanem wojennym, ale wprowadziły go w latach 1833-1856 i 1861-1887 władze carskie, powtarzając to samo po rewolucji 1905 roku. W Drugiej Rzeczypospolitej stan wyjątkowy został ogłoszony dwukrotnie, w 1922 i 1926 roku, lecz na krótko, jedynie w kilku województwach i w znacznie węższym zakresie. Nie ma więc tu analogii.

Trzynastego grudnia zastosowano środki, które uderzyły we wszystkie dziedziny życia społeczeństwa, gospodarki, państwa; dotknęły każdą zbiorowość i każdego pojedynczo. Nie podejmujemy obecnie próby opisu tych faktów. Odpowiednia dokumentacja zapewne istnieje i dalej będzie gromadzona. Zajmiemy się przede wszystkim przedstawieniem już niewątpliwych, jak i prawdopodobnych konsekwencji operacji.

Nie podejmujemy też próby oceny działalności NSZZ „Solidarność” w poprzednim okresie. Jest to zadanie trudne, w którym rzetelnemu krytycyzmowi towarzyszyć musi szacunek dla uczuć, aspiracji i nadziei najlepszej części naszego społeczeństwa. Podjęcie tego zadania dodatkowo utrudnia fakt, że cała niemal czołówka niezależnego ruchu związkowego jest pozbawiona wolności, niesłusznie oskarżana i szkalowana. Jesteśmy świadomi, jak ważna dla przyszłości jest gruntowna i bezstronna analiza tego okresu.

Rzeczą historyków będzie udzielenie odpowiedzi na pytanie, czy to, co zostało dokonane 13 grudnia, było tylko jednym z możliwych wariantów — a więc alternatywą wobec idei porozumienia, czy też sama idea porozumienia była od początku dla władzy jedynie „zasłoną dymną”, za którą przygotowywano od dawna konfrontację. Nieprędko, jeśli kiedykolwiek, taka odpowiedź będzie możliwa. Ciągłe przecież trwa spór o polskie powstania, od listopadowego po warszawskie. Faktem jest jednak, że w znacznej części opinii publicznej przeważa raczej pogląd, że mieliśmy do czynienia z drugą ewentualnością. Takie też przekonanie kształtuje stosunek do obecnych władz. I z tym trzeba się liczyć jako ze zjawiskiem obiektywnym.

Zatem nie będziemy się koncentrować na genezie grudnia. Ale

pewne problemy i procesy należy przypomnieć i skontrolować, na ile ich działanie obecne będzie się natężać. Co stan wojenny zniszczył lub niszczy? Pierwszą jego ofiarą jest oczywiście wiara, ufność w jakiejkolwiek deklaracje. Przez te szesnaście posierpniowych miesięcy aparat władzy, jak mógł, okopywał się i zamykał w „oblężonej twierdzy”. Jeśli coś czynił, aby wypełnić zobowiązania wynikające z umów, czynił to z ociąganiem i niechętnie. Szedł w najlepszym wypadku „na przeczekanie”. Do wyjątków należały przypadki władz gdańskich, poznańskich, elbląskich czy krakowskich, gdzie zaczynała się rzeczowa współpraca z „Solidarnością” nad rozwiązywaniem bieżących spraw. Jako całość natomiast administracja partyjno-państwowa uczyniła wiele — jedni jej przedstawiciele przez zaniechanie, inni z nieudolności, inni wreszcie z premedytacji — by faktycznie rosło napięcie i poszerzał się kryzys. Nie wątpimy, iż wtedy, i nawet teraz, także i w aparacie władzy znajdowali i znajdują się ludzie szukający sposobów porozumienia i kompromisu. Nie oni jednak nadawali ton. Przeważali bądź ci, którzy zakładali, że zmęczone tymi napięciami i troskami dnia codziennego społeczeństwo ostudzi swe poparcie dla „Solidarności”, podchwyci (zwłaszcza jego starsza część) wysuwane przez aparat władzy hasło „ładu i porządku”; bądź inni, rekrutujący się z konserwatywnego skrzydła partii, którzy liczyli, że zdenerwowane społeczeństwo wierne dotąd zasadom „rewolucji samoograniczającej się” — wybuchnie, da się sprowokować. I będzie wtedy można sięgnąć do wypróbowanych metod, znanych z poprzednich kryzysów.

Nie łagodzone więc napięć. To wszystko wraz z wciąż podtrzymywaną groźbą interwencji (polski czytelnik prasy bez trudu zauważył przypominanie mu rozbiorów, Jałty, Węgier, Czechosłowacji oraz obfite udostępnianie tekstów z Moskwy, Pragi i Berlina, zauważał też ich otwartą tendencyjność) nie pozostawało bez wpływu na nastroje społeczeństwa, które z konfliktu na konflikt radykalizowało się, nie wierząc już ani jednemu słowu pochodzącemu od władzy. Rezultatem tego było rozszerzenie się fali żywiołowych protestów i kumulowanie się żądań, co w aparacie władzy, a także u sąsiadów zwiększało poczucie zagrożenia i usztywniało postawę władzy. Postępująca polaryzacja utwierdzała dwubiegunowy układ sił. Oba bieguny nie były zresztą spójne wewnętrznie. Aparatem władzy targaly walki frakcyjne, które nie ustały do dzisiaj. W „Solidarności” zaś brakoło górę jej radykalne skrzydło, co było niewątpliwie wynikiem radykalizacji załóg robotniczych. Wpływały na nią zarówno sytuacja gospodarcza jak i agresywność propagandy. Opinii o konieczności kontroli władzy i rozszerzenia jej bazy towarzyszyło coraz powszechniejsze odczucie poddające w wątpliwość „legitymację

władzy". Ta wątpliwość jest dzisiaj jeszcze mocniejsza niż przedtem. Nie uczyniono nic aby uwiarygodnić umowę społeczną i ideę porozumienia. Nie wysunięto koncepcji zmierzającej do zmian w dotychczasowym systemie i sposobach sprawowania władzy. Obudzone nadzieje, jak już tyle razy, zostały zgaszone przeciąganiem negocjacji, blokowaniem uzgodnionych już porozumień. Społeczeństwo oczekiwało rzetelnej propozycji: jak ma wyglądać Porozumienie Narodowe? Podjęto jednak tylko szereg działań pozornych, którym towarzyszyła jęcząca akcja w środkach masowego przekazu. I w końcu społeczeństwo doczekało się 13 grudnia.

W rezultacie wszyscy: i społeczeństwo, i władza, znaleźliśmy się w sytuacji, z której nie widać wyjścia i która pozostawia niewiele miejsca dla nadziei. Żaden z podstawowych problemów polskiego życia narodowego — tych problemów, które z takim uporem i wciąż na nowo odzywają się już od kilkudziesięciu lat, doprowadzając do kolejnych konfliktów — nie został rozwiązany. Historia nie skończyła się w dniu 13 grudnia. Będzie się toczyć dalej i sprawy, które nie zostały rozwiązane, zostały tylko odłożone. Na dłuższą metę siłą rozwiązać się ich nie da. Jednakże możliwość osiągnięcia porozumienia wydaje się dzisiaj bardzo trudna.

Zgodnie z tradycją naszego Konwersatorium, polegającą na tym, aby podejmować próby przedkładania społeczeństwu spojonych i naszym zdaniem rzetelnych analiz sytuacji, próbujemy uczynić to jeszcze raz. Nie chcemy wdawać się w spory co do przebiegu wydarzeń ostatnich lat i miesięcy, co do problemów, przyczyn, winy i odpowiedzialności. Staramy się natomiast ocenić rzeczywistość — taką, jaką ona jest — i ukazać dalsze wynikające z niej możliwości, sięgnąć myślą poza dzień 13 grudnia i szoku, jakiego — wraz z całym narodem — doznaliśmy. Uważamy, że trzeba podjąć ten trud, ponieważ nigdy tak nie jest, by dzieje narodu zostały wstrzymane.

Rozdział I

KONSEKWENCJE WPROWADZENIA STANU WOJENNEGO

W opracowaniu z lutego 1981 („Społeczeństwo wobec kryzysu” — raport 3 Konwersatorium DiP) wskazywaliśmy na ogromną szansę naszego społeczeństwa i państwa. Uzasadniając optymistyczną wówczas ocenę sytuacji, charakteryzowaliśmy sze-

reg istotnych zmian, jakie objęły wszystkie dziedziny życia publicznego. Opisywaliśmy:

- niespotykane w całym okresie powojennym podniesienie się świadomości i aktywności szerokich kręgów społeczeństwa,
- regenerację zniszczonych więzi społecznych, zawiązanie współpracy między inteligencją i klasą robotniczą i uformowanie się intelektualnego zaplecza dla procesów przekształceń demokratycznych,

- zaskakującą dyscyplinę i zmysł organizacyjny masowego ruchu społecznego,

- konstruktywną rolę Kościoła,

- przemiany ideowe zachodzące w PZPR,

- jawność życia publicznego, zapewniającą minimum niezbędnej kontroli społecznej nad poczynaniami władz.

Przestrzegaliśmy równocześnie przed potencjalnymi zagrożeniami i możliwymi konfliktami.

Zwracaliśmy uwagę na niebezpieczeństwa, które kryją się przede wszystkim w ostrych różnicach interesów: zagrożonej w swojej wszechwładzy i przywilejach biurokracji administracyjno-partyjno-gospodarczej i reszty społeczeństwa domagającego się swej podmiotowości.

Pisaliśmy wówczas:

„Można się spodziewać, iż w obronie swoich przywilejów i stanu posiadania część 'biurokracji' — nie bacząc na zagrożenie państwa i narodu będzie dążyć do:

- kompromitowania idei związków zawodowych, przeszkadzania im w działalności; wzniecania konfliktów, które uzasadniałyby tezę, że nowa umowa społeczna jest niemożliwa,

- sprzeciwiania się powstawaniu samoregulatorów w gospodarce i życiu społecznym, co może grozić uniemożliwieniem wszelkich reform gospodarczych,

- przeciwdziałania tworzeniu się nowych reguł gry między związkami zawodowymi a partią, co grozi kolejnym kryzysem zaufania między władzą a społeczeństwem”.

Przestrzegaliśmy także m.in. przed niebezpieczeństwem kryjącym się w zbytnej niecierpliwości społeczeństwa, w jego skądinąd zrozumiałej tendencji do załatwiania wszystkiego na raz i od razu. A także w jego łatwo wytłumaczalnym, ale niemożliwym do spełnienia i niebezpiecznym dążeniu do natychmiastowej radykalnej poprawy sytuacji życiowej.

Wracaliśmy do tych spraw w naszych kilkakrotnie publikowanych „Ocenach sytuacji”. Odnotowywaliśmy z rosnącym niepokojem, iż coraz wyraźniej materializują się zagrożenia i coraz mniejszą rolę odgrywają postawy rozsądku i umiaru, które umożliwiły zawarcie porozumień społecznych w sierpniu 1980 roku.

Ze szczególnym niepokojem odnosiliśmy się do tych zachowań władzy, które prowadziły do radykalizacji „Solidarności”, budziły jej nieufność i rodziły przeświadczenie, że porozumienie społeczne i osiągnięcia okresu posierpniowego są w niebezpieczeństwie, lub zgoła stają się niemożliwe do utrzymania.

Rzeczą historyków będzie odpowiedź na pytanie dlaczego tak się stało, że zmaterializowały się prawie wszystkie te konflikty i zagrożenia, a tak małą rolę odegrały ogromne atuty, jakie dały zarówno władzy jak i społeczeństwu porozumienia sierpniowe. Nawet jednak wstępna ocena przyczyn takiego rozwoju sytuacji wymagać będzie dokładnej analizy działań władzy i „Solidarności” między sierpniem 1980 a grudniem 1981. Podobnej analizy wymagać będzie zresztą sam fakt zasadności i rzeczywistych powodów wprowadzenia stanu wojennego, jego aspektów politycznych, prawnych i moralnych.

Istnieją wszakże pytania, na które można już dziś odpowiedzieć. Są to pytania tak ważne, że bez podjęcia próby odpowiedzi na nie i wyciągnięcia z tej odpowiedzi wniosków nie jest możliwe rozważanie rozwiązania żadnego z problemów, przed którymi stoimy dziś jako społeczeństwo i państwo.

Pytania te dotyczą dwóch sfer zagadnień:

1. Bezpośrednich konsekwencji wprowadzenia stanu wojennego dla:

- społeczeństwa, jego dążeń i aspiracji,
- władzy, jej zdolności rządzenia i przewodzenia, oraz państwa, jego pozycji międzynarodowej i zdolności do uczestnictwa we wspólnocie międzynarodowej,
- gospodarki.

2. Konsekwencji na dalszą metę, a ściślej podstawowego problemu, czy wprowadzenie stanu wojennego pomaga czy przeszkadza w usunięciu tych cech naszego systemu politycznego i tych metod sprawowania władzy politycznej, które doprowadziły do eksplozji w sierpniu 1980 roku. Tych cech, które były po prostu rzeczywistymi przyczynami głębokiego kryzysu politycznego, społecznego i ekonomicznego, w jakim kraj nasz znalazł się z końcem lat 70-tych.

1. Konsekwencje doraźne i bezpośrednie

a) Konsekwencje dla społeczeństwa

13 grudnia 1981 ucięty został proces przekształceń demokratycznych naszego społeczeństwa. Nigdy nie dowiemy się już,

jaki model państwa i społeczeństwa byłby się wyłonił z ostatnich miesięcy 1981 roku. Nie ulega jednak wątpliwości, że w dniu tym przerwany został proces odzyskiwania podmiotowości przez społeczeństwo polskie. Zablokowane zostały najważniejsze aspiracje i nadzieje zarówno grup, jak i jednostek.

Proces przekształceń, trudny, pełen wewnętrznych sprzeczności i konfliktów, często na granicy anarchii, oznaczał jednak dla nas wszystkich szansę stania się społeczeństwem normalnym, zdolnym rozwiązywać swe wewnętrzne problemy w procedurze demokratycznej. A przede wszystkim zdolnym do wykorzystania wszystkich potencjalnych możliwości rozwoju tkwiących w narodzie, poszczególnych grupach społecznych i jednostkach. Podkreślaliśmy wielokrotnie w naszych poprzednich raportach, że sposób funkcjonowania naszego systemu politycznego skutecznie tłumi pozytywne cechy Polaków — indywidualizm i inicjatywę, pomysłowość i zaradność w trudnych sytuacjach, patriotyzm i tradycje republikańskie. Wspomagał zaś cechy negatywne: brak nawyków dobrej pracy, szacunku dla organizacji, brak ugruntowanej tradycji sprawnego państwa itd.

Wprowadzenie stanu wojennego, a nade wszystko sposób, w jaki to się stało i sama treść oraz forma ograniczeń wprowadzonych 13 grudnia stały się czynnikiem potęgującym ujemne efekty zablokowania naturalnych przekształceń. Dekret o stanie wojennym był tak skonstruowany, żeby jak najmocniej dać odczuć z jednej strony ubezwłasnowolnienie wszystkich i każdego z osobna, z drugiej zaś podkreślić wszechmoc władzy. Rozliczne represje, internowanie tysięcy osób, pospieszne i drakońskie wyroki sądów dramatycznie naruszyły poczucie bezpieczeństwa ludzi we własnym państwie, zniweczyły wiarę w sprawiedliwość i praworządność tego państwa. Naiwna wiara, że totalne dyrygowanie, ślepa dyscyplina i posłuszeństwo zastąpią autentyczne motywacje do pracy i prawdziwy, płynący ze wspólnoty celów szacunek dla Państwa i jego instytucji — dała efekty odwrotne. Zarówno materiały naszego sondażu, jak i potoczna obserwacja każą przypuszczać, że rzeczywistym wynikiem tak pomyślanej edukacji narodu są:

- wzrost nieufności do intencji władz oraz zakwestionowanie ich sprawiedliwości i wręcz elementarnej uczciwości,
- jeszcze mniejszy stopień identyfikacji z państwem i jego instytucjami,
- głęboka frustracja z powodu zarówno zablokowania dążeń i nadziei, jak i silnie odczuwanego upokorzenia związanego ze sposobem realizacji stanu wojennego.

Można domniemywać, że bolesne uderzenie stanu wojennego oraz szereg uciążliwych restrykcji wprowadzonych zostało rów-

nież po to, aby później z chwilą ich ograniczania społeczeństwo poczuło ulgę, a być może nawet satysfakcję. Zamyśl wydaje się być chybiony. Przemownym skutkiem zarówno wprowadzenia, jak i odwoływania restrykcji jest irytacja.

Wszystko to razem wraz ze skandaliczną propagandą (vide niżej, punkt 2 c) wywołuje głęboki uraz nawet wobec pozytywnych decyzji władz, i na długi być może czas utrudni wytworzenie się rzeczowego stosunku obywateli do państwa, jego instytucji i władzy w ogóle. Stanie się czynnikiem dodatkowo utrudniającym wyjście z kryzysu.

b) Konsekwencje dla władzy i jej zdolności kierowania

Wprowadzenie stanu wojennego stworzyło władzy pozory bezpieczeństwa. Uciszenie środków przekazu zablokowało możliwość uzewnętrzniania się rzeczywistych nastrojów społecznych. Nie została wprowadzona wskrzeszona propaganda sukcesu ekipy E. Gierka, zastąpiła ją jednak propaganda sukcesu stanu wojennego, która daje ten sam wynik: jest całkowicie nieskuteczna wobec obywateli i dezinformuje ośrodki decyzji.

Bezpośrednimi skutkami tej sytuacji są:

- załamanie wiarygodności władzy w opinii obywateli,
- spotęgowanie kompleksu wyobcowania władzy ze wszystkimi negatywnymi tego konsekwencjami,
- likwidacja mechanizmów kontroli społecznej powodująca zwiększenie możliwości popełniania błędów przez ośrodki decyzji.

Dodatkowym efektem stanu wojennego jest wsparcie tendencji autokratycznych, silnie przecież tkwiących we wszystkich ogniwach władzy i pokusa powrotu do państwa wszechobecnego, państwa wychowawcy posiadającego receptę na wszystko.

c) Konsekwencje dla gospodarki

Szczególnie silnie widać to na przykładzie gospodarki. Rok 1981 mimo wszystko: mimo „gorszego rynku”, mimo przestojów i obniżania się produkcji dóbr, strajków, protestów i konfliktów politycznych, przyniósł jednak pewien zarys rozwiązań. Dorobek lepszej części kadry gospodarczej i menadżerów w przedsiębiorstwach, samorządów fabrycznych, ekonomistów — był wcale nie mały; przede wszystkim zaś rosła ufność w skuteczność projektowanych środków. Można było mówić faktycznie o drogach wyjścia z kryzysu. Podwyżka cen żywności, która

była operacją konieczną, ale bardzo bolesną, powinna była być skonsultowana ze związkami zawodowymi i przeprowadzona znacznie wcześniej. Choć trudne, było to jednak możliwe. Była więc szansa stopniowego równoważenia rynku. Zapowiedziane zaś rozpoczęcie z początkiem roku reformy stwarzało nadzieję (może przesadną) poprawy sytuacji gospodarczej. Był to cel niewątpliwie daleki, lecz nie fantastyczny. W takich okolicznościach mogła się ujawnić wielka, niematerialna rezerwa: inicjatywa ludzka. I to we wszystkich przestrzeniach społecznych miasta i wsi.

Stan wojenny zmienił tę sytuację diametralnie. Reforma gospodarcza stoi pod znakiem zapytania: po pierwsze dlatego, że istnieje uzasadniona wątpliwość, czy to w ogóle *ta reforma*, a nie jej szczątek, fasada; po drugie, że obecne warunki, jak to nawet oficjalnie stwierdzono, są „idealnie złe”.

Reforma gospodarcza powinna — upraszczając — polegać na:

- 1) stworzeniu warunków samodzielności gospodarowania przedsiębiorstwom w sytuacji, w której działać będą mechanizmy rynkowe;
- 2) zasadniczej zmianie prerogatyw centralnej administracji gospodarczej, usunięciu znacznej części ogniw biurokracji w zarządzaniu i uniezależnieniu przedsiębiorstw od administracji państwowej;
- 3) stworzeniu systemu kontroli społecznej nad decyzjami gospodarczymi władz wszystkich szczebli;
- 4) stworzeniu samorządu pracowniczego, który by zarówno mobilizował załogi, jak również kontrolował dyrekcje i wpływał na pozytywną selekcję kadrową.

We wszystkich 4-ch punktach stan wojenny przekreślił szansę reformy. Sejm uchwalił jednak ustawy dotyczące reformy. W ustawach tych wiele szczegółowych rozwiązań delegowanych jest do załatwienia w postaci rozporządzeń wykonawczych. Istnieją podstawy do przypuszczeń, że rozporządzenia wykonawcze w istocie będą anulowały literę ustaw.

Pomimo gwałtownego podniesienia cen większości artykułów, co może zamknąć lukę inflacyjną i zdejmie w ciągu kilku miesięcy znaczną część nawisu inflacyjnego (gorącego pieniądza), nie ma obecnie szans na przywrócenie równowagi rynkowej z uwagi na rosnące trudności zaopatrzenia i postępujący spadek produkcji przemysłowej (przede wszystkim ze względu na brak importu kooperacyjnego). Znaczna część artykułów otrzymuje ceny urzędowe, zaś coraz szerszy zakres zaopatrzenia podlega reglamentacji. W tych warunkach biurokracja centralna w du-

zym stopniu zatrzyma swoje kompetencje, a jak można przypuszczać wobec rozszerzającego się systemu nakazowego, wzmocni swoją pozycję w stopniu większym, niż to było przed sierpniem 1980 roku. Ta właśnie grupa społeczna — z natury rzeczy przeciwna reformie decentralizującej gospodarkę — będzie miała w stanie wojennym reformę realizować. W wyniku tego w warunkach stanu wojennego rośnie ilość odgórnie kierowanych programów operacyjnych. Niestety nie mogą one uporządkować zaopatrzenia produkcji i chaos rośnie. Wreszcie system społecznej kontroli oraz samorząd pracowniczy przestały istnieć. Decydujące znaczenie miały tu związki zawodowe, ponieważ zgodnie z umowami społecznymi Rząd konsultował z nimi ważniejsze posunięcia w zakresie polityki gospodarczej i społecznej.

Do tych spustoszeń należy obecnie dodać czynnik nowy, o trudnej jeszcze do skalkulowania sile. Gospodarka polska znalazła się w postępującej *izolacji* od świata, zwłaszcza, rzecz jasna, od Zachodu. Kurczą się dostawy żywności, materiałów dla przemysłu, wygasły możliwości pozyskiwania kredytów, zawiesza się negocjacje o refinansowaniu zadłużenia. Bankructwo finansowe kraju na rynku międzynarodowym jest właściwie faktem. Prawdopodobnie rządy Zachodu będą wstrzymywać się z formalnym ogłoszeniem niewypłacalności Polski, aby zachować środek presji na władze wojskowe. Jeśli przed grudniem sporo mówiono o *pętli zadłużenia*, pętli handlu zagranicznego itp. jako o rzeczach komplikujących sytuację, to w żadnym wariancie wychodzenia z kryzysu nie brano pod uwagę takiego obrotu sprawy.

Znajdujemy się w błędnym kole: eksport dolarowy spada ze względu na brak zaopatrzenia i być może zejdzie do poziomu poniżej 50 % z roku 1979, a więc z kolei spada drastycznie import, bo kredyty mamy zamknięte. Powoduje to dla gospodarki efekt mnożnikowy, ponieważ spadek importu o 1 % doprowadza do spadku dochodu narodowego o 1,5 %. Znaczna część naszego przemysłu maszynowego, elektromaszynowego, chemicznego i lekkiego nie może pracować z braku importu kooperacyjnego. ZSRR obiecuje kredyt ok. 1,5 mld dolarów w towarach, ale to zaspokaja ledwie ok. 25 % najniezbędniejszych potrzeb, a poza tym nie ma najmniejszych szans, aby nasi sąsiedzi zastąpili większość kooperantów Zachodu. W szczególnie ciężkiej sytuacji znajdują się fabryki o wysokim poziomie technicznym, których technologie oparte są na licencjach.

W roku 1982 — niełatwo to sobie wyobrazić — gospodarka będzie poddana kumulującemu się wpływowi tych wszystkich czynników: zamiast stabilizacji produkcji — jej spadek; zamiast równowagi rynkowej — rozbudowa reglamentacji rynkowej; zamiast poszerzenia możliwości dochodowych załóg poprzez lepszej

zorganizowaną, wydajniejszą pracę, co by wyraźnie łagodziło skutki podwyżki cen — narzucane redukcje i arbitralnie zamknięte warsztaty. Komunikaty GUS — wyjątkowo szczere z początków lutego, oraz bardziej zwięzły w połowie marca — dają podstawy do takich przewidywań. To się już dzieje. Wstępujemy w pełnię kryzysu.

Realia gospodarcze ze złych stały się „idealnie złe”. To prawda. Wnioski są jednokierunkowe: więcej prerogatyw dla centrali, więcej nakazów, limitów, obostrzeń; więcej bodźców negatywnych, chociaż reformie i tak zarzucano zgodnie, że bodźce pozytywne, system motywacyjny ma zbyt słaby i że stanowi on jej pięte achillesową, coraz bliżej gospodarki typu wojennego: pełnej dystrybucji środków z centrali. Wojskowi nie znają innych sposobów, w czym ich popiera zagrożona reformą centralna biurokracja partyjno-gospodarcza.

„Idealnie złe” warunki materialne zostały więc uzupełnione „idealnie złymi” warunkami kadrowymi. Wojskowi, niedoświadczeni w problematyce gospodarczej, za to pewni skuteczności metod rozkazodawczych i „porządku”, niejako w sposób naturalny oparli się na kadrze centralnej biurokracji. Pewna szansa „sojuszu” z kadrą niższą — menadżerów, dyrektorów fabryk — zdaje się już nie istnieje. Wielu dobrych dyrektorów, jeszcze z autorytetem wśród załóg (m.in. Huta Warszawa, Ursus, Stocznia Gdańska) wyrzucono podczas tłumienia strajków. Ale w ogóle szukanie takiego poparcia wymagałoby koncepcji politycznej. A o czymś takim mówić dzisiaj trudno. Jeśli wojskowi deklarujący poparcie dla reformy rzeczywiście konsekwentnie by ją popierali — szukaliby faktycznych sojuszników reformy.

Mimo rosnących uciążliwości i kłopotów w zaopatrzeniu, ogólny poziom życia w ostatnich dwóch latach (przynajmniej do jesieni 1981) nie ulegał większym zmianom. Spadał wprawdzie dochód narodowy (w 1981 r. o 20 % w stosunku do 1979 r.) i produkcja przemysłowa, ale było to w znacznym stopniu amortyzowane: a) zmniejszaniem inwestycji; b) zaciąganiem dalszych kredytów za granicą (w 1981 r. — 3,5 mld dolarów z Zachodu i 1,5 mld dolarów z ZSRR); c) upłynnianiem zapasów towarowych (za ok. 80 mld zł) i d) przedpłatami na artykuły trwałego użytku (samochody i in.), co nie ratowało oczywiście poziomu życia dziś, ale dawało szanse na jutro.

Ta sytuacja ulega w tej chwili na naszych oczach radykalnej zmianie. W wyniku gwałtownej podwyżki cen dochody realne znacznej części społeczeństwa spadają średnio o 30-40 % w porównaniu z latem ub. roku. Rekompensaty okazują się dla większości ludzi niedostateczne. Rosną gwałtownie ceny artykułów przemysłowych i usług, a także dopiero teraz dają się odczuć w

pełni podwyżki z ubiegłego roku (alkohol, papierosy, benzyna itp.).

Jest to szok o wymiarach niespotykanych w krajach rozwiniętych. Budżety, zwłaszcza w rodzinach pracowniczych i emeryckich ulegają załamaniu, choć oczywiście w sposób nierównomierny.

Strefa ubóstwa (ok. 7 mln osób o dochodzie w 1980 r. ok. 2,5 tys. lub mniej na osobę: ok. 15 % rodzin pracowniczych, ok. 30 % rodzin rolniczych i ok. 40 % emerytów), która się rozszerza, odczuje prawdopodobnie spadek dochodów realnych w mniejszym stopniu, bo niższy był ich poziom (spadek o ok. 25-30 %). Ale też pamiętajmy, że rodziny te żyły na poziomie lub poniżej poziomu minimum socjalnego. Przy takim spadku braknie pieniędzy na zakupy najbardziej elementarne, a równocześnie rodziny te mają najmniej zapasów towarowych oraz najmniejszą część nawisu inflacyjnego. Bardzo wiele z nich staje już dziś wobec alternatyw dramatycznych.

Większość średnio zamożnych rodzin pracowniczych i emeryckich odczuje spadek dochodów realnych silniej (do 40 %), ale rozłoży się to bardziej w czasie. Zapasy gotówkowe (20-30 % nawisu) i towarowe starczą niektórym na kilka miesięcy. Zwłaszcza w tych rodzinach zaznaczą się dwa progi: marzec — kiedy przejedzona zostanie trzynasta pensja i potrójna rekompensata emerytur i czerwiec — kiedy wyczerpywać się będą zapasy. Należy sądzić, że sytuacja średnio zamożnych rodzin rolniczych będzie nieco lepsza.

Władze wprowadzając tak wielką podwyżkę cen liczyły prawdopodobnie na wygospodarowanie rezerwy, przy pomocy której byłyby od czerwca dokonywane podwyżki płac dla uspokojenia niektórych chociaż grup pracowniczych. Niestety, spadek produkcji w styczniu i lutym (mimo wzrostu produkcji górniczej) spowodowany stratami z powodu stanu wojennego, postępującą dezorganizacją gospodarki oraz niemożnością otrzymania nowych kredytów zagranicznych — grozi spadkiem produkcji w skali roku o ok. 20-30 %. Wobec tego podwyżki — jeśli nastąpią jednocześnie — nie będą miały pokrycia i rozpoczną jedynie nowy cykl inflacji.

Należy podkreślić, że mimo bardziej niż np. w roku 1976 egalitarnego charakteru rekompensat, wiele rodzin pracowniczych odczuje relatywnie znacznie boleśniej ogólną pauperyzację, niżli to wynikało ze statystyk, na skutek bardzo nierównego rozłożenia rezerw oraz nowych mechanizmów dystrybucji (już zaczęło się przydzielanie towarów dla uprzywilejowanych instytucji i niektórych zakładów pracy); poza tym pamiętajmy, że częste przestoje w wielu zakładach obniżają dochody załóg. Obok tego roś-

nie liczba bezrobotnych, zwłaszcza pracowników umysłowych. Stwarza to nową strefę nędzy (najczęstszy projektowany zasiłek wyniesie ok. 3 tys. zł, czyli ok. 50 % minimum biologicznego dla gospodarstwa 1-osobowego).

Zaledwie kilkanaście procent ludności — najzamożniejszych rolników i najlepiej sytuowanej ludności miejskiej — może spokojnie wytrzymać szok cen. Szok ten i obniżenie poziomu życia — w wyniku strukturalnego kryzysu gospodarczego trwającego od kilku lat — były nieuchronne. Jednakże skala tego zjawiska i brak realnego horyzontu poprawy wydaje się — w odczuciu wielu ludzi — łączyć ze stanem wojennym.

Złe rysują się także perspektywy produkcji rolnej. Są szanse poprawy zaopatrzenia w węgiel, ale spada zaopatrzenie w nawozy sztuczne, brak zupełnie środków ochrony roślin, mimo wysiłków brak maszyn rolniczych i części zamiennych. W związku z tym trudno liczyć na powtórzenie się dobrych zbiorów z ub. roku, nawet jeśli pogoda będzie sprzyjać. A odbudowa hodowli po klęsce z 1980 roku może postępować tylko powoli, zwłaszcza wobec trudności importowych. Import zbóż jest nadal koniecznością.

Najważniejszy jest jednak klimat panujący na wsi. Już zapowiedź możliwości stanu wyjątkowego na jesieni ub. roku spowodowała — obok innych czynników — gwałtowny spadek skupu. Obecnie rolnicy zwiększyli sprzedaż żywca likwidując ze względów paszowych część stada, nadal jednak nie chcą sprzedawać zboża, trzymając je na „czarną godzinę”.

W sytuacji braku podaży artykułów do produkcji rolnej, jak i artykułów konsumpcyjnych, nie widać szans na szybką odbudowę więzi gospodarczej między miastem a wsią.

Odpływ z przemysłu chłoporobotników — jak się przypuszcza — może w części gospodarstw zwiększyć produkcję na potrzeby własne i samozaopatrzenia, ale nie zwiększy towarowości małych gospodarstw.

Brak zboża dla ludności miast (popyt na produkty mączne po ogólnej podwyżce cen wzrośnie), przy niskim skupie, powinien być jak dotąd bywało — zaspokojony przy pomocy importu z ZSRR lub Zachodu (1-2 mln ton). Jeżeli będzie on niemożliwy, pozostanie tylko wprowadzenie stałe lub doraźne dostaw obowiązkowych, co miałoby katastrofalny wpływ na postawy chłopów i dalsze perspektywy produkcji rolnej.

Tyle o bezpośrednich, już dziś widocznych konsekwencjach wprowadzenia stanu wojennego. Pozostają jednak pytania o

wpływ stanu wojennego na konieczną przecież zmianę metod sprawowania władzy i konieczność usunięcia tych cech systemu politycznego, które doprowadziły do kryzysu w sierpniu 1980 r.

2. *Stan wojenny a metody uprawiania polityki i sprawowania władzy*

Podjmując jesienią 1978 roku prace naszego Konwersatorium mieliśmy świadomość, że w szybkim tempie zaostrza się sprzeczność „między: z jednej strony rosnącymi zadaniami, które stawia rozwój przemysłowy i komplikowanie się życia zbiorowego, z drugiej zaś — tym jaskrawiej ujawniającą się niesprawnością całego systemu współdziałania społecznego”. Przewidywaliśmy kolejny konflikt o sile nieporównywalnie większej niż w latach 1970 i 1976. Zastanawialiśmy się wówczas, czy można kryzysową sytuację końca lat 70-tych tłumaczyć jedynie błędami konkretnych ludzi, ich wadliwymi decyzjami oraz pogorszeniem koniunktury międzynarodowej — czy też przyczyną tkwią głębiej i osadzone są w całości systemu społeczno-politycznego.

Zastanawialiśmy się wtedy nad przyczynami kolejnych kryzysów w naszej historii powojennej. Nad tym, dlaczego deklaracje programowe kolejnych ekip, zawierające bardzo rozsądne propozycje, tak szybko przestawały obowiązywać i zaczynał się kolejny cykl kryzysowy. Nad tym wreszcie, dlaczego aspiracje społeczeństwa, wywodzące się często z podstawowych wartości socjalistycznych: potrzeby równości szans, sprawiedliwości, udziału w sprawowaniu władzy itp. tak bardzo szybko rozmięły się z praktyką partii i państwa.

W diagnozie przyczyn tego stanu rzeczy pisaliśmy wówczas w oparciu o bogaty materiał ankiet, badania socjologiczne i obszerną dokumentację z innych źródeł, że głównymi przyczynami kolejnych kryzysów są przede wszystkim:

- brak mechanizmów negocjacyjnych,
- brak samoregulatorów w życiu społecznym i gospodarczym,
- brak autentycznej reprezentacji różnych sił społecznych, przede wszystkim brak autentycznych związków zawodowych,
- niejawnosc życia publicznego i wynikający z tego kształt propagandy,
- system prawny i jego wypaczenia,
- wadliwa polityka kadrowa,

— wreszcie prymat celów doraźnych w działaniach władzy, służących partykularnym interesom ekipy nad celami bardziej ogólnospołecznymi, o szerszym horyzoncie.

Stwierdziliśmy, że kryzys nękający Polskę końca lat 70-tych ma charakter przede wszystkim polityczny, a sytuacja gospodarcza jest pochodną tego stanu rzeczy.

Przypominamy elementy naszej diagnozy z 1979 roku, albowiem nikt ich nigdy nie zakwestionował. Nawet ci, którzy polemizowali z postulatami „Raportu o stanie Rzeczypospolitej” czy z różnymi zawartymi tam ocenami, nigdy nie kwestionowali zacytowanych wyżej stwierdzeń.

Spróbujmy więc przyrzeć się, jak ma się wprowadzony obecnie stan wojenny do niektórych przynajmniej, przykładowo wybranych ujemnych cech naszego systemu politycznego: czy uruchamia mechanizmy zdolne wyrugować te cechy z naszego życia publicznego, czy też — niezależnie nawet od intencji władz centralnych — wręcz przeciwnie, cechy te umacnia.

a) *Mechanizmy negocjacyjne*

W diagnozie przyczyn kryzysu opublikowanej w pierwszym raporcie DiP za rzecz najważniejszą uznaliśmy fakt, że:

„W ciągu całego okresu powojennego nie wykształciły się u nas powszechnie akceptowane i rzeczywiście funkcjonujące reguły i normy życia społecznego. Trudno byłoby dziś wskazać — pisaliśmy — dziedziny życia społecznego, w których zdołano dojść do uzgodnień czy kompromisów, którym towarzyszyłyby powszechnie uznane reguły gry politycznej. Uzgodnień stanowiących ramy zarówno dla wytyczenia wspólnych celów, jak i dla ich wspólnej realizacji, uzgodnień godzących interesy różnych grup społecznych, a także interesy jednostki i społeczeństwa. Nie osiągnięto takich uzgodnionych porozumień w sprawach najogólniejszych — w stosunku np. do koncepcji sprawowania władzy, zasad podziału dochodu narodowego, czy w odniesieniu do oceny konsekwencji sytuacji geopolitycznej Polski ani w dziedzinach bardziej konkretnych”.

Charakteryzując zaś mechanizm podejmowania decyzji, pisaliśmy dalej:

„Odznaczały się one (decyzje) trzema szczególnymi cechami: — były czymś zewnętrznym w stosunku do społeczeństwa, narzuconym, „nadanym”, a nie wynegocjowanym, co oczywiście nie ułatwiało ich akceptacji przez ogół lub przynajmniej przez znaczną większość,

— fakt, że nie były one podejmowane w procesie dochodze-

nia do uzgodnień powodował, że często interesy poszczególnych grup nie były uwzględniane w sposób dostateczny i możliwy, — brak uzgodnień uniemożliwiał uzyskiwanie autentycznego poparcia ze strony wszystkich zainteresowanych”.

Okres między sierpniem 1980 a grudniem 1981 roku był okresem wykształcania się mechanizmów negocjacyjnych między władzą a społeczeństwem. Wspominaliśmy już, że był to proces bardzo trudny, pełen konfliktów i napięć, a winą za to obciąża, choć w nierównym stopniu, obie strony. Był to okres uczenia się negocjowania i formowania reprezentacji różnych grup społecznych. Można sądzić, że powoli zmieniał się dwubiegunowy charakter układu władza — „Solidarność”. Zmieniała się rola partii sojuszniczych i pojawiała się szansa ich uautentycznienia, powstał związek chłopów, uautentyczniały się ugrupowania katolickie, pojawiały się różne formy samorządności środowisk inteligentkich (stowarzyszenia, uczelnie itp.). Tworzyła się powoli urozmaicona mozaika życia publicznego, co pozwalało na nadzieję, że interesy różnych grup społecznych i zawodowych znajdą w swej różnorodności możliwość artykułowania i negocjowania swych interesów. Siła i reprezentatywność tych grup rokowała nadzieję, że decyzje negocjowane będą musiały być realizowane — a zarazem zapewniały tym decyzjom poparcie społeczne. Mimo napięć i konfliktów w niektórych przynajmniej częściach kraju wykształciły się nowe formy współdziałania władzy i partii z nowoorganizowanymi siłami społecznymi.

Ten proces został 13 grudnia przerwany i trudno oprzeć się wrażeniu, że właśnie w tej dziedzinie: osiągnięcia porozumień i negocjacji mamy do czynienia wśród znacznej części aparatu władzy z tendencją powrotu do stanu sprzed sierpnia 1980 roku.

Stan wojenny, polegający na rządzeniu za pomocą zakazów i nakazów tę tendencję z natury rzeczy — niezależnie, powtórzmy, od czyichkolwiek intencji — musi wspierać. Co gorsza specyficzne cechy dekretu z 13 grudnia znacznie zwiększają to niebezpieczeństwo. Stwarzają one zwolennikom rządzenia w sposób arbitralny ogromną szansę całkowitego wyeliminowania z życia publicznego wszystkich elementów samorządności, które zrodziły się po sierpniu 1980 roku. Dają osłonę i dają czas, by usunąć z życia publicznego wszystkich ludzi — w partii i poza nią — którzy zrozumieli, że dawnymi metodami rządzić młodym, wykształconym społeczeństwem po prostu się nie da. Dla biurokracji administracyjno-gospodarczej jest zupełnie obojętne, kto odbiera jej niekontrolowaną władzę i przywileje: „Solidarność” czy WRON. Jej chodzi o zachowanie takiej właśnie władzy, i dlatego wybierać będzie z programu WRON te elementy, które służą temu celowi, odrzucając inne.

W tej dziedzinie stan wojenny już teraz stał się skuteczną pułapką dla władzy. Jeśli bowiem zwycięży przeświadczenie, że z kryzysu można wyjść nie zwalczając jego przyczyn, ale uciszając tych, którzy o nich mówią i domagają się reform, to tym razem będzie to już stanowiło wręcz zagrożenie dla przyszłości narodu, cofnięcie w skali historycznej.

Nie można robić reformy gospodarczej bez zmiany metod rządzenia, bez uruchomienia autentycznych sił rzeczywiście wspierających reformę; bez uruchomienia zarówno w życiu społecznym jak i w gospodarce — mechanizmów samoregulujących. Nie można robić reformy gospodarczej opartej na prawdziwych zasadach ekonomicznych, a równocześnie rządzić państwem w sposób arbitralny, metodą nakazową. Zdawało się, że te oczywiste, banalne prawdy zyskały w okresie posierpniowym prawo obywatelstwa w naszym kraju. Tymczasem zarówno z rozmaitych wypowiedzi, jak i z sygnałów nadchodzących z całego kraju wyłania się obraz zupełnie inny. I wiele wskazuje dziś na to, że stan wojenny nie tylko nie spełnia roli parasola ochronnego dla reform, ale wręcz przeciwnie — staje się parasolem ochronnym dla przeciwników reformy i zabiegów reformę kompromitujących.

Jeśli ten stan rzeczy się utrzyma — spirala nie zostanie przerwana i czeka nas w niedługiej przyszłości kolejny kryzys.

b) Prawo, praworządność, wymiar sprawiedliwości

Zagadnieniom stanowienia i stosowania prawa poświęciliśmy wiele uwagi we wszystkich naszych poprzednich raportach. Przytaczaliśmy rozliczne dowody wielkiej szkodliwości naginania prawa do doraźnych celów władzy. Podsumowując w „Raporcie o stanie Rzeczypospolitej” rozdział poświęcony problematyce prawa i wymiaru sprawiedliwości pisaliśmy:

„Ten sposób posługiwania się prawem:

— nie przyniósł korzyści w sprawowaniu władzy, a wręcz przeciwnie, w zasadniczy sposób ograniczył możliwość efektywnego sprawowania władzy we wszystkich dziedzinach, od gospodarki po administrację lokalną i wymiar sprawiedliwości,

— w zasadniczy sposób naruszył zaufanie i szacunek obywateli do władzy,

— spowodował wykształcenie się aspołecznych postaw w szerokich kręgach społeczeństwa”.

Wielokrotnie podkreślaliśmy, że w jednopartyjnym praktycznym systemie politycznym, gdy rozmaite grupy i jednostki nie mają możliwości obrony swoich interesów środkami politycznymi, system prawny ma do odegrania szczególną rolę. I że jest to

jeden z czynników decydujących o zaufaniu społeczeństwa do państwa. Dlatego poświęciliśmy tym zagadnieniom odrębny raport pt. „Prawo, praworządność i gwarancje prawne”, sporządzony przez grupę roboczą DiP 5 sierpnia 1981 roku.

W tej dziedzinie stan wojenny poczynił trudne jeszcze do pełnego oszacowania szkody. Łatwość, z jaką zawieszono w wielu dziedzinach życia podstawowe prawa obywatelskie; zastosowano odpowiedzialność zbiorową; wprowadzono sądownictwo doraźne — i w ogóle łatwość, z jaką władze poczuły się zwolnione z wielu podjętych wobec obywateli zobowiązań, skomplikuje możliwość pozyskania z powrotem zaufania. Tym bardziej, że owo zlekceważenie podjętych wobec społeczeństwa zobowiązań dotyczy często spraw, które są wartościami najwyżej cenionymi i posiadającymi spore tradycje.

Metoda sprawowania władzy na podstawie dekretu z 12 grudnia 1981 roku o stanie wojennym (i innych dekretów tegoż dnia) polega na bardzo szerokiej władzy administracyjnej, działającej z inspiracji, na wniosek i pod kontrolą nieznanej Konstytucji i w ogóle polskiemu prawu — Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego, która w proklamacji z 12 grudnia uznała się za tymczasowe źródło władzy. Równocześnie polega ona na drastycznym ograniczeniu lub zawieszeniu praw i wolności obywateli i ich organizacji. Dekret o stanie wojennym wszak nie przewiduje kontroli organów przedstawicielskich nad funkcjonowaniem stanu wojennego ani kontroli organów sądowych nad decyzjami organów administracji w sprawie pozbawienia obywateli praw, wynikających dla nich z Konstytucji.

Przepisy o stanie wojennym i z nim związane zostały wprowadzone nie przez Sejm ustawą lecz przez Radę Państwa dekretemi, których usankcjonowanie przez Sejm nastąpiło aż po upływie 6 tygodni, tj. 25 stycznia 1982 roku. Dekret o stanie wojennym i inne, został przyjęty z podwójnym co najmniej naruszeniem Konstytucji. Został bowiem uchwalony podczas sesji Sejmu, a więc wbrew treści art. 31 ust. 1 Konstytucji i mimo kompetencji Sejmu, a ponadto ograniczył (zawiesił) prawa obywatelskie, które obowiązują wprost na mocy Konstytucji (wolność sumienia, wyznania, nietykalność osobista, tajemnica korespondencji) i których bez zmiany (choćby czasowej) Konstytucji ograniczać (zawieszać) nie można.

Grudniowemu dekretovi o stanie wojennym (i innym dekretem z tegoż dnia) nadano moc wsteczną, co jest sprzeczne z zasadą, w myśl której „prawo nie działa wstecz”. Dekret bowiem ogłoszony 14 grudnia obowiązuje od dnia jego uchwalenia, tj. 12 grudnia. Miał przeto zastosowanie administracyjne i karne do czynów popełnionych przed jego ogłoszeniem, zanim treść

jego dotarła w sposób prawem przepisany do wiadomości obywateli.

Internowanie wprowadzono na podstawie dyskrejonalnych decyzji administracji (MSW) bez potrzeby przeprowadzania jakiegokolwiek postępowania dowodowego wobec internowanych, bez określenia terminu zarówno dopuszczalności wydawania decyzji o internowaniu, jak i samego internowania, bez stopniowania środków według władzy podejrzanych, tzn. bez poprzedzenia bądź zastąpienia internowania tzw. konfinowaniem lub innymi powszechnie znanymi środkami łagodniejszymi. Internowanie upodobniono do uwięzienia, przewidując przy tym w dekrecie gorsze traktowanie obywateli polskich niż obcokrajowców. Prawo skargi na internowanie — tylko w drodze administracyjnej (sądowej drogi nie ma) w praktyce sprowadzone zostało do fikcji.

Rozporządzenie R.M. z 30 grudnia 1981 roku nie tylko zawiesiło w ogóle działalność samorządu pracowniczego, lecz także przekazało kompetencje samorządu dyrektorowi przedsiębiorstwa, który przecież ma być przez samorząd kontrolowany i uzależniło ewentualne przywrócenie samorządu w zakładach od decyzji poszczególnych ministerstw.

Naruszeniem zasad prawodawstwa jest upoważnienie w dekrecie o stanie wojennym (art. 29 ust. 8) Rady Ministrów do wydania przepisów w formie rozporządzeń, przekreślających postanowienia ustawodawstwa pracy i ubezpieczeń społecznych.

Tylko przekonaniem o możliwości lekceważenia praw — przeciw służącym obywatelom także w stanie wojennym — należy sobie wytłumaczyć praktykę ogniw administracji zwalniania z pracy jako sankcji za odmowę wystąpienia pracownika ze związku zawodowego i żądania tzw. deklaracji lojalności, a także takie postępowanie, jakby związki zawodowe zostały rozwiązane, a nie tylko ich działalność uległa zawieszeniu, co pociąga za sobą pozbawienie szczególnej ochrony prawnej osób, powoływanych do wykonywania funkcji związkowych w zakładach pracy. Jest to powszechna praktyka zwalniania z pracy za przekonania. Przeczy ona deklaracjom WRON. W jednej tylko dzielnicy Warszawy w ciągu jednego miesiąca wpłynęło ponad 1.000 odwołań od takich lub zbliżonego charakteru decyzji (styczeń 1982; dla porównania w roku 1981 terenowe komisje odwoławcze rozpatrzyły przez cały rok 3.500 skarg, dotyczących rozwiązania stosunku pracy).

Charakterystycznym zjawiskiem jest również stosunek do polityki paszportowej, która była przecież wynikiem ewolucji trwającej przeszło ćwierć wieku i dla pokolenia młodych stała się

trwałą cechą naszego systemu. I nie chodzi o to, że wraz z wprowadzeniem stanu wojennego zawieszone zostały wyjazdy. To można zrozumieć. Dziś jest już jednak widoczne, że władze postanowiły skorzystać z tej okazji, by w ogóle zmienić politykę paszportową, mimo, że była ona swoistym zobowiązaniem się państwa do takiego a nie innego traktowania swoich obywateli w bardzo ważnej sferze praw obywatelskich. Praw uroczyste zresztą, wielokrotnie, również całkiem niedawno, potwierdzanych. A przecież nie ulega wątpliwości, że polityka paszportowa nie miała żadnego wpływu na sytuację w kraju. Nie była ona w najmniejszym choćby stopniu przyczyną kryzysów i napięć.

Podobnych przykładów można przytoczyć aż nazbyt wiele.

Za brak zaufania obywateli do państwa nie raz płaciliśmy już jako społeczeństwo bardzo słąną cenę. Płacimy ją również dziś, choćby w postaci fiaska pożyczki zbożowej, czy załamania się zaufania do systemu bankowego (konta dewizowe).

Mimo zdawałoby się znakomitych warunków pożyczki zbożowej rolnicy nie udzielili jej właśnie z powodu braku zaufania, braku wiary, że za trzy lata, gdy nadejdzie czas zapłaty za zboże, państwo nie wycofa się arbitralnie z podjętych zobowiązań.

Najdotkliwszy jednak cios spotkał prestiż wymiaru sprawiedliwości. W naszym społeczeństwie po dzień dzisiejszy żywa jest pamięć sądownictwa okresu stalinowskiego z jego drakońskimi, niewspółmiernymi do popełnionych czynów karami. Okres między sierpniem 1980 a grudniem 1981 był wielką szansą uwiarygodnienia się sądownictwa. I ta szansa została przekreślona szafowaniem przez sądy wieloletnimi wyrokami więzienia, w sposób jaskrawo odbiegający od poczucia prawnego obywateli.

c) Jawność życia publicznego i propaganda

Nikt chyba nie kwestionuje faktu, że propaganda sukcesu i niejawnosć życia publicznego w latach 70-tych odegrały niepoślednią rolę w potęgowaniu kryzysu politycznego w naszym kraju. Jest charakterystyczne, że problem prawdy w środkach przekazu i jawności życia publicznego był jedną z najostrej przyżywanych i dyskutowanych po sierpniu spraw. I co szczególnie ważne, był to problem najostrej stawiany w środowiskach robotniczych. Powszechna była świadomość, że system informowania o sprawach państwa i gospodarki nie tylko dezinformuje obywateli, ale i mistyfikuje również obraz rzeczywistości w oczach decydentów.

Zdawało się, że władza tę prawdę do końca zrozumiała i w imię własnych choćby interesów nie wróci do sytuacji, gdy

prasa i w ogóle środki przekazu były po prostu przekąźnikami dyrektyw, a najcenniejszą kwalifikacją dziennikarzy było posłuszeństwo i brak własnego zdania.

Fakty dowodzą czegoś wręcz przeciwnego. Powrócono do zwykłego manipulowania informacją. W ogóle można powiedzieć, że środki przekazu stały się znowu czynnikiem zaogniającym sytuację polityczną w kraju.

Fakty (a także m.in. propaganda) przekonały ludzi, że wojna została wypowiedziana nie tyle elementom skrajnym, ile właśnie „Solidarności” jako takiej i że umowy społeczne nie są i nie będą respektowane. Systematyczne oczernianie działaczy związkowych, liczne fałszy i naciągania w kampanii oszczerstw musiały z konieczności wywołać bardzo głęboki resentyment.

Środki masowego przekazu, które między sierpniem 1980 a lipcem 1981 odbudowały częściowo swą niezależność i wiarygodność, później ponownie ją straciły, a dziś są po prostu czymś obcym. Wyłączanie TV w czasie dziennika jest zjawiskiem bardzo tu charakterystycznym i zrozumiałym. Społeczeństwo pojęło, że ma się poddać władzy bezwarunkowo i że ma się pożegnać z marzeniami o odnowie społecznej. Nie było bowiem poważniejszych, niedeklaratywnych prób przekonania społeczeństwa, że będą jakieś istotne zmiany w stosunku do systemu rządzenia sprzed 1980 roku.

Zabiegi weryfikacyjne zastosowane wobec całego środowiska dziennikarskiego, zmierzające w tym szczególnym przypadku do zastraszenia go i sparaliżowania, potwierdzają ogólną tezę, a propaganda wraca w sposób trwały do dawnej formuły bezkrytycyzmu i podporządkowania. Ukoronowaniem tych bezpodstawnych i bezprawnych represji było rozwiązanie Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich.

Również więc i w tej dziedzinie stan wojenny uruchomił szereg procesów w środkach masowego przekazu, które w sposób trwały utrudnią dialog, utrudnią też możliwość działania kontroli społecznej, która skutecznie mogłaby zapobiec odradaniu się zjawisk patologicznych w naszym życiu publicznym — ze wszystkimi tego konsekwencjami dla sprawowania władzy.

Omówiliśmy w wielkim skrócie parę tylko spraw naszym zdaniem szczególnie ważnych i szczególnie już dziś niepokojących.

Sytuacja kraju jest zbyt dramatyczna, by można sobie pozwolić na to, by cały cykl kryzysowy rozpoczął się od nowa. W historii powojennej mieliśmy tyle programów reform i zapowiedzi reform, ile było kryzysów i nowych ekip. Były to często

programy rozsądne i nic z nich nie wychodziło — zawsze z tych samych powodów. Z naiwnej wiary, że władza ma na wszystko receptę, że sama bez niefikcyjnego udziału obywateli potrafi kryzys rozwiązać. Z naiwnej wiary w skuteczność metod nakazowych i z wcale nie naiwnego wyboru tych metod rządzenia dla ich wygody. Czy historia raz jeszcze miałaby się powtórzyć? I jaką cenę przyjdzie tym razem za to płacić?

Rozdział II

SYTUACJA MIĘDZYNARODOWA I CO Z NIEJ WYNIKA

Dzień 13 grudnia zmienił sytuację Polski w sposób zasadniczy. Stało się tak nie tylko z przyczyn wyłożonych w poprzednim rozdziale, lecz także — a może przede wszystkim — z przyczyny najbardziej ogólnej: umiędzynarodowił sprawę Polski i uczynił ją przedmiotem wielkiej gry na skalę światową. Musimy zdać sobie z tego sprawę i wyciągnąć właściwe wnioski. Rezygnacja przez władzę z możliwości osiągnięcia porozumienia narodowego i użycie przemocy sprawiły, że sprawa polska nie może już być traktowana li tylko w kategoriach wewnętrznych, lecz musi być rozpatrywana w łączności z polityką w skali europejskiej i globalnej. Trzeba powiedzieć jasno: w chwili, gdy zrezygnowano z porozumienia społecznego, utracono możliwość rozwiązania spraw polskich pomiędzy samymi tylko Polakami. Slogan: „Jak Polak z Polakiem” nabrał dziś wyjątkowo ironicznego brzmienia.

Odtąd sprawa Polski, czy się to nam podoba czy nie, w zasadniczym stopniu zależy od polityki światowej, to znaczy od polityki innych państw. Przede wszystkim, oczywiście, od polityki Związku Radzieckiego. Bez możliwości odwołania się do ZSRR — WRON działać nie może.

Większość analiz napisanych po 13 grudnia i krążących w odpisach po kraju, w mniejszym lub większym stopniu uwzględnia powyższe fakty i wyciąga z nich następujące wnioski:

a) że czeka nas długotrwały okres rządów policyjno-wojskowych, które mogą być wykonywane w wariantach „twardym” lub „miękkim”;

b) że w przypadku, gdyby sytuacja gospodarcza nadal się pogarszała i doszłoby do masowych zaburzeń — nastąpi bezpośrednia interwencja radziecka.

Jesteśmy dalecy od tego, aby twierdzić, że takie przewidywania nie mogą się sprawdzić. Ponadto nasza sytuacja jako kraju zależnego od obcej polityki, obcych interesów i kalkulacji —

jest sytuacją bardzo złą. Sądzymy jednak, że można podjąć krytykę tych wniosków, a w każdym razie podjąć próbę dowiedzenia, że nie są one jedynymi z możliwych.

Wzrost zależności Polski od polityki globalnej

Jest jasne, że rozwój wypadków w Polsce zależy w wielkim stopniu od kierunku polityki radzieckiej. Rząd radziecki popiera ekipę gen. Jaruzelskiego. Wizyta w Moskwie 4 marca 1982 r. najlepiej to potwierdza. Nadano jej szczególną oprawę propagandową. Ale jeśli tak jest, to ów rozwój wypadków zależy od układu sił i stosunków w skali europejskiej i globalnej, zależy więc również od stanu stosunków między Wschodem i Zachodem. Co można przewidywać w tej kluczowej dziedzinie?

Jest rzeczą jasną, że bezpośrednie naciski Zachodu na rząd Jaruzelskiego mogą dać tylko bardzo ograniczone rezultaty, ponieważ nie ma on w tej sprawie swobody manewru. Dodajmy, że swoboda ta jest mniejsza, im jawniejsza jest presja Zachodu. Sprawa kredytów, dostaw surowców i części, kwestia spłaty długów — choć wywołują wyraźne zdenerwowanie władz, mogą tylko w niewielkim stopniu zmienić ich politykę, ponieważ są one zmuszone taką politykę prowadzić bez względu na koszty społeczne, gospodarcze itp. Zmiana mogłaby nastąpić wtedy, gdy ZSRR uzna, że:

a) tego rodzaju polityka przynosi mu zbyt wiele szkody;

b) że nie stać go na ponoszenie jej kosztów (chodzi nie tylko i nie tyle o koszty związane z pomocą dla Polski, z pożyczkami, ubytkiem polskiego potencjału gospodarczego itp. — ile głównie o koszt nowej rundy zbrojeń, która w obecnym stanie rzeczy wydaje się nieuchronna;

c) że inna polityka może przynieść większe korzyści.

Polityka USA i jej konsekwencje

Trzeba też powiedzieć kilka słów na temat drugiego wielkiego partnera w stosunkach międzynarodowych: USA. W USA rządzi obecnie ekipa określana jako neokonserwatywna. Jej stanowisko i koncepcje są nader dokładnym odwzorowaniem tendencji przeważających aktualnie w społeczeństwie amerykańskim. Badania socjologiczne prowadzone w USA pod koniec 1981 roku wskazują, że trend neokonserwatywny jest trwały. Ekipa ta jest zdecydowana podjąć poważne wysiłki w celu umocnienia pozycji

międzynarodowej USA i chce odzyskać pierwszeństwo Ameryki w dziedzinie sił zbrojnych. Potwierdzają to wypowiedzi wszystkich eksponentów tego kierunku, a przede wszystkim potwierdza polityka budżetowa Reagana. Wydarzenia w Polsce stanowią dla tych ludzi nieoceniony prezent, ponieważ umożliwiają im za jednym zamachem realizację kilku podstawowych celów:

- a) budząc oburzenie amerykańskiej opinii i Kongresu przeciwników ZSRR umożliwiają przeforsowanie zwiększonych zbrojeń;
- b) Powodują konsolidację NATO (co osiągnięto w o wiele wyższym stopniu, niż to usiłuje przedstawić propaganda rządzącej w Polsce ekipy);
- c) rozbrajają i w dużej mierze neutralizują ruchy pacyfistyczne w Europie Zachodniej;
- d) pogłębiają rozłam w zachodnioeuropejskim ruchu komunistycznym;
- e) w połączeniu ze sprawą afgańską powodują przesunięcie w Trzecim Świecie na korzyść Zachodu.

Jednocześnie, w rezultacie polskich wydarzeń (armia polska nie jest obecnie w stanie wypełniać zadań przewidzianych dla niej w planowaniu sztabowym Układu Warszawskiego, a ZSRR zmuszony jest utrzymywać znaczne siły w pogotowiu w związku ze sprawą polską) — kosztą ewentualnej nowej rundy zbrojeń stają się dla Układu Warszawskiego jeszcze większe i trudniej im będzie sprostać.

Dlatego Reagan forsuje twardą linię i ogromnie powiększa zbrojenia. Czy będzie w stanie czynić to przez dłuższy czas? Decydujące znaczenie będzie miała sytuacja gospodarcza kraju, obecnie niezbyt dobra. Jeżeli jednak recesja się nie pogłębi, Reagan nie odstąpi od swojej linii. Mógłby być zmuszony do złagodzenia jej w przypadku znacznego pogorszenia, jednakże na razie nie widać zapowiadających tego objawów.

Dla polityków radzieckich powstaje więc niewątpliwie zasadnicze pytanie: czy obecna tendencja w polityce amerykańskiej jest trwała? Czy Reagan ma zapewniony ponowny wybór? Związek Radziecki może:

- a) dojść do wniosku, że za prezydentury Reagana nie może być mowy o jakimś nowym porozumieniu (ale wtedy obóz socjalistyczny stanie przed trudną do wytrzymania, wobec istniejących trudności, nową rundą zbrojeń);
- b) poszukać porozumienia, aby zahamować wyścig zbrojeń;
- c) poczekać do półmetka prezydentury Reagana (koniec roku 1982), aby zorientować się, czy Reagan ma szanse na ponowny wybór.

Ten trzeci wariant wydaje się obecnie najbardziej prawdopodobny, już choćby dlatego, że odwleka decyzję. Dlatego też można się spodziewać, że do końca roku, lub do początku roku 1983 będzie trwał stan zawieszenia. Zbiega się to również z „terminami rakietowymi” w Europie Zachodniej. Później ZSRR będzie musiał podjąć jakąś decyzję, ponieważ realizacja brukselskich planów rakietowych postawi go strategicznie w gorszej sytuacji.

Wariant pierwszy jest dla ZSRR niekorzystny. Należy pamiętać, że gospodarka radziecka i cały organizm państwowy od wielu lat pracuje na pełnych obrotach na rzecz wojska. Jest wątpliwe, aby istniały jeszcze poważniejsze luzy, które można by wykorzystać. Zbiega się to z dotkliwym, zaostrzającym się kryzysem wydajności i zarządzania w gospodarce całego obozu. Stopa wzrostu spada i może już w tym roku osiągnąć wartości ujemne. Pogłębia się kryzys energetyczny i płacniczy. Gospodarka obozu z pewnością nie ma wielkich rezerw, które należałoby uruchomić, gdyby obóz miał sprostać rozkręcającym się zbrojeniom amerykańskim. W USA natomiast sytuacja przedstawia się odmiennie. Przez wiele lat Stany Zjednoczone wydawały na obronę 6-7 % dochodu narodowego i stać je z pewnością na to, aby te wydatki co najmniej podwoić (z przytoczonym już zastrzeżeniem, że poważny kryzys mógłby taką kalkulację utrudnić). Ponadto siła innowacyjna przemysłu amerykańskiego jest tak duża, że pozwala to przewidywać, iż zwiększenie nakładów na prace badawcze uruchomi generację nowych broni i systemów, które państwa Paktu Warszawskiego będą musiały później przez wiele lat gonić, i to w wyniku niepomiarnie większych kosztów.

Związek Radziecki, jego interesy i polityka

Sądźmy więc, że choć na razie ZSRR przyjmie zapewne wariant trzeci, to jednak na dłuższą metę będzie musiał prawdopodobnie opowiedzieć się za drugim, to znaczy za poszukiwaniem wszechstronnego porozumienia. Im później to uczyni, tym trudniej będzie takie porozumienie osiągnąć. Odwrotnością tego wariantu byłoby gdyby — widząc, że czynnik czasu działa dlań niekorzystnie — kierownictwo radzieckie postawiło na konfrontację (w Europie, na Bliskim Wschodzie lub jakimkolwiek rejonie świata). Zapewne taka opcja jest również rozważana. Znaczenie kompleksu wojskowo-przemysłowego w ZSRR od wielu lat systematycznie wzrasta i wydaje się, że wywiera on już dzisiaj

decydujący wpływ na całokształt polityki radzieckiej. Wpływ ten może się jeszcze powiększyć i to w najbliższym czasie. Konsekwencje tego są trudne do przewidzenia, w każdym jednak razie zapowiada się ostra walka o sukcesę. Mimo to nie sądzimy, aby podobna decyzja (konfrontacyjna) została podjęta, ponieważ szansa uzyskania sukcesu na tej drodze jest mała, a niebezpieczeństwa i ciężary (również wewnętrzne, związane z przedłużaniem się konfliktu) — ogromne. Trzeba wszelako zdawać sobie sprawę, że w warunkach wzrostu napięcia i utrzymujących się po obu stronach podejrzeń co do intencji drugiej strony, a także z uwagi na uświadamianie sobie po obu stronach roli czynnika czasu (siła wojskowa Układu Warszawskiego osiągnęła, jak się zdaje, apogeum) — lata 1982-85 stanowią okres szczególnie niebezpieczny.

Jeżeli jednak dojdzie w przyszłości do podobnych rozmów i próby osiągnięcia porozumienia (a naszym zdaniem jest to najbardziej prawdopodobne), będzie to musiało być porozumienie znacznie szersze, a nie tylko ściśle ograniczone do sprawy zbrojeń. Neokonserwatyści nie po to podejmują wielkie zbrojenia, aby potem z nich zrezygnować nie uzyskawszy wymiernych korzyści. Nie wdając się w analizę możliwego całokształtu takiego porozumienia i traktując ostrożnie rolę czynnika polskiego, warto jednak zastanowić się nad wynikającymi z tego perspektywami dla Polski. Generalnie mówiąc, są chyba dwie możliwości:

a) Związek Radziecki dokona poważnych ustępstw na polu kontroli zbrojeń, a może także w innych dziedzinach — dążąc w zamian do uzyskania całkiem wolnej ręki w Polsce;

b) potraktuje Polskę jako element przetargowy w swoim ręku.

Nie mamy tu oczywiście na myśli neutralizacji Polski i zgody na wyłączenie Polski z radzieckiej strefy wpływów, bo to nie jest naszym zdaniem perspektywą realistyczną; mamy natomiast na myśli złagodzenie polityki wewnętrznej w Polsce w połączeniu ze zgodą na wszechstronne reformy.

Sądzimy, że Związek Radziecki jest zainteresowany w:

1. Zapewnieniu sobie pełnego bezpieczeństwa dla swych interesów wojskowych, tak aby nasz kraj nie narażał ich na szwank i nie komplikował sytuacji.

2. W uniknięciu niebezpieczeństwa jaskrawego naruszenia porządku ideologicznego, by nie dopuścić do zbyt niebezpiecznego precedensu.

3. W tym, aby strona polska nie naruszała układu sił w Euro-

pie i aby nie przeszkadzała ZSRR w prowadzeniu jego polityki na kontynencie i w świecie.

4. Na końcu wreszcie (choć ma to również pewne znaczenie), aby Polska współdziałała na rzecz podtrzymania znajdującej się w poważnych kłopotach gospodarki radzieckiej, a nie by ją dodatkowo obciążała.

Trudności wewnętrznego rozwiązania problemu polskiego

Sądzimy, że powyższe cele nie zmieniły się i muszą być uwzględnione, lecz ich realizacja może przybierać rozmaite formy. Wydaje się także, iż w ramach tak naszkicowanych celów istnieje dla nas pewna swoboda manewru. Sądzimy wreszcie, że ZSRR nadal nie pragnie uczestniczyć w bezpośredniej zbrojnej interwencji w Polsce, co pozostaje wariantem ostatecznym, ale niepożądanym. Zwłaszcza, że taka interwencja nie może zrealizować żadnego z wymienionych celów — z wyjątkiem drugiego. Natomiast cel pierwszy (interesy wojskowe) wbrew pozorom, nie byłby bynajmniej lepiej zrealizowany, gdyby ZSRR na stałe utrzymywał w Polsce wielkie siły okupacyjne. Należy jednak pamiętać, że takie działanie zostanie niewątpliwie podjęte, jeśli ZSRR uzna, że istnieje realne niebezpieczeństwo opuszczenia przez Polskę jego strefy wpływów. Trzeba również zdawać sobie sprawę, że istnieje w tej kwestii poważna rozbieżność między odczuciami i sposobem myślenia społeczeństwa polskiego, a reakcjami radzieckimi. W społeczeństwie polskim dominującym przekonaniem jest, że nigdy po sierpniu 1980 nie istniała perspektywa ani zamiar opuszczenia przez Polskę Układu Warszawskiego i zmiana układu sił w Europie. Nikt się tego nie domagał, bardzo niewielu ludzi w ogóle uważało, że jest to rzecz nadająca się do poważnych rozważań. Jednakże odczucia radzieckie były wyraźnie inne, a decydujące jest nie to, co naprawdę myślą o tym Polacy, tylko jak rzecz odczuwają Rosjanie. Trzeba sobie z tego zdawać sprawę jasno i wyraźnie.

Wprowadzenie stanu wojennego w Polsce zostało dokonane za wiedzą i zgodą ZSRR. Dlaczego tak się stało? Przede wszystkim dlatego, że rewolucyjna sytuacja w Polsce i rosnący radykalizm przywódców „Solidarności”, w połączeniu z paraliżem i rozkładem PZPR przekonał kierownictwo radzieckie, że wymienione wyżej cele mogą być w przyszłości — i nawet na pewno będą — zagrożone. Innymi słowy: ponieważ przybierające na tempie zmiany w Polsce były wymuszone przez społeczeństwo i odbywały się pod kierownictwem ludzi, do których ZSRR nie miał

zaufania, nie były zaś wynegocjowane z ośrodkiem rzeczywiście decydującym. Te słowa są najcięższym oskarżeniem ekipy Gierka, która uważała się wprawdzie za uprawnioną do rządzenia, ale nie uważała za odpowiedzialną za skutki swoich działań i nie przyjęła na siebie obowiązków spoczywających na każdym odpowiedzialnym rządzie kraju. Dlatego nie przewidziała rozwoju wydarzeń i nie zainicjowała na czas żadnych zmian, które pozwoliłyby uchronić kraj przed katastrofą. Wskazuje to również na złowrogą rolę, jaką odegrała polska konserwa partyjna, która z jednej strony z uporem i umiejętnie antagonizowała „Solidarność” i wpływała na umocnienie w jej łonie nurtu radykalnego, a z drugiej strony wykorzystywała te objawy do wpływania na kierownictwo radzieckie. Zasadniczą rolę odegrał fakt, że w PZPR nie uzyskali wpływów ludzie o odpowiedniej odwadze, wyobraźni i talencie mężów stanu, aby wykorzystać ogromną szansę, jaka niewątpliwie istniała dla kraju — i również dla partii. Przewagę, zgodnie z istniejącym mechanizmem doboru kadr, uzyskali ludzie pozbawieni tych wszystkich cech, a za to nierozzerwalnie związani ze starymi metodami, starym sposobem myślenia, starymi przywilejami.

Jednakże to, iż ZSRR nie dał się ostatecznie wciągnąć w bezpośrednią interwencję sprawia, że pewne możliwości na przyszłość nadal istnieją.

Sprawa stosunków polsko-radzieckich jest centralną sprawą polskiej polityki i racji stanu od kilkudziesięciu już lat. Dzień 13 grudnia jej nie zapoczątkował ani nie zakończył. Świadomość wagi tej sprawy jest w społeczeństwie polskim głęboko ugruntowana. Istnieje wiele dowodów, że wszystkie liczące się grupy i ośrodki opiniotwórcze w Polsce opowiadały się i opowiadają za istnieniem i trwałością przyjaznych i sojuszniczych stosunków między obu krajami. Jednym z dowodów był tzw. „Apel 35-ciu” z września 1981 roku, w którym przedstawiciele różnych środowisk (w tym i katolickich) wypowiedzieli się na rzecz takich stosunków. Nasze Konwersatorium wielokrotnie w swych dokumentach zajęło takie samo stanowisko. Uważamy je za nadal słuszne.

Bolesne problemy wiążące się z historią stosunków polsko-radzieckich winny być w przyszłości analizowane w szerokiej dyskusji opartej na poszanowaniu prawdy historycznej i służącej nie pogłębianiu różnic, lecz ich wyjaśnianiu, co miałyby niezwyczajnie pozytywny wpływ na stosunki między obu krajami.

Rozdział III

WARIANTY ROZWOJU SYTUACJI

W poprzednich rozdziałach zarysowaliśmy obraz sytuacji, w jakiej znalazł się kraj po 13 grudnia 1981 roku.

W tym rozdziale chcielibyśmy podjąć próbę zastanowienia się nad sytuacją władzy, jej deklarowanymi wyborami, konsekwencjami działania rozmaitych sił, które zostały uruchomione w wyniku wprowadzenia stanu wojennego. W dniu 13 grudnia nastąpiło bowiem ubezwłasnowolnienie społeczeństwa. Utraciło ono wraz z zawieszeniem „Solidarności” i szeregu stowarzyszeń — których część rozwiązano, a inne pozbawiono wiarygodności — możliwość wywierania normalnego wpływu na bieg wydarzeń; stłumione zostały mechanizmy motywacyjne do uczestniczenia w życiu publicznym kraju.

Całkowitą więc kontrolę nad sytuacją przejęła WRON. Ale tym samym na władzy spoczęła również całkowita odpowiedzialność za losy kraju, losy społeczeństwa, losy państwa. Po wyeliminowaniu ze sceny politycznej autentycznych sił społecznych jedynie władza może dziś podejmować działania, które mogłyby wyprowadzić kraj z kryzysu. I od jej działań przede wszystkim zależy stworzenie warunków i motywacji dla pracy, aktywności społecznej, wyjścia społeczeństwa z szoku. Nie załatwią tego żadne apele o dobrą pracę. Owszem, podwyżka cen i lęk przed bezrobociem będą w pewnym stopniu motywować ludzi do lepszej pracy. Ale tylko do lepszej, ale nie takiej, która jest niezbędna dziś by wyjść z kryzysu. Do tego konieczne byłyby inne mechanizmy motywacyjne. A przede wszystkim potrzebny byłby program działania, program budzący nadzieję. Czy zachowanie władzy, procesy które w niej zachodzą i te, które ona inicjuje — stwarzają jakąś perspektywę, że podejmie ona te funkcje? Czy w ośrodkach dyspozycyjnych na wszystkich szczeblach istnieje wola polityczna podjęcia rzeczywistej odpowiedzialności i rzeczywistych reform? Czy istnieje zatem szanse rozpoczęcia i prowadzenia rzeczywistego dialogu ze społeczeństwem? To są dziś najbardziej istotne pytania. Zanim podejmiemy próbę odpowiedzi na nie, należy przede wszystkim określić obszar spraw niejasnych.

W gruncie rzeczy nieznany jest rzeczywisty układ sił w obrębie ekipy kierowniczej wykształtowanej w wyniku stanu wojennego i w dalszym ciągu się kształtującej. Nie sposób jednoznacznie określić, gdzie znajduje się rzeczywisty ośrodek władzy

— czy stanowi go tylko WRON, czy i jaki rzeczywisty wpływ posiada Biuro Polityczne?

Nieznana jest rola partii w tworzeniu się dziś nowej struktury władzy. W ogóle niewiele wiadomo o procesach w partii po IX Zjeździe PZPR.

Nieznany jest mechanizm podejmowania decyzji zarówno politycznych jak gospodarczych oraz wpływ jaki wywierają pod tym względem poszczególne elementy układu władzy.

Nie zostały dotąd określone cele polityczne WRON. Na podstawie przemówień programowych i oficjalnych komunikatów można przypuszczać, czego władza nie chce. Nie wiadomo natomiast, czego naprawdę chce.

Trudno w tej chwili precyzyjnie określić jaka jest baza polityczna władzy w ogóle, a WRON w szczególności. W okresie sierpień 80 - grudzień 81 różne struktury władzy zostały mocno osłabione, nastąpiły liczne zmiany personalne. Towarzyszyła temu emancypacja władz terenowych, przedsiębiorstw, terenowych ogniw partii. Nie mogło to pozostać bez wpływu na wzajemne powiązania, współzależności oraz interesy, które przed sierpniem 1980 określały bazę polityczną władzy. Pewne jest chyba jedno: pozycja kadrowego aparatu władzy — wojskowego i partyjnego — w wyniku stanu wojennego została wzmocniona i usztywniona.

Każdy z wymienionych elementów będzie w różny sposób odgrywał rolę w najbliższym czasie, oddziałując i komplikując przebieg wydarzeń w każdym ze scenariuszy w sposób trudny do przewidzenia. Są jednak sprawy, o których da się nieco więcej powiedzieć. Należą do nich:

1. Główny kierunek zmian personalnych w aparacie władzy.
2. Model stosunków władzy ze społeczeństwem.
3. Stosunek do reformy gospodarczej, a ściślej — uwarunkowania gospodarcze.

Jeśli chodzi o kierunek zmian personalnych, rozpoczął się szybko proces włączania wojskowych we wszystkie struktury i szczeble aparatu władzy. Może też okazać się zjawiskiem wcale nie przejściowym. Zmiany te mają charakter szczególny: wchodzi duża liczebnie grupa o silnych powiązaniach, dużym stopniu lojalności grupowej i jednolitym „treningu”. Być może nadszedł okres, który da się określić jako czas „kompleksu wojskowo-partyjnego” (mogą też w grę wchodzić inne sojusze wojska). Proces ten może przebiegać pokojowo — poprzez kompromisy, i konfliktowo — poprzez walkę.

W stosunkach między władzą a społeczeństwem nastąpiło za-

łączeństwo. Władza potwierdziła swoją niechęć do kontaktów z autentycznymi siłami społecznymi i ich reprezentacją. Dominiuje model paternalistyczny, tendencje do rządzenia systemem nakazów i zakazów we wszystkich dziedzinach życia. Widać to zresztą nawet w próbach robienia reformy gospodarczej. Można przypuszczać, że umocni to tendencje autokratyczne, tak przecież żywe we wszystkich ogniwach władzy, a także potęgować będzie w aparacie władzy kompleks wyobcowania.

Jeśli chodzi o społeczeństwo, nie można poddać go tak skutecznej kontroli, by całkowicie wyeliminować zagrożenie z jego strony. I nie można zlikwidować źródeł jego niezadowolenia, choćby tylko w sferze bytowej. Zaczął się przecież drastyczny, realny spadek stopy życiowej. Ideałem byłoby rzeczywiste porozumienie narodowe, ale to wymaga nowej koncepcji systemu politycznego, a przecież lęk przed podjęciem tej sprawy był chyba głównym powodem wprowadzenia stanu wojennego.

Wreszcie — reforma gospodarcza. Nie można nie robić reformy, ale i nie można jej robić w sposób skuteczny. I znowu — ideałem byłaby radykalna reforma z aprobatą społeczeństwa, ale taką aprobatę można by uzyskać jedynie za cenę wielkich zmian politycznych. Dodatkowym utrudnieniem jest fakt, że w gruncie rzeczy mamy do czynienia ze słabą, nieskonsolidowaną, z różnych stron zagrożoną władzą, której oparciem są przede wszystkim siły policyjno-militarne. Nie są to typowe cechy każdej dyktatury wojskowej: na ogół mają one wyraźniejszą i mocniejszą bazę.

Jakich więc zachowań władzy można oczekiwać w najbliższej przyszłości? Sądzymy, że w grę mogą wchodzić trzy warianty.

1. Gdy podstawowym celem, któremu do końca i całkowicie podporządkowane zostałyby wszystkie inne sprawy, byłoby utrzymanie pełnej, niekontrolowanej władzy. *Byłby to wariant, w którym społeczeństwo nie ma nic do powiedzenia.*

2. Gdy działaniem zmierzającym do utrzymania władzy towarzyszy przeświadczenie, że jest to na dalszą metę niemożliwe, o ile nie przeprowadzi się prawdziwej reformy gospodarczej, tworzącej możliwość wyjścia z kryzysu ekonomicznego, *w którym społeczeństwo dysponowałoby pewną niewielką możliwością kontrolowania programów działania władzy, bez wpływu na tworzenie tych programów. Taką funkcję pełnić by mogły związki zawodowe czy samorząd terytorialny.*

3. Gdy działaniom zmierzającym do utrzymania władzy towarzyszy nie tylko świadomość konieczności prawdziwej reformy, ale przekonanie, że wyjście z ogólnego kryzysu jest niemożliwe bez poparcia dużej części społeczeństwa, a w ślad za tym zgoda na częściowe przynajmniej upodmiotowienie społeczeń-

stwa. Byłby to wariant, w którym powstałby mechanizm wspólnego — władzy i społeczeństwa — układania programów działania, oraz powstałby instytucjonalno-prawne środki kontroli realizacji tych programów.

Wariant pierwszy

W realizacji tego programu zainteresowana jest ogromna większość aparatu partyjnego, albowiem tylko on zapewnia aparatowi odzyskanie niekontrolowanej władzy i przywilejów, oraz poczucie bezpieczeństwa i grunt pod nogami. Taki wariant, choć na dalszą metę sprzeczny, jak nam się wydaje, z rzeczywistymi interesami ZSRR, mógłby jednak liczyć na poparcie politycznego kierownictwa tego kraju, które głęboko jest chyba zawiedzione kolejnymi ekipami rządzącymi w Polsce i równie głęboko nieufne wobec prób demokratyzacji w naszym kraju. W gruncie rzeczy wariant ten zyskałby poparcie dużej części aparatu władzy wszystkich szczebli, jak i tych, którzy z tak działającą władzą nauczyli się nieźle kombinować. Przemawia za nim wreszcie strach, który zrodził się w różnych grupach w okresie sierpień 80 - grudzień 81.

Podstawowymi cechami tego wariantu byłoby:

- dążenie do wyeliminowania z życia publicznego ludzi, instytucji, form życia społecznego, które mogą stanowić jakiegokolwiek zagrożenie czy konkurencję dla tak rozumianej władzy,
- całkowite scentralizowanie decyzji we wszystkich dziedzinach życia,
- manipulowanie ideologią traktowaną jako pretekst do ingerencji we wszystkie dziedziny życia.

Jest to wariant konfrontacji, a głównymi celami tej konfrontacji byłyby:

- związki zawodowe — po to, żeby wytrzebić wszelkie ślady „Solidarności” i spacyfikować robotników,
- wieś, by siłą zabezpieczyć dostawy żywności,
- inteligencja, by zlikwidować konkurencję jakichkolwiek ośrodków opiniotwórczych; przede wszystkim zaś chodziłoby o likwidację autonomii uczelni wyższych, środowisk naukowych i twórczych.

Jest to wariant o dużym stopniu spójności wewnętrznej. Zawiera on z punktu widzenia jego zwolenników minimum ryzyka, nie wymaga żadnego eksperymentowania z systemem politycznym. Jedynym ryzykiem jest totalna konfrontacja. Ale też jedynym celem działania władzy jest właśnie uniemożliwienie

eksplozji, co pozwala na koncentrację wszystkich sił na tym jednym celu.

Warto podkreślić, że zwycięstwo tego wariantu wcale nie jest uwarunkowane zwycięstwem najbardziej dogmatycznych sił w partii. Może to również łączyć się z sytuacją patu na szczytach władzy, w wyniku czego najważniejszym celem działania stałoby się zabezpieczenie sobie przez władzę pełnego bezruchu społeczeństwa. Może to też wynikać z nieumiejętności rozwiązania trudności ekonomicznych, czy po prostu z braku koncepcji politycznej.

Przyjęcie tego wariantu przesądziłoby o wielu sprawach:

- przede wszystkim zablokowałby on reformę gospodarczą (centralizacja, ideologizacja wszystkich sfer życia i oparcie się na przymusie praktycznie uniemożliwiają prawdziwą reformę gospodarki), łączyłaby się z tym odmowa kredytów dla Polski i radykalne ograniczenie stosunków z Zachodem, co spowodowałoby jeszcze gwałtowniejsze załamanie gospodarki mimo znacznie większej integracji z krajami RWPg, doszłoby więc do stagnacji technologicznej, spadku produkcji przemysłowej o 20-30 %, a być może nawet 40 % i znacznego wzrostu bezrobocia;

- wzrosłoby napięcie międzynarodowe z możliwością kolejnej rundy wyścigu zbrojeń;

- doprowadziłoby do katastrofalnego spadku produkcji rolnej, wprowadzenia dostaw obowiązkowych i realnego zagrożenia głodem;

- wykluczyłoby współpracę z Kościołem eliminując z życia najważniejszy ośrodek mediacji;

- musiałoby uruchomić spiralę terroru, albowiem wariant ten jest w tak wielkim stopniu sprzeczny z wszystkimi postawami i aspiracjami naszego społeczeństwa, ujawnionymi po sierpniu 80, a także w latach poprzedzających wybuch sierpniowy, że niewątpliwie spowodowałby czynny opór ze strony społeczeństwa, jakkolwiek od pierwszych dni stanu wojennego czołowi działacze „Solidarności” wzywają do zachowania spokoju.

Konsekwencjami tego wariantu byłyby więc:

- pogłębiający się kryzys ekonomiczny kraju;
- osłabienie bloku państw Układu Warszawskiego spowodowane koniecznością wyścigu zbrojeń i innymi konsekwencjami wzrostu napięcia międzynarodowego;

- wzrost zależności Polski zarówno od Wschodu, jak i w dalszym ciągu od Zachodu (część przemysłu nadal byłaby skazana na oczekiwanie kredytów i kooperacji państw zachodnich);

- eskalacja różnych form oporu społeczeństwa z wzrostem konspiracji i groźbą terroryzmu włącznie.

Można przyjąć, że na skutek złej sytuacji gospodarczej, pow-

rotu do negatywnej selekcji kadr i z powodu dużych napięć społecznych, bardzo trudno by było korygować sytuację jakimiś działaniami pragmatycznymi. Najprawdopodobniej zresztą w trakcie realizacji tego scenariusza pragmatycy w aparacie władzy zostaliby wyeliminowani.

Niezależnie od stopnia sterroryzowania społeczeństwa mielibyśmy do czynienia z sytuacją niezwykle wybuchową.

Wariant drugi

Wariant ten zakłada utrzymanie władzy pełnej i prawie niekontrolowanej, przy jednoczesnym przeprowadzeniu udanej operacji gospodarczej, i jest zabiegiem zapewne bardzo dla władzy kuszącym. Można sądzić, że ten właśnie wariant ma w centralnym aparacie władzy najwięcej zwolenników. Byłby to też wariant, jak nam się wydaje, najbardziej pożądanym przez ZSRR. Miałby on wielu zwolenników w środowisku technokratów, wśród części naukowców, w środkach przekazu, a nawet w partii. We wszystkich tych środowiskach jest sporo osób, które zarówno z obawy o własną przyszłość jak i z powodu trzeźwej oceny sytuacji bardzo niepokoi nasilająca się ofensywa sił skrajnie dogmatycznych. Ludzie ci zdają sobie sprawę z faktu, że jeśli zostaną na scenie politycznej sami — muszą przegrać. Zapewne powitaliby chętnie sytuację, w której większość nawet zrewoltowanych w uprzednim okresie osób powróciłaby do starych reguł gry, udzielając intelektualnego wsparcia reformie i moralnego alibi przewrotowi.

Podstawowymi cechami tego wariantu byłyby:

- forsowanie okrojonej choćby reformy gospodarczej;
- dążenie do ograniczenia wpływów najbardziej konserwatywnych sił w partii i gospodarce;
- zapobieganie w zarodku wszelkim nielicencjonowanym zachowaniom społecznym przy jednoczesnym zmniejszeniu zakresu represji po to, by poprawić wizerunek władzy;
- poczynienie szeregu gestów pod adresem środowisk intelektualnych czy wobec konkretnych osób;
- próby uzyskania przynajmniej przychylniej neutralności Kościoła;
- pewne zróżnicowanie środków przekazu po to, by móc wywierać presję na skrzydło konserwatywne oraz pozyskać sojuszników z innych środowisk.

Podstawowym warunkiem jakiegokolwiek szansy powodzenia tego wariantu musiałyby być przekonujące i szybkie sukcesy w gospodarce.

W teorii wariant taki mógłby rokować pewne nadzieje. Można bowiem założyć np. że:

- pod parasolem stanu wojennego, kontrolując zarówno społeczeństwo jak i partię;
- przy pomocy finansowej Wschodu oraz Zachodu;
- przy ostrożnym reaktywowaniu pewnych symboli w sposób nie zagrażający rzeczywistym upodmiotowieniem społeczeństwa — udaje się rozbudzić pewne nadzieje społeczeństwa, a w dalszej przyszłości nawet pozyskać jego współpracę.

Byłby to wariant najbardziej podobny do kadarowskiego i w zamierzeniach jego zwolenników powinien by zapewne doprowadzić do podobnych wyników. W tym miejscu stwierdzić jednak należy, iż liberalizacja typu kadarowskiego wprowadzona została na Węgrzech po kilku latach polityki represyjnej, a towarzyszyły jej społeczne motywacje nie obezwładnione ciężarem rozczarowań wcześniejszych nieudanych prób liberalizacyjnych, ponadto na Węgrzech można było stosunkowo łatwo osiągnąć jednoczesną poprawę sytuacji gospodarczej, co w Polsce jest niemożliwe.

Rzeczywistość jest zatem o wiele bardziej złożona niż teoria. Po pierwsze pomoc finansowa zagranicy musiałaby być szybka i duża, po to by umożliwić pełne wykorzystanie potencjału gospodarczego i dodatkowo stworzyć, przynajmniej w pierwszym okresie, osłonę w postaci importu konsumpcyjnego. Pamiętać jednak trzeba, że w tym wariacie — nazwijmy go kontraktowym — to minimum pomocy zagranicznej nie wystarczy do zahamowania spadku produkcji w najbliższym półroczu. Powolna jej odbudowa może nastąpić dopiero w następnych latach. Wobec tego, w związku z długotrwałą, ciężką sytuacją gospodarczą mogą wystąpić silne napięcia społeczno-polityczne.

Po drugie zaś społeczeństwo musiałoby zaufać władzy, że jej działania są tym razem sensowne i że wysiłek i praca ludzka nie zostaną raz jeszcze zmarnowane. Niezbędnym do tego warunkiem mogłoby być rzeczywiste porozumienie społeczne, ale jego właśnie w tym wariacie brak.

Jeśli idzie o pomoc finansową zagranicy — ZSRR po prostu nie byłby w stanie, nawet przy współudziale całego bloku, zapewnić wystarczające środki. Pociągnęłoby to za sobą najprawdopodobniej poważne wstrząsy gospodarcze całego bloku.

Trzeba podkreślić, że sankcje gospodarcze podjęte przeciwko Polsce przez niektóre kraje są uciążliwe, ale nie stanowią większego problemu. Ich zniesienie nie przyniesie widocznej poprawy naszej gospodarki. Jednym natomiast z niezbędnych warunków (ale nie jedynym) zahamowania spadku produkcji w Polsce jest

uzyskanie w tym roku dalszych 3-4 mld dolarów kredytu, bez których nie będziemy mogli: a) spłacić odsetek od długów i b) zapewnić importu surowców, części i maszyn, niezbędnych zwłaszcza dla utrzymania i podniesienia spadającego eksportu oraz stworzenia warunków dla zwiększenia produkcji przemysłowej i rolnej w następnych latach. Pomoc kredytowa będzie nam niewątpliwie potrzebna również w roku przyszłym.

Ewentualnym źródłem nowych pożyczek może być zwłaszcza Europa Zachodnia, poważnie zaniepokojona zarówno skutkami gospodarczego załamania jak i pogorszenia się sytuacji politycznej oraz możliwością dalszych wstrząsów społecznych w naszym kraju, które zwiększyłyby stan napięcia międzynarodowego.

Jednakże każdy rząd Zachodniej Europy, a także koła gospodarcze najprawdopodobniej będą musiały uzależnić swe decyzje od kilku warunków.

— musiałyby zostać zarysowane wyraźne perspektywy poprawy gospodarczej, a więc przekonywującej polityki gospodarczej oraz efektywności gospodarowania; obydwie te sprawy są ściśle uzależnione od postępu reformy gospodarczej, a zwłaszcza reformy struktur zarządzania i systemu motywacyjnego,

— musiałyby wyraźnie zelżeć reżym stanu wojennego oraz musiałyby się zarysować wyraźny postęp na drodze realizacji umowy społecznej i uzyskanie przez Rząd poparcia przynajmniej liczącej się części społeczeństwa; są to również wymiary warunkujące postęp reformy gospodarczej,

— normalizacja w kraju i współpraca z zagranicą musiałyby mieć akceptację ZSRR.

Dopiero realizacja wszystkich tych warunków mogłaby dać rządowi zachodnim gwarancje, że pożyczki nie zostaną zmarnowane oraz zapewnić alibi polityczne i moralne wobec własnych społeczeństw. Bez nich żaden rząd nie podejmie w tym zakresie żadnych działań pod groźbą przegrania najbliższych wyborów.

W obecnym stanie rzeczy, przy stosowaniu półśrodków politycznych i braku rzeczywistego porozumienia społecznego nie jest możliwe spełnienie żadnego z tych warunków.

Nie widać żadnych oznak wskazujących, że walka o władzę i wpływy w centralnym ośrodku decyzji ma się ku końcowi. Jeszcze mniej jasna jest sytuacja na niższych szczeblach władzy. Z wielu miejsc w kraju nadchodzą bardzo niepokojące sygnały, że niezależnie być może od intencji władz centralnych w terenie dokonuje się pod presją konserwatywnej części aparatu partyjnego i pod pretekstem walki ideologicznej przyspieszona negatywna selekcja kadr. Wyrzuca się dobrych fachowców i angażuje ludzi posłusznych i miernych. Rozszerza się — być może znowu wbrew intencjom władz centralnych — elementy syste-

mu nakazowego, czemu zresztą w naturalny sposób sprzyja reżym stanu wojennego. Nie słabną represje.

Jeszcze mniej jest przesłanek, by można było obecnie stosowanymi metodami sprawowania władzy uzyskać poparcie jakiegś liczącej się części społeczeństwa.

Po pierwsze dlatego, że porozumienie gdańskie było równoznaczne z użyciem ostatniej dostępnej formy zawierania pokoju społecznego. Dwie pozostałe formy zużyły się uprzednio: jedna w 1956, kiedy wystarczyła jednostronna deklaracja dobrej woli ze strony władzy, druga w 1970, kiedy trzeba było już sięgnąć do pertraktacji zakończonych w formie deklaracji wspólnie akceptowanych zasad. W sierpniu 80 konieczne już okazały się formalne negocjacje i pisemny traktat. Wiadomo było, że jeśli i to zawiedzie, to wiarygodność władzy jako partnera zostanie całkowicie zniszczona.

Po drugie — zbyt świeża jest w narodzie pamięć 1970 roku i tego, co stało się potem. Jest to wariant znany i sprzeczny wobec niego jest niezwykle żywy we wszystkich środowiskach. „Zaufajcie i pomóżcie” jest dziś hasłem wywołującym wzruszenie ramion i niechęć. W ogóle sądzić należy, że filozofia oktrojowanej liberalizacji, a więc to, co jest istotą kadaryzmu, radykalnie klóci się zarówno z osobistymi doświadczeniami Polaków jak i silnie odczuwanym pragnieniem rzeczywistej podmiotowości rozbudzonemu w sierpniu 80. Potwierdzają to wszystkie badania socjologiczne prowadzone w ostatnich kilku miesiącach.

I wreszcie ostatnia trudność. Obecna sytuacja społeczna i polityczna w ogromnym stopniu utrudnia uformowanie się grup nacisku, które wspierałyby reformę gospodarczą. Jeszcze trudniej wskazać autentyczne i liczące się siły społeczne, które realizację reformy mogłyby skutecznie poprzeć.

Bez konsekwentnie przeprowadzonej reformy gospodarczej nie jest możliwa żadna skuteczna polityka gospodarcza, a także nie byłoby możliwe efektywne wykorzystywanie pomocy zagranicznej, gdybyśmy ją otrzymali. Tymczasem występuje tendencja do odłożenia lub radykalnego ograniczenia reformy.

Część kadry kierowniczej w gospodarce jest zdania, że należy odłożyć reformę do momentu uzyskania gospodarczej stabilizacji. Twierdzi ona, że w warunkach koniecznej reglamentacji należy generalnie powrócić do systemu nakazowo-rozdzielczego. W tym duchu wypowiediano się np. w lutym na Sejmowej Komisji Górnictwa, Energetyki i Chemii.

W kręgach politycznych władzy, a także wśród części specjalistów zdaje się jednak przeważać skłonność ku rozwiązaniom węgierskim. Samorząd pracowniczy nie jest w nich uwzględniony, a samodzielność przedsiębiorstw ograniczona. (Dyrektorzy przed-

siębiorstw mieliby być po prostu delegatami ministrów o rozszerzonych prerogatywach). Przedstawiciele Rządu — wbrew ustawie — domagają się powoływania zrzeszeń w trybie decyzji ministrów bez udziału zawieszonych samorządów. Przeciw samorządom wypowiedziało się szereg dyrektorów na ostatnim posiedzeniu Komisji d/s Reformy. Równocześnie niektóre istotne dokonania reformy węgierskiej, jak: radykalna przebudowa centralnego systemu zarządzania i likwidacja szczebli pośrednich (zjednoczeń) zostały u nas zaniechane lub mają charakter pozorny. Brak bowiem postępu w wymianie kadr fachowych w urzędach centralnych na ludzi sprzyjających reformie, jednocześnie zjednoczenia dość powszechnie przekształcają się w biura pełnomocników ministrów, zwalniając głównie pewną ilość niższego personelu, a programy operacyjne nieustannie poszerzają swój zakres działania.

W tej sytuacji nie ma szans na uruchomienie mechanizmów ekonomicznych. Utrzymują się branżowe grupy interesów i będzie nadal kwitł woluntaryzm w decyzjach gospodarczych. Nie będzie więc podstaw do stworzenia oszczędniejszego i efektywniejszego systemu gospodarowania, a także brak będzie odpowiedniego systemu motywacyjnego.

Ograniczenie samodzielności przedsiębiorstw oraz trudności rynkowe i grożąca już dziś następna fala inflacji uniemożliwiają na ogół stworzenie skutecznych bodźców dla większej wydajności i gospodarności. Pozostaje zatem tylko wzmacnianie motywacji materialnej przez motywację społeczną. Nie można jednak tego inaczej osiągnąć jak poprzez demokratycznie wybrany samorząd, który mógłby istotnie wzmocnić poczucie identyfikacji pracownika z zakładem, podnieść dyscyplinę i uruchomić znaczne rezerwy w zakresie organizacji pracy oraz pomóc w rozładowywaniu konfliktów w zakładzie. Świadomość wspólnego zagrożenia w trudnych sytuacjach i konieczność wspólnego działania stanowić może istotny czynnik nowego systemu motywacyjnego.

Jeszcze dwie funkcje samorządu są nie do zastąpienia w warunkach samodzielności przedsiębiorstwa: kontrola społeczna nad kierownictwem zakładu i branie na siebie odpowiedzialności za zwolnienia z pracy. Funkcja opiekuńcza państwa powinna bowiem się realizować poza przedsiębiorstwem, w ramach polityki socjalnej, a nie jak to ma miejsce dotąd — w formie ukrywanego bezrobocia i rosnących fałszywych kosztów produkcji lub bezpośredniej pomocy państwa dla „samodzielnych przedsiębiorstw”.

Cóż, kiedy kierunek całościowej reformy ujęty w uchwalonych ustawach jest właśnie w tym scenariuszu zasadniczo kwestionowany. Pewien minister oświadczył np. niedawno, że „reforma gospodarcza tak, ale bez naruszenia kompetencji władz gospo-

darczych”. Ale są przedstawiciele władz, którzy bronią całościowej reformy i reprezentują opinię, że stan wojenny wyraźnie utrudnia jej uruchomienie. Rzeczywistość stanu wojennego spycha jednak zwolenników całościowej reformy w kierunku rozwiązań cząstkowych.

Sprawa jest zresztą o wiele szersza. Opisany bowiem wyżej wariant nie ma w sobie ani wyraźnego systemu motywacyjnego, ani mechanizmów samonapędzających. Brak w nim także mechanizmów kontrolnych. Taką rolę mogłyby spełniać — poza samorządem pracowniczym:

- niezależne związki zawodowe,
- autentyczne ciała przedstawicielskie na szczeblu terenowym,
- obdarzone dużą swobodą środki przekazu,
- różne, obdarzone rzeczywistą autonomią organizacje społeczne.

Wariant ten nie przewiduje jednak żadnych tego rodzaju instytucji. Podporządkowany jest doraźnemu celowi utrzymania niekontrolowanej władzy. Opiera się on na założeniu ścisłego monopolu władzy na wszelkie ważniejsze inicjatywy. Ma więc bardzo nikłe szanse na powodzenie i należy przyjąć, iż w przypadku pierwszych niepowodzeń reformy albo w przypadku jakichkolwiek napięć społecznych wykaże tendencję do przekształcania się w wariant pierwszy — konfrontacyjny. Z dotychczasowych wypowiedzi reprezentatywnych przedstawicieli kierownictwa wojskowego i politycznego wynika, że jakkolwiek byliby oni skłonni rozważać możliwość realizacji wariantu drugiego z ewentualnymi gestami sugerującymi gotowość wejścia na drogę porozumienia społecznego, to jednak te same wypowiedzi dowodzą, iż idzie tu raczej o realizowanie koncepcji fasadowej, proklamowanej od góry i ściśle na warunkach podyktowanych przez władzę. Według tego sposobu myślenia społeczeństwo może oczekiwać poprawy i łaskawszego traktowania tylko jako rezultatu dobrej woli władzy. Można przypuszczać, iż swoisty „centryzm” postawy gen. Jaruzelskiego wzmocniony poparciem radzieckim doprowadzi do prób realizacji wariantu drugiego jako mniej konfrontacyjnego mimo jego wad, nielogiczności i słabości. Nie gwarantuje on jednak poprawy sytuacji gospodarczej, położenia międzynarodowego Polski i nie zyska rzeczywistej akceptacji społeczeństwa.

Zdajemy sobie sprawę, że żaden z opisanych wyżej wariantów nie wystąpi w czystej postaci. Chodziło nam raczej o zbudowanie konstrukcji teoretycznych pozwalających na pokazanie pewnych współzależności i mechanizmów uruchomionych w dziedzinie sprawowania władzy. Chodziło nam również o pokazanie, że w istocie rzeczy oba opisane wyżej warianty prowadzą do

klęski. Nie można za pomocą rozwiązań pozornych, fasadowych — rządzić społeczeństwem tak głęboko obrażonym, cierpiącym i nierzadko okaleczonym, będącym w stanie pourazowego wstrząsu. Nie można reformować gospodarki w klimacie odmowy; stan wojenny nie upraszcza, a komplikuje sytuację.

Są to warianty, które:

— w dziedzinie politycznej oznaczają konfrontację władzy ze społeczeństwem,

— w dziedzinie gospodarki wiodą do regresji i stagnacji,

— w dziedzinie społecznej prowadzą do apatii społeczeństwa lub wybuchu niekontrolowanej agresji, braku motywacji do wydajnej pracy, braku poczucia odpowiedzialności za losy kraju i braku identyfikacji z własnym państwem,

— w dziedzinie kultury — do zagrożenia ciągłości i tożsamości kulturalnej naszego narodu,

— w dziedzinie międzynarodowej — do wzrostu napięcia w stosunkach między blokami, utrudnienia na długie lata współpracy handlowej i technologicznej oraz do pogłębienia nastrojów niechęci naszego społeczeństwa do ZSRR, słusznie czy niesłusznie obwinianego o ucięcie procesu reform w Polsce.



Wydaje się, iż w opinii społecznej istnieje dość rozpowszechnione oczekiwanie na realizację „wariantu optymistycznego”, podkreśla się jego niewątpliwe zalety mniej zważając na jego realność.

Chcielibyśmy zatem zastanowić się nad warunkami niezbędnymi do odblokowania sytuacji i skonstruowania wariantu innego niż opisane wyżej.

Byłby to wariant współdziałania na wszystkich płaszczyznach polityki wewnętrznej oraz zagranicznej. Zakłada on jednak jako warunek niezbędny częściowe choćby upodmiotowienie społeczeństwa, a co za tym idzie realizowanie innej koncepcji władzy i jej prerogatyw, innego mechanizmu decyzyjnego. Inaczej mówiąc *chodziłoby o oktrojowaną, ale zasadniczą zmianę systemu politycznego*. Scenariusz nawiązywałby do tego fragmentu przemówienia gen. Jaruzelskiego z 13 grudnia, w którym mowa jest, że być może — choć brzmi to paradoksalnie — dopiero teraz w stanie wojennym da się zbudować prawdziwe porozumienie narodowe.

Byłby to też wariant, do którego obie strony przystąpiłyby bez entuzjazmu, sceptycznie i nieufnie, czyniąc to jednak dlatego, że akceptują konieczność kompromisu między władzą a szerokimi rzeszami społeczeństwa, koniecznej współpracy w rozwiązy-

waniu dramatycznych trudności, przed którymi stoimy jako naród i państwo.

Realizacja takiego wariantu jest w interesie społeczeństwa. Rzecz w tym, że niewiara w możliwość realizacji takiego wariantu jest jednocześnie tak silna i powszechna, że to samo staje się poważną przeszkodą w jego urzeczywistnieniu. Jest to jedna ze znamienitych sprzeczności społecznych w Polsce: powszechne oczekiwanie na jakąś ugodę społeczną i powszechna niewiara w jej realność.

Jeżeli porozumienie ma być w ogóle możliwe, to ujawniona między sierpniem a grudniem wrażliwość na autentyzm, jawność życia publicznego, prawdę i poczucie godności muszą być uwzględnione we wstępnych nawet działaniach władzy. Muszą znaleźć wyraz nie tylko w treści propozycji do dialogu, ale i w sposobie prowadzenia tego dialogu, w szacunku do symboli, takich np. jakim jest „Solidarność”, z której istnieniem społeczeństwo związało cały zespół swych nadziei i aspiracji.

Tworzenie warunków umożliwiających rozpoczęcie realizacji takiego wariantu wymagałoby w szczególności:

— Wyrażnego pokazania przez władze, że ich obecna walka z „Solidarnością” nie jest walką z samorządnym i niezależnym ruchem związkowym jako takim, a nade wszystko nie jest walką z wartościami i nadziejami, których ucieleśnienie miliony ludzi widziały w „Solidarności”. Wymagałoby to ze strony władz dokonania wyważonej oceny tej organizacji, przejścia od „demarkowania” jej do jej politycznej analizy jako doniosłego faktu społecznego i wyrazu dążeń masowych, które w jakiś sposób musiały i muszą być artykułowane.

— Przyjęcie za punkt wyjścia wszelkich negocjacji i rozwiązań politycznych porozumień z Gdańska, Szczecina i Jastrzębia, a to z uwagi na ich symboliczną wartość jako przykładu porozumienia między władzą a społeczeństwem. Porozumienia te stały się faktem historycznym i szeroko rozreklamowanym dowodem na reformowalność naszego systemu politycznego.

— Ogłoszenie przez władze deklaracji politycznej dotyczącej długofalowego planu przebudowy systemu politycznego w kierunku demokratycznym, w kierunku rozszerzania możliwości artykułowania i reprezentowania interesów realnych grup i sił społecznych. Niezbędne jest wyjście w tej dziedzinie poza ogólniki zarówno co do treści planowanych rozwiązań, jak i co do czasu wprowadzenia ich w życie. Konieczne jest zwłaszcza wyraźne określenie terminarza odzyskiwania przez związki zawodowe ich statutowych uprawnień.

— Stworzenie forum, na którym mogłoby dojść do spotkania przedstawicieli władz z „mężami zaufania” najważniejszych

środowisk społecznych. Powinno ono doprowadzić do wyłonienia zespołu negocyjacyjnego, w którym musieliby się znaleźć z pewnością przedstawiciele legalnie wybranych władz zawieszono dnia 13 grudnia NSZZ „Solidarność”, a także powinni być w nim obecni przedstawiciele Kościoła.

— Umożliwienie władzom zawieszonych związków i organizacji zajęcia stanowiska wobec nowej sytuacji.

Przedmiotem negocjacji powinny być w pierwszym rzędzie:

— sama deklaracja programowa i zawarte w niej kalendrium,

— uzgodnienie zabezpieczeń, które wykluczałyby przekształcenie się „Solidarności” w organizację polityczną,

— uwolnienie internowanych działaczy związku i amnestia dla skazanych.

Są to oczywiście tylko najbardziej ogólne propozycje, które zapewne nie wyczerpują wszystkich spraw wymagających negocjacji.

Największymi trudnościami w realizacji takiego wariantu byłyby:

— wspomniana już powszechna niewiara w jego realność, choć jest on najbardziej spójny, acz niełatwy,

— nieufność władzy,

— wynegocjowanie możliwych do przyjęcia dla obu stron zabezpieczeń i gwarancji,

— uruchomienie sił społecznych i politycznych, które mogą odegrać rolę napędową w realizacji całego wariantu, a przede wszystkim tych sił i technik, które miałyby zdolność skłonienia społeczeństwa do samoograniczenia aspiracji konsumpcyjnych.

Za takim wariantem przemawiają jednak argumenty nieporównanie ważniejsze:

— jest to jedyny wariant, który stwarza realne szanse uzyskania pomocy finansowej z zagranicy, umożliwia tym samym odbudowę gospodarki, co leży w interesie Wschodu i Zachodu (obu blokom Polska potrzebna jest jako pełnowartościowy partner w wymianie handlowej, stopniowo spłacający swoje długi);

— jest to jedyny wariant, który stwarza nadzieję na osiągnięcie po pewnym czasie pozytywnego zaangażowania społeczeństwa w proces wychodzenia z kryzysu;

— jest to wariant, który zabezpiecza rzeczywiste interesy wszystkich stron, a także stwarza niezbędne gwarancje polityczne zarówno dla partii jak dla Paktu Warszawskiego;

— w istocie rzeczy tylko ten wariant leży, jak nam się wydaje, zarówno w interesie ZSRR, jak i pozostałych państw bloku, zdejmując z tych państw ciężar świadczeń ekonomicznych na rzecz Polski;

— a przede wszystkim jest to jedyny wariant, który może zabezpieczyć nasz kraj przed groźbą katastrofy spowodowanej bądź niekontrolowanym wybuchem, bądź pograżeniem się naszego społeczeństwa w bezruchu i jałowej stagnacji. Wariant ten daje szansę zahamowania spadku produkcji w najbliższym czasie, powrotu w ciągu dwóch-trzech lat do poziomu gospodarczego z okresu lat 1979-80 i dalszego rozwoju.

Prawdopodobieństwo tego wariantu zależy w istocie od zasadniczego zwrotu politycznego w koncepcji sprawowania władzy, a właśnie tej koncepcji społeczeństwo bezskutecznie oczekiwało po przełomach w latach 1956, 1970 a przede wszystkim 1980.

Rozdział IV

POSTAWY SPOŁECZNE

W naszym drugim raporcie, ogłoszonym w maju 1980 roku, postawiliśmy pytanie: „Co Polacy powinni czynić, aby chronić i rozwijać te wartości, dzięki którym ukształtowaliśmy się jako naród w poczuciu własnej tożsamości i kultury; co powinni uczynić, aby z przedmiotu manipulacji politycznych stać się pełnoprawnym gospodarzem swego kraju i podmiotem życia politycznego?”. Odpowiadając na nie zacytowaliśmy m.in. odpowiedź jednego z respondentów, który pisał: „Zrób wszystko co możesz, żeby było lepiej. Jeśli możesz niewiele, zrób przynajmniej to, co możesz. Jeśli nie możesz nic, to przynajmniej dołkownie przemyśl, co należałoby zrobić, gdyby się dało, i bądź gotów, by to zrobić”. Zdawaliśmy sobie podówczas sprawę, że nie jest to dużo. Nieraz zresztą krytykowano nas za minimalizm. W okresie pomiędzy sierpniem a grudniem zaczął on wydawać się filozofią zarówno wątpliwą moralnie, jak i jawnie nieskuteczną. Wtedy wszystko wydawało się możliwe. Dzisiaj przyszedł znowu czas powrotu do realizmu — takiego jednak, który nie będzie tożsamy z rezygnacją. Chociaż jesteśmy po 13 grudnia dużo ubożsi w nadzieję, wiemy, że tamtej nocy świat się nie skończył i przyszłość Polski zależy ciągle od nas wszystkich. Bo, jak pisze Czesław Miłosz w „Traktacie moralnym”:

*„Nie jesteś jednak tak bezwolny,
A choćbyś był jak kamień polny,
Lawina biegnie od tego zmienia,
Po jakich toczy się kamieniach”.*

W miarę tego, jak mija szok, wywołany odebraniem społeczeństwu w ciągu jednej nocy prawa bycia sobą, każdy zadaje pytanie, jak w nowych warunkach zachowają się poszczególne grupy naszego społeczeństwa, i co my sami powinniśmy robić, aby nie sprzeniewierzyć się swym ideałom. Znaleźliśmy się na kolejnym rozdrożu polskiej historii, kiedy narodzić się musi nowa świadomość i nowy styl działania.

Niełatwo zorientować się dzisiaj dokładnie jaki jest stan ducha naszych rodaków, co robią, co czują, czego się spodziewają i obawiają, co chcieliby i co planują zrobić. Każdy z nas wie wprawdzie dobrze, co przeżywają jego najbliżsi: rodzina i przyjaciele, towarzysze pracy, uczniowie. Obieg informacji we wszystkich dziedzinach życia społecznego został jednak poważnie zakłócony. Weszliśmy jeszcze raz w okres, gdy mówienie tego, co się myśli, związane jest z niejakim ryzykiem. Na rozległym obszarze między propagandą i plotką rozciąga się dziś ziemia nieznaną, której właścicielem czuje się każdy, kto ma czelność utożsamiać siebie z „narodem”, „klasą robotniczą” czy „społeczeństwem”. Przeciętny człowiek raz jeszcze zamilkł.

Tym bardziej niezbędne więc jest możliwie szybkie rozpoznanie stanu świadomości społecznej, wykrycie dominujących w niej tendencji i nastawień, zdanie sobie sprawy z deformacji, jakim może łatwo ulec w warunkach rozproszenia społecznego i braku miejsc autentycznej wymiany myśli, rozgoryczenia i głębokiej frustracji, biedy i niepewności jutra, żywotności prometejskich mitów i poniżającej ludzki rozum propagandy. A z tego chaosu wyłoni się przecież myśl społeczna, współokreślająca oblicze jutrzejszej Polski. I może się okazać, że spustoszenie w sferze ludzkich myśli i uczuć będzie po upływie lat większe niż w gospodarce i społecznych instytucjach.

Dzisiaj z zachowań społecznych — tak jak je przy wszelkich utrudnieniach możemy obserwować — wynika, że poważna większość Polaków, w tym ogromna większość środowisk opinotwórczych społeczeństwa, nie pogodziła się z tym, co władza nazywa „drogą do normalizacji”, a obywatele odczuwają jako próbę odebrania im wszystkiego co zyskali między sierpniem a grudniem.

Przy całej jego chaotyczności i szarpaninie był to okres wielkiej przebudowy w dziedzinie świadomości społecznej, okres tworzenia niezależnych instytucji społecznych i zyskiwania niezależności i autentyczności przez instytucje dotąd fikcyjne i pozbawione autonomii. Nie tylko związki zawodowe, lecz także stowarzyszenia twórcze, regionalne, uczelnie, instytuty badawcze, zespoły redakcyjne pism, samorządy pracownicze — wszystko to

stało się na przeciąg półtora roku terenem wielkiego samokształcenia w demokracji, w myśleniu obywatelskim. Te pierwsze lekcje demokracji odbywały się w bardzo trudnych warunkach walki politycznej, w atmosferze nieufności, w skrajnie antydemokratycznym otoczeniu, którego nawyki i przykłady trzeba było przezwyciężać.

Badania opinii publicznej przeprowadzone w wielkich zakładach pracy wykazały, że w okresie przed grudniem 1981 nastąpiło silne zarysowanie wartości o charakterze demokratycznym: pragnienie uczestnictwa w podejmowaniu decyzji, pragnienie rzeczywistej podmiotowości, niechęć do podmiotowości fasadowej. Wśród innych, mocno uwidoczniających się cech świadomości ankietowanych wymienić trzeba: silne pragnienie sprawiedliwych przywilejów; potrzebę odkłamania życia publicznego, potrzebę prawdy, jawności, kontroli; wysokie poczucie wartości integracji społecznej, silne poczucie przynależności społecznej i solidarności, tzn. współodpowiedzialności za innych oraz — rzecz szczególnie istotna — wysokie poczucie godności.

Ze wspomnianych badań wyłania się obraz społeczeństwa polskiego roku 1981 — umiarkowanego w dążeniach, przeciwnego skrajnościom, pokładającego nadzieje w reformie gospodarczej i samorządzie pracowniczym, aprobującego podstawowe założenia socjalizmu. Obraz jaskrawo odmienny od tego, jaki w odniesieniu do Polski przedgrudniowej stworzyła oficjalna propaganda: kraju w przededniu wojny domowej, opanowanego przez „emocje” i „nastroje konfrontacyjne”.

Grudzień 1981 dokonał w świadomości społeczeństwa zmian trudnych jeszcze do zdefiniowania. Zaobserwowano jednak — i to wydaje się rzeczą niewątpliwą — zaostrażającą się niechęć do pozorów demokracji i partnerstwa. Gwałtownie pogłębiła się radykalizacja pewnych grup społecznych, zwłaszcza młodzieży. O ile — jak ocenia się na podstawie badań — przed Grudniem konflikty pokoleniowe dotyczyły głównie taktyki i oceny możliwości (młodzież była bardziej niecierpliwa i więcej miała w sobie optymizmu), obecnie sądzić można, że konflikt przenosi się często w sferę ideałów: starsze pokolenia wykazują skłonność do rezygnacji, w części godzą się znów z proponowanymi zasadami „realnego socjalizmu”; młodzież w ogromnym — jak się wydaje — procencie pragnie oporu, w rozmaitych formach i za wysoką nawet cenę; niejednokrotnie odrzuca przy tym jako skompromitowane wszelkie koncepcje światopoglądowe wpajane jej dotąd przez szkołę, z socjalizmem włącznie.

Po stu dniach stanu wojennego widać już, że tego, co stało się w Polsce między sierpniem a grudniem z pamięci ludzkiej i życia społeczeństwa łatwo usunąć się nie da; zastosowana wo-

bec narodu spektakularna przemoc działa na dwa sposoby: paraliżuje życie zbiorowe i przeraża ludzi, z drugiej jednak strony poprzez mocny kontrast z ich niedawnym przeżyciem i doświadczeniem zbiorowym wywołuje mniej lub bardziej uzewnętrzniony sprzeciw.

Ludzie — jak można wnosić z wielu oznak — nie godzą się już na to, na co godzili się przed sierpniem 1980. W tym zakresie (podobnie jak w wielu innych) nie ma mowy o odwróceniu „biegu wydarzeń” w skali całego społeczeństwa. Zwiększone represje napotykać na zwiększony bierny opór, rodzący się spontanicznie i przybierający najrozmaitsze formy.

Jedną z takich form były strajki pierwszych tygodni stanu wojennego, przeprowadzone mimo miazdzącej przewagi aparatu przemocy, przy zerwanej komunikacji i zniszczonych strukturach organizacyjnych. W sensie strategicznym zakończyły się porażką, i niczym innym zakończyć się nie mogły. Można je jednak ocenić (jak to uczyniło wielu obserwatorów) jako pierwsze w nowych warunkach zwycięstwo moralne: manifestację niezgody na przemoc i ubezwłasnowolnienie. Szczególnie godny podkreślenia jest tutaj nieagresywny charakter oporu, przeciwstawienie cnót *c y w i l n y c h* — systemowi społecznemu, opartemu na militarnych zasadach „ładu i porządku”.

Opór wobec przemocy przybiera charakter spontaniczny. Nie są to nigdy działania wymuszone przez siatki konspiracyjne, zorganizowany ruch podziemny. Niezależny obieg informacji tworzą w większości przypadków wiadomości, wiersze, wypowiedzi ochotniczo przepisywane na maszynie, taśmy po wielokroć przegrywane amatorskimi technikami. Spontaniczne są także rozmaitego typu składania kwiatów, zapalanie świeczek, dni milczenia w szkole, noszenie oporników na swetrach. Rodzi się pomysł, podchwytuje go grupa osób, przyłączają się inni. Powstanie zorganizowanej konspiracji, jakkolwiek możliwe i prawdopodobne, nie jest jednak niezbędnym warunkiem, by opór trwał.

Nieoczekiwanie szeroka i konsekwentna okazała się odmowa podjęcia tego, co uznane zostało przez środowiska twórcze za kolaborację z aparatem przemocy — a więc odmowa występowania w telewizji i radio, udziału w imprezach propagandowych, publikowania w prasie stanu wojennego. Zjawisko to kryje w sobie wiele poważnych problemów, które nie od razu znajdują rozwiązanie. Co jest w istocie chronieniem „substancji” kultury narodowej, a co niszczeniem tej substancji poprzez rezygnację z wartości moralnych, zgodą na współudział w budowaniu propagandowej fasady? Kiedy natomiast pryncypializm moralny staje się jałowy, i jak tej jałowości uniknąć?

W dużym stopniu wzrosły szanse alternatywnych wobec ofi-

cialnej kultury form życia kulturalnego, duchowego. Stały się one — przy wszystkich ich niebezpieczeństwach — koniecznością.

Operacja totalnego wyjałowienia kultury narodowej (militaryzacja telewizji, sterroryzowanie prasy, zamknięcie placówek artystycznych różnego rodzaju i rangi etc.) ukazała w błyskawicznym skrócie stosunek władz do kultury — jako do systemu wartości władzy zagrażających. Aktem o znaczeniu symbolicznym stało się zamknięcie Kongresu Kultury i pozbawienie wolności wielu jego uczestników.

Można przewidzieć, że w interesie władzy będzie zasadnicze i trwałe ograniczenie wpływu środowisk twórczych (co już się ujawniło), całkowite podporządkowanie instytucji kulturalnych (łącznie z tymi, które — jak teatry — są dotąd względnie niezależne) oraz wyrugowanie lub zneutralizowanie autentycznych zjawisk w tej sferze życia przez — mówiąc w skrócie — kulturę fasadowo-rytualną.

Operacja ta najprawdopodobniej powiedzie się tylko częściowo, już bowiem spotyka się ona z oporem środowisk twórczych, zaprawionych od dziesięcioleci w takich bojach. Niemniej obecna jałowość kultury masowej utrwali się, przy zastosowaniu wszelkich uatrakcyjniień według wzorów czeskich lub NRD-owskich. Znaczna część społeczeństwa odwróci się więc, a przynajmniej zachowa dystans wobec kultury, która nie tylko nie odpowiada jego aspiracjom duchowym, lecz je obraża i poniża.

Będzie się więc musiała rozwinąć — funkcjonująca już — kultura alternatywna, oparta na kręgach o więzi nieformalnej. Trudno przewidzieć jej przyszły kształt; nie będzie ona skazana na izolację i dyletantyzm; w jej tworzeniu wezmą z pewnością udział wybitni przedstawiciele środowisk artystycznych — jak to się już dzisiaj dzieje. Nadzieją kultury alternatywnej, mimo utrudnionego jej obiegu, jest jednak przede wszystkim niezwykła chłonność audytorium społecznego na treści inne niż te, jakich dostarcza oficjalna propaganda — na głos protestu, śmiech z władzy, a także na różnego rodzaju wizje świata sprzeczne z logiką przemocy i podporządkowania. Obok samorodnej twórczości (różnych pod względem poziomu wierszyków, piosenek) krążą już dziś w odpisach teksty dawne, czasem sto i więcej lat liczące: utwory polskich romantyków, pieśni religijne. Młodzież (bo to ona jest głównym odbiorcą) odnajduje w nich własne myśli, współczesne sprawy.

Bez trudu przewidzieć można dalszy wzrost znaczenia obrzędowości religijnej oraz twórczości sakralnej. Zjawisko to, które tak wyraźnie zaznaczyło się w sierpniu 1980 jako szczególny rys polskiej „odnowy”, w grudniu 1981 uintensyfikowało się, nabrało

głębszych jeszcze treści. Chodzi tu nie tylko o to, że w obecnych warunkach Kościół staje się jedynym niezależnym i nieskazanym terenem publicznego manifestowania wspólnoty; w świecie rządzonym przez „twarde konieczności stanu wojennego” wyjątkowej mocy i wymowy nabrała po prostu Ewangelia.

Kościół otwarcie potępia przemoc i z naciskiem przestrzega przed groźną chorobą gniewu, jaka trawi nasz kraj. Przemoc rodzi gniew; klimat nienawiści przenika nieustannie ze środków masowego przekazu. Jednak sądzić można, że społeczeństwo, które wybrało demokrację nie ulegnie temu klimatowi, nie przejmie od wrogów demokracji ich sposobów myślenia i działania. Docierające do społeczeństwa różnymi drogami wypowiedzi pozostających na wolności przywódców „Solidarności” świadczą, że są oni w większości tego świadomi.

Nauki moralne Kościoła, jego etyka miłosierdzia, dostarczają obecnie wzorów postępowania wierzącym i niewierzącym. Stają się tym bardziej pełne znaczenia, że tak jaskrawo odbiegają od szerzonej oficjalnie pragmatycznej ideologii „realizmu”, prymatu taktyki nad pryncypiami. Dlatego też spodziewać się należy, że przynajmniej pewne grupy w aparacie władzy będą starały się wpływy Kościoła radykalnie ograniczyć, choćby i przy pomocy prowokacji.

Należy się spodziewać, że wzrośnie znaczenie społeczne twórczości artystycznej — tej, która pozostanie niezależna. Będzie ona nie tylko — jak to miało miejsce w wieku XIX — skarbnicą narodowych pamiątek, narzędziem walki o tożsamość narodową, lecz, można sądzić, czymś nieporównanie istotniejszym. Patriotyzm westchnień za polskim wojskiem, czapką rogatywką, koroną nad orłem — został drastycznie skompromitowany, sprowadzony do roli atrybutu militarnej maszyny. Literatura na przykład, starając się odpowiedzieć ludziom na dramatycznie dziś brzmiące pytanie: jak żyć? (a pytanie to, dosłownie w takim brzmieniu, słyszy się dzisiaj coraz częściej), będzie musiała wyjść poza doraźne „krzepienie serc”, wdać się w bardzo trudne rozrachunki, mówić o tym co się wokół nas dzieje w sposób szczególnie głęboki i prawdziwy, traktując rzeczywistość w kategoriach ostatecznych — Dobra i Zła — bez żadnych ułatwień intelektualnych, taktycznych sojuszów z siłami przemocy.

Ogromnego znaczenia nabrał rodzaj kontaktów międzyludzkich: to, czy są one hierarchiczne, nastawione na „centrum” i odeń uzależnione, czy też oparte na wolnym wyborze i poczuciu wspólnoty. Między sierpniem a grudniem ludzie otworzyli się i poznali wzajemnie; to nie zniknęło. W ciągu pierwszych dni stanu wojennego więzi nieformalne znacznie rozszerzyły się i pogłębiły. Wyłączenie telefonów, potem zainstalowanie podślu-

chów i cenzura korespondencji — wszystko to (między innymi) sprawiło, że ludzie zaczęli szukać jedni drugich, wędrowali po nieznanym sobie domach i mieszkaniach, spędzali wiele godzin dziennie na wymianie informacji i rozmowach światopoglądowych. Można sądzić, że jest to trwały dorobek nowej obyczajowości.

Zasadnicza idea „Solidarności”, jaką jest właśnie solidarność ludzi zagrożonych przez totalitarną przemoc, wyzysk i biedę przetrwała i zaczęła przybierać nowe formy. Od kompletowania list internowanych, poprzez pomoc ich rodzinom i im samym, podtrzymywanie upadających na duchu, wspólne (bez względu na wyznawaną wiarę) uczestniczenie w nabożeństwach.

Nie udało się w zasadzie władzom (mimo wielu starań) wznieść między ludźmi barier nieufności i strachu, takich przynajmniej, jakie istniały w latach 70-tych, nie mówiąc o wielkim strachu epoki stalinowskiej. W miejscach publicznych ludzie powstrzymują się od otwartej krytyki władz, nie kryją się jednak z negatywnym stosunkiem do stworzonej przez nie rzeczywistości. W środowiskach pracy wygląda to różnie, w zależności od zakładu, regionu. Stan wojenny dokonał tu jednak drastycznych podziałów, podobnie jak podzielił w sposób bardzo nieraz ostry niektóre kręgi przyjacielskie i rodzinne. Te właśnie kręgi w największym chyba stopniu pozostały nienaruszone: ich siła, nawet przy ostrej różnicy poglądów, okazała się większa niż lęk przed aparatem represji.

Już dzisiaj wyraźnie rysują się niebezpieczeństwa, które mogą poważnie zagrozić sprawie Rzeczypospolitej, kiedykolwiek i przez kogokolwiek zostanie ona podjęta, żadna bowiem naprawa nie może się udać bez udziału społeczeństwa. Są to w szczególności niebezpieczeństwa następujące:

1. Niebezpieczeństwo wycofania się obywateli z życia publicznego, a nawet z myślenia o sprawach publicznych, w imię uprawdopodobnionego lecz nadal nieprawdziwego przekonania, że nic nie da się zrobić i trzeba pozostawić rzeczy ich własnemu biegowi. W przypadkach skrajnych postawa ta rodzi — tak dzisiaj częstą w wielu środowiskach — myśl o emigracji; w większości wypadków oznacza zamykanie się w kręgu ludzi najbliższych i prywatnych hobbies, niekiedy w kręgu maksymalnie zwężonych zadań zawodowych. Tego rodzaju tendencje, występujące już w latach 70-tych, dziś ulegają niewątpliwie nasileniu. Są groźne, gdyż oznaczają ponowną atomizację społeczeństwa, która jest podłożem arbitralności władzy i atrofii wszelkiej samorządności.

2. Niebezpieczeństwo pogłębiania się polaryzacji postaw ludzi aktywnych, tzn. skupiania się przy przeciwnych biegunach

politycznych, prowadząc do tego, że zwolennicy różnych orientacji, które tak łatwo z życia polskiego nie znikną, ztratą zdolność myślenia kategoriami społeczeństwa i państwa, wkładając cały swój wysiłek w walkę z przeciwnikiem. W przypadkach skrajnych przyniesie może postawę totalnej determinacji; nie liczące się ani z układem sił ani z opinią społeczną próby odpowiedzenia terrorem na terror, wygodne skądinąd tym siłom w aparacie przemocy, które są za jej wzmożeniem. Myśleniem — jak często dzieje się to dzisiaj — zaczynają rządzić urazy, które odwracają uwagę od problemów istotnych. Szerzenie się takiej mentalności odsuwa możliwość ugody społecznej, która wymaga koncentracji uwagi na problemach kraju i rzeczowego rozpoznania podobieństw i różnic stanowisk. Sprawa polega nie tylko na tym, że u młodzieży mogą wystąpić desperackie skłonności do agresji, ale również na tym, że część starszych, nawet pozostając bierna, będzie przychylna a nawet wyrozumiała dla desperatów. Duża bowiem część średniego i starszego pokolenia wołałaby wprawdzie przeczekać, ale w cichości ducha marzy o odegraniu się na władzy (a władza na ogół dobrze sobie z tego zdaje sprawę). Władza liczy na wyczerpanie i skruszenie znacznej części społeczeństwa, ale bardziej prawdopodobna będzie polaryzacja we wszystkich środowiskach i generacjach na ludzi skłonnych do rezygnacji oraz na opornych, wśród których będzie wielu zrozpaczonych i wściekłych.

3. Niebezpieczeństwo szerzenia się orientacji na przetrwanie, czyli gotowości do robienia tylko tego, co umacnia naszą obecną pozycję, bez liczenia się z przyszłymi skutkami naszych działań, które — na pozór korzystne dzisiaj — mogą prowadzić do katastrofalnych następstw w niedalekiej przyszłości, gdyż uniemożliwiają w istocie osiągnięcie jakichkolwiek trwałych rozwiązań. Dotyczy to przede wszystkim władzy, która niejednokrotnie już przedkładała efektowne pozory nad poszukiwanie rozwiązań konstruktywnych i wartościowych społecznie. Tym bardziej więc dzisiaj, bezpieczna od nacisku społecznego, będzie wołała likwidować przejawy niepokoju niż usuwać jego głębsze źródła.

4. Niebezpieczeństwo szerzenia się postawy totalnej odmowy i oceniania sytuacji według zgubnej zasady „im gorzej, tym lepiej”. Postawę taką można wytłumaczyć w krótkich okresach najwyższego napięcia emocjonalnego, lecz jest ona zabójcza dla społeczeństwa jako obliczona na dłuższą strategię, gdyż zabija w obywatelach poczucie odpowiedzialności za rzecz publiczną i chęć robienia dobrze tego, co robić można i trzeba, jeżeli naród ma przetrwać. Dlatego też można już dziś zaobserwować rodzenie się świadomości, że w związku z tym, iż władza

zwykła utożsamiać siebie z Polską tym bardziej należy odróżniać to, co dobre dla władzy od tego, co potrzebne dla kraju. Wspomniane wyżej niebezpieczeństwo grozi zwłaszcza rozgoryczonym zwolennikom reform, którzy w ten sposób bądź trwonią siły na organizowanie nieskutecznego w obecnych warunkach oporu czynnego, bądź — w znacznej większości — przechodzą na pozycje ludzi wycofujących się, ze wszystkimi tego społecznymi skutkami.

Wydaje się, że wszystkie te niebezpieczeństwa — tak na pozór różne — mają pewną cechę wspólną. Jest nią niechęć lub niezdolność zrozumienia, że adekwatne do obecnych warunków działanie musi mieć za podstawę dwie rzeczy. Po pierwsze, jasną świadomość problemów, które przez wprowadzenie stanu wojennego nie zostały rozwiązane, oraz ideałów, których ten stan nie mógł przekreślić i nie przekreślił. Po drugie, jasne zrozumienie nowych warunków, w jakich te problemy będą musiały być rozwiązywane, ideały zaś urzeczywistniane. Nic nie zastąpi krytycznej analizy doświadczeń społecznych ostatniego okresu i nowego opracowania strategii upodmiotowienia społeczeństwa. Jest to tym trudniejsze, że „nowe warunki” wciąż pozostają nieokreślone, zmienne.

Coraz powszechniejsza jest świadomość, że obok niezbędnego nam ładu moralnego potrzebny jest również ład intelektualny, którego podstawą będzie analiza tego, co w Polsce się stało, bez odrzucania *a priori* żadnego argumentu, niezależnie od tego, od kogo by pochodził. Przy czym najczęściej problem ten ujmowany jest następująco: obowiązek analizy spada oczywiście na zawodowych badaczy życia społecznego, ale od obowiązku myślenia nikt nie jest zwolniony. Nie można bowiem dopuścić, by te wielkie wydarzenia historyczne, których byliśmy świadkami lub uczestnikami, a które dzisiaj znajdują swe przedłużenie, zostały zepchnięte do narodowej podświadomości. Jeśli nie wolno nam dyskutować publicznie, dyskutujemy ze sobą i między sobą. Jeśli drażni nas propaganda, próbujemy sami tworzyć spójny i zgodny z faktami obraz świata.

Trzeba jednak stwierdzić, że sprawy są często bardziej złożone. Wielu ludzi bowiem wyznaje np. zasadę „im gorzej, tym lepiej” nie w imię totalnej odmowy, ale w oczekiwaniu, że radykalne pogorszenie się, zwłaszcza sytuacji gospodarczej i wzrost napięć społecznych, mogą wreszcie doprowadzić do prawdziwego dialogu i kompromisu władzy ze społeczeństwem. Doświadczanie bowiem nauczyło, że władza ustępuje tylko pod naciskiem konieczności. Postawa ta ma swoje racjonalne uzasadnienie, ale równocześnie na dłuższą metę będzie niebezpiecznie utrzymywać postawy negacji, utrudniać odbudowę gospodarki i dezorganizować coraz bardziej życie społeczne.

W warunkach rozpadu gospodarki i prześladowań politycznych szerzy się również wśród pracowników wszystkich szczebli brak wiary w sens wykonywanej pracy. Jednym ze szczególnie kosztownych przejawów tego zjawiska bywa bierność polegająca na wykonywaniu tylko tego, co nakazane. Dawniej kierownicy, zaopatrzeniowcy, a często i całe zespoły ludzkie dokonywały nieraz olbrzymich wysiłków — obchodzono przepisy, szukano niezwykłych sposobów aby wykonać jakieś zadanie, wprowadzić innowacje lub uniknąć szkód i strat. Było takich wysiłków za mało, ale były. Dziś dla wielu ludzi straciły one zupełnie swój sens.

Jest również pewna ilość ludzi, którzy, wdorożeni do dobrej pracy, wykonują ją jeszcze nadal rzetelnie, jak mogą, ze świadomością, że dają swą pracą swoisty kredyt władzy. Oczekują jednak wciąż od niej aktów dobrej woli i porozumienia ze społeczeństwem. Jeśli do niego nie dojdzie i te postawy ulegną załamaniu, pozostanie prawie wyłącznie strach lub przymus (polityczny lub ekonomiczny) jako jedyna motywacja pracy.

Należy w końcu wziąć bardzo poważnie pod uwagę fakt nieustannej, upartej walki wszystkich pracowników o płace i całokształt warunków materialnych bytu. Nacisk ten w warunkach raptownego zubożenia będzie rósł gwałtownie. Skala nadużyć, kradzieży i oszustw wzrośnie w gospodarce w sposób nieporównywalny z tym, co było dotąd. I wątpliwe jest czy da się ją skutecznie ograniczyć terrorem. Przeciwnie, korupcja zaczęła już obejmować kręgi wojskowych. Być może w najbliższych latach nie będzie wielkich nowych skandalów gospodarczych na szczeblu prominentów, natomiast rozpowszechni się mała kradzież.



To, co zostało dotąd tu powiedziane o zachowaniach społecznych może się wydawać mało konkretne i niezadowalające. Dotyczy to raczej zagrożeń, perspektyw ogólnych, a nie tego, co właściwie trzeba robić. Wielu ludzi tęskni do jakichś prostych zaleceń, formuł czy wręcz magicznych zaklęć, które odmieniłyby nasz los. A jednocześnie coraz więcej osób rozumie, że takich formuł nie ma. Że kształt przyszłości w ostatecznym rachunku zależeć będzie od postawy i działania wszystkich nas razem i każdego z osobna. Że nasze codzienne wybory, zarówno te zwykłe, z pozoru błahe, jak i te trudne, nieraz dramatyczne, wyznaczają pole naszej wolności.

Codzienne wybory będą zapewne wyglądać różnie, między innymi w zależności od grupy społecznej i jej kodeksu moralnego. Inny będzie on u robotników w wielkim zakładzie, inny u pra-

cowników handlu, lekarzy, czy też u nauczycieli, dziennikarzy, aktorów, studentów, uczniów. Osobliwe prawa stanu wojennego, które w założeniu znieść miały wszelkie inne prawa i umowy społeczne, skłoniły przedstawicieli różnych grup do tym bardziej rygorystycznego przestrzegania pewnych norm etycznych, do formułowania co godzi się a czego nie godzi się czynić w nowej sytuacji. W niektórych środowiskach sformułowania te tworzą się spontanicznie, w innych powstają w wyniku narad ludzi obdarzonych autorytetem. Istnienie takich ludzi i takich kodeksów w środowiskach w widoczny sposób sprzyja integracji społeczeństwa, wzmacnia jego odporność na próby ubezwłasnowolnienia, dodaje sił jednostkom.

Przeprowadzając weryfikację dziennikarzy władze żądały początkowo od każdego z nich, by wypowiedział się na temat konieczności wprowadzenia stanu wojennego, i tym samym się określił. Kryterium to jest oczywiście uproszczone i komisjom zależało raczej na zastraszeniu dziennikarzy niż na poznaniu ich poglądów, niemniej zasada samookreślenia zaczyna być coraz bardziej powszechna. Ludzie mają świadomość, że każdy powinien — w miarę możliwości — określić się, zwłaszcza wobec tych, z którymi łączy go więzy rodzinne, przyjacielskie czy też zawodowe. Także wobec ich postaw i postępów. Bez nazbyt pochopnego ferowania wyroków, bez lekkomyślnego szafowania terminem „kolaborant”, ale też bez zbędnych niejasności. W ten sposób — rozumują — przestaje się być anonimowym „poddanym” o wyznaczonej roli w systemie społecznym; dokonuje się samodzielnie kroku na drodze odzyskania tożsamości.

W warunkach strachu i przymusu problem kolaboracji będzie się zresztą zaostrzał coraz bardziej. Dla wielu ludzi powstał problem: co jest a co nie jest kolaboracją? Znamienna jest tu opinia młodego robotnika, że zrozumiałe jest, iż mistrzowie, którzy są obowiązani zdzierać i zbierać ulotki rozrzucone w fabrykach, pod grozą usunięcia z pracy — będą to musieli wykonywać wbrew woli kolegów, byle im przy tym nie szkodziło. Jeśli tacy ludzie będą się jednak posuwać dalej i działać w kierunku łamania oporu i solidarności pracowniczej nawet nie denuncjując, ale wywierając presję i stosując sankcje, wówczas w sposób nieunikniony zakwalifikowani zostaną jednoznacznie jako ludzie, którzy stają po stronie władzy a przeciw społeczeństwu, a więc jako kolaboranci. Podobnie kształtują się opinie w stosunku np. do milicjantów dzielnicowych i urzędników, nauczycieli i kadry technicznej oraz wielu innych. Trudność w ocenie występuje jeśli idzie o zachowania lub deklaracje kłamliwe lub tylko fasadowe i różne świadectwa wspierające faktycznie przemoc (zabieranie głosu w środkach masowego przekazu, udział w imprezach ofi-

cjalnych, w OKON itd.). Jedno jest dla większości pewne, że kolaborantem jest ten, kto postępowaniem swoim lub wypowiedziami rozbija solidarność społeczną.



Panuje dość powszechna opinia, że jeśli społeczeństwo ma w nowych warunkach zachować tożsamość, jeśli mają przetrwać integrujące je idee solidarności, jeśli chce się uniknąć korzystnego dla władzy zatamizowania — jest rzeczą niezmiernie wagi przekazywanie sobie znaków podtrzymujących poczucie łączności i porozumienia. Ich forma jest i musi być różna. Liczy się tu wszystko: od gotowości niesienia pomocy w potrzebie, poprzez zewnętrzne oznaki niepodporządkowania koszarowym rygorom (takim jest zakaz noszenia emblematów innych niż dozwolone), udział w nieoficjalnym obiegu informacji, uczestnictwo w kulturze alternatywnej — aż po głośne dopominanie się o swe prawa i prawa w ogóle.

Silnie podkreśla się bowiem, że — wbrew wszelkim arbitralnym dekretem — prawo pozostaje prawem. Że właśnie w warunkach bezprawia należy mówić o prawach obywatelskich, choć może się to czasem wydawać całkiem daremnym przedsięwzięciem.

Panuje w bardzo wielu środowiskach zgodność co do tego, że choć ze stanem wojennym wszyscy muszą się liczyć, nie wolno jednak z nim się pogodzić, uznać za definitywnie zniesione, co on zniósł i za naturalne, co uprawomocnił. Dotyczy to wielu spraw ze wszystkich dziedzin życia, zlikwidowanych i zawieszonych instytucji, odebranych uprawnień, zarekwirowanych dóbr, zwłaszcza z awieszonego NSZZ „Solidarność”. (Zawieszonego, choć rzecznicy władzy mówią z naiwną otwartością o „byłych działaczach” Związku).

Żałogi wielkich zakładów pracy uchylają się, często nawet z jawnym oburzeniem, od manipulowanej dyskusji na temat „przyszłego kształtu” związków zawodowych. Członkowie związku powiadają, że „Solidarność” po prostu jest, mimo najazdu dokonanego na jej lokale, mimo bezprawnego przejęcia jej majątku i archiwów, mimo internowania i aresztowania przywódców. Wszelka rzeczywista normalizacja musi się rozpocząć uznaniem tego faktu.

Według opinii docierających z różnych regionów kraju pretensje do przywódców Związku — że byli zbyt radykalni, że dali się zaskoczyć, lub też że podjętego po 13 grudnia strajku nie doprowadzili do zwycięstwa — są znikome. Ludzie rozumieją realia ostatnich miesięcy, rzeczywisty rozkład sił. Niektóre

załogi mają natomiast same do siebie pretensje, że — z różnych, często przypadkowych przyczyn — nie podjęły strajku, nie manifestowały sprzeciwu. Ogromnie wzrósł autorytet tych przywódców związkowych, którzy na czele strajków stanęli, i których za to spotkały prześladowania. Dodać trzeba, że utrwalił się autorytet Lecha Wałęsy — ze względu na jego nieugięte milczenie.

Występuje duża zgodność poglądów co do tego, że szczególnie odpowiedzialność spoczywa na tych ludziach i grupach, które w odczuciu społecznym pozostają uosobieniem autorytetu moralnego. I że jeśli ci ludzie i grupy zdołają ten autorytet zachować, jeśli nie zastąpią pryncypiów — kunktatorstwem, w imię „mniejszego zła”, „realizmu” — znaczna część społeczeństwa, a przede wszystkim młodzież, łatwiej będzie mogła uchronić się przed dwoma przeciwnymi zagrożeniami desperacji i cynizmu. Podkreśla się, że na przykład nauczycielowi akademickiemu nie wolno „utrącić twarzy”. Zło, które by uczynił jest nieporównywalne z korzyściami ocalenia jakichś względnie jeszcze pomyślnych układów personalnych na uczelni.

To samo dotyczy w równym, a często i w większym stopniu, nauczycieli szkół podstawowych i średnich, ogólnokształcących i zawodowych, przywódców związkowych, kadry inżynierskiej w zakładach pracy, kierowników placówek kulturalnych itp. Uważa się, że muszą oni dbać o niezakłócony tok pracy lub nauczania, o bezpieczeństwo swych podopiecznych, a więc „chronić substancję” — ale jednocześnie muszą także chronić wartości, postępowaniem swoim dawać przykład młodszemu i mniej doświadczonemu. Przedstawiciele władzy wymagają od nich, jeśli już nie gorliwości w wykonywaniu poleceń, to przynajmniej „realizmu” — faktycznej akceptacji reguł gry, narzucanych przez władzę. Dziś powszechnie już jednak wiadomo, że reguły te zmieniają się w sposób arbitralny, zależny od wąsko pojmowanych interesów kolejnych ekip rządzących i że brak dowodów, by to co mamy wokół siebie — ruina gospodarcza, chaos i niesprawiedliwość społeczna — wynikało rzeczywiście z sytuacji geopolitycznej i podstawowych założeń socjalizmu.

Zgoda na tak pojęty „realizm” oznaczałaby — w dość powszechnym odczuciu — odejście od pryncypiów i ideałów. Tymczasem „substancji” nie da się ocalić bez ocalenia godności, w niej bowiem, choć jest to — zdawałoby się — pojęcie tak nieuchwytnie, leży istota „substancji”.



Wszystkie dylematy dzisiejszego naszego społeczeństwa w formie szczególnie wyostrojonej dotyczą młodzieży. Jest ona naj-

bardziej zagrożona prześladowaniami, a jednocześnie poczuciem braku perspektyw. Dla niej, w momencie startu życiowego, wybory moralne związane są z wyjątkowo wysokimi kosztami. Będzie się też młodych przekupywało czym się tylko da: mieszkaniem, możliwościami awansu, paszportem zagranicznym, odkurzaczem dla młodego małżeństwa, dostępnymi u nas strzępami *affluent society*. W warunkach pauperyzacji społeczeństwa pokus tych nie należy lekceważyć.

Z drugiej jednak strony to przecież młodzież utożsamiała się z przemianami społecznymi, z hasłami okresu „odnowy”, to młode pokolenie było głównym uczestnikiem, a bardzo często inicjatorem ówczesnych wydarzeń. W ciągu kilkunastu miesięcy znalazło się dość czasu, by pokolenie to określiło swe ideały i aspiracje w sposób jeśli nie precyzyjny nawet, to dobitny. Grudzień 1981 przyniósł koniec wielkiej zbiorowej przygody; zaczął dominować nurt uciążliwego życia, prozaicznych trudów.

To przede wszystkim od młodego pokolenia, od obywateli między piętnastym a trzydziestym piątym rokiem życia, zależeć będzie odpowiedź na pytanie: czy ideały — najogólniej mówiąc — Sierpnia 1980 pozostaną w społeczeństwie żywe? Czy obywatel przyjmie proponowany mu status „poddanego”, czy też wszystkimi dostępnymi środkami walczyć będzie o swe prawa i prawo społeczeństwa do samostanowienia? Czy młodzi wybiorą solidarność, czy też współzawodnictwo na drodze do kariery? Ilu będzie jednych, ilu drugich?

Zdrada ideałów młodości jest zjawiskiem znanym w całym świecie. Od wieków, w obecnych warunkach oznaczałaby jednak — w odczuciu dużej części samej młodzieży — zgodę na trwały, rzeczywiście głęboki brak perspektyw.

Sytuacji, jaka się w Polsce wytworzyła, nie można porównywać ani z czasami stalinowskimi, ani (jak to niekiedy czyni samorodna propaganda ulotek i napisów ulicznych) z latami hitlerowskiej okupacji. Inne są zagrożenia, inne podziały społeczne, inaczej wygląda nasilenie terroru, inaczej też przedstawiają się nadzieje na zmianę, na odzyskanie utraconych swobód. Nadzieje te wydają się z obecnej perspektywy nikłe i odległe.

Dlatego też niebezpieczeństwem najpoważniejszym, potencjalnie najgroźniejszym w skutkach, jest klimat beznadziejności i rodząca się w nim, przybierająca różne formy rezygnacja. Może ona przeradzać się w cichą lub gwałtownie uzewnętrznąłą frustrację, przynosić postawy skrajnie aspołeczne, nihilistyczne, to znów brutalnie konformistyczne. W warunkach kryzysu ekonomicznego i rosnących trudów codziennego życia może nastąpić z jednej strony „zmuzułmanienie” — skrajna apatia poważnego

procentu ludzi w społeczeństwie; z drugiej zaś rozpaczliwe rwanie ku sobie, bez oglądania się na innych.

Władza będzie próbowała wziąć społeczeństwo zmczeniem; rośnie ono w miarę pogłębiającej się pauperyzacji, która w silnym stopniu dotyczyć będzie na przykład inteligencji humanistycznej. Przepisy we wszystkich dziedzinach życia zmieniają się nieustannie, co utwierdza poczucie uzależnienia od władzy i jej arbitralnych postanowień. Wojna psychologiczna ze społeczeństwem przejawia się między innymi w swoistej mieszance represji i swobód: przepisy porządkowe łagodnieją, życie powraca do normy, a jednocześnie patrol może w każdej chwili wejść do mieszkania i przeprowadzić rewizję bez nakazu; służba bezpieczeństwa może w każdej chwili pozbawić obywatela bezterminowo wolności na podstawie swych „uzasadnionych podejrzeń”. Teatry wystawiają klasyków, ale pięć po jedenastej zwykły człowiek podlega aresztowi domowemu.

Pauperyzacja i wyzucie z praw obywatelskich okażą się wyjątkowo dotkliwe w przypadku jednostek i grup opornych: np. wybitny publicysta odmawiający współpracy ze środkami masowego przekazu będzie człowiekiem ubogim w porównaniu z posłuszną miernotą z telewizji. To samo wystąpi w przypadku naukowców, artystów starających się zachować niezależność. Trudno powiedzieć w jakim stopniu i na jak długo społeczeństwo zdobędzie się na ocenę moralną tego stanu rzeczy.

Niewykluczone, że — tak jak się to działo w Polsce w wieku XIX — marzenie o wolności podtrzymywane będzie czynnie przez stosunkowo nieliczne grupy w społeczeństwie. Nie można bowiem lekceważyć długotrwałego działania centralnie sterowanej propagandy audiowizualnej i jego destrukcyjnego wpływu na świadomość jednostek i grup społecznych.

Spółeczeństwo czekają więc próby bardzo ciężkie. Z pewnością znowu na niełatwo do określenia czas przygasną nadzieje, które dotąd wciąż co kilka, kilkanaście lat odżywały. Tym razem jednak w trudny czas społeczeństwo wchodzi nieporównanie bardziej zintegrowane niż w roku 56, 68, 70, 76 — i z inną, bardziej pogłębiłą świadomością. Skala i głębokość oporu mogą być znacznie większe niż dotąd. I czy będzie się on wyrażał w szerokim proteście lub w grupowych odruchach gniewu czy też w bardziej biernej formie oporu, nieustannie podsycanej setkami mniejszych konfliktów w każdym zakładzie pracy, których nie będzie komu i jak rozwiązywać — kierowanie takim społeczeństwem i taką gospodarką będzie coraz trudniejsze. Stąd wymagają również szczególnej uwagi postawy i zachowania niższego i średniego aparatu władzy, zwłaszcza kadr gospodarczych, które w tych warunkach będą musiały zarządzać krajem i produkcją.

Czas będzie tu czynnikiem dużo znaczącym. W miarę wzrastania trudności społeczeństwo będzie ulegać zmęczeniu, ale i aparat władzy będzie poddany wyczerpującemu szarpaniu się w beznaocznych konfliktach. Stąd należy przyjąć, że część aparatu władzy, w tym również ludzie, którzy przeżyli euforię zwycięstwa nad okiełznanym społeczeństwem — będzie się coraz bardziej skłaniać ku prawdziwemu porozumieniu społecznemu.



Zasadniczą cechą ruchu społecznego, który ujawnił się w Polsce między Sierpniem a Grudniem, jest jego cywilny, pozbawiony znamion przemocy charakter. Ruch ten, w takiej właśnie postaci — mimo wielu okoliczności, które zachęcały, by wyjść poza ramy biernego oporu — przetrwał grudzień 1981 i trwa obecnie. Nie nastąpiły żadne nowe okoliczności, jakie mogłyby sprawić, by Polacy zrezygnowali ze swych aspiracji — niezaspokojonych, a tak, przynajmniej w odczuciu milionów — w pewnym momencie bliskich zaspokojenia. Wciąż trwają bowiem wszystkie te czynniki, które każą domagać się zmiany życia w Polsce.

Nie zrozumie się niczego z tego, czego chcą — w ogromnej większości — Polacy, jeśli będzie się o ich aspiracjach myślało w kategoriach czysto politycznych: chcą odebrać władzę komunistom, przewrócić porządek jałtański etc. Nie, Polacy chcą inaczej żyć. W zgodzie z własnym pojmowaniem godności ludzkiej, własnym rozumieniem prawa do korzystania z pracy swych rąk i umysłów. Przez trzydzieści siedem lat, i znacznie dłużej, jeśli liczyć czas niewoli i okupacji — dowiedli, że ze swych dążeń łatwo nie rezygnują, nie godzą się na takie życie, jakie jest dla nich nie do zniesienia.

UWAGI KOŃCOWE

Zdajemy sobie sprawę z faktu, że nasz czwarty raport zawiera wiele istotnych luk. O jednej bardzo ważnej pisaliśmy na wstępie. Mamy na myśli brak w naszym tekście analizy wydarzeń sprzed 13 grudnia 1981 roku. Wyjaśniliśmy też powody, dla których uznaliśmy, że przedwczesne byłoby dziś wracanie do tamtego okresu. Brak również w naszym tekście pogłębionej analizy sytuacji w rozmaitych organizacjach czy grupach społecznych. W poprzednich raportach staraliśmy się charakteryzować postawy i położenie takich grup i warstw jak klasa robotnicza, młodzież, inteligencja czy sytuację rolników. Opisywaliśmy sytuację

w partii. W obecnym raporcie zrezygnowaliśmy z tego rodzaju analiz. Warunki stanu wojennego uniemożliwiały zebranie wiarygodnych materiałów na te tematy, a sytuacja jest zbyt poważna i zbyt ważne są procesy zachodzące w tych grupach i organizacjach, by podejmować te sprawy w sposób uproszczony.

Wreszcie różnica może najważniejsza. W naszych raportach zawsze przedstawialiśmy duży pakiet konkretnych propozycji reform, w obecnym zaś nasze propozycje ograniczają się do jednej: projektu działań mających na celu odblokowanie możliwości kompromisu narodowego. Stało się tak z trzech powodów:

— po pierwsze dlatego, że jest to dziś sprawa najważniejsza, bez której mowy nie ma o żadnych sensownych reformach;

— po drugie dlatego, że wszystkie nasze propozycje reform zamieszczone w poprzednich raportach są niestety nadal aktualne. Praktycznie rzecz biorąc wszystkie sprawy do załatwienia, o których pisaliśmy, są wciąż przed nami. Przypominanie ich w obecnym tekście byłoby więc jedynie kolejnym powtórzeniem naszych poprzednich propozycji;

— po trzecie zaś, jeśli chodzi o program zachowań społecznych, staraliśmy się utrzymać na poziomie ogólności postulatów rozdziału IV, wymagających zresztą szerokiej społecznej dyskusji, z której dopiero powinny wynikać wnioski praktyczne.

Dokument nasz nie proponuje łatwych rozwiązań ani nie stara się tworzyć złudnych nadziei. Próbowaliśmy w nim — zgodnie z tradycjami naszego Konwersatorium — przedstawić możliwie ścisły, prawdziwy i odpowiadający rzeczywistości obraz aktualnej polskiej sytuacji i wynikające z niego wnioski. Nasz raport nie jest zatem ani apelem, ani deklaracją, ani protestem, nie jest też wynikiem doraźnych kalkulacji taktycznych. Kalkulacji takich nie prowadzimy, ponieważ „Doświadczenie i Przyszłość” nigdy nie było i nadal nie jest ugrupowaniem o ambicjach politycznych. Ambicji takich ani celów mieć nie mogliśmy i nie mamy już choćby ze względu na strukturę Konwersatorium, jego wieloświatopoglądowy i wielośrodowiskowy charakter stanowiący istotę wszelkich prac analitycznych, jakie podejmowaliśmy.

Celem naszym było zawsze przedstawianie rozumowych analiz polskiej rzeczywistości sporządzonych według naszej najlepszej wiedzy i poczucia obywatelskiego, opartych na dostępnych nam faktach, na badaniach i przemyśleniach szerokiego grona ludzi wysoce kompetentnych, którzy z nami współpracowali. Innymi słowy: przedstawianie analiz pomocnych polskiej rzeczywistości. I tylko tyle.

Podstawową myślą i założeniem wszystkich naszych opracowań, również i niniejszego jest to, że całe doświadczenie histo-

ryczne uczy, iż Polska może się owocnie rozwijać, być skutecznie i z pożytkiem rządzona jedynie na podstawie porozumienia narodowego, zwanego inaczej ugodą społeczną. Naiwnością i złudzeniem jest przekonanie, że tym trzydziestosześcioletnim narodem można na dłuższą metę rządzić opierając się wyłącznie o przemoc i wbrew społeczeństwu. Prowadzić to może jedynie, tak jak nieodmiennie prowadziło w przeszłości, do powtarzających się, coraz cięższych kryzysów. Złudzeniem jest również myśl, wyrażana niekiedy, że wszystko trzeba zacząć od początku, że powtarza się rok 1945. W myśli tej wyraża się niezrozumienie narodu, świata i historii.

W roku 1945 naród polski był okaleczony i zmaltretowany przez wojnę, która przez wielu Polaków była rozumiana nie jako wojna zwycięska, lecz jak długie pasmo klęsk. Nowa władza, jaka nastała i idea przez nią reprezentowana nie były wprowadzanie powszechnie akceptowane, kryły jednak w sobie groźbę i konieczność, lecz także i niemały ładunek nadziei. Po pierwsze: nastał pokój. Po drugie: Polska uzyskała ziemie zachodnie. Po trzecie: rozpoczęła się szybka i imponująca odbudowa. Po czwarte: nowa władza wprowadziła szereg reform, na które przedwojenne państwo nie zdobyło się, a uważanych za słuszne przez szerokie kręgi społeczeństwa. Istniały więc poważne szanse przekonania i przyciągnięcia do współpracy licznych ludzi dobrej woli, którzy gotowi byli przyjąć każdą możliwość pracy dla kraju w warunkach pokoju. Niestety, tym szansom rychło przeciwstawiono fundamentalne błędy. Skrzywdzono i prześladowano młodzież AK-owską, przeciwstawiono się katolickim tradycjom narodowym, odepchnięto i poniżono inteligencję, odebrano rolnikom wiarę w perspektywy ich pracy. Spróbowano rządzić przy pomocy strachu, który spotęgowany był świeżymi wspomnieniami nieszczęść wojennych. Społeczeństwo było rozbite i sparaliżowane. Niektórym mogło się wydawać, że nietrudno będzie rządzić stale takimi metodami. A jednak minęło niewiele lat i trzeba się było cofnąć, zmienić niektóre metody, sięgnąć do nowych, naprawić niektóre błędy, potępić inne. Trzeba było też potępić jednych ludzi, rehabilitować innych.

Minęło wiele lat, społeczeństwo całkowicie zmieniło się, przyszły nowe pokolenia. Raz po raz próbowały one uzyskać większy wpływ na życie publiczne kraju. Konflikty i kryzysy powtarzały się. Stracono wiele szans i nikt nie uzyskał w ten sposób trwałych korzyści.

Czyżbyśmy jeszcze raz mieli zaczynać wszystko od początku? Czy ktokolwiek może na tym coś zyskać? I czy można poważnie myśleć, że możliwe będzie długotrwałe rządzenie obok społeczeństwa, albo wbrew niemu?

Społeczeństwo polskie roku 1982 jest zupełnie innym społeczeństwem niż w roku 1945. Odzyskało poczucie swej wartości, godności i siły. Jest społeczeństwem urażonym, ale nie jest złamane. Doszczętne i trwałe złamanie go — jeżeli by nawet ktoś stawiał sobie taki cel — przekracza czyjekolwiek możliwości. Nie trzeba wielkiego daru przewidywania by pojąć, że tego rodzaju próby przyspieszą tylko i pogłębią przyszły, jeszcze dramatyczniejszy konflikt, dla nikogo natomiast nie mogą stanowić trwałego rozwiązania.

Również i świat jest dziś inny, niż w latach 1945-53, nie istnieje więc możliwość trwałej izolacji.

Nie ma w Polsce innego sposobu osiągnięcia korzystnej dla Polaków i wszystkich ich partnerów stabilizacji — aniżeli uгода społeczna. Zdajemy sobie sprawę, że głoszenie dziś takiego hasła i przekonania może być poczytane za chciejstwo, naiwność czy skłonność do utopii. Zdajemy też sobie sprawę z głębi gniewu, urazy, często nienawiści jakie dziś istnieją w polskim społeczeństwie. Nie próbowaliśmy tej wiedzy ukrywać ani tuszować. A jednak powtarzamy to, co jest naszym najgłębszym przekonaniem i jest w zgodzie ze wszystkimi znanymi nam faktami: nie ma innego trwałego i otwierającego szanse pomyślności rozwiązania. Zgadzaemy się z biskupami polskimi, którzy pisali:

„Uгода społeczna powinna zawierać gwarancje dla uzasadnionych potrzeb i aspiracji społeczeństwa, dla współudziału obywateli w życiu publicznym i sprawowaniu kontroli społecznej. Stronami ugody społecznej są władza rządząca i wiarygodni przedstawiciele zorganizowanych grup społecznych. Nie może tu zabraknąć przedstawicieli związków zawodowych czasowo zawieszonych, a wśród nich mającego szeroką aprobatę społeczną NSZZ 'Solidarność'.

Uгода społeczna stawia wymagania wszystkim stronom. Od Rządu oczekuje stwarzania odpowiedniego dla tej ugody klimatu, w którym mogłaby się ona rozwinąć i zaowocować. Dwoma zasadniczymi składnikami tego klimatu są: szczere otwarcie się władzy na głosy wszystkich grup społecznych w wolnej i odpowiedzialnej dyskusji i zagwarantowanie podstawowych swobód obywatelskich opartych na uznaniu godności człowieka.

Dlatego Biskupi wraz z całym społeczeństwem oczekują, że stan wojenny jak najrychlej się zakończy, internowani będą zwalniani, wobec skazanych zastosowana będzie amnestia, ukrywającym się zapewniona będzie możliwość ujawnienia się; że nikt nie będzie zwalniany z pracy za przynależność związkową.

Uгода społeczna stawia wymagania nie tylko władzy, ale całemu społeczeństwu. Jego obowiązkiem jest kierowanie się

poczuciem realizmu w ocenie geopolitycznego położenia naszego kraju. To nie oznacza ani konformizmu, ani rezygnacji z podstawowych wartości narodowych. Poczucie realizmu wymaga, abyśmy nie przyjmowali postawy 'wszystko albo nic', przeciwnie, abyśmy systematycznie, wytrwale i stopniowo dążyli do realizacji naszych celów. To wymaga przemyślenia od podstaw problemu pracy dla dobra wspólnego, unikania nierozważnych reakcji zbiorowych, a także roztropnego określenia swoich wymagań indywidualnych i społecznych oraz dalekosiężnego spojrzenia w przyszłość narodową".

Zgadzamy się z tymi słowami i powtarzamy raz jeszcze: ugoda społeczna jest jedynym możliwym, trwałym rozwiązaniem polskich problemów. Jest to niezwykle trudne rozwiązanie, tak trudne, że u wielu budzi podejrzenie, że jest po prostu nierealne.

Ale logiczne myślenie, które nie zostało wszak zawieszane przez wprowadzenie stanu wojennego wskazuje, że wszelkie inne rozwiązania prowadzą do nikąd.

Warszawa, 7 kwietnia 1982

DLACZEGO W POLSCE NIE MA MIEJSCA NA POZYTYWIZM?

W kręgach ludzi biznesu na Zachodzie słyszy się niejednokrotnie, że Polacy powinni zacisnąć zęby, pracować i płacić. W domyśle — gospodarkę winno się uprawiać niezależnie od perturbacji politycznych: biznes jest biznesem. Śpieszę poinformować zachodniego czytelnika, że Polacy akurat mają w tym pewne szczególne doświadczenie, jak zaciskając zęby nadążać za postępem świata mimo ograniczeń i utrudnień ze strony władz zaborczych. Wymyślili sobie nawet specjalną filozofię zachowań społecznych, zwaną w Polsce pozytywizmem — oczekiwała ona od Polaków tworzenia faktów pozytywnych w sferze gospodarki, oświaty, kultury i życia społeczności lokalnych, po to by substancja narodowa mogła przetrwać. Działaniom tym nadano miano „robót organicznych”. Był w nich swoisty romantyzm — romantyzm cierpliwości. Nie kłóciły się z duchem zrywów powstańczych — przygotowywały dla nich glebę i leczyły rany po klęskach. Ale przede wszystkim pozwalały zachować ciągłość, ciągłość i — normalność, tak trudną do utrzymania w warunkach permanentnego stresu niewoli.

Wydawałoby się, że czas dzisiejszy Polski to najwłaściwszy czas na pozytywizm, bo nic innego Polakom nie zostało. A jednak moi przyjaciele — cenieni w Polsce eksperci od gospodarki — odmówili współpracy mianowanemu przez reżym wojskowy prezesowi niedawno powołanej tzw. Rady Społeczno-Gospodarczej, a ów prezes obwinił ich o opozycyjność lub emigrację wewnętrzną. Niżej podpisany, uważany w Polsce za uosobienie pozytywizmu, odmówił współpracy pismu, które chce zwać się „pozytywistycznym”.

Myślę więc, że warto coś tu wyjaśnić — w imieniu przyjaciół i własnym.

Czas pozytywistów

Przyjmijmy bez dowodu, że praca „organiczna”, działalność na najniższych szczeblach hierarchii życia społecznego, w gospodarce, w społeczeństwach lokalnych, jest w Polsce bardzo potrzebna, jeśli Polacy mają przeżyć jakoś lata 80-te. Przeżyć w sensie biologicznym, materialnym, bo duch tego narodu przeżyje i tak, nie zginie nawet po straszniejszych kataklizmach. Już ostatni kataklizm, zauważmy na marginesie, wywołał skutki społeczne odwrotne do tego, czego można było się spodziewać: ludzie w Polsce są dziś znacznie sympatyczniejsi dla siebie wzajem, bardziej pomocni, chętniejsi do współpracy, dorobkiewiczowska, egoistyczna atmosfera lat 70-tych ustępuje pod ciśnieniem mobilizacji przeciw bezprawiu, upokorzeniu i przemocy. Naród w ciągu tygodni zaledwie — zgodnie *nota bene* z prognozami Konwersatorium „Doświadczenie i Przyszłość” — niezależnego polskiego *think-tank*’u — przekształcił się w naród w stanie wojny, czujny, uważny i rozważny. Nie podda się — obecny stan pała politycznego może trwać nawet latami. Wszystko to nie przekreśla tezy, że prowadzić w Polsce pracę „organiczną” warto. Co więcej, chętnie byśmy prawie wszyscy do niej stanęli — gdyby stworzono po temu choć minimum niezbędnych warunków.

Minimum

Jedno różni istotnie czas dzisiejszy od zaborów — stosunki pod zaborami w XIX wieku czyniły pozytywizm możliwym. Przy całym panującym ucisku nawet poddani cara Wszechrosji mieli zagwarantowane minimum koniecznych dla pozytywizmu warunków.

Obowiązywała, po pierwsze, *pewna praworządność, która czyniła inicjatywę ludzką bezpieczną*. Spółka zarobkowa, spółdzielnia, bank ludowy, instytucja kształcąca w sztuce gospodarowania czy rzemiosło miały gwarancję, że nie narażą się na represje, zabór mienia, zniszczenie całego dorobku, jeśli tylko będą pilnowały się określonych przepisów. Były bowiem takie przepisy i można było dzięki nim dochodzić ochrony swych praw wobec administracji lub przed sądami.

Państwa zaborcze nie satysfakcjonowały się władzą administracyjno-policyjną nad Polakami. One też bardzo chciały oddziaływać na nich ideowo. Używały po temu różnych środków, wśród tych środków wynarodowienie oświaty było dla Rosji i Prus narzędziem podstawowym. Ale nawet Rosja i Prusy pozostawiały sferze podstawowej działalności społecznej, gospodarczej i lokalnej, swoisty immunitet polityczny. W spółce zarobkowej czy towarzystwie śpiewaczym mogłeś działać, byle w ramach przepisów, bez składania deklaracji miłości do cara Wszechrosji czy cesarza Wszechniemiec. Mogłeś być znany jako gorący patriota polski, który jednego dobrego słowa nie powiedział o zaborcach, mogły Cię nie lubić zaborcze władze administracyjne, które wobec tego nie udzielały twojej spółce czy przedsiębiorstwu ulg podatkowych czy zamówień państwowych, ale twoje sumienie pozostawało twoim.

Wobec przepisów w sprawach spółek czy towarzystw śpiewaczych byłeś równy tym, którzy wielbili cara, cesarza lub c.k. monarchię Austro-Węgier. Mogłeś być sobą i rosnąć. To był drugi warunek-minimum pozytywizmu.

Obustronny interes

Bez spełnienia obu tych warunków pozytywizm nie jest możliwy. Do uprawiania go nie wystarczy filozofia. Zasadzał się on na traktowaniu przez władzę pewnych pól aktywności społecznej jako neutralnych. W tym neutralnym polu skonfliktowane strony, władza i społeczeństwo, nie prowadziły walki. Gdzie indziej ścierając się, tu milcząco akceptowały się wzajem.

W warunkach totalnego konfliktu nie ma pól neutralnych. Stosunki pod okupacją hitlerowską nie dawały żadnych gwarancji. Dlatego pozytywizm polski musiał wówczas ograniczać się do pracy dla przyszłości, też zresztą ryzykownej i narażonej na eksterminacyjne prześladowania. Był to pozytywizm *in articulo mortis* — nieśmiertelny, nie do złamania ruch na rzecz przygotowania jutra, które będzie przecież potrzebowało odpowiednio

kwalifikowanych kadr, struktur i norm, umiejętności tych co przeżyją, wiedzy, zdolności, organizacji i współdziałania. Kiedy taki tylko pozytywizm staje się możliwy, nie należy go lekceważyć — spełnia funkcje niesłychanej wagi: umacnia wiarę w przetrwanie i zarazem chroni przed schizofrenią masowego samobójstwa. Ale jednocześnie uprzytomnia, jak głęboka przepaść jest między władzą a społeczeństwem w danym kraju. W Polsce dzisiejszej jest ona bardzo głęboka. Działa nie sama tylko pamięć śmiertelnej obrazy zgwałconego narodu. Odmowa współpracy bierze się nie tylko z samej obrazy. Bierze się stąd, że nie udzielono temu społeczeństwu minimum szans na działanie w dziedzinach, które mogłyby być politycznie neutralne.

Nie muszę chyba nikogo przekonywać, że odrodzenie gospodarki polskiej bez otwarcia drogi przynajmniej dla działań pozytywistycznych nie jest możliwe. Bierni, mierni, ale wierni jej nie ożywią. Trzeba ludzi z talentem i twórczą iskrą, a nie podkomendnych. Jedyne rezerwy, jakie gospodarka ma dzisiaj, to ludzka wola i inicjatywa. Wiem, że śmiesznie smutno powtarzać ten komunał w sytuacji, gdy właśnie dobrą wolę i gotowość inicjatywy podeptano, ale Polakom jak roślinom górskim wystarczy kawałek gruntu, odrobina sprzyjającego klimatu, by zacząć się i rosnąć znowu.

Z drugiej strony władza w Polsce dałaby, jak sędzę, wiele, by gospodarce polskiej zapewnić pracowników innych, niż ci, którzy przychodzą do fabryki ze strachu przed więzieniem lub głodem.

Dlatego może warto poświęcić temu problemowi trochę czasu.

Utopia?

Ideałem byłoby wyjście, które mogłoby stanowić pierwszy krok na drodze do narodowego kompromisu — otwarte uznanie gospodarki za sferę politycznie neutralną przy uzgodnieniu paru podstawowych doktrynalnych pryncypiów (gospodarka planowa, uspołecznienie wielkiego przemysłu, wykonanie zobowiązań wobec RWPG i Paktu Warszawskiego itd.).

Oznaczałoby to wspólne powołanie — przez przedstawicieli władzy i społeczeństwa — neutralnego, fachowego kierownictwa gospodarczego, upoważnionego do podjęcia programu reformy i odrodzenia gospodarki. Oznaczałoby też wydzielenie grupy gazet, programu radiowego i części programu telewizyjnego dla wiarygodnych dziennikarzy, zdolnych wesprzeć ruch na rzecz odrodzenia gospodarki i zobowiązanych do niezajmowania się polityką.

Niestety, krok tego rodzaju wydaje się dziś, i chyba jest,

zupełną utopią. Nie tylko ze względu na stan ducha ludzi władzy, na ich frustrację i równoczesną agresywność, strach pomieszany z pychą. Przede wszystkim dlatego, że gospodarka, mówiąc po prostu, nigdy nie była ich mocną stroną. Nie mogła być, nawet gdyby chcieli. Nie mieli się gdzie i kiedy uczyć żywej gospodarki. Poznawali gospodarkę wyłącznie z urzędów, w urzędach i poprzez urzędy.

Skąd by mieli wiedzieć, że dla skutecznego centralnego sterowania gospodarką nie trzeba planów o mocy ustawy, biurokracji, rozdzielników centralnych i gigantycznej sprawozdawczości, że dla tego celu dość trzymać w garści politykę kredytowo-pieniężną, tak jak trzyma ją kierownicza grupa banków Japonii, kraju najlepiej planowanej i centralnie sterowanej gospodarki światowej. Ta kierownicza grupa nie potrzebuje niczych oświadczeń uznających jej „kierowniczą rolę”. Ludzie władzy w ogóle nie odczytali, bo nie mogli odczytać, jaki *handicap* oferował im sierpniowy „scenariusz” prof. Gościńskiego i jego „Dziwiątki” (zespołu niezależnych ekspertów z kręgu DiP), który praktycznie przerzucał cały ciężar odrodzenia gospodarki na społeczeństwo. Ludzie władzy w Polsce powtarzali z głębokim przekonaniem, że „kto ma miskę, ten ma władzę”, nieświadomi, że kto trzyma miskę, ten ma kłopoty, nieświadomi, że państwo ustawiłoby się wobec rynku w zgoła innej pozycji, gdyby zatrzymało dla siebie kontrolę rozdziału energii i kredytów oraz troskę o los najsłabszych ekonomicznie warstw ludności. Ludwig Erhard rozpoczął powojenne odrodzenie gospodarki zachodnioniemieckiej nie od uchwylenia swą kontrolą wszystkiego, co się dało nią objąć, lecz od zwolnienia spod kontroli wszystkiego, czego nie musiał kontrolować.

Wszelka więc rozmowa była i jest trudna, ponieważ nawet w grupie ludzi władzy zajmujących się gospodarką niewielu spotyka się takich, którzy ją naprawdę czują i rozumieją, którzy reprezentują temperament rasowych polityków gospodarczych, działaczy gospodarczych i menadżerów.

Jeśli jednak taki pierwszy krok jest utopią, zajmijmy się tym, co uznać trzeba za minimum absolutne. Gdyby nawet bowiem zostawiono reformie gospodarczej w Polsce pełną swobodę i nie okrawano jej szczątków mnożeniem centralnych programów operacyjnych, reforma nie mogłaby odrodzić gospodarki polskiej. Nic by z niej nie wyszło pod tym względem. Z czego dobrze by sobie zdali sprawę zarówno zachodni bankierzy, wierzący w perspektywę tej reformy, jak i wierzący w „kadaryzację” Polski Ludowej władcy.

To nie złośliwość. Tak, z tej reformy nic by nie wyszło. Opiszę, dlaczego.

Feudalizm nie służy gospodarce

Kiedy w XVIII wieku europejskie gospodarki wydobywały się z bagna feudalnego chaosu prawnego, najważniejszą dla nich zdobyczą mieszczańskich rewolucji był jasny i egzekwowalny porządek prawny w sferze własności i obrotu. Bez niego bowiem żadnej działalności gospodarczej nie sposób rozwijać: wymaga ona przede wszystkim minimum uczciwej gry, bezpieczeństwa, nadziei. W kategoriach brydżowych oznacza to, że nikt w pewnym momencie nie każe otoczyć stolika brydżowego zbrojnymi osłkami, by zarządzić, że od tej chwili np. walety są starsze od asów. Oznacza to również, że wzięte przeze mnie lewy nie będą zapisane w pewnej chwili przeciwnikowi dlatego, że jest kuzy-nem króla lub więcej waży.

Nikt nie będzie twierdził, że ten nowy, mieszczański porządek prawny odpowiadał ideałom sprawiedliwości społecznej, miłości bliźniego i braterstwa. Ale gwarantował sensowność podejmowania wysiłków w dziedzinie gospodarki (kiedy George Stephenson wsiadł do swojej „Rocket”, wiedział, że mu jej nie zabiorą dla czyjegoś kaprysu). Podczas gdy system w którym żyje Polska, także przed zamachem stanu 13 grudnia, nie gwarantował nikomu niczego, ani porządku, ani bezpieczeństwa. Po zamachu feudalna samowola rozszerzyła się jedynie do nieograniczonych prerogatyw władzy znanych z ustroju, któremu oszczędzę przymiotnika, by nie razić niczych uszu.

Bezpańska własność publiczna

Zachodni ekonomiści dyskutują z zapałem, jak Polacy mają zaciskać pasa dla spłacenia długów, które na ich rachunek pociągano. Czytaliśmy o konieczności obniżenia stopy życiowej, o równowadze itp. Tak jakby chodziło o normalną gospodarkę, w której trzeba tylko zastosować lepszą, mądrzejszą politykę. I nikt nie zauważa podstawowych, zasadniczych mankamentów, bo nie zdaje sobie sprawy, że mogłyby istnieć. Ciekawe, ilu uczestników tych dyskusji orientuje się np., że tzw. „mienie ogólnonarodowe”, czyli własność państwowa, to w naszym „porządku” prawnym rzecz bezpańska?

Przedsiębiorstwa państwowe, organa administracji państwowej, instytucje użyteczności publicznej nie są podmiotami własności wobec użytkownego majątku. Ale nie jest takim podmiotem i Skarb Państwa, bo go... nie ma. Tak, nie ma. Do hipoteki nieruchomości stanowiącej własność publiczną nie ma kogo wpi-

sać, nie możesz więc np. niczego darować szkole, uniwersytetowi czy szpitalowi. Nie masz komu. Ba, w świetle prawa nie wiadomo, jaki jest majątek przedsiębiorstwa państwowego, a więc do jakiej wysokości może ono zaciągać zobowiązania na poczet tego majątku. Wszelkie kontrakty polskich przedsiębiorstw w obrocie międzynarodowym są w rzeczywistości wadliwe, równają się wystawieniu czeku bez pokrycia, coś jak weksle syna, który sam nie ma ani grosza ale ma bogatego tatusia, który w razie czego weźmie odpowiedzialność za podpis potomka (i zapłaci albo nie). W obrocie krajowym szopka tzw. arbitrażu gospodarczego z jego „miarkowaniem” czyli — mówiąc wprost — obniżeniem kar umownych, czasami tysiącrotnie (*sic!*), ilustruje tylko pozorność prawa.

Przed drugą wojną światową status przedsiębiorstw państwowych w Polsce był jasno uregulowany i stan taki trwał aż po rok 1950, kiedy zniweczył go dopiero stalinizm. Majątek nieruchomości pozostawał własnością państwa, i słusznie, bo eliminowało to groźbę spekulacji gruntami publicznymi, majątek ruchomy był właśnie [*brak w maszynopisie jednej linii — Red.*]. Niestety wszelkie projekty reform po dziś dzień nie obejmują uregulowania tak podstawowych kwestii...

O bezpieczeństwie nadziei

Jeśli tak ma się rzecz z własnością państwową, dziś własnością niczyją, za którą przed nikim nie odpowiada ten, kto może nią dowolnie rozporządzać, czyli władza administracyjna, to czegoż można się spodziewać po statusie własności spółdzielczej czy prywatnej?

Polska ustawa spółdzielcza z roku 1920 była najbardziej lewicowa ze wszystkich europejskich regulacji — wykorzeniono ją ze szczerem. Ale nie chodzi tu o honor dawnych polskich spółdzielców i ustawodawców. Chodzi o przywrócenie podstawowych norm samorządności spółdzielczej, jak zresztą i bezpieczeństwa posiadania wszelkim spółkom, normowanym przez dawne polskie prawo handlowe. Inaczej żadna inicjatywa gospodarcza się nie obudzi. Co najwyżej machlojki i spekulacja.

Spółka czy spółdzielnia nie może wykonywać pełnych praw zarządu wobec swej własności, jeśli administracja państwowa rości sobie prawo do takiego zarządu poprzez narzuconą biurokrację nadrzędnych i przymusowych związków. A w takiej sytuacji nie można liczyć na żaden spontaniczny ruch i rozwój. Po prostu nie można. Elementarne.

Niestety, ludzie decydujący w Polsce o gospodarce nie mieli gdzie i kiedy odkryć, że dla kontrolowania drobnej wytwórczości i handlu wystarczy instytucja koncesjonowania, wpisu do rejestru przedsiębiorstw, polityka podatkowa i kredytowa, instytucja rewizji. A przecież i wobec polityki podatkowej drobny przedsiębiorca czy spółka i spółdzielnia muszą być odpowiednio zabezpieczeni, bo sam podatek może być zabójczą bronią w tej sferze aktywności gospodarczej.

Dziś w Polsce zarówno drobny sklepikarz czy rzemieślnik w mieście, jak chłop na wsi są bezbronni wobec samowoli organów administracji — dlatego m.in. powstała „Solidarność” rolników. Właściciel nie ma nawet zapewnionego bezpieczeństwa posiadania, nie mówiąc o pełnych prawach zarządu wobec swojej własności. Nie ma prawa, które by mu to zapewniało i nie ma środków prawnych, którymi by mógł praktycznie wymusić na administracji przestrzeganie prawa. I nic dziwnego, że przywódca „Solidarności” rolników Jan Kułaj powiedział — „my nie strajkujemy dzisiaj, my strajkujemy od 35 lat”. Nie mieli innego wyjścia poza stagnację. Całą sferę drobnej wytwórczości, usług i handlu dowolność prawa i samowola władzy zarzynąła przez 35 lat.

Dopiero jasne, solidne i wiarygodne uregulowanie tej kwestii, wiarygodne, czyli poparte odpowiednimi instytucjami samorządu i skutecznej ochrony prawnej może dokonać cudu — jak stało się to kiedyś w Austrii, gdzie od pewnego dnia wszystko z ruiny zaczęło naraz rozkwitać. Ów dzień przyniósł ludzkiej inicjatywie w gospodarce bezpieczeństwo nadziei. Ludzie nabrali pewności, że ich nadziei na dobry wynik dobrej pracy nikt nie przekreśli. Ot, wszystko. To wystarczyło.

Hammurabi to wiedział

Nieporozumienia dotyczą ciągle rzeczy w gospodarowaniu rudymyentarnych. I tak fundamentalna zasada podstaw zarządu czymś majątkiem jest wszędzie od czasów Hammurabiego ta sama i prosta: zarząd stanowi funkcję własności.

Próbowaliśmy więc tłumaczyć, zresztą obu stronom, i władzy, i „Solidarności”, że samorząd bez współwłasności niczego nie rozwiązuje: współdecydowanie, więc prawo do współzarządu, bez odpowiedzialności ekonomicznej za swe decyzje musi prowadzić do zabawy w gospodarkę. Jeśliby załogom wystarczyło współdecydowanie — można je zrozumieć — brałyby uprawnienia bez obowiązków, bez kosztów. Ale władze państwowe broniły się przed nadaniem załodze współwłasności na majątek

przedsiębiorstwa, co świadczyło jedynie, jak bardzo doktrynerstwo może wykoślawić zmysł własnego interesu.

Doktrynerstwo to, dodajmy, żadną nie było usprawiedliwione ideologiczną tradycją — jeszcze w roku 1920 związana z komunistami francuska CGT wylansowała koncepcję rad nadzorczych przedsiębiorstw państwowych, rad złożonych z przedstawicieli państwa jako reprezentantów interesu publicznego, z przedstawicieli pracowników i przedstawicieli konsumentów! Jeśli zachodni biznes przemysłowy wprowadza dziś pracowników w prawa współwłaścicieli jako akcjonariuszy, to nie robi tego z filantropii ani z socjalistycznej motywacji, lecz z mądrego wyrachowania. Pracownik jako współwłaściciel nie strajkuje przeciw sobie. Nie wysuwa żądań płacowych ponad zdolność konkurencyjną przedsiębiorstwa. Czuwa nad gospodarnością w każdym zakątku fabryki, szuka sposobów podwyższenia efektywności swojej firmy. Jest oczywiście akcjonariuszem najprzykrzejszym dla zarządu firmy, bo najwnikliwiej kontroluje funkcjonowanie przedsiębiorstwa, ale to akurat dla biznesu czysty zysk. Uspołecznienie własności wielkoprzemysłowej jest zresztą dlatego tendencją ogólną.

Tymczasem w Polsce władza, ściślej — jej doradcy, przekreślili taki kierunek i taką szansę. Dlaczego? Wydawało się im to rewolucją, wywłaszczeniem państwa! A pomyśleć, że wielkie przedsiębiorstwa, stanowiące spółki akcyjne państwa z pracownikami, mogły za inspiracją starej idei CGT odwołać się do rezerw finansowych... swoich potencjalnych klientów.

I cały przemysł maszyn rolniczych i cały przemysł motoryzacyjny mogły finansować swój rozwój z akcji wykupywanych przez przyszłych nabywców, reprezentowanych w radzie nadzorczej i kontrolujących tym sposobem prawidłowość rozwoju branży. Wolne, zaoszczędzone pieniądze pracowałyby w naturalnym trybie, stymulując zarazem pożądany kierunek postępu.

Laik by zrozumiał, prawda? I też nie ekonomiści, ale moi przyjaciele chłopci, publicyści (prawdziwi chłopci i prawdziwi publicyści) wystąpili w październiku 1981 roku z projektem Funduszu Rozwoju i Pomocy Rolnictwa, który by tak właśnie ożywił zamrożone chłopskie kapitały zgodnie z potrzebami wsi. Ci chłopci znali ekonomię z własnej praktyki. Ich inicjatywa potwierdza, że zmysł gospodarowania jest ludziom przyrodzony, problem w tym, jak go nie paraliżować.

Banki czy skarbonki

Porządkowi w sferze własności powinien odpowiadać porzą-

dek w sferze obrotu. Nie może on istnieć bez porządku w sferze pieniądza. Jest to banał. Ale tak się składa, że ten banał akurat nasi projektanci reform odłożyli sobie na koniec i to w wersji, która niczego nie załatwia.

Zachodni ekonomiści nie krytykują ich za to, ale przecież oni po prostu nie wiedzą, że dzisiejsze polskie banki nie są bankami. Nie są bankami i nawet nie są zdecentralizowanymi skarbankami, jakby się można tego dorozumiewać. Cały świat dziwił się w 1977 roku, jak to się stało, że centralna, najwyższa, niczym nie ograniczona władza nakazała obciąć program inwestycyjny, a inwestycje wzrosły. Ale gdy posada dyrektora NBP zależała nie od zwierzchnika w centrali, lecz od lokalnych, wojewódzkich władz, to komuż ów dyrektor podlegał naprawdę? Kogo musiał naprawdę słuchać? Czy w ogóle ktoś tu za cokolwiek naprawdę odpowiadał? Tylko Gościński i jego „9-tka” tłumaczyli władzy w Polsce, że jeżeli prezes centralnego banku podlega szefowi egzekutywy rządowej, a podwładni prezesa banku podlegają komuś poza nim, to bank nie może być bankiem.

A przecież jeszcze mniej może być bankiem, gdy go nie obowiązują zasady gospodarki pieniężnej. Innymi słowy, bank prowadzony nie na zasadach komercyjnych nie jest bankiem. Jest wszystkim, skarbanką, sakiewką tatusia, kranem z forszą ale nie bankiem. I nie da się przy jego pomocy prowadzić polityki pieniężnej. Żadnej zresztą polityki.

W autentycznym banku organa administracji mogą trzymać swoje pieniądze, mogą od niego pieniądze pożyczać na różnych zasadach, mogą na poczet swych *avoir'ów* udzielać poręczeń określonym pożyczkobiorcom. Mogą nadzorować emisję pieniądza przez bank centralny, regulować politykę kredytową. Ale nie mogą autentycznym bankiem dysponować, dowolnie operować jego zasobami, czerpać z nich jak z rozbitej skarbanki. I żadna reforma nie zlikwiduje bałaganu oraz marnotrawstwa w gospodarce polskiej, jeśli te elementarne zasady nie zostaną uwzględnione.

Skąd brać finansistów?

Oczywiście bank oparty na zasadach komercyjnych, czyli bank prawdziwy, musi mieć ustrój inny niż biurokratyczna skarbanka. Jeśli władza w Polsce chciałaby stosunkowo szybko odrodzić prawdziwą bankowość, musiałaby iść na maksymalną decentralizację. Decentralizację decyzji, a nie polityki pieniężnej, rzecz jasna. Poprzez mnie tu, myślę, każdy zachodni specjalista

— nie wykształci się szybko bankierów, jeśli nie przejdą samodzielnego zarządzania jakimś wyodrębnionym funduszem, za który by osobiście odpowiadali.

Mówię o finansistach, nie o buchalterach; tych Polska ma na szczęście dobrych.

Nawet zarządzanie funduszami banku centralnego lepiej mąk-symalnie zdecentralizować (nie wspominając już o przydatności banków wyspecjalizowanych i lokalnych). Zdecentralizowane zarządzanie samo zadba o wspólną sieć wymiany informacji o potencjalnych klientach, ich zadłużeniu i gospodarce, ale bez sprawnych rządów jednostek bankowych nikt nie zdoła pohamować obecnego „bujania” pieniądza jak tkanki rakowej, nawet po wprowadzeniu komercjalizacji banków. Jednolita, racjonalna polityka kredytowa pozostanie na papierze.

Stefan BRATKOWSKI

POLEMIKA Z J. KURONIEM*

Tezy Jacka Kuronia „O wyjściu z sytuacji bez wyjścia” zawierają wyraźne propozycje wyboru dalszej politycznej strategii dla ruchu oporu przeciwko stanowi wojennemu. Ewentualny błąd w wyborze drogi może mieć na tyle poważne konsekwencje, że każdy tekst o charakterze programowym musi być bardzo uważnie analizowany. Nie stać nas teraz na przyjmowanie propozycji nie do końca domyślanych. Zanim jednak przejdę do analizy propozycji Kuronia, dotyczących przyszłości, na chwilę muszę zatrzymać się nad jego oceną niedawnej przeszłości i obecnego położenia kraju. Zastrzeżenia budzić tu może jeden, ale za to istotny brak. Dotyczy on genezy wprowadzenia stanu wojennego. Kuroń ogranicza się do stwierdzenia, że „ludzie ZSRR nie chcieli kompromisu”, na zimno, z rozmysłem zdecydowali się na rozprawę ze społeczeństwem. Nie podejmuje oceny politycznej linii „Solidarności”. A jest to ważna sprawa. Nie może nam wystarczyć odpowiedź, że naszej porażce winien jest przeciwnik. Przyczyniły się do niej również nasze własne błędy ułatwiające mu zadanie. Musimy o tym mówić i pisać, wcale nie dla osiągnięcia masochistycznej satysfakcji, ani nawet dla ustalenia prawdy historycznej. Znacznie ważniejsze jest to, że krytyczna analiza własnych błędów może zapobiec ich powtórzeniu w przyszłości. Jakie były więc główne błędy popełnione przez „Solidarność”?

Przez 35 lat komuniści rządzący Polską oduczali społeczeństwo politycznego myślenia, niszczyli środowiska polityczne, utrudniali kształtowanie się elit ideotwórczych. Gdy więc „wybuchnął Sierpień” ukształtował się ruch narodowych, obywatelskich i zawodowych rewindykacji — „Solidarność”, nie otrzymał on należytego wsparcia w sferze myśli i programu

politycznego. Działanie zbyt często wyprzedzało myślenie. Zabrakło solidnej analizy takich kwestii, jak położenie sprawy polskiej w kontekście rozwoju sytuacji międzynarodowej, a zwłaszcza problemu rosyjskiego, wyraźnego określenia podstawowych celów strategicznych ruchu i rozłożenia w czasie ich realizacji. W rezultacie działania społeczeństwa, skupionego w „Solidarności”, miały charakter przede wszystkim spontaniczny. Strategia Związku często formowana była także w ten sposób.

Czasami wypowiadany jest pogląd i to nie tylko w środkach masowego przekazu, że w „Solidarności” za dużo było polityki. Prawda wygląda akurat odwrotnie. Polityki, tej prawdziwej, myślenia politycznego było stanowczo zbyt mało i o nie wystarczającej jakości. Sukcesy, odnoszone przez „Solidarność” na fali spontaniczności i ogólnonarodowego entuzjazmu, wzmacniały tę tendencję. Z biegiem czasu doszła nadmierna pewność siebie i niedoceniające przeciwnika. Gorzką prawdą jest to, że grudniowe uderzenie zaskoczyło nas prawie wszystkich i zastało Związek nieprzygotowany do prawdziwej konfrontacji.

Jeszcze raz przypominam, że piszę o tym nie po to, aby osłabiać ducha oporu i skierowywać społeczną energię na dokonywanie wewnątrzsolidarnościowych rozliczeń, lecz po to, by nie powtarzać błędów, a przy podejmowaniu decyzji o podstawowym znaczeniu dla przyszłości kraju uwzględniać wszystkie możliwe warianty rozwoju wydarzeń.

Trudno nie zgodzić się z Kurońem, gdy twierdzi, że opór społeczeństwa przeciwko stanowi wojennemu jest koniecznością, i że tylko on może zmusić władzę do szukania kompromisu. Sądzę, że ruch ten należy rozumieć szerzej niż proponuje to autor „Tez o wyjściu z sytuacji bez wyjścia”. Tworzą go nie tylko ludzie zorganizowani w konspiracyjnych strukturach podporządkowanych ośrodkowi centralnemu, ale ci wszyscy, którzy swą postawą wyrażają sprzeciw wobec tego wszystkiego co stało się po trzynastym grudnia ub. roku, wszyscy, którzy nie poszli na współpracę z reżymem. Form sprzeciwu może być i jest już w tej chwili bardzo wiele. Uczestniczyć w nich może niemal całe społeczeństwo, podczas gdy zorganizowane struktury — siła rzeczy — mogą skupiać stosunkowo nieliczne kręgi ludzi. W obecnej sytuacji są one całkowicie niezbędne. Nie znaczy to jednak, że uczestnictwo w nich jest jedyną skuteczną metodą walki o zniesienie stanu wojennego i że tylko one reprezentują interes społeczeństwa.

Opór jest naszą jedyną szansą. To prawda. Ale czy rzeczywiście może on prowadzić do jednego z dwóch alternatywnych rozstrzygnięć proponowanych przez Kuronia. Widzi on je mniej więcej tak:

Doprowadzenie w ciągu kilku-kilkunastu tygodni (tekst pisany w lutym) do kompromisu z władzą, z gotowością do „nawet najdalej idących ustępstw”. Wymaga to jednak politycznej inicjatywy i minimum dobrej woli ze strony rządzących Polską. Jeśli ten wariant nie zostanie zrealizowany, pozostaje drugi — podjęcie próby „zlikwidowania okupacji w zbiorowym, zorganizowanym wystąpieniu” polegającym na „równoczesnym uderzeniu na wszystkie ośrodki władzy i informacji w kraju”.

Realizacja pierwszego wariantu tylko w pewnej mierze zależy od naszych zachowań. Decydujące znaczenie będzie miało zachowanie władz i polityczna inicjatywa przez nie podjęta. Z naszej strony możemy: deklarować wolę zawarcia ugody społecznej, opartej na kompromisie, przekonując jednocześnie do niej społeczeństwo oraz określić nasze *non possumus*, to, z czego nie zrezygnujemy. Nie wystarczy stwierdzić, że jesteśmy gotowi do najdalejszych ustępstw. Już teraz należy mówić, jakie są nasze warunki minimum, bez spełnienia których nie ma kompromisu, a jest kapitulacja. Sądzę, że nasuwają się one same i wielokrotnie już były wymieniane:

1. Zniesienie stanu wojennego.
2. Uwolnienie wszystkich internowanych i skazanych po 13 grudnia ub. roku z przyczyn politycznych.

* *Solidarność* (Gdańsk) nr 2/65 z 24.04.1982.

3. Przywrócenie NSZZ „Solidarność” prawa do statutowej działalności przy pełnym poszanowaniu przez władze jego samorządności i niezależności.

Oczywiście realizacja tego wariantu — zawarcia ugody społecznej w ciągu najbliższych miesięcy, bez podejmowania konfrontacji — byłaby rozwiązaniem optymalnym. Niestety, trudno jednak uznać je za najbardziej prawdopodobne. Ale czy wobec tego możemy podjąć realizację drugiego, alternatywnego wariantu przedstawionego przez Kuronia? I tu dochodzimy w moim przekonaniu do kwestii, która w jego tekście nie została domyślana do końca. Stanowi ją kwestia Rosji. Naprawdę nie ma żadnych przesłanek pozwalających przypuszczać, że ZSRR w roku 1982 może pogodzić się z odsunięciem od władzy w Polsce partii komunistycznej, zwłaszcza poprzez masowe wystąpienie społeczeństwa. I z pewnością nie zmieniłyby tego gwarancje poszanowania militarnych interesów ZSRR udzielone przez autentyczną reprezentację polskiego społeczeństwa. Nie twierdząc, że tak musi być zawsze, być może zmieni się to nawet w niedalekiej przyszłości. My jednak zastanawiamy się teraz nie nad tym, jak Polacy mają zachować się w latach następnych, lecz wiosną i latem 1982 roku. Realizacja koncepcji Kuronia w tym właśnie czasie, w obecnej sytuacji narodowej i przy tak daleko idącym zaangażowaniu się ZSRR w poparcie dla pogrudniowej polityki Jaruzelskiego, mogłaby mieć tylko jeden rezultat. Zafundowalibyśmy sobie jeszcze jedno nieudane powstanie narodowe, ze wszystkimi konsekwencjami klęski. Nie stać nas na to.

Założeniem, które musi nas obowiązywać nie jako prawda wiecznотrwała, ale mająca zastosowanie „tu i teraz”, w Polsce roku 1982, musi być świadomość, że celem społecznego oporu nie jest odsunięcie od władzy partii komunistycznej, lecz zmuszenie tej właśnie władzy do ustępstw na rzecz narodu. Oczywiście nie czynimy tego dlatego, że tę władzę kochamy i uznajemy jej moralne prawo do rządzenia Polską, ale dlatego, że teraz inaczej być nie może. Kto tego nie dostrzega, wkracza w sferę polityki księżycowej.

Jak więc naprawdę możemy się zachować, o ile władza z własnej inicjatywy nie podejmie starań o zawarcie ugody ze społeczeństwem? Sądzę, że mamy dwie drogi. Pierwszą symbolizuje hasło „zima wasza — wiosna nasza”. Celem społecznego ruchu oporu byłoby doprowadzenie wiosną lub latem do strajku generalnego, który kazałby szukać władzy kompromisu z narodem. Słowem, byłaby to próba powtórzenia Sierpnia 80. Jednak nawet zdecydowani zwolennicy tej koncepcji przyznają, że wiąże się ona z ryzykiem bez porównania większym niż miało to miejsce w Sierpniu. Ryzyko byłoby co prawda obustronne, ale nas musi obowiązywać myślenie kategoriami dobra społeczeństwa i jego przyszłości. Poczucie odpowiedzialności nakazuje dokładne przeanalizowanie również wszystkich konsekwencji i kosztów społecznych wariantu klęski.

Druga droga to przygotowanie społeczeństwa na opór obliczony na znacznie dłuższą metę, w którym nie dochodzi do generalnej konfrontacji, oznaczającej postawienie wszystkiego na jedną kartę, ale do zachowania ciągłości oporu, który zmusi w końcu władzę do ustępstw bądź pozwoli doczekać się bardziej sprzyjającej koniunktury politycznej, w której zorganizowana akcja ze strony społeczeństwa będzie miała większe szanse powodzenia. W tym drugim wariancie jest oczywiście miejsce na akcje protestacyjne i ostrzegawcze strajki traktowane jako manifestacje siły i nieugiętości społeczeństwa. Obie drogi zasługują na wnikliwą refleksję. Z każdą z nich związane są niebezpieczeństwa, ale i szanse sukcesu. Ważne jest jednak, by społeczeństwo wybierając swoją drogę, czyniło to w pełni świadomie, by była to decyzja racjonalna, a nie emocjonalna, w żadnym razie nie niedomyślana do końca, przypadkowa.

Aleksander HALL

SOLIDARNOŚĆ W PODZIEMIU.

Wywiad z Przewodniczącym RKS Dolny Śląsk

— W. Frasyniukiem*

RED.: — *We Wrocławiu „Solidarność” po 13 grudnia odbudowała się bardzo szybko i działa wyjątkowo sprawnie, zwłaszcza w zakładach pracy. Jak zorganizowały się one w warunkach stanu wojennego?*

WŁADYSŁAW FRASYNIUK: — Załogi zaczynały samorzutnie odtwarzać strukturę związkową niemal natychmiast po wyjściu ostatniego zomowca z zakładu. Komitety Strajkowe schodziły do podziemia, ich członkowie powoływali swoich „dublerów”. Znam zakłady, gdzie wyaresztowano nie tylko Komitety Strajkowe, ale drugi i trzeci rzut utworzonych w czasie wojny Komisji Zakładowych. Nic dziwnego, że nawiązywanie kontaktów pomiędzy RKS-em a KZ-ami było żmudne i niejednokrotnie udawało się dopiero po kilku tygodniach. Nie znam zakładu, gdzie by ocalały przedgrudniowe KZ-ty — w większości fabryk i instytucji całe komisje siedzą w obozach i więzieniach. Na miejsce aresztowanych przywódców przechodzą zwykli członkowie „Solidarności”. Może są gorszymi organizatorami. Ale dziś wszyscy wiedzą. Wskakują, jak w Sierpniu, nowi ludzie.

RED.: — *A jaka jest Twoja rola?*

W.F.: — Ludzie stanęli zanim wróciłem z Gdańska. Kiedy przybyliśmy do Wrocławia (kolejarze ostrzegli nas, że na dworcu czeka policja i zatrzymali pociąg kilka kilometrów przed stacją) widzieliśmy — mimo, że była niedziela — oflagowane zakłady i transparenty „Strajk powszechny”. Poszliśmy do zajezdni na Grabińskiej, gdzie w Sierpniu było Centrum Strajkowe. Tam utworzyliśmy Regionalny Komitet Strajkowy, który — po spacyfikowaniu jeszcze tego samego dnia zajezdni — przeniósł się do połączonych zakładów Dolmel-Pafawag. Kiedy je rozbito w nocy z 13 na 14 grudnia, ci, co ocalili — Piotr Bednarz, Józef Pinior i ja — wskoczyliśmy do różnych strajkujących zakładów. Moja obecność miała znaczenie psychologiczne. Byłem razem z ludźmi podczas pacyfikacji Dolmela, Pafawagu, Hutmenu, Fadromy i FAT. Było ważne, że zachowałem się zgodnie z oczekiwaniami, że się nie zawahałem, że wybrani działacze nie zawiedli. Później, już po stłumieniu strajków udało mi się dostać do niektórych fabryk, by spotkać się z solidarnościowcami, ustalić taktykę oporu, podtrzymać kontakty w nowych warunkach. Gdyby nie to, że w Grudniu stał cały Wrocław (nawet takie małe zakłady, że nigdy o nich nie słyszałem) budowanie podziemnej Solidarności trwałoby pewnie dłużej.

RED.: — *W jaki sposób Związek odbudował się w czasie wojny?*

W.F.: — Na początku najważniejszy był kolportaż. Dziś niezależnie od niego działają kanały informacyjne i podziemne KZ-ty kierujące zakładami. Komisje Zakładowe tworzą przedstawicieli poszczególnych wydziałów, lub

* Tygodnik Mazowsze nr 13 z 12 maja 1982.

ludzie z wydziału, który jest najlepiej zorganizowany. Są też ludzie odpowiedzialni za przygotowanie przyszłego strajku. KZ-ty dbają o drożność kanałów informacyjnych, docieranie do wszystkich wydziałów, także do tych gorzej zorganizowanych. Jest to trudne, bo dyrekcje dość rygorystycznie przestrzegają blokady pomiędzy wydziałami (np. trzeba się zapisywać przy wyjściu z hali), a SB próbuje przenikać do zakładów. Można powiedzieć, że obok produkcyjnych są całe „wydziały ubeckie”, które na okrągło prowadzą przesłuchania pracowników, próbują ich zastraszyć. Łączność mimo to funkcjonuje. Są również kontakty między zakładami i to często uruchomione bez pomocy RKS-u. Po prostu do tych zakładów, które wyróżniły się w czasie strajku zgłaszali się ludzie z okolicznych fabryk i jeśli potem RKS złapał kontakt z takim zakładem, to miał już dotarcie do kilku.

RED.: — *Na czym polega działalność „Solidarności” w zakładach pracy?*

W.F.: — Ludzie zaczęli się organizować w celu niesienia pomocy represjonowanym i ich rodzinom. Dziś organizowane są akcje rocznicowe, protestacyjne, ulotkowe. Kolportuje się prasę. Największe zakłady mają własne drukarnie, powiela się tam np. wychodzącą dwa razy w tygodniu gazetę RKS-u *Z dnia na dzień*. Niektóre nawet wydają własne serwisy, biuletyny i gazetki (w Dolmelu wychodzi *Odrodzenie*, w Pafawagu — *Jutrzenka*). Są zakłady, gdzie Solidarność jest tak silna, że nikt nie ośmiela się zerwać z tablicy wiadomości czy ulotki, a jeśli ktoś to cichcem zerwie — natychmiast pojawiają się nowe. Są zakłady, gdzie załoga postawiła się i nie dopuściła do zwolnień pracowników. W jednej z fabryk robotnicy stoczyli wspólną walkę o krzyż i w końcu go nie zdjęto. W innej dyrektor nie jest w stanie usunąć plakatu ze Zjazdu „Solidarności”.

RED.: — *Dlaczego akurat we Wrocławiu opór był i jest silniejszy niż gdzie indziej?*

W.F.: — To procentuje 16 miesięcy pracy. Wrocław był chyba lepiej niż inne regiony [*brak jednego wiersza w tekście — Red.*]. Nasz ZR już w marcu 1981, po wydarzeniach bydgoskich, wydał instrukcje dla KZ-tów na wypadek stanu wyjątkowego. Była ona w nieco zmodyfikowanej formie rozpowszechniana również jesienią. Przeprowadziliśmy szkolenie drukarzy-ramkarzy dla zakładów, podejrzewając, że może nam jeszcze przyjść w Bóg wie jak ciężkich warunkach drukować prasę związkową. No i pod koniec roku wycofaliśmy z banku pieniądze — owe słynne 80 milionów. Dzięki Wszechnicy, klubom dyskusyjnym, szkoleniom i publikacjom związkowym rozbudziliśmy świadomość polityczną. No a poza tym były dobre kontakty między Prezydium ZR a załogami, między poszczególnymi zakładami, a wreszcie między środowiskami.

Naukowcy, którzy w Sierpniu obserwowali i opisywali protest robotników, w Grudniu 81 wzięli w nim udział. Byli z nami w zakładach. Dziś nie tylko dostarczają nam ekspertyz i analiz politycznych, nie tylko służą nam swoją wiedzą — niejeden doktor czy docent drukuje na powielaczu i ramce, a nawet szkoli w tym robotników.

Od początku współpracujemy ze studentami. Są oni ofiarnymi drukarzami, kolporterami, łącznikami. Tworzą — wspólnie z robotnikami — Dyskusyjne Koła „Solidarności”. Zorganizowany przez nich Akademicki Ruch Oporu wydaje pismo w trzech mutacjach: studenckiej, robotniczej i instruktazowej.

RED.: — *Czy możliwy jest dziś drugi Sierpień?*

W.F.: — W Sierpniu wystarczyła manifestacja naszej jedności, dziś ko-

nieczna jest walka. W Grudniu opór był wielki, niektóre zakłady trzeba było pacyfikować dwukrotnie (FAT, Fadroma), ludzie chcieli walczyć z ZOMO. Wtedy wzywałem, by nie stawiać czynnego oporu. Dziś myślę, że może gdyby strajkujących zakładów zdecydował się bronić nie tylko Śląsk — sytuacja byłaby inna. Pewnie zmobilizowałyby to inne regiony do strajków. Możliwe, że władza by się cofnęła, zaproponowała podjęcie rozmów, poszła na ustępstwa.

Obawiam się, że jeżeli nie dojdzie do jakiegoś sensownego kompromisu, to należy liczyć się z mniej lub bardziej gwałtownymi wybuchami gniewu doprowadzonych do ostateczności ludzi. Nie powinno się dopuścić do sprowokowania jednego regionu czy zakładu, który łatwo byłoby zdławić.

Tu olbrzymie znaczenie ma powstanie Tymczasowej Komisji Koordynacyjnej, która pozwoli przygotować się do zorganizowanego oporu. Już w lecie powinna być przeprowadzona ogólnopolska akcja, która podtrzyma nastroje, integruje społeczeństwo, będzie przygotowaniem do strajku generalnego.

RED.: — *Czy nie obawiasz się, że Grudzień to był dopiero „wstęp”, że najgorsze dopiero przed nami, że społeczeństwo będzie coraz bardziej zmęczone i coraz bardziej sterroryzowane?*

W.F.: — Nie. Wrocław jest najbardziej represjonowanym miastem. Liczba internowanych i aresztowanych jest najwyższa w kraju — 1.800 osób. Przed 1 maja zatrzymano po kilkadziesiąt z największych, najlepiej zorganizowanych zakładów pracy. A mimo to można powiedzieć, że represje wywołują skutek odwrotny do zamierzonego. Baza społeczna, na której opiera się władza, kurczy się coraz bardziej, a krąg ludzi, którzy chcą bezpośrednio zaangażować się w działanie jest coraz większy. I nie lękam się, że nie uda się na dłuższą metę utrzymać tak dużej jak obecnie aktywności społecznej. Ludzie świadomi są, że walka toczy się już nie tylko o ideały, ale o sprawę tak zasadniczą, jak biologiczna przyszłość narodu. Nie mają do stracenia nic oprócz życia. A przekonanie, że jest to cena, za którą w tym systemie można wywalczyć lepsze jutro przynajmniej dla swych dzieci, staje się dość powszechne.

KULTURA

TRZECI ZESZYT SPECJALNY W JĘZYKU ROSYJSKIM

Zawiera m.in.: *Niepodległość Polski a Rosja; Przemówienie Czesława Miłosza w Akademii Szwedzkiej z okazji otrzymania Nagrody Nobla; Czesław Miłosz: Wiersze (w przekładzie Josifa Brodskiego; Gustaw Herling-Grudziński: Wizyta w Pradze; Marek Hłasko: Cmentarze z przedmową G. Herling-Grudzińskiego; Wiktor Sukiennicki: Polsko-rosyjska antynomia; Maria Danilewicz Zielińska: Polskie zabytki wywiezione do ZSSR.*

Str. 240.

Cena F. 35,00.

Maria T. Halstead, Santa Barbara, CA (USA) — na pomoc dla dzieci uwięzionych i internowanych w Polsce — \$100,00 oraz kwoty przekazane jej na powyższy cel przez: G.W. — \$300,00; Barbarę Stanley — \$50,00 i Dr. Tadeusza Stanley'a — \$50,00 — razem: \$500,00 F.3.250,00

WPŁATY NA NSZZ „SOLIDARNOŚĆ”

Irena Halicka, Chicago, Ill. (USA) — na pomoc dla rodzin aresztowanych członków Solidarności — \$100,00 F. 650,00
J.A. i A.M. Kałużny, Naples, FLA (USA) — \$100,00 F. 650,00
Polish-Canadian Action Group (Grupa Solidarność i Niepodległość) Toronto, Ont. (Kanada) (nadesłała Anna Piekarska — skarbnik F. 487,80

REDAKCJA

TYGODNIKA SŁOWO — SOLIDARNOŚĆ

z Toronto

zawiadamia, że ma do sprzedaży zapas reprodukowanych numerów **Tygodnika Solidarność** organu NSZZ Solidarność.

Komplet zawierający 31 numerów kosztuje \$90,00 plus porto. Poszczególne numery — \$5,00 plus porto.

Adres:

221 Dunn Avenue, Toronto, Canada

Tel.: 416-536 37 99.

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
Commission Paritaire N° 60789.
Dépôt légal: 3^e trimestre 1982.

Imprimé en France

KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffitte - Telefon: (3) 962-19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
AFRYKA POŁUDNIOWA: Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str., New Muckleneuk, Pretoria, 0002	F. 25,00	F. 135,00	F. 260,00
ARGENTYNA: «Liberia Polaca», Serrano 2076, Buenos Aires, Suc 25	F. 25,00	F. 135,00	F. 260,00
AUSTRALIA: Polish Book Depot VISTULA, Daking House, Rawson Place, Sydney NSW, 2000, Tel. 212-2013	\$A. 4,50	\$A. 26,00	\$A 48,00
AUSTRIA: Henryk Odlanicki-Pocobut, Wien I, Schönlatterngasse Nr 5/2, Stiege/Türe 14, Tel. 52-40-762	F. 25,00	F. 135,00	F. 260,00
BELGIA: Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Amédée Lynen, app. 57, 1030 Bruxelles, Nr konta pocztow. 7315-20. Tel. 218-69-23	F.B. 225,00	F.B. 1200,00	F.B. 2350,00
BRAZYLIA: prosimy o przesyłanie czeków do administracji «Kultury»	\$ US 5,00	\$ US 28,00	\$ US 52,00
DANIA: O. T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd ..	F. 25,00	F. 135,00	F. 260,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji «Kultury» i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 25,00	F. 135,00	F. 260,00
HOLANDIA: Mrs J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, Vlissingen, Tel. (01 184) 14073, Postgiro 1379176	Fl h 12,00	Fl h 80,00	Fl h 110,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.O. J4W 1S5. Tel. (514) 465-2362; B. Krauski, 8 High Park Blvd., Toronto, Ont. M6R 1M4; Very rev. Donald Malinowski, 23 Coralberry Ave., Winnipeg, Man. R2V 2P2, Tel. 339-5577; Z. Micherdzinski, 285-287 Ottawa St.N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel. 545-2115; J. Korwin-Lopuszczanski, 90 Hilliard Avenue, Ottawa K2E 6C2; «Polish Voice Publishing» Co., 1089 Queen St. W. Toronto 145 Ont., Polish Alliance Presse, Ltd. («Zwiastkowiec», 1636 Bloor St. W., Toronto, Ont., M6P 1A7	\$ Can. 6,00 DM 12,00	\$ Can. 35,00 DM 60,00	\$ Can. 60,00 DM 110,00
NIEMCY: St Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr 7/1.	F. 25,00	F. 135,00	F. 260,00
NORWEGIA: Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss	F. 25,00	F. 135,00	F. 260,00
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 6, rue des Lilas, C.P. 74, 1211 Genève 7. Tel. 44-32-51, Nr konta pocztow. 12.14431 ..	F.S. 10,00	F.S. 60,00	F.S. 100,00
SZWECJA: Norbert Zaba, Kalskärsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm, Tel. (08) 60-15-70, Postgirokonto Nr 48 82 34-6.	K.S. 25,00	K.S. 135,00	K.S. 260,00
U.S.A.: S. Dobczynski, Alma Shipping Co., 121 St. Marks Pl., New York, N.Y. 10009, Tel. 475-8886. Ada Dziwanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; T. Konopacki, 27437 Detroit Rd., Cleveland., Ohio, 44145, Tel. 871-48-47; Irena Kretowicz, 4254 - 34-th St., San Diego, Cal. 92104, Tel. 284-6271; Krystyna Leser, 1725 - 17-th St., N.W., Washington D.C. 20009; M. Kosciuch, 12331 French Rd., Detroit Mich. 48234; POLONIA Bookstore, 2886 Milwaukee Avenue, Chicago, Il. 60618, Tel. (312) 489-2554; Jan Wojcik, 674, Farmington Avenue, New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347 Chene Street, Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books, 2233 El Camino Real, Palo Alto, Cal., 94306, Tel. (415) 327-5590 & 851-0748.	\$ US 5,00	\$ US 28,00	\$ US 52,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London, S.W.5. ORD. Tel. (01) 370 2210	F. 25,00	F. 135,00	F. 260,00
WŁOCHY: Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 Int. 27., Tel. 75-67-241	F. 25,00	F. 135,00	F. 260,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F.260; półroczna — F.135.
Przesyłka pojedynczego numeru — F.3,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe:
INSTITUT LITTERAIRE, 91 avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18-228-56 (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA « KULTURY »
TOM 352 — KONSTANTY JELEŃSKI

ZBIEGI OKOLICZNOŚCI

Zbiór esejów znanego krytyka, tłumacza poezji polskiej, wybitnego znawcy problemów współczesnych.

Część I — ZBIEGI OKOLICZNOŚCI;

Część II — O PRZECZYTANYM I PRZEŻYTYM.

Str. 424.

Cena F. 120,00.

TOM 357 — KAZIMIERZ BRANDYS

MIESIĄCE (1980-1981)

Tom II-gi zapisów pamiętnikarskich o charakterze osobistym na tle wydarzeń kulturalno-politycznych.

Str. 224.

Cena F. 70,00.

W końcu lipca bież. roku ukaże się nowa praca

MARKA TARNIEWSKIEGO

pt.

„PŁONIE KOMITET”

(grudzień 1970 - czerwiec 1976)

z odniesieniami do ostatnich wydarzeń w Polsce.



WZNOWIENIA FOTO-OFFSETOWE

TOMY VI, VII, VIII DZIEŁ ZEBRANYCH

WITOLDA GOMBROWICZA

TOM 354 — DZIENNIK (1953-1956) — F. 55,00;

TOM 355 — DZIENNIK (1957-1961) — F. 50,00;

TOM 356 — DZIENNIK (1961-1966) — F. 40,00.